



MARIAH MUNDI

I SZKATUŁA MIDASA

G.P. TAYLOR

Wydawnictwo Dolnośląskie

G.P. Taylor

Mariah Mundi

I SZKATUŁA MIDASA



Nadal opłakujecie zakończenie cyklu o Harrym Potterze? Niepotrzebnie! Już dziś G.P. Taylor zabierze Was do fascynującego świata magii i zapierającej dech w piersiach przygody.

„New York times”

Dla Suzy i całego wydawnictwa Faber

- bez Waszej pomocy moje marzenie nigdy by się nie spełniło

Mariah Mundi

Mariah Mundi stanął w długim, wąskim korytarzu pociągu i przez chwilę mrużył oczy od światła. Kłęby pary i hałas lokomotywy wprawiały czystą podłogę w drżenie. W wagonie było upiornie pusto, tak samo jak na peronie, gdzie przed chwilą cierpliwie wyczekiwał ostatniego pociągu na wybrzeże. Stara żelazna bestia wyłoniła się z ciemnej, burzliwej nocy i wtoczyła ciężko pod szklany dach dworca, zatrzymując się gwałtownie przy piątym peronie. Potężny parowóz, który ciągnął sześć obskurnych wagonów pokrytych brudem i zaciekami, przypominał lewiatana wypływającego z mrocznej głębin. Kierownik pociągu wyskoczył z wagonu pocztowego i zachrypłym głosem wykrzykiwał nazwy miejscowości. Wielki, kręcony wąż opadał mu pod brodę, fajka sterczała krzywo z oślizłej twarzy. Mariah patrzył, jak mężczyzna wyciera usmarowane ręce w zatłuszczonej czarnej kamizelce na wystającym brzuchu. Kiedy wdychał powietrze, zdawało się, że guziki trzeszczą z wysiłku i lada chwila pękną.

Mariah stał niezdecydowany w blasku korytarza. W pociągu było dużo jaśniej, niż przypuszczał. Wąska lampa gazowa oświetlała bure ściany i rolety, a rozgrzane powietrze rozchodziło się pod sufitem i ulatywało przez otwarte drzwi. Jeszcze raz spojrzął na słowa wymalowane na szybie: Pierwsza klasa. Zerknął na bilet, by sprawdzić numer nagryzmołony czarnym atramentem przez starego, tłustego konduktora na stacji Kings Cross. Wagon pierwszy, przedział trzeci, miejsce drugie. Pierwsza klasa. Ostrożnie policzył miejsca siedzące, spoglądając na srebrne tabliczki z numerami.

Jego miejsce zajmował wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w mundurze oficera, z grubą szramą na prawym policzku. Mariah usiadł naprzeciwko, trzymając bilet w pogotowiu, jak gdyby obawiał się, że w każdej chwili może mu grozić zesłanie na drewniane siedziska trzeciej klasy, niewiele się różniące od wagonu pocztowego.

Kiedy tego ranka wyruszał w podróż na północ, ścisnął w garści bilet otrzymany dzień wcześniej od Jecomiaha Biltona, dyrektora Szkoły Kolonialnej w Chiswick, która była jego domem przez ostatnich siedem lat. Rodzice Mariah wyjechali do Sudanu i nigdy stamtąd nie wrócili. Czesne syna opłacili z góry, więc mimo ich śmierci mieszkał w internacie do piętnastego roku życia. Później pozwolono mu zostać jeszcze pół roku, ale musiał sprzątać ze stołu w sali jadalnej i myć podłogi. Aż w końcu wyprawiono go z biletem trzeciej klasy, garniturem pierwszego sortu i świadectwem, pod którym profesor Bilton uprzejmie się podpisał. Poza tym Mariah miał w kieszeni list polecający oraz wyprasowany banknot pięćofuntowy. Dostał go od ojca, kiedy zegnał rodziców odpływających z portu w

Southampton.

Stojąc z biletem w ręce przy kasie biletowej na Euston Road, spostrzegł jegomościa w nowym jedwabnym cylindrze. Przechadzając się niespokojnie po świeżo wyłożonym bruku, mężczyzna wpatrywał się w kieszonkowy zegarek i co chwila rozglądał się po ulicy, śledząc wzrokiem każdy przejeżdżający powóz. Posłał Mariahowi krótkie spojrzenie, po czym odwrócił się w stronę dorożek, które właśnie zajechały przed dworzec, by zostawić swoich pasażerów na zimnym bruku w otoczeniu pospiesznie wyładowanych walizek. Pozorując spacer szeroką aleją w chłodny grudniowy poranek, przyglądał się z daleka nazwiskom na walizkach.

Mariah przypatrywał się nieznajomemu, zaintrygowany szybkimi ruchami jego głowy. W pewnej chwili mężczyzna uniósł długą, czarną laskę i szturchnął wyrzucony ze wiekowego landa grubo lakierowany kufer, który przez parę minut stał bez opieki, dopóki nie zjawiał się stary, naburmuszony tragarz i nie władował go na swój wózek. Obaj panowie zmierzyli się wzrokiem. Dworcowy zegar wybił siódmą. Niespokojny jegomość podniósł wzrok, po czym wyciągnął z kieszeni okulary i cienką karteczkę. Osadził okulary na czubku nosa i zaczął się przyglądać drobnym literom na jasnej bieli papieru.

Po chwili zatrzymał się przed nim wysoki, ciemny powóz i mężczyzna poczerwieniał z przestachu. Obrócił się na pięcie i ze spuszczoną głową ruszył w stronę Mariaha, jakby to właśnie jego przyszedł powitać.

- Drogi przyjacielu - odezwał się głosem człowieka dopiero niedawno przybyłego do tego kraju. - Chcę cię prosić o przysługę, za którą będę ci bardzo zobowiązany. Oto bon uprawniający do podróży pierwszą klasą do dowolnego miejsca. - Wręczył Mariahowi karteczkę z herbem Wielkiej Kolei Północno-Wschodniej. - To prezent ode mnie, ale proszę cię o jedno: nie mów nikomu, że się widzieliśmy, i... zaopiekuj się tym.

Nieznajomy podał Mariahowi talię kart Pandzandrum w pudełku z woskową pieczęcią. Po obu stronach widniała zezowata twarz dzokera, który unosił błazeńską laskę, jakby szykując się do rzucenia zaklęcia.

- Kiedy już dojedziesz na miejsce, przyślij mi kartkę do hotelu Claridges. Zaadresuj ją do mnie, czyli do Perfidnego Albiona, a ja zadbam, by zgłoszono się do ciebie po te karty. Nikomu o nich nie wspominaj.

Mariah tylko pokiwał głową. Nieznajomy natychmiast zniknął w tłumie i już się więcej nie pojawił. Z czarnego powozu wysiadło dwóch mężczyzn i także zmieszało się z przechodniami. Zdawało się, że chcą iść za tamtym, lecz nie wiedzą, w którą stronę się udał. Mariah poszedł do kasy i wymienił bon na bilet z miejscówką w pierwszej klasie. Siedział

potem jak król w toczącym się na północ pociągu, spoglądając przez okno na nieskończone pola. Nasiąkały chłodnym słonecznym blaskiem, a gdy zapadł zimowy, przedwieczorny zmierzch, Mariah patrzył na jasne gwiazdy zerkające z niebios.

Po dziewięciu godzinach przesiadł się do składu jadącego nad morze, a teraz usadowił w ciepłym przedziale, w którym miał dokończyć podróż. W jego kieszeni wciąż znajdował się szeleszczący banknot i złożone wpół świadectwo.

- Przepraszam pana - odezwał się cicho, wyciągając bilet w stronę człowieka naprzeciwko. - Chyba siedzi pan na moim miejscu.

- Twoim? Czy naprawdę uważasz, chłopcze, że to twoje miejsce? - odparł nieznajomy, unosząc zmarszczoną brew i spoglądając na Mariaha spod przymrużonych powiek. - Bo mnie się wydaje, że wszystkie te miejsca należą do właściciela kolei, a my jedynie wynajmujemy je chwilowo, dopóki nie osiągniemy celu naszej podróży.

- Ale na moim bilecie jest napisane...

- Na twoim bilecie jest napisane, że masz siedzieć cicho i nie zawracać głowy starszym i mądrzejszym od siebie - uciął tamten, po czym wyjął z kieszeni tanią gazetę ze strasznymi opowieściami. Rozłożył zmięte stronicie i ukrywając za nimi twarz, wymamrotał: - Jeszcze jedno, młody człowieku. Skoro wybrałem miejsce numer dwa, znaczy to, że widocznie nie mam ochoty wyglądać przez okno ani na korytarz. Nikt mi nie będzie przeszkadzał i mogę w spokoju odpocząć. Bądź więc tak miły i zachowaj swoje żale dla konduktora.

Mariah siedział w milczeniu, trzymając bilet na wierzchu w razie kontroli. Nieznajomy pogрузzył się w lekturze, z chichotem przewracając kolejne strony przygód Diabelskiego Jacka.

Wagonem szarpnęło, pociąg wyciągnął się i skurczył, ruszając po szynach. Mariah poleciał do przodu, lecz jego współpasażer ani drgnął i wciąż trzymał gazetę przed oczyma. Pociąg z jękiem odjechał z peronu i zaczął nabierać prędkości, lampa nieco przygasła, spod wagonu dobiegał świst pary.

Za oknem światła przytułków przemykały w ciemnościach niczym zjawy. Szybciej, szybciej, wołały szyny do kół, a te coraz głośniejszy i żwawiej niosły lewiatana w czarną noc.

Drzwi do przedziału nagle się otwały. Do środka zajrzał mężczyzna w długim, ciemnym płaszczu i czarnym krawacie zawiązanym na wyprasowanej, białej koszuli.

- Przedział numer trzy? - spytał krótko.

Mariah skinął głową. Wojskowy wzruszył ramionami i czytał dalej, nie zadając sobie trudu, by oderwać oczy od rysunków i kolumn czarnego tekstu.

- W ciemną i chłodną noc wypadło nam podróżować - zagaił nowy współpasażer i uśmiechnął się do Mariaha. - Daleko jedziesz, chłopcze? - zapytał, grzebiąc w torbie, którą trzymał kurczowo u boku.

- Do stacji końcowej - odparł Mariah. Bawiąc się biletem, spoglądał na małą skórzaną torbę u swoich stóp.

- Jeśli dobrze widzę, jesteś uczniem Szkoły Kolonialnej - zauważył tamten, kiwając głową, i usiadł obok żołnierza.

- Owszem. Zna pan tę szkołę? - ochoczo podchwycił Mariah.

- O, bardzo dobrze. Też kiedyś miałem taki garnitur. Wart pięć funtów, ale dostałem go za dobre sprawowanie i nie musiałem płacić ani pensa. - Ze śmiechem pochylił się do przodu i dotknął ręką kołnierza chłopięcego surduta. - Nigdy potem nie byłem tak dobrze ubrany. Wysłano mnie w świat, żebym zrobił użytek ze zdobytej wiedzy, a teraz... mam czterdzieści jeden lat i wiodę próżniackie życie. Jadę na zimowe wczasy nad morze. Lekarz przepisał mi codzienne kąpiele w Morzu Północnym, również w czasie deszczu. To ponoć dobre dla organizmu. Mówią, że tamtejsza woda jest wyjątkowo ciepła, nawet zimą. - Mężczyzna westchnął głęboko, jakby nabierał świeżego morskiego powietrza. Przez chwilę milczał, rozglądając się po przedziale, wreszcie rzekł cicho, jak gdyby obawiał się, że ktoś go usłyszy: - Czyżbyś wyruszył rano z Londynu? Pociągiem o siódmej dwadzieścia z Kings Cross?

- Właśnie tym. Nie sądziłem, że to tyle potrwa i że przejadę taki szmat drogi - odparł Mariah, a w głowie mignął mu Perfidny Albion. Chłopiec wsunął rękę do kieszeni surduta i wymacał talię kart, schowaną głęboko na wszelki wypadek.

- No proszę - powiedział nieznajomy. - Sam miałem jechać tym pociągiem, ale mój towarzysz na mnie nie poczekał. Zabrałem się następnym, pół godziny później. Samotna podróż bywa nużąca. - Po tych słowach zerknął w bok, usiłując dojrzeć twarz schowaną za gazetą. - Panowie podróżujecie razem? - spytał w nadziei, że uda mu się wciągnąć oficera do rozmowy.

- Osobno - rzekł tamten obojętnym tonem, jakby chciał uciąć dalsze pytania.

- Z daleka? - dociekał współpasażer, zaglądając za gazetę i rozcierając dłonie z zadowolonym uśmiechem.

- Z krańca świata, okrętem, dorożką, a teraz pociągiem - odpowiedział oficer, czytając słowa reklamy wiszącej nad głową Mariaha. - Wszystko to jednego dnia... A teraz pan wybaczy, ale moje oczy domagają się snu, gdyż najdalej za godzinę konduktor wygoni nas na zimny bruk. - To rzekłszy, ułożył się wygodnie, wyciągając nogi w poprzek przedziału.

- Bardzo mądrze, bardzo mądrze - skwitował tamten i gestem nakazał Mariahowi milczenie, sam zaś potakiwał sobie głową i coraz szybciej pocierał ręce w rytm kół stukających o zmarznięte szyny.

Przez następnych dziewięć mil jechali w ciszy. Mariah założył ręce na piersi i siedział sztywno na pluszowym siedzeniu, skrępowany ciekawskim wzrokiem nieznajomego, a żołnierz donośnie chrapał. Długa podróż na północ wprawiła chłopca w otępienie. Miał ochotę również uciąć sobie drzemkę, ale jakaś ukryta myśl czy obawa kazały mu mieć się na baczności.

Mężczyzna spojrzął znad wielkiej torby, którą trzymał mocno na kolanach, i wykrzywił cienkie, sine usta w niewinnym uśmiechu.

- Wiesz o mnie więcej, niż ja o tobie - zauważył, bawiąc się skórzanym paskiem od torby, wsuwając go między palce.

- Jedziesz nad morze do pracy czy leczyć się u wód?

Mariah zawahał się. Miał wrażenie, że jakaś mgielka wypełniła wagon i zasnuła mu oczy.

- Jadę do Hotelu Regent - odpowiedział powoli, modląc się w duchu, by na tym rozmowa się zakończyła.

- Ładne rzeczy! To się nazywa zbieg okoliczności. Ja także będę gościł w tym wspaniałym hotelu. Mam zarezerwowany apartament w wieży, zabawię tam aż do wiosny. Mówią, że widać stamtąd holenderski zamek i port, a przy dobrej pogodzie - nawet wiatraki! Na jakiej posadzie będziesz tam zarobkować? - Mówił szybko, nie dając Mariahowi czasu na odpowiedź. - Może jako mój kamerdyner? To dopiero byłaby heca - spotkać własnego służącego w wagonie pierwszej klasy! - Zamilkł i spojrzął na bilet w kurczowo zaciśniętej dłoni chłopca. - Masz chyba właściwy bilet, prawda? Nie przystoi, żeby ucznia Szkoły Kolonialnej wyrzucono z pociągu za jazdę na gapę. - W jego głosie dało się teraz słyszeć nutkę pogardy, a uprzejmy ton raptem zniknął bez śladu. Nieznajomy pochylił się i wyrwał Mariahowi bilet z ręki. - No - mruknął, wczytując się w niego z uwagą - na moje oko wszystko się zgadza. Bilet pierwszej klasy, garnitur pierwszego sortu - oj, wiele się zmieniło, odkąd ukończyłem Szkołę Kolonialną. - Rozparł się na siedzeniu i rzucił okiem na śpiącego oficera.

- Żołnierze! - wykrzyknął tamten przez sen, wzdrygając się jak śpiący pies i wierzgając, ilekroć nowy obraz zamajaczył mu w głowie. - Do szeregu! Do szeregu! - powrzaskiwał, aż w końcu gwałtownie przebudził się ze snu i natychmiast podniósł gazetę, która spadła na podłogę. Ziewnął przeciągle, pokręcił głową, potarł twarz dłońmi i oblizał

usta, jakby chciał się pozbyć jakiegoś paskudnego posmaku. - Odzwyczailem się od angielskiej pogody - zwrócił się do sąsiada, który odsunął się nieco i jeszcze mocniej ścisnął torbę. - Nie wyspałem się porządnie, odkąd wyjechałem z Sudanu. Nie potrafię spać na statku: w dzień upał, w nocy ziąb. Co innego w pociągu - ukołysze człowieka jak niemowlę.

- Z Sudanu? - podchwycił Mariah bez zastanowienia. - Moi rodzice byli w Sudanie.

- Rozumiem, że teraz już ich tam nie ma? - wtrącił człowiek z torbą, zanim oficer zdążył otworzyć usta.

- Zniknęli. Zaginęli. Nie żyją - wycedził Mariah w takiej samej kolejności, w jakiej dwa lata wcześniej te słowa złamały mu serce. Przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu zatrzymało się na skórzanej torbie na półce bagażowej nad głową żołnierza. Odcyfrował słowa czarno wytłoczone w brązowej skórze: Kapitan Jack Charity. - To się stało na misji. Mój ojciec był lekarzem, matka pielęgniarką. Najpierw przyszła wiadomość, że wzięto ich do niewoli - powiedział z nadzieją w głosie. - Ale później profesor Bilton dowiedział się, że...

Głos uwiązł mu w gardle jak suchy chleb w upalny dzień.

- Zostałeś sam na świecie, chłopcze? - spytał żołnierz, odtrącając sąsiada ostrym kuksańcem.

- Teraz już tak, bo skończyłem szkołę.

- A rodzina?

- Nie mam nikogo - odparł Mariah, spuszczać wzrok.

- Ciężki los, ale na morzu przytrafiają się jeszcze gorsze rzeczy - zapewnił go kapitan, po czym rozparł się na siedzeniu, otworzył gazetę i pogrążył się w świecie fantazji, co jakiś czas chichocząc nad przygodami Diabelskiego Jacka.

- Moja historia jest podobna - oznajmił drugi współpasażer. Wyjął z torby zmiętą papierową paczkę po brzegi wypełnioną pozlepianymi toffi i poczęstował chłopca. Mariah łapczywie wsadził kilka zbrylonych cukierków do ust. - Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że bez względu na to, jaki obrót przybierze twoje życie, jesteśmy prawie jak bracia, ponieważ skończyliśmy tę samą szkołę. Nazywam się Isambard Black, oto moja wizytówka. - Wyciągnął przed siebie pustą dłoń, po czym strzepnął nadgarstkiem, a między jego palcami ni stąd, ni zowąd pojawił się bilet w złotej obwódce. - Weź ją - powiedział z uśmiechem.

- Gdybyś kiedyś był w Londynie i szukał zajęcia, przyjdź do mnie. Nigdy nie wiadomo, może wybrzeże nie przypadnie ci do gustu i zechcesz się ukryć w londyńskim smogu? - Zaśmiał się pod nosem i znów strzepnął dłonią, tym razem wyczarowując starą kartę do gry.

Mariah zastygł w bezruchu z ustami pełnymi spienionego toffi.

- Mam znajomego w Hotelu Claridges, na pewno coś by się dla ciebie znalazło. Zresztą to właśnie z tym człowiekiem miałem dziś podróżować, ale się nie zjawił. - Mężczyzna wyciągnął kartę w stronę chłopca. - Dżoker, ponury błazen. Za tym uśmiechem kryje się tragedia i złośliwość. Lepiej mieć się na baczności.

Mariah zapomniał języka w gębie. W głowie rozbrzmiewały mu słowa Albiona nakazujące milczenie. Z trudem przełknął ślinę. Znaczony dżoker w jaskrawej szacie błyskał mu przed oczami, obracał się i skakał w dłoni mężczyzny, zakręcił się finezyjnie na czubku jego palca, po czym nagle zniknął - wręcz rozpląnął się w powietrzu.

- Nie ma go - rzucił mężczyzna, wyciągając pustą rękę w stronę Mariaha, a ten przywarł mocniej do siedzenia i zacisnął palce w kieszeni na talii, którą Albion powierzył mu na przechowanie. - A teraz uwaga! - Isambard Black sięgnął do kieszonki w surducie chłopca i wydobyl z niej tego samego dżokera, jakby przez cały czas tam był. - Aha! - wykrzyknął. - Zdaje się, że karta polubiła mojego nowego znajomego.

- Kuglarskie sztuczki - wymamrotał kapitan zsa szeleszczącej gazety. - Tylko czekać, jak zabrudzisz pan wagon króliczymi bobkami albo gołęmbim pierzem czy co tam jeszcze chowasz pod bielizną.

- O, ja się brzydzę takimi prostymi trikami. Jestem sztukmistrzem - oczywiście tylko w wolnych chwilach, niemniej iluzja to moja pasja. Przemierzam świat w poszukiwaniu najbardziej niesamowitych sztuczek i zajmuję nimi tych, których spotykam na swej drodze.

Mariah siedział z szeroko otwartymi oczyma, bawiąc się gęstymi, ciemnymi kędziorami, i patrzył, jak Isambard Black znów balansuje kartą na koniuszku palca - aż nagle z dłoni buchnął mu dym i dżoker ulotnił się bez śladu.

- Gdzie on teraz jest? - spytał chłopiec.

- Tego nie mogę wyjawić. Jestem związany przysięgą Bractwa Sztukmistrzowskiego. Za zdradzenie sekretu osobie niewtajemniczonej groziłaby mi śmierć.

- Takie sztuczki można kupić na każdej ulicy, chłopcze - wtrącił kapitan, nie podnosząc wzroku znad gazety.

- Jednej rzeczy kupić nie można - powiedział cicho Isambard Black, zwracając się tymi słowami do Mariaha. - Czarodziejskie pudełko, które zamienia w szczerę złoto wszystko, co się doń włoży. Czego chcieć więcej? Przy nim błędną wszelkie sztuczki zręcznych dłoni. Gdybym zdobył szkatułę Midasa, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

- Mógłby pan każdą rzecz przemienić w złoto? - spytał Mariah.

- Dowolną - potwierdził tamten i w tej samej chwili pociąg z gwizdem zanurzył się w czarnym tunelu.

Klątwa Regenta

Mariah wyjrzał spomiędzy ciężkich rolet szczelnie zasłaniających całe okno. W ciemnościach migotały światła tysiąca domów. Lokomotywa zwolniła na wysokim wiadukcie prowadzącym w głąb miasta na końcu linii. W dole dachy eleganckich domów wiły się wzdłuż torów w stronę morza. Miało się wrażenie, że w każdym oknie ktoś przygląda się pociągowi, który jechał coraz wolniej, buchając parą, aż wreszcie z piskiem hamulców zatrzymał się zdyszany na stacji.

Odkąd wiele mil wcześniej wyjechali z tunelu, ani kapitan Charity, ani Isambard Black nie odezwali się ani słowem. Mariah także siedział w milczeniu, starając się nie spoglądać na uśmiechniętego pana Blacka, podczas gdy kapitan znów uciął sobie drzemkę, tym razem bezgłośnie, zakrywając twarz gazetą, by osłonić oczy przed światłem z syczącej lampy gazowej pod sufitem.

Teraz wagonem mocno zatrzęsło, lokomotywa zatrzymała się z brzękiem na żelaznych buforach na samym końcu torów. Mariah poleciał do przodu i wylądował na kolanach kapitana, wyrwijąc go z głębokiego i ponurego snu.

- Nigdy! - wykrzyknął, chwytając chłopca za ramiona, podnosząc go i odrzucając w bok, wprost na pana Blacka. - Nie dam się wziąć żywcem!

- Przepraszam, to niechcący... - tłumaczył się Mariah, a Black wił się pod jego ciężarem, przygnieciony własną torbą, z butem chłopca na twarzy i głową wciśniętą w oparcie siedzenia.

Mężczyzna usiłował pozbyć się buta z twarzy, gdy wtem pociąg cofnął się na szynach i Mariah spadł na podłogę przedziału.

Black, zrywając się na nogi, upuścił torbę, której tak uważnie pilnował, po czym przewrócił się do tyłu i wylądował na kolanach oficera.

- Nie zamierzam być niczym konikiem - warknął Charity i odepchnął Blacka, zdzieliwszy go w plecy zaciśniętą pięścią.

- Następnym razem oberwę ci uszy i... każę je zjeść, jedno po drugim!

Black zatoczył się do przodu, potknął o Mariaha i wylądował twarzą na przeciwległym siedzeniu, rozsypując po całym przedziale zawartość swoich kieszeni.

- Pierwszy raz w życiu spotykam się z takim łotrostwem - oznajmił gorzko, próbując wydobyć się z niewygodnego położenia. - Jeżeli takie obyczaje panują na północy, wracam do stolicy pierwszym pociągiem. Sponiewierany, znieważony, zgnębiony i...

- Ostatnia stacja! - rozległ się głos na korytarzu. Kierownik pociągu pukał do

wszystkich przedziałów i przypominał podróżnym, że dojechali do końca linii. - Powozy i omnibusy czekają!

- Przynajmniej droga do Regenta upłynie mi w sposób cywilizowany - zachnął się Black, zbierając z podłogi srebrne monety i łańcuszek rozbitego zegarka. Mariah napotkał jego gniewne spojrzenie. - Posuń się, chłopcze. Jesteś mi zawadą. Lepiej byś pomógł. Rusz się i pobierzaj to, co mi wypadło. No, żwawo - poganiał go Black, a tymczasem kapitan Charity zdjął swoją skórzaną torbę z półki i przecisnąwszy się do wyjścia, otworzył drzwi.

- Czas już na ciebie - oznajmił, chwytając Blacka za kołnierz i wywłókł go z przedziału. - Ten chłopak dość już ci pomógł, a nie jest jeszcze twoim służącym. Pracę zaczyna dopiero jutro, więc wara ci od niego!

Black z monetami i zegarkiem w ręce wypadł na korytarz.

- Moja torba! - zaprotestował. Wówczas Charity schylił się, uwolnił Mariaha od ciężaru starej torby i rzucił ją w Isambarda Blacka, który odruchowo zasłonił twarz przed uderzeniem.

- Dopilnuję, żeby pana aresztowano, zakuto w kajdany i zesłano do Australii. Zgnij pan w celi! - pomstował Black, chwytając torbę i wycofując się jak tłusty szczur wędrujący kanałem ściekowym. - W życiu nie widziałem czegoś podobnego! - rzucił jeszcze na odchodnym, po czym wygramolił się z pociągu na chłodny, ciemny peron.

Mariah zastygł w bezruchu na podłodze. Kapitan spoglądał na niego z góry, wypełniając drzwi swoją mocarną sylwetą, która rzucała cień na twarz chłopca.

- Co z tobą pocniemy? - zagrzmiął. Jego ręka wyłoniła się z ciemności, chwyciła Mariaha za kołnierz i postawiła na nogi. - Nawet się sobie nie przedstawiliśmy jak należy. Jestem kapitan Jack Charity. Nie miałem siły rozmawiać, a ten imbecyl swoim wścibstwem doprowadziłby mnie do szału. A tobie jak na imię?

- Mundi... Mariah Mundi - odparł potulnie, odchrząkując i potrząsając kręconą czupryną, która niczym sierść nowofundlandczyka porastała każdy cal jego głowy.

- A zatem, Mariahu Mundi, dojechałeś do stacji końcowej i, o ile dobrze zapamiętałem, czekają na ciebie w Regencie.

- Charity roześmiał się i potarł bok spiczastego nosa. - To śliskie miejsce, lepiej na siebie uważaj. Chodzą słuchy o różnych diabelskich sprawkach. Ludzie mówią, że po ulicach grasuje szaleniec, który porywa dzieci. Nie chodź sam do miasta, zwłaszcza po zmroku. - Kapitan pogrzebał w kieszeni. - Odwiedź mnie, jak będziesz miał dzień wolny. Spójrz z Regenta w stronę portu, a przy nabrzeżu zobaczysz moją tawernę. - Uśmiechnął się z dumą i wręczył Mariahowi wizytówkę w złotej obwódce.

- Pod Złotym Śledziem. Najlepsza stawa na całym bożym świecie. Mój kucharz umie przyrządzić najpyszniejszą rybę. Sam się przekonasz, choć gotów jestem iść o zakład, że nie dasz rady zjeść jej całej. - Charity wyciągnął przed siebie ogromną dłoń, jakby chciał po żołniersku przypieczętować umowę.

Mariah, nauczony przez ojca, uściśnął ją stanowczo, by dodać sobie powagi w oczach kapitana.

- A zatem stoi - skwitował Charity, po czym wszedł w głąb przedziału, podciągnął rolety, otworzył okno i wrzasnął w stronę wagonu bagażowego: - Ostrożnie z moją walizą! Spróbujcie coś zepsuć, a i was trzeba będzie posklejać! - Spojrzał na Mariaha, który wdrapał się z powrotem na siedzenie. - Uprzejmość nie zawsze popłaca - wyjaśnił z krzywym uśmiechem. - Niektórych ludzi trzeba trzymać w ryzach. A teraz bierz swoje rzeczy i chodź. Wyprowadzę cię z dworca i wskażę ci drogę.

Mariah w milczeniu wpatrywał się w świecidelko zwisające z siedzenia w miejscu, w którym upadł Isambard Black. Schylił się, zwinnym ruchem zdjął wisiołek z naderwanej tkaniny i podniósł do światła. Na cienkim łańcuszku kołysała się złota czaszka wielkości pszczoły. Dwoje połyskliwych szmaragdowych oczu przyglądało mu się w blasku lampy. W otwartej szczęce, zawieszanej na miniaturowych zawiasach, widniał rząd misternych zębów zakończonych diamentami, które lśniły jak krople porannej rosy.

Mariah pokazał czaszkę kapitanowi.

- To nie moje - odrzekł tamten. - Pewnie tego świszczypały. Mogło mu wypaść z kieszeni, kiedy się przewrócił - dodał ze śmiechem. - Oddaj mu, jak go spotkasz w Regencie. Mogę ci chyba zawierzyć tę sprawę, skoro jesteśmy umówieni na obiad.

- Co to takiego? - spytał Mariah, obracając wisiołek w palcach, tak że wysadzone klejnotami oczy mieniły się w blasku lampy.

- Pierwszy raz widzę coś podobnego. Kiedyś widziałem kolczyk w kształcie czaszki, ale to była spreparowana głowa pigmeja, nie mówiąc już o tym, że nie miała klejnotów zamiast oczu. Najlepiej zrobisz, jak dobrze to schowasz. Jeżeli Black to zgubił, jutro z rana będzie się pieklił.

Charity odwrócił się i opuściwszy przedział, poszedł korytarzem z torbą na ramieniu jak pastuch z jagnięciem. Mariah z wysiłkiem chwycił własną torbę i ruszył chwiejnie w jego ślady w stronę wyjścia na peron, balansując swoim dobytkiem, który niósł na głowie.

Zimne nocne powietrze przeszło go na wskroś i zaparło mu dech w piersi. Morski zapach wdzierał się do gardła, jakby chłopiec zaplątał się w gąszcz wodorostów. Kamienne płyty peronu lśniły zmarzłym piaskiem chrzęszczącym pod stopami. Charity maszerował

przed siebie osłonięty od wichru przez szklany dach, który trzeszczał wysoko ponad ich głowami. Nocne podmuchy ze świstem wzbijały kłęby piachu. Z boku ciągnął się długi rząd kramów rozświetlonych gazowymi lampami, a sprzedawcy mimo późnej pory uwijali się żwawo, pakując najrozmaitsze przedmioty w brązowy papier przewiązany sznurkiem.

Przy żelaznej furtce stał wysoki, chudy kontroler biletów z eleganckimi okularami na czubku haczykowatego nosa, które trzymały się jego głowy za sprawą grubej opaski. Z ręką wyciągniętą po bilety przypominał udaną figurę woskową lub sklepowego manekina ubranego w spodnie w prążki oraz cienki, wytarty na łokciach płaszcz.

Charity obsztorcował bagażowego, który włókł jego kufer po peronie tak, jak mu na to pozwalały przykrótkie nogi, z trudem nadążając za dziarskim krokiem żołnierza.

- Dalejże - utyskiwał Charity. - Nie było mnie tu siedem lat i jestem ciekaw, jak wiele się pozmieniało. Moje oczy pragną widoku miasta, a twoje kulawe członki wszystko wydłużają w czasie. - Bagażowy, mocno zasapany i czerwony na twarzy, starał się iść szybciej, ale z marnym rezultatem. W każdym razie minęli już sklepy i zbliżali się do furty.

- Bilety poproszę - powiedział kontroler przez nos, w ogóle nie ruszając ustami.

Charity go zlekceważył i dał znak Mariahowi, żeby się nie zatrzymywał.

- Nie mam czasu na gadkę szmatkę, Postill - rzucił w stronę kontrolera. - Minęło siedem lat, a on jak tu stał, tak dalej stoi. Wtedy nie miałem biletu i teraz też go nie mam. Jestem sługą królowej, a jeśli ona nie musi mieć biletu, to i ja go nie potrzebuję.

Postill odburknął coś, marszcząc nos przy każdej sylabie, Charity zaś pomaszerował w ciemną noc. Wysoko w górze na dworcowym zegarze wybiła północ. Charity spojrzął w stronę miasta, w którym tak długo nie był. Wysokie płoty grodziły dworzec niczym więzienne kraty uniemożliwiające ucieczkę do odległych krajów. Nieco dalej, tam gdzie urywał się szereg domów, zaczynały się pola, które opadały łagodnie ku parkowi rozrywki Northstead i wychodzącemu na morze głębokiemu wądołowi. Niewiele się zmieniło. Z wysokich okien pensjonatu w rogu białego, przystrojonego placu, lśniącego w księżycowym blasku, złuszczyła się farba. Na postoju dorożek roило się od eleganckich czarnych powozów i sennych woźniców, a konie, nie mogąc się już doczekać powrotu do stajni, zanurzały pyski w workach z obrokiem.

- O, tam - zawołał Charity, wskazując na powóz ze srebrnym wykończeniem i nazwą Hotelu Regent na drzwiach. - Hej, woźnico! - krzyknął głosem pijanego marynarza do mężczyzny, który siedział na koźle opatulony w pled. - Mam tu gościa Hotelu Regent. Szykuj się do drogi.

Charity wypchnął Mariaha na plac. Woźnica spojrzął z kozła, nie kwapiąc się do

pomocy. Chłopiec potruchtał po żwirze w jasnym świetle księżyca, podobny do zmartwionej owieczki, smagany po plecach wichrem znad morza.

- To chłopak ze Szkoły Kolonialnej, przyjechał do pracy. Dobrze go potraktuj albo będziesz miał ze mną do czynienia

- pogroził Charity, umieszczając swój kufer z tyłu powozu, po czym dał woźnicy pensa i poklepał go ciężką dłonią po plecach, aż nieborak spadł z siedziska.

Mariah trzymał się kurczowo własnej torby i zerknął na woźnicę, który rzucił mu krzywe spojrzenie chłodnych szarych oczu. Gęste brwi niby kolczasty żywopłot przecinały jego czoło pod naciągniętą na uszy wełnianą czapą.

- Siadaj z tyłu, chłopcze. Spóźniłeś się. Gość hotelu już siedzi w środku. Nie najlepiej zacząłeś - wymamrotał woźnica, po czym śmignął biczem nad głowami koni, potrząsnął jego końcem jak natrętnym gzem i szarpnięciem cugli ruszył zwierzęta z miejsca.

Mariah wskoczył na tył powozu i chwycił się mosiężnego drążka. Pojazd wyjechał na brukowaną ulicę i ostro skręcił w prawo.

- Jak daleko do hotelu? - dobiegł ze środka zniecierpliwiony głos Isambarda Blacka.

- Kilka ulic, a potem nad klif - odpowiedział znudzony woźnica. Powóz włókł się pustymi ulicami obok pozamykanych oberży i kawiarni. Minęli kościół z piaskowca poznaczonego rowkami, które wyźłobił deszcz, a następnie skręcili w kierunku nadmorskiej skarpy. Morze ryczało coraz głośniejsze, znad plaży dolatywała słona mgielka wyrzucana w powietrze przez gwałtowne fale.

- W taką noc wolałoby się zostać w domu - zawołał woźnica. Konie brnęły pod wiatr, rycząc jak osły. - Schowaj się pod płachtę, chłopcze. Jeszcze jeden zakręt i wjedziemy w wichurę.

Dla Mariaha było już za późno. Gwałtowne podmuchy były w powóz, smagały twarz chłopca wodą i błotem, zalepiały mu oczy i nozdrza gruboziarnistym piachem wyrwanym z głębin Morza Północnego. Deszcz chłostał pojazd i jak wrzący ołów rozpryskiwał się między końskimi kopytami.

- Prędszej, człowieku, bo utonę! - wołał Black, udręczony zacinającym deszczem, który przedzierał się do wnętrza powozu.

- Gnamile sił w koniach - mruknął pod nosem woźnica i trzaśnięciem bicza pogonił zwierzęta w środek burzy. - Ej tam, chłopcze. Jak sobie radzisz?

Mariah trzymał się mocno skórzanych pasów powozu i jechał skulony, starając się utrzymać równowagę. Nakrył głowę impregnowaną płachtą i podwinął nogi pod siebie, a kiedy pojazd skręcał, rzucało nim na lewo i prawo.

- W porządku - odkrzyknął i na brukowanym zakręcie znów poleciał w bok.

- Regent już blisko. Czuć morze. - Głos woźnicy ginął w hałasie wichury wyjącej w ciemnych zaułkach między domami.

- O, tam jest.

Krople zimnej morskiej wody spływały Mariahowi po plecach jak słone łzy. Wyrzął spod płachty i wydał stłumiony okrzyk: miał przed sobą najwspanialszą, najbardziej okazałą budowlę, jaką w życiu widział. Zdawało się, że deszcz zelżał, ale to ogromna bryła hotelu osłaniała ich przed ulewą - teraz ponad ich głowami zaciniała tylko drobna mżawka wirująca malowniczo w świetle gazowych latarni.

Powóz stanął, konie pośliznęły się na kamiennych płytach, którymi wyłożono szeroki podwórzec przed głównym wejściem do hotelu. Mariah, ściskając torbę, zeskoczył na ziemię i postawił kołnierz dla ochrony przed wiatrem i nocnym chłodem. Jego wzrok powędrował w górę, coraz wyżej, aż pod sam szczyt nieba, wypatrując konturów strzelistych wież, które wyrastały z czterech narożników gmazyska.

Daleko w ciemnościach niby brama do jakiegoś czarodziejskiego królestwa jaśniał złoty, rzęsiście oświetlony szyld. Litery nad wielkimi wrotami miały metr wysokości i świeciły mocniej niż wszystko, co Mariah widział do tej pory, tak że ledwie zdołał odczytać w oślepiającym blasku słowa: Hotel Regent.

Gdy tak stał pośród mżawki, z powozu wysiadł Isambard Black, wydobyl z kieszeni filcowy kapelusz i wcisnął go na głowę, nasuwając opadające rondo na oczy. Spojrzał na chłopca i uśmiechnął się szeroko w fosforyzującym blasku hotelowych świateł, ukazując poźółkłe zęby palacza.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział wolno, po czym skierował się do bramy. - To wejście dla gości - rzucił na odchodnym

- ale na pewno znajdziesz jakieś inne. W razie czego zawsze możesz się schować w altanie.

Black zniknął za wielką marmurową kolumną, która sterczała w górę niczym pień olbrzymiego drzewa. Mariah podniósł wzrok: każda z kolumn pod łukowatym sklepieniem była zwieńczona gąszczem rzeźbionych w marmurze gałęzi palmowych, ociekających złotymi liśćmi oraz granatami. Z góry przyglądała mu się małpa o błękitnej twarzy. Uczepiona kolumny, groźnie szczyrzyła zęby.

- Pokoje dla służby są tam - podpowiedział woźnica i zatraskując drzwi powozu, wskazał szczyt jednej z wież.

Mariah podążył wzrokiem, próbując dojrzeć czubek sięgający czarnego, deszczowego

nieba.

- Jeszcze nigdy... - zaczął i zamilkł z wrażenia.

- Wszyscy tak mówią, jak ich tu wysadzam. To największa góra cegieł, jak świat długi i szeroki - oznajmił woźnica, delikatnie przytrzymując chłopca za ramię. - A widok - jak z nieba! Dwanaście pięter, trzysta sześćdziesiąt pięć pokoiów, cztery wieże. W Boże Narodzenie stuknie mu roczek. - W jego głosie słyhać było podziw. - A poczekaj, aż go zobaczysz z drugiej strony. Człowiek od razu pokornieje, jak widzi coś takiego.

- A czy widać stamtąd holenderskie wiatraki? - spytał Mariah, nic sobie nie robiąc z mżawki, która osiadała mu na twarzy.

- Niektórzy twierdzą, że widać, ja tam się nie odważyłem wejść aż tak wysoko. Ale koniecznie zobacz sztorm, kiedy przychodzi na ląd. Tysiąc białych rumaków goni okręty uciekające do portu, a potem w mgnieniu oka morze robi się spokojne jak młyński staw. Nie daj się zwieść pozorom, chłopcze. Nie wszystko złoto, co się świeci. Miej oczy wokół głowy i uważaj na pana Lugera. Ostatnio co chwila ktoś tu ginie bez wieści - ludzie mówią, że to miejsce jest przeklęte.

Mariah odwrócił się, lecz woźnicy już nie było. zniknął bez śladu. Konie stały nieruchomo mimo deszczu, wiatr poruszał drzwiczkami pustego powozu. W bocznym murze hotelu, pod wysoką wieżą, nagle otworzyły się drzwi, uderzając z hukiem o czerwone cegły.

- Hej, ty! - rozległ się dziewczęcy głos, wyraźny mimo wiatru i deszczu. - Nie stercz tam, bo zamarzniesz! Wejdz do środka.

Mariah obrócił się, a wtedy powóz odjechał z trzaskiem bicia i stukotem kopyt na mokrych kamieniach. Wystraszony chłopiec odskoczył na chodnik. Dziewczyna roześmiała się, promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz i zawołała głosem, który odbijał się od szeregu dużych domów stojących przy placu nad urwiskiem:

- No chodź! Wiem, kim jesteś. Praca czeka!

Winda parowa

Kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, zorientował się, że jest sam. Tajemnicza dziewczyna zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Mariah stał teraz, ociekając wodą, w długim korytarzu wyłożonym najciemniejszymi, najbardziej zielonymi kafelkami, jakie można sobie wyobrazić. Mroczny tunel zdawał się ciągnąć bez końca. Przy drzwiach niczym wartownik stała lampa gazowa. Mariah przez kilka chwil nasłuchiwał nieruchomo w nadziei, że nic nie usłyszy i że naprawdę nikogo tam nie ma. Strząsnął krople deszczu z surduta, złożył go w pół i wyciągnął mokrą koszulę ze spodni. „Profesor Bilton nie byłby zachwycony”

- pomyślał, ruszając powoli w gęstniejący mrok tunelu.

- Londyńczyku! - Tym razem głos dobiegł zza jego pleców, przetaczając się wąskim korytarzem jak fala wylewająca na brzeg w czasie sztormu. - Londyńczyku! - rozległo się znowu, tym razem ostrzej, z nutą złości. - Gdzie ty leżysz?

Odwróciwszy się, Mariah zobaczył, że dziewczyna stoi przy drzwiach. Na prawo od niej dostrzegł kontur przejścia, którego wcześniej nie zauważył.

- Tędy - rzuciła wzgardliwie. - Tak to już bywa z wami, chłopakami, jak jesteście do czegoś potrzebni. - Po chwili głos jej się zmienił, stał się cichszy i łagodniejszy. Miała bujne, ciemne włosy związane w ciasny supeł z tyłu głowy. - Przysłali mnie po ciebie. Będziemy razem pracować. - Zamilkła i zmierzyła Mariaha wzrokiem od stóp do głów. - To twoja pierwsza posada po szkole?

W pierwszej chwili Mariah nie mógł z siebie wydobyć odpowiedzi. Czuł się jak na wystawie, dziewczyna bacznie mu się przypatrywała. Jej oczy nie pominęły żadnej fałdy na białej koszuli, a potem skupiły się na niebieskim szkolnym krawacie ciasno zawiązanym wokół szyi. Uniosła długą, ciemną brew, najwyraźniej na znak pogardy, a w kąciku jej ust zaigrał kpiarski uśmiezek.

- Płacą ci za noszenie tego stroju? - spytała z silnym irlandzkim akcentem. - Chyba ukradłeś portki jakiemuś staruchowi.

- To garnitur pierwszego sortu. Dostałem go na własność w Szkole Kolonialnej - odparł cicho Mariah, spoglądając na zielone kafelki u swych stóp, ponieważ nie miał odwagi popatrzeć jej w oczy.

- Nieważne, tutaj będziesz mógł sobie coś wybrać. W garderobach jest pełno ubrań. Dzisiaj książkę, jutro nędzarz. Spójrz na mnie: dziś byłem pokojówką. - Wygładziła zmarszczki na białym fartuchu, który zakrywał czarną sukienkę z mankietami imarszczonym kołnierzem. - Zaczniemy jutro rano, a wieczorem będziesz gotowy. Lepiej się pospieszmy, winda parowa nie lubi czekać...

Dziewczyna obróciła się i zniknęła w wąskim przejściu, którego Mariah inaczej w ogóle by nie dojrzał. Natychmiast ruszył za nią, przesuwając się bokiem pomiędzy dwiema ciasnymi ścianami zielonych kafelków, aż dotarł do dużego pomieszczenia. Dziewczyna czekała przy wysokich metalowych drzwiach spojonych mosiężnymi nitami. Dalej znajdował się głęboki szyb. Z góry dobiegał śmiech i dźwięki odległej muzyki.

Wtem świsnęła para i zaterkotało wielkie koło zamachowe. Drzwi zaczęły brzęczeć, hałas wzmagął się coraz bardziej, aż podłoga drżała.

- Nie bój się. Jest głośno, bo stoimy obok silnika. Na górze prawie nic nie słychać.

W szybie rozbłysło światło. Kłęby pary buchnęły z ciemności, wypełniając pomieszczenie niczym londyński smog.

- Jeszcze tylko minuta - zapewniła dziewczyna, przekrzykując generator pary, który z każdą chwilą brzęczał i furczał coraz głośniejsze. - To wynalazek pana Lugera, właściciela hotelu. Sam wszystko tutaj zaprojektował.

- Nigdy nie widziałem windy - wyznał niespokojnie Mariah, patrząc, jak obłoki pary kłębią mu się wokół stóp niczym fala przyływu.

- Ja też wielu rzeczy nie widziałam, zanim zaczęłam tu pracować. Ale teraz wszystko mi spowszedniało! - Winda z łoskotem podniosła się z dna szybu, ciągnięta przez stalowy zwój o grubości ludzkiej ręki, który zniknął gdzieś wysoko w ciemnościach, napędzany pracą stalowego tłoka.

- Czy... czy to bezpieczne? - spytał Mariah, kiedy zrobiło się jeszcze głośniejsze, a podłoga jeszcze mocniej się zatrzęsała.

- Bezpieczne to za dużo powiedziane. Ale za to jakie szybkie!

- Dziewczyna zajrzała do szybu. Winda była już blisko, mocne światło rozjaśniało zatłuszczone ściany. - Najpierw praca czy pokój?

- Może pokój? - nieśmiało zaproponował Mariah, a winda wyhamowała ze zgrzytem. Dziewczyna nacisnęła mosiężną klamkę i otworzyła rozsuwane drzwi. Potem weszła do windy i przyzwała Mariaha ruchem dłoni.

- Trzynaste piętro - oznajmiła głośno i wcisnęła guzik. - Tam jest twój pokój. Nic szczególnego, ale zawsze to własny kąt.

- Co będę robił? - zapytał Mariah, po tym jak zasunęła drzwi i jeszcze raz wcisnęła guzik.

- Będziesz pracował w teatrze jako chłopiec na posyłki... Przynajmniej dopóki wszystkiego się nie nauczysz. Potem będziesz mógł występować na scenie, jak ja. To najlepsza praca w całym hotelu. Masz szczęście, że przyjechałeś właśnie teraz. Przedtem na twoim miejscu pracował Feliks, ale... zniknął. - Chwyciła się przezornie mosiężnej poręczy przytwierdzonej do ściany windy, jakby wiedziała o czymś, o czym Mariah nie miał pojęcia.

- Szczęściarz z niego - wymamrotał chłopiec. Kabina wystrzeliła do góry i popędziła tak szybko, że nie nadązał z liczeniem pięter. Poczł, że zatykają mu się uszy. - Co będzie, jak się zatrzyma?

Ułamek sekundy później zabrzmiał dzwonek i winda wpadła na trzynaste piętro, hamując tak gwałtownie, jakby uderzyła z impetem o skałę. Mariah oderwał się od ziemi, grzmotnął głową w drewniany sufit i wylądował na podłodze, gubiąc w powietrzu torbę.

Dziewczyna stała zaparta o ścianę, z jedną stopą wetkniętą w specjalny uchwyt. Mariah spojrzał na jej wypolerowane, czarne buty ze srebrnymi klamrami wyzierające niby dwie myszy spod czarnej jak noc sukienki.

- Powinnaś była cię ostrzec - odezwała się, przekręcając klucz w ścianie, który najwyraźniej wyłączał parę buchającą z sufitu. - Ale bardzo chciałam zobaczyć twoją minę...
Bezcenny widok!

- Cieszę się, że miałaś ubaw - odparł Mariah, wstając z podłogi. Podniósł torbę i surdut, a potem strzepnął piasek z wilgotnej koszuli. - A więc tak działa winda parowa.

- Najszybsza w Europie. Tak powiedział pan Luger, a on chyba wie, co mówi, skoro sam je wszystkie skonstruował.

- Otworzyła metalowe drzwi i wyszła na niewielki korytarz z trzema parami wąskich drewnianych drzwi, które otaczały windę półkolem.

- Tu są pokoje? - spytał Mariah.

Dziewczyna wskazała drzwi.

- Ten jest mój, ten twój, a tam jest klatka schodowa. W tym mieszkał Feliks, ale nie wolno mi tam wchodzić. Pan Luger mi zabronił.

Mariah przyjrzał się pierwszym drzwiom. Widniała na nich malutka karteczka z jeszcze mniejszym, odręcznym, czarnym pismem.

- Sacza - przeczytał na głos. - Tak masz na imię?

- To zdrobnienie. Jesteś Anglikiem, nie dałbyś rady wymówić mojego prawdziwego imienia, więc po prostu mów mi Sacza. A czy ty masz jakieś imię? - zapytała jednym tchem.

- Mariah... - zaczął, ale nie skończył, bo natychmiast mu przerwała.

- Mniejsza o nazwisko. Nie muszę wiedzieć, a poza tym gdybyś mi powiedział, znalazłbym cię zbyt dobrze. Skąd mam wiedzieć, czy jeszcze cię kiedyś zobaczę? Może dasz nogę jak Feliks. Był tu przez trzy tygodnie, a potem ulotnił się bez słowa. Dlatego Mariah na razie mi wystarczy. Zresztą stary Basmala powie ci pewnie to samo. Zastępujesz Feliksa, więc będziesz jego pomocnikiem. - Sacza wyrzucała z siebie potoki słów niczym aktorka odgrywająca wyuczoną rolę. - W drzwiach nie ma zamka, więc dobrze schowaj swoje rzeczy. Sami sprzątam pokoje, a w pierwszą niedzielę miesiąca dostajemy świeżą pościel. Posiłki jemy w pracy. Jutro rano masz się zgłosić do pana Lugera.

- Co będę robił dla Basmali? - spytał Mariah, popychając drzwi i wchodząc do zaciemnionego pokoju.

- Będziesz uczniem iluzjonisty - wyjaśniła podnieconym głosem. - Będziesz czyścił jego rekwizyty, szczotkował mu buty i pozwalał się przekrawać na pół w niedzielne

popołudnia. Lepsze to niż szorowanie podłóg i zmywanie naczyń, no, ale w końcu przyjechałeś z Londynu w garniturze pierwszego sortu.

- Sacza zaśmiała się, po czym wyjęła z kieszeni zapalną i zapaliła lampkę gazową nad kominkiem. - Nie zmarzniesz tutaj

- dodała, widząc, że Mariah spogląda na puste palenisko. - Nie w tej wieży. Mamy centralne ogrzewanie, najlepsze w Europie...

- Tak mówi pan Luger - dokończył za nią Mariah.

- Ale to prawda - zaprotestowała. - Bułgocze jak wielka smoczyca. Lato czy zima, ciepło tu jak w piekle. Wszystko napędzane parą. Dosłownie wszystko. Kuchnia, pralnia, nawet fisharmonia w teatrze. Najlepsza rzecz pod słońcem. Ale dziękuj Bogu, że to nie ty dokładasz do kotła - dodała ze śmiechem.

Mariah rozejrzał się po pokoju. Unosił się w nim wilgotny zapach starego kościoła, w którym był kiedyś z matką na pogrzebie stryjecznej babki - siedział wtedy w ścisłości na ławce przy starej kamiennej chrzcielnicy, a daleko z przodu mężczyzna ubrany jak dama z pantomimy pokrapiał hebanowy sarkofag. Był to zapach zatechłych, nieotwieranych ksiąg i spoconych starszych pań rozsiewających wokół siebie silną woń spalonych grzanek. Ale dzięki temu pokój nie wydawał się zupełnie obcy.

Niewielkie łóżko zaścielono dwoma czystymi, choć sfatygowanymi kocami. Leżały na nich dwie poduszki z kaczym pierzem, który wydobywał się na zewnątrz przy najmniejszym poruszeniu. Obok łóżka stała szafka, ani trochę nie pasowała do sąsiadującego z nią kominka. Na starym mosiężnym świeczniku sterczała prosto cienka świeca z wosku, obok niej zaś leżały dwie zapalniczki oraz draska.

Za oknem słychać było skowyt wichury, która hulała wokół wysokiej wieży. Z góry dobiegał trzepot flagi zawieszanej na dachu. Przedstawiała herb jakiejś odległej krainy, przede wszystkim jednak ostrzegała z daleka przed silnym wiatrem. Szare dachówki jęczały pod naporem morskiej wichury, która uderzała w hotel jak w odwieczny klif. Szyby brzęczały we framugach, wprawiając w ruch wstęgi i sznurki wiszące za zieloną kotarą z adamaszku, podobne do palców truposza.

- Wyjrzyj - zachęciła go Sacza, widząc, że Mariah wpatruje się w szparę między zasłonami. - W taką noc jak dziś wiele nie zobaczysz, tylko ciemność i parę światełek w porcie. - Po chwili namysłu dodała: - Ale na pewno widać latarnię. Nie daje mi spać po nocach. Na okrągło wysyła sygnały w morze. Bez przerwy. - Mimo wszystko Sacza mówiła o tym z nutą wdzięczności, jak gdyby ten stały element pejzażu dodawał jej otuchy.

- A widać stąd wiatraki? - Mariah usiadł na łóżku.

- Nigdy. Mówiono mi o nich, kiedy zaczynałam tu pracować. Wyteżałam wzrok, ale widziałam tylko morze... i zamek.

Mariah rozejrzył się po pokoju. Unosił się w nim wilgotny zapach starego kościoła, w którym był kiedyś z matką na pogrzebie stryjecznej babki - siedział wtedy w ścisku na ławce przy starej kamiennej chrzcielnicy, a daleko z przodu mężczyzna ubrany jak dama z pantomimy pokrapiał hebanowy sarkofag. Był to zapach zatechłych, nieotwieranych ksiąg i spoconych starszych pań rozsiewających wokół siebie silną woń spalonych grzanek. Ale dzięki temu pokój nie wydawał się zupełnie obcy.

Niewielkie łóżko zaścielono dwoma czystymi, choć sfatygowanymi kocami. Leżały na nich dwie poduszki z kaczym pierzem, który wydobywał się na zewnątrz przy najmniejszym poruszeniu. Obok łóżka stała szafka, ani trochę nie pasowała do sąsiadującego z nią kominka. Na starym mosiężnym świeczniku sterczała prosto cienka świeca z wosku, obok niej zaś leżały dwie zapalki oraz draska.

Za oknem słyhać było skowyt wichury, która hulała wokół wysokiej wieży. Z góry dobiegał trzepot flagi zawieszanej na dachu. Przedstawiała herb jakiejś odległej krainy, przede wszystkim jednak ostrzegała z daleka przed silnym wiatrem. Szare dachówki jęczały pod naporem morskiej wichury, która uderzała w hotel jak w odwieczny klif. Szyby brzęczały we framugach, wprawiając w ruch wstęgi i sznurki wiszące za zieloną kotarą z adamaszku, podobne do palców truposza.

- Wyjrzyj - zachęciła go Sacza, widząc, że Mariah wpatruje się w szparę między zasłonami. - W taką noc jak dziś wiele nie zobaczysz, tylko ciemność i parę światełek w porcie. - Po chwili namysłu dodała: - Ale na pewno widać latarnię. Nie daje mi spać po nocach. Na okrągło wysyła sygnały w morze. Bez przerwy. - Mimo wszystko Sacza mówiła o tym z nutą wdzięczności, jak gdyby ten stały element pejzażu dodawał jej otuchy.

- A widać stąd wiatraki? - Mariah usiadł na łóżku.

- Nigdy. Mówiono mi o nich, kiedy zaczynałam tu pracować. Wyteżałam wzrok, ale widziałam tylko morze... i zamek.

- Sacza po cichu zamknęła drzwi do pokoju, jakby wolała rozmawiać na osobności. Przez chwilę na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał.

Sacza, zapatrzona w płomień, przyciemniła lampkę.

- To twoje - powiedziała, jakby w ogóle nie słyszała pytania. Zdjęła komplet ubrań z wieszaka na drzwiach. - Mam nadzieję, że będą pasowały. W teatrze ubieramy się na czarno, żeby nie było nas widać podczas zmiany dekoracji. Basmala da ci jakieś ciuchy, jak już cię

przetnie w pół. Nosisz ten sam rozmiar co Feliks, a jego ubranie jest w dobrym stanie... nigdy się nie pokrwiło - rzekła ze śmiechem.

- A więc w każdą niedzielę po południu będą mnie kroić? - zapytał Mariah, nalewając sobie szklankę wody z dzbanka stojącego przy łóżku.

- Co niedzielę o trzeciej. Basmala przetnie cię w pół na oczach publiczności. Wcześniej przebije cię pięcioma długimi nożami, a potem założy ci na głowę żelazną maskę. To wszystko można obejrzeć z balkonu za srebrnego szylinga i sześć pensów.

- Co niedzielę? - powtórzył Mariah ze zdziwieniem.

- Dlaczego właśnie w niedzielę po południu?

- Bo Monika ma wtedy wolne - odparła Sacza zniecierpliwionym tonem, tak jakby Mariah powinien był sam się domyślić. - Podobno spędza niedzielę z panem Lugerem.

- A więc w niedzielę przekrawa się tylko chłopców. Czy to dlatego Feliks uciekł?

Sacza nic nie odpowiedziała. Położyła czarny surdut na łóżku i z rozmarzeniem pogłaskała rękaw.

- Tak naprawdę nie wiadomo, co się z nim stało. W dzień przed tym, zanim zniknął, słyszałam, jak sprzeczał się z Basmalą. Krzyczał, że powie o wszystkim panu Lugerowi. Basmala powiedział, że cokolwiek się zdarzy, Feliks zapłaci za swoje kłamstwa. A potem Feliks przepadł. Następnego ranka przyszedłam do niego do pokoju. Łóżko było pościelone, tamtej nocy nikt w nim nie spał. Na drzwiach wisiało ubranie, wszystko było w porządku. Ludzie w miasteczku... mówią, że ostatnio często dochodzi do zniknięć chłopców i że to sprawka Krakena. Porywa ich, kiedy spacerują w pojedynkę. - Sacza urwała i odwróciła wzrok.

- Opowiedz mi do końca - powiedział Mariah, szturchając ją palcem w ramię.

Sacza najpierw spojrzała w okno, potem w stronę drzwi, jakby chciała uciec. Zaciśnęła dłoń na drążku łóżka.

- Skąd mam wiedzieć, czy nie przysłano cię tutaj, żebyś mnie porwał?

- Nigdy wcześniej cię nie widziałem, nie słyszałem nawet o tym hotelu, dopóki profesor Bilton nie powiedział mi, że chcą mnie tutaj wysłać. - Mariah pogrzebał w kieszeni. - O, zobacz, tu możesz przeczytać, kim jestem i skąd się tu wziąłem. Nie przyjechałem cię porwać - oświadczył, wręczając jej złożoną welinową kartkę z pojedynczą czerwoną wstążką.

Wzięła ją do ręki, ale nie otworzyła, tylko spojrzała mu w oczy.

- Obiecuj mi jedno, Mariah. Do jutra zapomnisz o wszystkim, co dzisiaj ode mnie usłyszysz.

Mariah pokiwał głową, potajemnie krzyżując palce.

- Obiecuję.

- Zanim Feliks zniknął, wyznał mi, że coś odkrył. Jakiś sekret, ale nie chciał powiedzieć, co to dokładnie jest ani jak wpadł na trop. Pytałam go w kółko, ale im więcej zadawałam pytań, tym bardziej był tajemniczy. Ostatnią rzeczą, jakiej się od niego dowiedziałam, było to, że to coś znajduje się gdzieś w hotelu, w miejscu, w którym codziennie przebywają ludzie, ale do głowy by im nie przyszło, żeby tam zajrzeć - powiedziała szybko i nabrała powietrza. - Tamej nocy, kiedy zniknął Feliks, słyszałam jakiś hałas pod moimi drzwiami. Leżałam już wtedy w łóżku. Drzwi zaskrzypiały i powoli się uchyliły, na parę cali. Panowała zupełna ciemność, nie paliło się żadne światło. Cokolwiek to było, musiało przyjść po schodach i wyłączyć lampę przy windzie. - Sacza mówiła teraz wolniej, zerkając na boki, szepcząc, tak by jej słowa nie trafiły do niepowołanych uszu. - Schowałam się pod kołdrę. Cokolwiek to było, nie chciałam go widzieć. Pomyślałam, że może jeśli nie będę patrzeć, pójdzie sobie i znajdzie jakąś inną ofiarę... - Nabrała powietrza, a jej dłonie uczepliły się marszczonego kołnierza, odciągając go od zarumienionej skóry. - Nie mogłam się ruszyć. Chciałam krzyknąć, ale nikt by mnie nie usłyszał. Ktokolwiek, cokolwiek to było, zakradło się do pokoju i przyglądało mi się, czułam przez pościel jego ciepły oddech. Potem pomału i ostrożnie odeszło z powrotem do drzwi. Nie wiem, co to było, ale pachniało... Pachniało naftaliną wymieszaną z dżinem. Wyjrzałam spod kołdry - musiałam, nie mogłam się powstrzymać - ale nic nie zobaczyłam. Usłyszałam tylko, że drzwi się zamknęły. Potem jeszcze zabrzęczały drzwi windy i usłyszałam hałas maszyny parowej. Następnego dnia Feliksa już nie było.

- Myślisz, że to on wszedł do twojego pokoju? - spytał Mariah, z trudem przełykając ślinę. Zadrżał, jakby zimna dłoń musnęła go w kark.

- Po co miałby to robić? Na pewno nie po to, żeby mnie okraść, bo nie mam nic prócz kilku starych pocztówek z Irlandii i może jeszcze paru nic niewartych ozdóbek.

- A czy zostawił coś dla ciebie? Wiadomość? Jakąś pamiątkę?

- Nie. Pan Luger kazał przeszukać jego pokój, ale niczego nie znaleziono. Nawet kominek był odkurzony, a palenisko uprzątnięte. Wszystko, co należało do Feliksa, zniknęło - oprócz tego stroju, w którym występował. - Znów przesunęła placami po rękawie. - Wisiał na wieszaku między szafą a ścianą.

- A co z jego rodziną? - zapytał nerwowo Mariah, bawiąc się kosmykiem kręconych włosów.

- Nigdy o nikim nie wspominał. Pan Luger bierze tylko sieroty, chłopców ze Szkoły Kolonialnej i z przytułku. - Sacza spostrzegła, że Mariah dziwnie jej się przygląda. - Znałeś

Feliksa? Musiał być tylko rok starszy od ciebie.

- Feliks? Nie, nie przypominam sobie. Tylu nas tam było. Od dawna tu pracujesz? -
Mariah zmienił temat.

- Ojciec załatwił mi tu pracę. Jestem najstarsza z dziewiątki rodzeństwa. Nie było dla mnie miejsca w gospodarstwie.

- Roześmiała się z własnego żartu. - Moja mama prowadzi oberżę w porcie w Edenie. Zabiorę cię tam w sobotę po południu, wtedy mamy wolne. Mój tata pracuje w straży przybrzeżnej. Rano zobaczysz zamek. Niżej biegnie ulica i właśnie tam jest Eden.

- A więc mieszkałaś w Edenie? - zażartował Mariah.

- Tak, ale zrobiło się tam tłoczno i dlatego teraz mieszkam tutaj. - W oddali kościelny zegar wybił północ i z twarzy Sączy zniknął uśmiech. - Lepiej już pójść - powiedziała, otwierając drzwi. - Nie mamy zamków, ale od czasu zniknięcia Feliksa zapieram drzwi krzesłem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się wyspałam... Dobrze, że przyjechałeś, dzisiaj będę spokojniejsza - dodała z westchnieniem i zamknęła za sobą cienkie drewniane drzwi.

Mariah zakradł się do okna i rozsunął grube zasłony. Spojrzał na morze. Pokój znajdował się na samym szczycie hotelu. Zdawało się, że sięga chmur kłębiących się wokół czubka wieży i pobrzękujących szybami. Przez zalane deszczem okna widać było kwadratowe kształty kabin kąpielowych, które stały pięćdziesiąt metrów niżej na wąskim pasie lądu pomiędzy Regentem a morzem. Lampy gazowe z trzystu hotelowych okien dostatecznie rozświetlały plażę. Sam hotel oświetlało kilka mocnych lamp wapiennych, dzięki czemu jego fasada była widoczna z pełnego morza.

Hen w dole cienki, jasny palec latarni przemykał po morskich falach, które rozbijały się z hukiem o pirs i zalewały przytulone do nabrzeża kutry rybackie. Fala za falą wyłaniała się z ciemności, jarząc się przez chwilę w mętным blasku, i znów ginęła w mrokach burzliwej nocy.

Mariah przyciemnił lampkę za pomocą pokrętła, tak że świeciła jak robaczek świętojański, ledwie rozjaśniając mu dłoń. Potem usiadł na łóżku, zawinął się w wełniane koce i wsłuchiwał w odgłosy nawałnicy smagającej okna i klif.

Gdy tak siedział, do jego uszu doszedł dziwny dźwięk. Nie było to morze ani ulewa. Słyszał delikatne puk, puk, puk - jakby ktoś stukał paznokciem w grubą rurę biegnącą przy ścianie - a także ponure głosy dochodzące z daleka.

Galwanizowana maszyna do kąpiel

Poranek nadszedł prędko. Nawałnica ustała i już tylko łagodna grudniowa bryza

goniła białe, spiętrzone obłoki po niebie. Mariaha zbudził wrzask mieszkających na dachu mew, które dokazywały od bladego świtu. Ubrał się szybko w czarną koszulę i garnitur. Leżały na nim idealnie, jakby skrojono je na miarę. W brudnej, brązowej szafie znalazł parę czarnych, szpiczastych butów ze srebrnymi klamrami - one również pasowały jak ulał. Pochodził w nich trochę, śmiejąc się z cichego skrzypienia skóry w prawym bucie. Czekaając na Sację, wyglądał przez okno, zachwycony widokiem, jaki się przed nim roztaczał.

Na północy widział zamek z centralną basztą, wysokimi murami oraz budynkiem garnizonowym, na którego szarym dachu powiewała dumnie flaga brytyjska na krótkim maszcie. Mariah odnalazł wzrokiem Eden i powiódł palcem na szybie wzdłuż ulicy, od zamku aż do morza. Daleko w dole widać było port pogrążony w ciszy, jaka nastaje po burzy. Każdy centymetr wody zajmowały łódki, które już o pierwszym brzasku przepychały się w stronę otwartego morza. Na pochylni znajdował się wielki, dwumasztowy żaglowiec, jeszcze nieukończony, z obnażonym kilem i żebrami, wystawiony na działanie żywiołów jak oskubany z mięsa szkielet martwego wieloryba. Roilo się w nim od ludzi, którzy z daleka przypominali małe, czarne wszy.

Mariah nie spodziewał się aż tak imponującego widoku. Błękitne poranne niebo złociło się na obrzeżach od wstającego słońca, które sunęło ponad horyzontem, roztaczając swój blask pod wysokimi chmurami. Mariah nigdy w życiu nie widział podobnego ranka. Z ciasnego pokoiku w Szkole Kolonialnej obserwował co najwyżej szarą wspinaczkę omglonej kuli, która późnym popołudniem na krótką chwilę rozganiała miejski smog, by wnet zniknąć na zachodzie. W jego londyńskim życiu słońce i niebo stanowiły jedynie tło, potrzebował ich tylko po to, żeby oświetlały mu drogę. Teraz rozpościerały się aż po daleki horyzont Morza Północnego i wzbudzały respekt.

Mariah posprzątał pokój. Wciąż jeszcze nie czuł się w nim jak u siebie, wyczuwał obecność Feliksa. Usiłował sobie wyobrazić poprzedniego lokatora, przeczesał pokój w poszukiwaniu choćby najmniejszego tropu, byle nitki albo drobiny kurzu, która pomogłaby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego chłopak zniknął, a przed nim tyle innych osób. Zajrzał we wszystkie zakamarki. Niestety, można było odnieść wrażenie, że ktoś z wielką pieczołowitością usunął wszelkie ślady i skojarzenia z Feliksem. Ktokolwiek to zrobił, wykonał swój plan z wielką konsekwencją. Mariah sam już nie wiedział, czy Feliks był autorem, czy może raczej ofiarą jakiejś misternej intrygi.

Wrócił teraz myślami do spraw, które przedtem od siebie odpychał. Przypomniała mu się gazeta na twarzy śpiącego kapitana Charity. Oczyma wyobraźni znów ujrzał czarny obrazek, na którym Diabelski Jack porywa dzieci z łóżek i wlecze po dachach Londynu, by

pożreć je w swojej kryjówce. Jeszcze raz sprawdził okno: wymacał rygiel, by upewnić się, że nikt go nie przesuwiał. Wyrzwał na balkonik otaczający wieżę i zastanawiał się, czy aby Feliks nie uciekł tędy: najpierw na dach, a potem na ulicę. A może Diabelski Jack, skrzydlata istota ziejąca ogniem, zaniósł go we śnie do innego świata?

Mariah bardzo starannie złożył swój garnitur pierwszego sortu i schował go do szafy. Dopiero wtedy przypomniał sobie o talii kart ukrytej na dnie kieszeni przed wścibskimi spojrzeniami. Ostrożnie wsunął tam dłoń, a zanim wydobyl karty i zdobioną czaszkę na światło dzienne, rzucił okiem przez ramię, czy nikt nie patrzy. Wreszcie utkwil wzrok w kolorowej podobiznie blazna: miał pomalowaną twarz i koszulę w szachownicę, z kryzą. Mariah przyjrzał się dokładnie twardej woskowej pieczęci: nie było mowy, żeby pudełko samo się otworzyło. Jeszcze raz zerknął za siebie przekonany, że tym razem z pewnością ktoś go obserwuje. Potem szybko schował karty i czaszkę pod łóżko, wpychając je między materac a dębowe deski. Oby nikt ich tam nie znalazł.

Kiedy się podniósł, rozległo się pukanie do drzwi. Po tupaniu i szarpaniu za klamkę zgadł, że to Sacza.

- Mariah - szepnęła - jeżeli się pospieszymy, pokażę ci coś przed spotkaniem z panem Lugerem. Musisz to zobaczyć...

Mariah otworzył drzwi i cofnął się, chcąc wpuścić ją do środka. Sacza stała nieruchomo i w ciszy mierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Mowę ci odjęło? - odezwał się, nie mogąc dłużej znieść jej spojrzenia.

- Wyglądasz identycznie - powiedziała zdumionym głosem.

- Te same włosy, te same oczy. Nie zdziwiłabym się, gdybyście byli braćmi.

Zignorował jej słowa. Czuł się nieswojo w cudzym ubraniu i jeszcze bardziej niż dotychczas wyczuwał obecność Feliksa - tak jakby tamten chłopiec wcale nie opuścił pokoju, tylko przemienił się w kurz i teraz spoglądał na nich z gęstych pajęczyn w kątach sufitu.

- Co muszę zobaczyć? - podchwycił poprzedni temat.

- Coś wyjątkowego. Pan Luger powiedział, że przyjmie cię za godzinę. Były jakieś kłopoty z Moniką, Basmala domaga się, żeby ją wyrzuciono z teatru. Wszyscy troje są teraz w gabinecie Lugera. Słysząc, jak się przekrzykują, Monika wrzeszczy i... - mówiła bardzo szybko, podnieconym głosem, wymachując jednocześnie rękoma. - I tyle! - zakończyła, kiedy przypomniało jej się, co chciała powiedzieć. - Znalazłam galwanizowaną maszynę do kąpieli! Niesamowita rzecz. Przywieziono ją wczoraj wieczorem z pracowni Lugera. To jedyna taka maszyna w Europie. Leczy wszystkie dolegliwości...

- Tak mówi pan Luger - dokończył Mariah.

- Właśnie. I jest już w hotelu. Widziałam ją dzisiaj rano. Chodź, pójdziemy schodami.

Sacza złapała go za dłoń i zaciągnęła na wąskie, kręcone schody. Wiły się bez końca w dół, oświetlone jedynie wąskimi okienkami wychodzącymi na morze. Słychać było huczenie parowego tłoka pchającego windę do góry i terkot dźwigu, który niestrudzenie nawijał gruby stalowy kabel.

Mariah gonił Sączę, a ta zbiegała coraz szybciej, przeskakując stopnie. Co jakiś czas okręcała się na wirażach i na moment znikła mu z oczu. Odgłosy tej gonitwy odbijały się echem po klatce schodowej, ginąc jedynie w hałasie przejeżdżającej windy, która trzęsła całym szybem i wypływała kłęby pary przez liczne otwory wentylacyjne w ścianie.

Od czasu do czasu Mariah mijał nieduży podest z wąskimi drewnianymi drzwiami z namalowanym numerem piętra. Zbiegał w szaleńczym tempie, próbując liczyć podesty i potykając się o szpiczaste czubki butów, a silny cug powietrza z głębin klatki schodowej rozwiewał mu kędziory.

- Daleko jeszcze? - zawołał, gdy Sacza znów przyspieszyła, znikając w mozaice światła i cieni.

- Już tylko pięć pięter - odkrzyknęła, w biegu przydeptując sobie spódnicę.

Mariah znów liczył podesty. Z cyfr na drzwiach wynikało, że są już pod ziemią. Zauważył, że im niżej schodzą, tym bardziej wzrasta temperatura powietrza. Poręcz była ciepła w dotyku, a wszędzie rozlegało się świschczenie pary.

- Nie bój się - zawołała Sacza, przekrzykując hałas dobiegający z szybu windy. - Jeszcze tylko dwa piętra i zaraz będziemy na miejscu.

Mariah zupełnie stracił rachubę czasu. Zaczęła go gryźć obawa, że spóźni się na spotkanie z panem Lugerem i niewidzialny władca hotelu wyprawi go z powrotem do Londynu pierwszym pociągiem, zanim Mariah dostąpi w niedzielne popołudnie zaszczytu bycia przekrojonym w pół przez Wielkiego Basmalę.

- To tutaj - krzyknęła Sacza bez tchu, za to z ulgą w głosie, że w końcu dotarli do właściwych drzwi. - Przygotuj się na przygodę życia...

Mariah podążył za nią w głąb długiego korytarza. Nagle zdał sobie sprawę, że wcale nie są pod ziemią: Regent stał na wysokiej skarpie i część hotelu przylegała do kamiennej ściany. Na całej długości korytarza ciągnęły się wielkie okna i piękny dywan z zielonej wełny, w złote korony. Mariah ujrzał zalaną przyływem plażę i osobliwe kabiny kąpielowe. Przypominały miniaturowe domki, które ktoś poprzyczepiał do starych furmanek i zwiózł nad wodę. Gromada małych obdartusów bosy przeczesywała plażę w poszukiwaniu rupieci wyrzuconych przez fale na brzeg w czasie sztormu.

Sacza skinęła ręką, żeby szedł za nią, teraz już spokojna, że trafi z powrotem na górę do gabinetu pana Lugera.

- To niedaleko - powiedziała, gdy odgłos parowego silnika ucichł w oddali. - Na końcu korytarza jest pijalnia wód mineralnych - spróbuj tego świństwa, a pozieleniejesz... Nie wiedzieć czemu ludzie płacą grube pieniądze, żeby się nalykać tej wody, choć capi jak diabłu z pyska. Żebyś ty widział ich miny po wydudleniu pięciu litrów. - Skrzywiła się i wysunęła język.

Zatrzymali się przy dwuskrzydłowych drzwiach z gatunkowego, ciemnego drewna rzeźbionego w gałęzie ostrokrzewu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Sacza. Rozejrzała się po korytarzu, po czym prędko weszła do środka, jak gdyby bała się, że ktoś ją zobaczy.

Mariah poszedł w jej ślady i znalazł się w niezwykłym ogrodzie wodnym. Na wprost rozpościerał się ogromny basen oświetlony niebieskimi lampami gazowymi, które migotały niczym tęcza ponad fioletową taflą. Całość wyglądała jak wielgachna jaskinia wyłożona niebieskimi płytkami; na ścianach widniały białe mozaiki; z niedużych, gibkich palm wystrzeliwały długie, zielone gałązki. Dookoła basenu stało kilka wiklinowych kanap z dziwnymi oparciami przypominającymi wielbłądzie garby. Twarz Mariaha natychmiast zrosił pot. Ciężki, czarny garnitur był tu całkiem nie na miejscu.

- To już blisko - odezwała się Sacza, idąc przez ogród i rozglądając się za kępą wysokich tropikalnych roślin, które strzegły niewielkiego przejścia w kafelkowej ścianie. - Tutaj - rzuciła szeptem i wśliznęła się pod gałęzie maleńkiego drzewa uginającego się pod ciężarem żółtych owoców oraz wielkiego, orientalnego nietoperza. Uczepiony cienkimi pazurkami jednej z gałęzi, drzemał w porannym słońcu wlewającym się przez wysokie okna, które stanowiły zarazem szklaną podłogę tarasu piętro wyżej.

- Co to za miejsce? - spytał Mariah z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Goście przychodzą tu popływać, piją wodę i przesiadują pod lampą leczniczą pana Lugera. Jest zasilana prądem - po tygodniu naświetlania wszyscy brązowieją. Niektórzy wyglądają wtedy jak gotowane homary i jeszcze za to płacą! - zawołała z niedowierzaniem. - Ale poczekaj, aż zobaczysz co innego.

- Sacza z błyskiem w oczach popchnęła drzwi na oścież i wprowadziła go do dużego pomieszczenia obitego świeżym sosnowym drewnem i pachnącego niedawno wyrąbanym lasem.

- Spójrz!

Mariah zatrzymał się przed wielką mosiężną kopułą, przy której stała na pozór

zwykła, emaliowana wanna. Nad wanną znajdował się drewniany okap podobny do odwróconej łódki, z kształtnym, okrągłym otworem wyściełanym czerwoną skórą.

Z mosiężnej kopuły wychodziły trzy duże rury: jedna biegła do sufitu, a dwie wbijały się w ściany wanny niczym kły ogromnego pająka. Ponadto z boku wanny znajdowała się zielona dźwignia ustawiona w pozycji Wyłączona.

- Zasilana parą - powiedziała z dumą Sacza, głaszcząc drewno.

- To istne чудо: wystarczy raz przesunąć dźwignię, żeby wanna napełniła się parą. Za drugim razem do środka wlewa się mnóstwo lodowatej, słonej wody pompowanej z morza. A za trzecim - gorąca kąpiel gotowa. Pan Luger mówi, że ożywia duszę i oczyszcza umysł. Jedyna taka w Europie. - Sacza spojrzała na dźwignię i uśmiechnęła się. - To galwanizowana maszyna kąpielowa... Podслуchałam, jak pan Luger mówił o specjalnym składniku, który nadaje wodzie właściwości lecznicze. Powiedział, że będzie go pompował z kanałów i mieszał z wodą morską. Nazywa to brezią. Nie do końca rozumiem, co miał na myśli, ale zapowiada się wspaniale - stwierdziła, unosząc brwi, jakby sama pragnęła wypróbować cudowną wannę. - Każda kąpiel kosztuje funta dodatkowo, a więc to nie żadne byle co. Sprawdzimy, jak działa? - zapytała śmiało.

- Wolałbym nie. Co jeśli ktoś nas tu zobaczy? Muszę się pokazać panu Lugerowi - na pewno chce mnie zobaczyć, to mój pierwszy dzień.

- A więc jednak. Mariah jest tchórzem. Od razu mi to przyszło do głowy, jak tylko cię wczoraj zobaczyłam. To drugi Feliks, pomyślałam, umie tylko gadać i nic poza tym. Daj spokój, nikt się nie dowie. Jesteśmy tu sami. - Sacza chwyciła za dźwignię.

- Wskakuj do środka. Płaszcz kąpielowy jest w kabinie, przebierz się i wskakuj. To będzie najlepsza rzecz, jaka cię w życiu spotkała.

Mariah czuł się rozdarty: chciał spełnić jej prośbę i zarazem pragnął stamtąd uciec. Popatrzył na galwanizowaną maszynę kąpielową stojącą całkiem nieruchomo na kafelkowej posadzce...

- Rób, jak uważasz - odezwał się - ale ja nie wejdę do środka. Chcę najpierw zobaczyć, jak to działa.

- Jak sobie życzysz! - rzuciła Sacza i prędko przesunęła dźwignię do pozycji Aktywna.

Wielka mosiężna bańka zaburczała raz i drugi, zasysając z terkotem tajemniczą breź, po czym zaczęła się cicho trząść, wprawiając w drżenie podłogę i wannę. Z obitego skórą otworu wydobył się kłąb słonej pary. Mariah zerknął ukradkiem w stronę drzwi - jedynej drogi ucieczki.

- Co jeśli ktoś wejdzie? - spytał niespokojnie wśród bulgotu maszyny do kąpeli, która

coraz szybciej zionęła słonym, siarczanym oddechem. Pomieszczenie wypełniało się gęstą, brązową parą i zaczynało cuchnąć jak ściek.

Raptem mosiężna bańka głośno zadudniła i kilkakrotnie zatrzęsała całym pokojem. Coraz więcej pary buchało z wanny.

- Gotów? - krzyknęła Sacza, po czym znów pociągnęła za dźwignię i zrobiła dwa kroki do tyłu.

Ogromna ilość białej pary pomknęła rurami do wanny jak przez komin rozpędzonej lokomotywy. Po chwili z głośnym rykiem wydostała się na zewnątrz, uderzając w sufit i rozsnuwając się po całym pomieszczeniu.

Sacza wpadła w panikę i jeszcze raz pociągnęła za dźwignię. Tym razem maszyna do kąpieli zatrzęsała się gwałtownie, a pajęcze rury wygięły i zagrzechotały. Potem wydała z siebie straszliwy jęk i zaczęła wypływać zieloną morską wodę, która wypełniwszy wannę po brzegi, trysnęła na wszystkie strony.

- Wyłącz ją! - krzyknął Mariah, uchylając się w ostatniej chwili przed rozpędzoną strugą. - Utopimy się!

Sacza ponownie szarpnęła za dźwignię. Morska woda cofnęła się i z bulgotem zniknęła w odpływie zassana przez maszynę.

- Nie! - zawołał rozpaczliwie Mariah, widząc, że Sacza znów rusza dźwignię, i słysząc niespokojne dudnienie rury z gorącą wodą. - Nie!

Lecz było za późno. Maszyna błyskawicznie napełniła się wirującym wrzątkiem. Mosiężna kopuła drżała i podskakiwała na

- Jak sobie życzysz! - rzuciła Sacza i prędko przesunęła dźwignię do pozycji Aktywna.

Wielka mosiężna bańka zaburczała raz i drugi, zasysając z terkotem tajemniczą brzę, po czym zaczęła się cicho trząść, wprawiając w drżenie podłogę i wannę. Z obitego skórą otworu wydobył się kłęb słonej pary. Mariah zerknął ukradkiem w stronę drzwi - jedynej drogi ucieczki.

- Co jeśli ktoś wejdzie? - spytał niespokojnie wśród bulgotu maszyny do kąpieli, która coraz szybciej zionęła słonym, siarczanym oddechem. Pomieszczenie wypełniało się gęstą, brązową parą i zaczynało cuchnąć jak ściek.

Raptem mosiężna bańka głośno zadudniła i kilkakrotnie zatrzęsała całym pokojem. Coraz więcej pary buchało z wanny.

- Gotów? - krzyknęła Sacza, po czym znów pociągnęła za dźwignię i zrobiła dwa kroki do tyłu.

Ogromna ilość białej pary pomknęła rurami do wanny jak przez komin rozpędzonej

lokomotywy. Po chwili z głośnym rykiem wydostała się na zewnątrz, uderzając w sufit i rozsnuwając się po całym pomieszczeniu.

Sacza wpadła w panikę i jeszcze raz pociągnęła za dźwignię. Tym razem maszyna do kąpieli zatrzęsła się gwałtownie, a pajęczce rury wygięły i zagrzechotały. Potem wydała z siebie straszliwy jęk i zaczęła wypływać zieloną morską wodę, która wypełniwszy wannę po brzegi, trysnęła na wszystkie strony.

- Wyłącz ją! - krzyknął Mariah, uchylając się w ostatniej chwili przed rozpędzoną strugą. - Utopimy się!

Sacza ponownie szarpnęła za dźwignię. Morska woda cofnęła się i z bulgotem zniknęła w odpływie zassana przez maszynę.

- Nie! - zawołał rozpaczliwie Mariah, widząc, że Sacza znów rusza dźwignię, i słysząc niespokojne dudnienie rury z gorącą wodą. - Nie!

Lecz było za późno. Maszyna błyskawicznie napełniła się wirującym wrzątkiem. Mosięzna kopuła drżała i podskakiwała na swych metalowych pazurach, omal nie przewracając Sączy, która na próżno usiłowała przestawić dźwignię i zatrzymać maszynę.

- Uciekaj! - zawołał Mariah i rzucił się w stronę drzwi, zostawiając Sączę uciepioną maszyny w ciemniejszym od pary pomieszczeniu. - Puść to i uciekaj! - powtórzył, przekrzykując hałas. Gdy się obrócił, zobaczył, że Sacza trzęsie się razem z maszyną, jakby ta ożyła i zapragnęła zniszczyć wszystko wokół.

- Mariah! - piszczała dziewczyna. - Nie mogę się ruszyć!

Wtedy spostrzegł, że zaczepiła rękawem o rozgrzaną do czerwoności dźwignię. Podbiegł do niej, omijając lejące się z wanny szumowiny i wstrzymując oddech, by nie czuć gryzącego fetoru brązowej piany. Szybkim ruchem chwycił rękaw Sączy i pociągnął z całej siły, rozdzierając materiał.

- Biegnij! - Pociągnął ją ku drzwiom, nie zważając na maszynę do kąpieli i jej groźne pomrukiwania. - Jeżeli ktoś nas tu zobaczy, będziemy skończeni. Pan Luger tego dopilnuje.

- Zrozumiałby - zaprotestowała Sacza, ślizgając się w ogromnej kałuży brezi, która rozlała się po kafelkowej posadzce.

- Zabiłby nas i rzucił mewom na pożarcie. W najlepszym razie zwolnił - odparł Mariah, wbiegając z Sączą w cień tropikalnych palm. Zamknąwszy za sobą drzwiczki, rozejrzał się po ogrodzie zza bujnych liści.

Po cichu i nie wychodząc z cienia, przemknęli pod palmami wzdłuż ściany. W ciągu minuty dotarli do wielkich drewnianych drzwi w długim korytarzu. Mariah był zdyszany i żałował, że w ogóle dał się namówić na tę eskapadę. Zaciśnął usta i spojrzał surowo na Sączę.

Tymczasem jej oczy migotały wesołością, a w kąciку ust pojawił się szelmowski uśmieszek.

- I co, nie było fajnie? - spytała z irlandzkim akcentem.

Mariah już miał odpowiedzieć, gdy nagle drzwi same się uchyliły. Ze szpary wychynęła chuda, blada dłoń, a za nią głowa porośnięta długimi, tłustymi włosami. Do ogrodu wszedł mężczyzna w białym, ciągnącym się po ziemi płaszczu kąpielowym. Stąpał ostrożnie po kafelkach, jego bose stopy cicho piszczały przy każdym kroku. Uważnie, centymetr po centymetrze przyglądał się ścianie, tak jakby czegoś szukał.

Mariah i Sacza patrzyli, jak mężczyzna przystaje, rozgląda się dookoła, namyśla, wreszcie zawraca. Schowali się jeszcze głębiej między zarośla w nadziei, że nieznajomy nie wypatrzy ich ani nie usłyszy bulgotu galwanizowanej maszyny do kąpielii.

Nagle Mariah zobaczył jego twarz.

- Isambard Black! - wyrwało mu się ciekim szeptem.

Głowa Blacka drgnęła. Usiadł na szezlongu przy skraju basenu i rozłożył się w takiej pozie, jakby leżał tam od dłuższego czasu, chytrze zakrywając głowę białym ręcznikiem z oparcia kanapy. Potem zaczął chrząkać jak prosiak, udając, że śpi.

Mariah wykorzystał okazję. Chwyciwszy Sączę za rękę, wyciągnął ją spod palmowych zarośli. Otworzył drzwi i wypchnął dziewczynę na korytarz. Zamykając za sobą drzwi, zdążył jeszcze zobaczyć, że Isambard Black zdjął ręcznik z twarzy i usiadł wyprostowany.

- Prędko - zwrócił się do Sączy. - Musimy uciekać...

Pognali razem w stronę klatki schodowej, biegnąc ile sił w nogach po eleganckim, zielonym dywanie. Mariah wiedział, że Black jest tuż-tuż i że muszą jak najszybciej dostać się do schodów. Przez głowę przemknęła mu ponura myśl: może Black wcale nie przyjechał tu po to, by się kurować. Miał jakiś inny cel. Mariah widział to w jego oczach, najpierw w pociągu, a przed chwilą w ogrodzie.

Sacza nacisnęła klamkę i dała nura w ciemność klatki schodowej. Mariah powoli przymknął za sobą drzwi, zerkając przez wąską szparę na długi korytarz.

Isambard Black wyjrzał przez wejście do ogrodu. Jego oczy łapczywie szukały zbiegów, a przywiedle usta wykrzywiły się w szpetnym uśmiechu.

Ekscentryczny Otto Luger

Otto Luger, podobny do sędziwej wrony, siedział w ogromnym, wyłączanym gabinecie na parterze Regenta. W palcach jednej dłoni obracał stare gęsie pióro, drugą usiłował osadzić monokl w lewym oku. Szkiełko w złotej ramce trzymało się niepewnie na

obwisłej zmarszczce i uciskało oko, tak że przypominało ono głęboką fałdę w skórze słonia. Oddychał niespokojnie przez białe zęby z paroma złotymi koronami. Długie, gęste i nienaturalnie czarne wąsy drgały mu złowrogo, kiedy drażnił rozdęte nozdrze wyliniałym koniuszkiem niegdyś eleganckiego pióra.

- Nie robiłbym z tego problemu, panie Luger - odezwał się Wielki Basmala, cofając się w stronę drzwi ze strachu przed gniewem przełożonego. - Ostatecznie wszystko zależy od pana... Nie twierdzę, że ona nie może zostać. Proszę jedynie, aby zabronił jej pan rzucania nożami w publiczność. Widzowie byli przekonani, że przewróciła się naumyślnie, inaczej by się nie roześmiali.

- Nikomu nie wolno śmiać się z Moniki! - wrzasnął Luger, zrywając się na nogi. - Nawet gościom. Zasłużyli sobie! Ona jest artystką, ma wielki talent twórczy. Możesz być pewien, Basmalo, że cały świat usłyszy kiedyś o Monice Momzer. Zrozumiano?

- Oczywiście, proszę pana, wszyscy to rozumiemy, a ja ze swej strony uczynię, co w mej mocy, żeby... - Basmala zamilkł na widok miny Lugera.

- Cieszę się, że podzielasz moje zdanie, ponieważ tylko ono tutaj obowiązuje - oznajmił Luger z przeciągłym teksańskim akcentem. - Przyjechałem do tego kraju bez grosza. Wszystko, co tu widzisz, należy do mnie. Prędzej wyrzucę cię z pracy, niż zabronię Monice występów. Zrozumiano? - Luger uniósł brew i monokl spadł na biurko. - Kiedy Monika jest niezadowolona, to ja również. A wtedy ty nie dostajesz pensji. Zrozumiano?

Basmala nic nie odpowiedział. Spuścił głowę i ze wzrokiem utkwionym w podłogę szukał ręką klamki za plecami. Krople potu ściekały mu po łysinie między kępki włosów wijących się wokół drobnych, spiczastych uszu.

- I jeszcze jedno - rzekł Luger, siadając. - Czy ludzie pytają o zniknięcia chłopców?

- Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pana. Nie to, żebym...

- Basmala namyślał się przez chwilę z na wpół otwartymi ustami. - Jest co prawda jeden problem - wydusił.

- Mówże, człowieku. - Luger skinął dłonią i poruszył węsami.

- Profesor Bilton ze Szkoły Kolonialnej powiedział, że nie dostaniemy więcej chłopców. Pytał, co się stało z tamtymi. Odparłem, że ich straciliśmy, a on mi na to, że to dość niefortunny obrót sprawy, stracić pięciu w ciągu roku. Powiedział, że za te pieniądze nie może nam przysłać nikogo więcej i że Mariah Mundi będzie ostatni.

- Mariah Mundi? - Luger spojrzał na wiszący nad drzwiami olbrzymi zegar w kształcie zamku. Zakończony siekierą wahadło kołysało się groźnie i tyk, tyk, odmierzało upływające sekundy. - Miał być u mnie godzinę temu. Ten ostatni... Mariah Mundi...

Zrozumiano? - Luger zgubił myśl. Rozgrzebał papiery na biurku, jakby próbował odnaleźć w tym namacalnym bałaganie coś, co zapodział w otchłani swej pamięci. - O, tu jest! - zawołał, chwytając kartkę. - Liścik od Moniki. Chciałaby go przepołowić... w niedzielę po południu. Wspominała, że robisz to co tydzień. Twierdzi, że teraz jej kolej. - Wachlując się kartką, Luger popatrzył na Basmalę. - Chyba nie będzie z tym problemu? Nie chciałbym sprawić jej zawodu.

Basmala stał stropiony w chińskiej szacie z zielonego jedwabiu, nerwowo chwytając wydęte mankiety i owijając je wokół nadgarstków. Zaciśnął zęby, by powstrzymać słowa, które cisnęły mu się na usta.

- Dobrze - odrzekł z grymasem, a kiedy gniew w nim osłabł, otworzył oczy i znów spojrzał na Lugera. - Co tylko pan sobie życzy.

- Znakomicie, znakomicie - powtórzył cicho Luger i zapatrzył się w zegarowe wahadło, z roztargnieniem siedząc naprzemienne ruchy siekiery. Po chwili wskazówki zeszyły się u szczytu zamkowej baszty i zegar cichutko wybił południe.

Dopiero po chwili zamek otworzył się i przy wtórze malutkich trąbek wyskoczyły z niego figurki na srebrnych pręcikach. Zdawały się tańczyć wokół murów zwieńczonych maleńkimi blankami. Świsnęła para i gabinet rozbrzmiał pełnym werwy chórem piskliwych tonów, aż zabrzączał kieliszek do wina stojący niepewnie na biurku Lugera. Zza drzwiczek zegara wyskoczyły konie i zbrojni rycerze zawieszeni na długich patyczkach, którzy pogalopowali w rytmie muzyki, podczas gdy kurant wydzwaniał dwanaście długich i smętnych tonów.

Luger patrzył oczarowany, a Basmala, jako że znał finał tego przedstawienia, przezornie się odsunął. Wahadło znienacka runęło na podłogę tuż obok niego. Zegar nad przejściem jakby ożył: baszta zapelniła się figurkami, które tańczyły i obracały się przy dźwiękach trąbek. Luger siedział niczym posąg zachwyty, podziwiając ścienne widowisko napędzane parą z generatora. Kiedy zegar zadzwonił po raz ostatni, z otwartych drzwi wieży wysunął się na mosiężnej podstawce malutki, zdobiony klejnotami kat i zatrzymał obok posrebrzanego króla, który uklęknął przed nim i przyjął topór na kark.

- Co za widok, co za widok! Jak mogłeś to przegapić! - zapał Luger. - Wolaleś oglądać swoje brudne buciory. Przyjdź jutro, pozwolę ci usiąść przy moim biurku i zobaczysz coś jeszcze lepszego.

- Co z tym chłopcem? Z Mariahem Mundim? - spytał Basmala, chcąc przypomnieć przełożonemu o nowym pracowniku, przede wszystkim jednak wymigać się od słuchania coraz bardziej niedorzecznych wynurzeń Lugera.

- Po co miałbym się z nim zobaczyć? - zapytał Luger, nie odrywając wzroku od złotego zegara, jakby czekał na bis.

- Wezwał go pan do siebie - przypomniał Basmala. - Każdy nowy chłopiec przychodzi do pana w pierwszym dniu pracy. Taki jest utarty porządek rzeczy. Przyjmuje go pan, a potem odsyła do mnie, do teatru.

- Tak, racja - przyznał wciąż nieobecny duchem Luger.

- Niech wejdzie. Ale pamiętaj, że to Monika przepołowi go w tę niedzielę.

Basmala odwrócił się ku drzwiom i chwytając mosiężną klamkę, zerknął do góry na złoty zegar. Dziwne drogi przywiodły go do tego miejsca. Przypomniał sobie, jak dwa lata wcześniej wysiadł na ląd w Dover i łamaną angielszczyzną rozmawiał ze strażnikiem portowym. Rozbawił go karcianymi sztuczkami, a potem jeszcze wyczarował żabę, która wskoczyła strażnikowi na ramię. Później udał się do Londynu, gdzie przez rok poniewierał się w małym teatrze, wyczarowując gołębie przed garstką sennych widzów, uciekinierów przed zimmem.

Aż pewnego wieczoru wszystko się zmieniło. Otto Luger wszedł do ciemnej sali, ubrany jak prawdziwy londyński dżentelmen, z grubym cygarem w ustach i długą, czarną laską w dłoni. Usadowił się przy wejściu i zaśmiewał głośno, zaczepiał szansonistki, chichrał się z błazna i oklaskiwał na stojąco każdego gołębia, który smyrgnął Basmali z rękawa fraka. Potem pan Luger zaciągnął iluzjonistę do swojego stolika i złożył propozycję nie do odrzucenia.

- Podobają mi się tacy ludzie jak pan - oznajmił, sącząc drogą brandy z butelki, którą trzymał za szyjkę grubymi dłońmi. - Magia zawsze mnie fascynowała. Ale to coś więcej niż wyciąganie gołębi z rękawa. - Popatrzył Basmali prosto w oczy. - Szukałem czegoś przez wiele lat. Po to wyjechałem z Teksasu i przybyłem do tego brudnego, chłodnego i zamglonego miasta. Wiedziałem, że tutaj to znajdę, i nie pomyliłem się, choć kosztowało mnie to fortunę.

- Ja też czegoś szukam - powiedział Basmala, podrzucając kartę w powietrze i patrząc, jak znika, co jednak zupełnie uszło uwadze Lugera, który akurat pociągał łyk brandy. - Pewnej talii kart, tak niezwyklej, że niczego w życiu nie pragnę bardziej. Karty te, gdy trafiają we właściwe ręce, umieją wejrzeć człowiekowi w duszę i niczym najlepsi aktorzy odegrać przed nim całe jego życie w postaci tańczących obrazów.

- Tańczących obrazów, powiadasz pan? - wymamrotał Luger z ustami pełnymi brandy, która pociekła mu po brodzie. - Czy to pięknie panie, czy może brzydzą panowie?

- Cała prawda o życiu człowieka wychodzi na jaw. Karty nie są znaczone, nie ma w

tym żadnego podstępu. Zupełnie jak gdyby miały własną wolę i wgląd w ludzkie serce. Istniały dwie takie talie, ale tylko jedna przetrwała do dziś.

- A kto jest posiadaczem owych wszystkowiedzących i wszystkotańczących króli, waletów i dam? - chciał wiedzieć Luger.

- Karty zaginęły przed wieloma laty, skradziono je z Wiednia. Przemierzyły Europę, a teraz są gdzieś w Londynie. W każdym z miast, jakie odwiedziłem, mówiono mi, że ktoś je widział, ale zawsze zjawiałem się za późno: czasem o miesiąc, czasem odzień. Raz w Paryżu poznałem nawet człowieka, który je odnalazł. Kiedy jednak udałem się do jego mieszkania, okazało się, że ktoś go zamordował, a karty przepadły bez śladu.

- Ile musiałbym zapłacić, aby je zdobyć?

- Są bezcenne, absolutnie bezcenne. Jedyne sposoby to kradzież - wyszeptał Basmala, rozglądając się po sali ponad ramieniem Lugera.

- A zatem, mój przyjacielu, tak właśnie uczynimy. Nic nie powstrzyma człowieka przed zdobyciem tego, czego pragnie, a skoro trzeba to ukraść... cóż, takie życie. - Luger serdecznie poklepał Basmalę po plecach, po czym chwycił jego dłoń i zgniół w mocnym uścisku. - Mam dwóch zaufanych ludzi, detektywów, jeden zwie się Grimm, drugi Grendel. Już raz coś dla mnie znaleźli. Jestem przekonany, że zdołamy ich namówić, aby zainteresowali się twoją pokerową talią.

- Pokerową? - wykrzyknął Basmala z wyrazem oburzenia na twarzy. - Nic bardziej mylnego. Mówimy o Pandzandrum. To najwspanialsza talia kart, jaka kiedykolwiek powstała. Jej twórca tchnął w nią prawdziwe życie.

- Jak zwał, tak zwał - odparł Luger, podnosząc butelkę do ust. - Przejdę do rzeczy, panie Basmala. Jestem właścicielem największego w Europie hotelu, dopiero co wybudowanego. Pracuj dla mnie, a znajdę tego całego Pandzandrum i zabiorę mu te karty. Proszę cię tylko, żebyś mi pomógł...

Tamten dzień wydawał się teraz bardzo odległy. Luger nie dotrzymał słowa, sprawa kart Pandzandrum poszła w niepamięć. Basmala co wieczór zabawiał hotelowych gości znikającymi żabami oraz magicznymi gołębiami, których zresztą niewiele mu zostało.

Luger wynajdował coraz to dziwniejsze urządzenia parowe z myślą o zdrowiu swoich klientów. Spędzał całe dni i noce w głębi hotelu, dokąd służące i portierzy nie śmieli się zapuszczać, a brzęk kutej stali niósł się echem w szybie windy aż po wierzchołek budynku.

- Przyślesz tego chłopca? - przypomniał Luger, gdy Basmala opuszczał jego gabinet. - Mam dużo zajęć, niech nie każe mi na siebie czekać.

Basmala odpowiedział uległym uśmiechem.

- Dobrze, jak pan sobie życzy.

Mariah siedział na krześle w korytarzu. Miał na sobie nowy, czarny garnitur i buty, w których bolały go stopy, a zwłaszcza ściśnięte palce. Przez ostatnich kilka minut spoglądał na przechodzących gości hotelowych, wypatrując wśród nich Isambarda Blacka. Wcześniej zdążył jeszcze pójść do recepcji i kupić za pół pensa widokówkę z Regentem. Potem wyjął z kieszeni ołówek i zapisał słowa: Perfidny Albion - Hotel Claridges

- Londyn, najstaranniej, jak potrafił, po czym umieścił kartkę w wewnętrznej kieszeni surduta. W każdej chwili mógł zostać wezwany do gabinetu pana Lugera.

Chodząc tam i z powrotem po korytarzu, wyglądał przez okno na ruchliwy plac targowy, który za dnia rozkwitał obok hotelu. Patrzył, jak eleganckie powozy przyjeżdżają i odjeżdżają, zostawiając wytwornych gości. Rój portierów i tragarzy w niebieskich liberiach z żółtym obszyciem zaraz ich obsiadał, zabierał walizy i przemykał tam i z powrotem do hotelu przez ogromne drzwi obrotowe, które posykiwały jak wąż.

Mariah przyglądał się jegomościom wchodzącym po szerokich schodach do kasyna gry na pierwszym piętrze, podczas gdy towarzyszące im damy mogły co najwyżej podziwiać z oszklonej werandy widok bezkresnego morza. Nikt nie zwracał na niego uwagi, kiedy siedział cierpliwie przed drzwiami gabinetu, czekając, aż stłumione odgłosy rozmowy ucichną i pan Luger zaprosi go do swego sanktuarium.

- Mariah Mundi - odezwał się Basmala, wrywając chłopca z zadumy. Mariah wyprostował się i spojrzał z przerażeniem na opalonego człowieka w chińskim stroju zdobionym zielonymi, haftowanymi smokami i grubymi, złotymi nićmi. Wielki Basmala wyglądał na Włocha. Czarne włosy wiły się wokół jego uszu w dziwacznych pierścieniach i opadały na ramiona. - Pan Luger prosi cię do siebie. Później przyjdiesz do mnie i nauczę cię magii.

Mariah uśmiechnął się, wstał i wszedł do gabinetu. Luger siedział przy swoim zagraconym biurku i udawał, że coś pisze, lecz tak naprawdę wodził piórem w kółko po tych samych dwóch wyrazach. Mariah czekał i czekał. Luger odezwał się, dopiero gdy czubek starego pióra całkiem wysechł.

- Siadaj! - zawołał, nie odrywając oczu od kartki. - Mam bardzo dużo pracy i nie lubię czekać. Miałeś się zjawić z samego rana, a minęło już południe. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

- Czekałem na korytarzu - odparł cicho Mariah. - Widocznie zaszło...

Luger potrząsnął głową, spojrzał na zegar, a potem na chłopca. Wydobył z kieszeni okazały złoty zegarek na łańcuszku i przyłożył do ucha. Potem uniósł bujne, siwe brwi, a po

jego twarzy przemknął wyraz konsternacji.

- Czekales? - spytał niepewny swego. - Na korytarzu?

Mariah pokiwał głową i zagryzł wargę, usiłując zachować kamienną twarz i stłumić rozbawienie.

- Sacza powiedziała, że jest pan zajęty, więc czekałem.

- Czekales! - wykrzyknął Luger, wstając z fotela. - Wiesz, co spotyka ludzi, którzy czekają? - Zawiesił głos. - Otóż nic ich nie spotyka! Życie przepływa bokiem, aż któregoś ranka budzą się i stwierdzają, że się skończyło. Oto co czeka czekających!

- Przepraszam - ukorzył się Mariah. - Już nie będę.

Tymczasem Luger zaczął chodzić po pokoju ze wzrokiem utkwionym w dywan i uderzał pięścią w dłoń.

- Czas nie czeka na nikogo. Ranek już minął, popołudnie za pasem, wieczór zbliża się wielkimi krokami, a chyba nie muszę mówić, co będzie potem? - gorączkował się, nie dając chłopcu dojść do głosu. - Noc! Ciemna, zimna i ponura. Wstrętna, gęsta, czarna noc. Niech zgadnę: zamierzasz wtedy spać?

Mariah z nadzieją skinął głową.

- A czy wiesz, jak to się kończy? Śmiercią! Widziałem to już tysiąc razy. Starzy ludzie gramolą się do łóżka, zamykają oczy

- i umierają. Po jednym chrapnięciu uchodzi z nich całe życie. Jaki z tego morał, chłopcze?

Mariah obejrzał się z roztargnieniem i wymamrotał coś pod nosem, nie wiedząc, co odpowiedzieć, podczas gdy Luger wymachiwał rękoma, ściskając w dłoni kieszonkowy zegarek i młócąc powietrze łańcuszkiem.

- Nie śpij! Ja nie sypiam od lat, w ogóle nie kładę się do łóżka. W miarę możliwości kwadrans po pełnej godzinie zamykam oczy na pięć minut - to wszystko, na co sobie pozwalam. - Zdyszany Luger zamilkł i powoli odzyskując spokój, wrócił niemrawo za biurko i usiadł w wytartym skórzanym fotelu. Zmierzył Mariaha wzrokiem od stóp do głów, po czym wyjął z leżącej na wierzchu brązowej teczki kartkę welinowego papieru. - A więc przyjechałeś ze Szkoły Kolonialnej? Pewnie znasz profesora Biltona, co?

- O, tak - potwierdził Mariah, bawiąc się guzikiem na rękawie surduta.

- Miałem tu wielu chłopców z tej szkoły, ale ty podobno jesteś ostatnim. Reszta... uciekła, wyjechali, nie zapytawszy nawet o zgodę. Czy zamierzasz pójść w ich ślady?

- Ależ nie, ja...

- Szkoda byłoby stracić tak bystrego chłopca - powiedział Luger i w tej samej chwili

zegar wybił kwadrans po dwunastej. Pryncypał spojrzął najpierw pod sufit, a potem na swój zegarek z dewizką. Przetawiał w nim złotą dźwigienkę, rozparł się w skórzanym fotelu i zamknął oczy.

W ułamku sekundy zaczął chrapać. Ciężka pierś wznosiła się pod elegancką, złotą kamizelką, głowa zaległa na oparciu, a z odkrytych nozdrzy sterczały niczym kolce grube, czarne włosy.

Mariah nie wiedział, czy ma czekać, czy wyjść. Spojrzął na biurko: na środku, obok mosiężnej popielnicy, leżała kartka, po której Luger wcześniej gryzmolił. Zbliżył się nieco, próbując odczytać słowa i dowiedzieć się, co takiego zaprzęta myśli właściciela tego wspaniałego miejsca. Liczył tyknięcia złotego zegara, który z terkotem odmierzał upływające sekundy. Luger spał twardo z językiem wystającym z kącika ust, podobny do krowy, która zapadła w drzemkę na słonecznej łące. W końcu ciekawość wzięła górę: nie zważając na chrapiącego i śliniącego się pryncypała, Mariah wyciągnął rękę, odwrócił kartkę do siebie i przeczytał słowa napisane gęstym czarnym atramentem: szkatuła Midasa.

Wtem zegarek w dłoni Lugera przenikliwie zabrzęczał. Pryncypał upuścił go, zrywając się z fotela i oparł się rękoma o biurko, jak gdyby usłyszał niespodziewaną i oszałamiającą nowinę. Rozejrzał się po gabinecie, po czym wlepił wzrok w Mariaha.

- Słucham? - spytał nieprzytomnie, jakby pierwszy raz widział chłopca na oczy. - O co chodzi?

Anamorfoza

Godzinę później Otto Luger wypuścił Mariaha z gabinetu. Gdy kieszonkowy zegarek znów obwieścił porę drzemki, pryncypał chrząknął i posłał chłopca do jego nauczyciela, Wielkiego Basmali. Mariah ścisnął w ręce przewodnik po Regencie: ślicznie wydaną książeczkę ze srebrnym zdobieniem, zawierającą plany wszystkich pięter hotelu. Różne miejsca zaznaczono na niej różnymi kolorami, w zależności od tego, czy miała do nich wstęp służba, czy też były przeznaczone wyłącznie dla gości. Luger dał mu jasno do zrozumienia, żeby trzymał się z dala od pomieszczeń oznaczonych kolorem fioletowym.

* Anamorfoza (z grec.) - technika perspektywy stosowana w malarstwie, polegająca na celowej deformacji obrazu. Zniekształcenie znika, gdy spogląda się pod określonym kątem (przyp. red.).

- Jeżeli złamiesz fioletowy zakaz - powtarzał, poprawiając monokl ruchem nosa - w pięć sekund wylądujesz z manatkami na ulicy.

Idąc wytwornym korytarzem z gabinetu do teatru, Mariah wciąż miał w uszach tę

groźną przestrogę. Dotarłszy do pary wysokich dębowych drzwi z niedużą wywieszką, na której złotą farbą napisano: Teatr zamknięty, przewertował hotelowy przewodnik w poszukiwaniu koloru fioletowego. Na jednej z ostatnich stron zobaczył szkic pływalni oraz pomieszczenia z galwanizowaną maszyną do kąpieli. Ręcznie kolorowane brzegi strony były fioletowe ponad wszelką wątpliwość. Na sąsiedniej stronie widniał rysunek przedstawiający ubiór służby, a także krótkie wprowadzenie: W ogrodzie zdrojowym usługują Szanownym Państwu nasi najlepsi pracownicy, których łatwo rozpoznać po stroju: noszą bowiem wyszywane złotem surduty z fioletową lamówką. Zawsze jesteśmy na każde Państwa skinienie... Polecamy galwanizowaną maszynę kąpielową, jedyną w całej Europie. Pobudzi najbardziej nadwątłony organizm...

Chłopiec nabrał powietrza. Gdyby Luger wiedział o zajściu z maszyną do kąpieli, on - Mariah - siedziałby teraz w pociągu do Londynu z garniturem pierwszego sortu i biletem trzeciej klasy - i nie miałby się gdzie podziąć. Popatrzył na swój smutny, czarny strój z łatami na łokciach oraz klapami z podwójną stębnówką i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że należy do kogoś innego - i że ten ktoś chciałby go odzyskać. Surdut zaczął go drapać w szyję, drażnił skórę niczym pochód czerwonych mrówek. Mariah wstrząsnął się, jakby próbując się uwolnić od lodowatych ciarek, które co rusz przebiegały mu po plecach.

Podniósł wzrok. Wysoko w górze, na ścianie przedzielającej dwie części korytarza, wisiał gigantyczny portret średniowiecznego księcia na grzbiecie dużego, białego rumaka. Mariah miał wrażenie, że jeździec przygląda mu się i śledzi każdy jego krok. Przystanął i cofnął się. Oczy na portrecie podążyły za nim. Zrobił szybki krok w bok: oczy znów się poruszyły. Gdziekolwiek stanął, obraz przenikał go palącym spojrzeniem. Korytarz był pusty. Z oddali dobiegał syk i terkot windy parowej. Tam, skąd przyszedł, od strony gabinetu Lugera, znajdowała się para rzeźbionych dębowych drzwi drżących z lekka od wibracji generatora pary, który pracował wiele pięter niżej. Mariah pomyślał, że może ktoś będzie tędy przechodził, postanowił więc poczekać i sprawdzić, czy obraz przygląda się wszystkim jednakowo.

W sięgającej głowy dębowej boazerii wypatrzył niewielką wnękę. Na wysokim drewnianym stojaku w mosiężnej donicy stała aspidistra z długimi, zielonymi liśćmi, które wystrzeliwały z czarnej ziemi niby smocze kły. Mariah zerknął na obraz. Był przekonany, że jakaś niewidzialna siła porusza oczami jeźdźca. Nagle dotarło do niego, że księżę na koniu ma twarz Lugera - to właśnie jego krzywy uśmiech wyzierał zza gęstych, poczernionych wąsów.

Mariah spojrział na plan piętra w nadziei, że nie ujrzy na nim fioletowej obwódki ani w

ogóle żadnego koloru oprócz ascetycznej czerni. Prześledził palcem bieg korytarza - aż do marginesu, który na szczęście był pusty. Wtem dębowe drzwi zatrzeszczały, jakby miały się zaraz otworzyć.

Mariah prędko schował się za wielką rośliną; był teraz niewidoczny dla wścibskich oczu spoglądających z obrazu. Aspidistra osłaniała go przed blaskiem gazowego żyrandola, który nawet w środku dnia świecił pełną mocą, połyskując i migocząc pod wysokim, zdobionym sufitem, zwieszony z rozety z podobiznami elfów w bluszczowych wiankach. Korytarzem niosły się odgłosy dalekich kroków na płytkach posadzki. Jedna para butów stuknęła cicho, druga nieco głośniej. Dwie osoby zbliżały się, rozmawiając podnieconymi głosami.

- Nie mogą tu zostać, po niedzieli trzeba ich będzie załadować na pierwszy statek - mówił kobiecie głos w takt stukotu wysokich obcasów o zimną posadzkę. - Ostatni prawie nam uciekł. Gdybym go nie nakryła, byłby teraz daleko stąd, a my mielibyśmy policję na głowie. Basmala to stary ślepiec. Trzeba coś z nim zrobić, Ottonie. Dlaczego jeszcze się go nie pozbyłeś? - skrzeczała kobieta jednym tchem, podczas gdy mężczyzna szedł w milczeniu, stąpając ciężko i zgrzytając o podłogę blaszkami obcasów. - Niech wraca tam, skąd przyjechał, i zabawia staruszki na dworcu w Transaldowii. Jeśli chcesz mieć najlepsze widowisko w Europie, Basmala musi odejść.

- On za dużo wie, Moniko - odparł męski głos, wydmuchując obłok tytoniowego dymu. - Wolę go mieć na oku. Po co ma się włóczyć po świecie, szukając tych swoich durnych kart?

- Tak samo durnych jak ta twoja szkatuła. Kiedyś w ciebie wierzyłam, Ottonie. Teraz uważam cię za głupca. Kto by pomyślał, że można szukać pudełka, które zamienia wszystko w złoto? Powiedz to dziewczętom z Bronksu, a wyślą cię do zakładu dla obłąkanych.

- To nie jest zwykłe pudełko, Moniko, to szkatuła Midasa. Ona naprawdę istnieje...

- W takim razie pokaż mi ją. Uwierzę, dopiero gdy zobaczę na własne oczy. - Kobieta pośliznęła się i z fuknięciem upadła na ręce. - Spójrz tylko na siebie - powiedziała, spoglądając na portret księcia, który obserwował ją dumnie spomiędzy złożonych ram. - Każdy obraz w tym hotelu przedstawia twoją twarz. Gdziekolwiek pójde, zewsząd się na mnie gapisz...

- Jestem właścicielem i mogę robić, co zechcę - odparł Luger. Nie zwalniał kroku, podczas gdy ona, próbując stanąć na nogach, ślizgała się jak pijany kot po cienkim lodzie. - Pospiesz się, Moniko - rzucił niecierpliwie i ciężkim krokiem przeszedł obok kryjówki Mariaha.

- Są jakieś problemy z maszyną do kąpielii. Ktoś przy niej majstrował. Jakaś osoba, która w ogóle nie miała prawa tam zaglądać.

Mariah przysłuchiwał się wszystkiemu zza aspidistry. Stało się jasne, że wybryk jego i Sący nie pozostał niezauważony. Wyjrzał z ciemnego zakamarka i zobaczył Monikę, która gonila Lugera, burcząc pod nosem i stukając obcasami. Zdawało mu się, że ma przed sobą stworzenie z innego świata. Monika przypominała bardziej kota niż człowieka.

Z lakierowanych skórzanych butów na wysokim obcasie wyrastała najelegantsza i najbardziej gibka istota, jaką widział w życiu. Każdy centymetr jej ciała był zakryty i przystrojony czarnymi lub zielonymi strusimi piórami, które opadały ku podłodze na podobieństwo pary ogromnych skrzydeł. Dłonie miała spowite w długie rękawiczki z jedwabiu, lśniące aż po czubki palców niezliczoną ilością srebra i zielonych klejnotów. Z obciętych koniuszków sterczały niczym szpony długie, czerwone paznokcie. Na głowie nosiła istną koronę z jasnych pawich piór przewiązanych srebrną wstążką, która wiła się wśród pięknych, srebrzystobiałych włosów.

Monika przystanąła i obróciła się w stronę aspidistry. Przez ułamek chwili Mariah był pewien, że go spostrzegła. Stał w martwym bezruchu za dębowym stojakiem w mroku wnęki. Potem dotarło do niego, że Monika poprawia czerwoną szminkę i przypudrowuje upiornie białe policzki, przeglądając się w gładkim mosiądzu donicy. Korciło go, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć tej fascynującej istoty - przekonać się, czy jest prawdziwa, czy to jakieś widziadło. Jej twarz zniknęła na moment w zadymce białego pudru opadającego niczym drobny śnieg. Potem z maleńkiej torby z wężowej skórki wyjęła buteleczkę brązowych perfum i rozpyliła mgielkę wilgotnego piżma na swej długiej, cienkiej, przezroczystej szyi.

Mariah poczuł kropelki perfum na twarzy i wstrzymał oddech. Monika uśmiechnęła się do własnego odbicia i uniosła brew, wyraźnie zadowolona, po czym odwróciła się i ruszyła dostojnym krokiem za Lugerem niczym nioska za kogutem.

- Poczekaj na mnie - zapiała. - Chcę być przy tym, jak robisz porządek z Basmalą. Tym razem daj mu do wiwatu.

- Chodź do windy - odrzekł chłodno Luger. Z szybu dobiegał coraz większy łomot i syk pary. - Najpierw wyjaśnimy ten sabotaż, a potem zajmiemy się Basmalą. Zgodził się już na to, żebyś wykonała sztuczkę z piłą. Aha - dodał, jakby całkiem wyleciało mu to z pamięci. - Mam dla ciebie nowego chłopca. Trochę niezgułowaty, kędzierzawy, z dziwnym spojrzeniem. Ale to wychowanek Szkoły Kolonialnej - nie ma nikogo na świecie, żaden krewny nie będzie go szukał. - Luger zaśmiał się upiornie, otwierając drzwi do windy i naciskając guzik. Daleko w dole zaświszczał parowy tłok.

Mariah osunął się na podłogę za stojakiem z rośliną. Serce jeszcze mu łomotało po bliskim spotkaniu z najdziwniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziały jego oczy. Zamknął powieki, by przywołać jej obraz, lecz jak każda inna zjawia również ta powoli się rozwiała. Usiłował sobie przypomnieć twarz Moniki i wielkie pióra, lecz widział tylko chude dłonie w rękawiczkach i obsypane klejnotami palce, które szybko rozplywały się w mrokach pamięci.

Ostrożnie wyjrzał z wnęki na korytarz. Obraz księcia o twarzy Lugera nadal spoglądał w jego stronę i śledził każdy ruch, gdy Mariah z ręką na boazerii wstawał z kucek. Gdzieś na dole zdyszana winda parowa niczym drzemiący lewiatan czekała cierpliwie na pasażerów. Mariah powoli wyszedł na korytarz i podążył śladem Lugera i Moniki. Stąpawszy przy windzie, wejrzał w mroczną otchłań szybu. Strużki siarkowego dymu wirowały w świetle gazowych lamp i w promieniach słońca przeświecających przez szereg witrażowych okien, które biegły wzdłuż korytarza.

Nie zastanawiając się, nacisnął guzik wzywający windę. Z wnętrza szybu dobył się zgrzyt stali, buchnęła para, niestrudzony tłok zaczął wciągać kabinę na górę. Mariah uśmiechnął się do siebie. Miał nadzieję, że zyska trochę czasu i że pan Luger został wiele pięter niżej, a winda będzie pusta.

Wrócił prędko do swej kryjówki i nasłuchiwał windy. W końcu kabina głośno zatrzymała się na piętrze. Mariah odczekał chwilę, lecz nie dobiegł go znajomy odgłos rozsuwanych metalowych drzwi. Wyjrzał na korytarz: nikogo tam nie było. Parę sekund później znalazł się przy wejściu do windy. Zdjął zasuwę i otworzył drzwi do oporu, po czym zaczepił zwisający luźno łańcuch. Wiedział, że winda nie ruszy, dopóki drzwi stoją otworem. Luger i Monika będą musieli wejść po schodach - pokonując wszystkie trzysta sześćdziesiąt sześć stopni.

Następnie Mariah wyjął z kieszeni srebrzoną książeczkę i obejrzał plan hotelowego parteru. Obrócił mapę w kierunku, w którym był zwrócony twarzą. Na końcu korytarza widniały dwuskrzydłowe drzwi z wielkimi złotymi klamkami: prowadziły do teatru. Jeszcze raz popatrzył na portret księcia, by sprawdzić, czy ten wciąż mu się przygląda.

I wtedy zobaczył coś, co w pierwszej chwili wydało mu się przywidzeniem. Dumny rumak Lugera miał dziwnie wyglądającą pęcinę, która nagle pogrubiała się i przybrała kształt długiej, chudej dłoni wskazującej aspidistrę. Kiedy zdumiony Mariah zrobił krok do tyłu, dłoń wskutek anamorfozy zmieniła się z powrotem w przednią nogę konia, tuż nad czarnym kopytem.

Spojrzał w stronę aspidistry, zastanawiając się, czy to przypadek, że tajemnicza dłoń wskazywała właśnie tam. Zerknął na plan hotelu i dopiero teraz na brzegu strony dostrzegł

małego złotego lwa - dokładnie w miejscu, w którym stała wielka roślina.

Zrobił krok w stronę obrazu i zobaczył, że końska pęcina znów zmienia się w dłoń - była widoczna jedynie z tego miejsca, gdy patrzyło się na obraz pod odpowiednim kątem. Zastanawiało go, czy ktoś ją kiedyś zauważył i skąd się tam wzięła. Jeżeli pan Luger osobiście zamówił ten obraz, z całą pewnością wiedział o ukrytej dłoni. Mariah podbiegł do aspidistry i znów spojrzął na obraz. Luger wciąż spoglądał z wyżyn siodła, ściskając w ręce wodze, a koń unosił się na tylnych nogach, jakby szykując do skoku. Gronostajowa peleryna spływała po ramionach jeźdźca i powiewała na zimowym wietrze. U pasa wisiał długi miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści lśniącej w promieniach zachodzącego słońca, które rzucało długie cienie w kierunku odległego zamku na stromym wzgórzu.

Mariah przypatrzył się ogromnej roślinie i mosiężnej donicy. Na lustrzanej powierzchni ujrzał rozmazaną czerwoną szminkę - najwyraźniej Monika niepostrzeżenie pocałowała własne odbicie. Silna woń perfum wciąż unosiła się wśród liści, na których widniały ślady białego pudru. Miał wrażenie, że kobieta wciąż tam jest, że jej ciemne, roziskrzone oczy przyglądają mu się z ciemności. Na chwilę przymknął powieki, szukając w pamięci jej oblicza.

Z rozmarzenia wyrwał go dzwonek windy, który rozległ się gdzieś w dole. Z początku był tylko dalekim echem w głębi szybu, lecz z każdą chwilą wibrował coraz głośniejsze i rozchodził się po korytarzu. Nad drzwiami do kabiny wysunęła się ze ściany szklana tabliczka z napisem Drzwi. Winda zgrzytała, lecz nie mogła się zamknąć i odpowiedzieć na wezwanie ręki, która gorączkowo naciskała guzik.

Mariah zrozumiał, że ktoś próbuje zawołać windę na dół. Ostatni raz spojrzął we wnękę, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność i sprawdzić, czy niczego tam nie schowano. Nigdzie jednak nie widział lwiej głowy z książeczki, a jedynie dumną aspidistrę otoczoną z trzech stron dębową boazerią. Dopiero po chwili - kiedy osoba wzywająca windę zaczęła dzwonić jeszcze głośniejsze i jeszcze wścieklej - dostrzegł w cieniu donicy jakiś srebrny błysk: coś ukrytego przed światem pod mosiężnym naczyniem na czterech szponiastych nogach.

Spróbował podnieść donicę oburącz. Ale jakaś tajemna siła trzymała ją w miejscu, jakby mosiężne szpony ukradkiem wpiły się w drewniany stojak, broniąc skarbu znajdującego się pod spodem. Mariah wcisnął czubek dłoni pod donicę i dotknął chłodnej stali zagadkowego przedmiotu. Potem stopniowo, małym palcem wysunął go spod naczynia.

Miał przed oczyma głowę okazałego klucza z wyrytymi literami CCCLXVI. Rozejrzył się na boki, najpierw ku dębowym drzwicom, potem ku windzie. Zerknął do góry na portret

księcia. Luger uważnie śledził wszystkie jego ruchy. W mgnieniu oka Mariah chwycił klucz i wpełchnął za cholewkę prawego buta, jednocześnie sprawdzając, czy pod ogromną rośliną nie ukryto czegoś jeszcze. Kiedy odwrócił się ku drzwiom do teatru, opadły go wątpliwości, czy słusznie zrobił, kradnąc klucz, ale w głębi duszy czuł, że nie miał wyjścia - musi pokazać go Sączy i znaleźć drzwi, do których pasuje.

Wmówił sobie, że Monika wiedziała, iż schował się w cieniu, i dlatego zostawiła mu klucz, a pocałunek był prezentem powitalnym od niej dla niego. Przechodząc chyłkiem obok windy, słyszał, jak Luger krzyczy na Monikę, a jego słowa odbijają się wściekłym echem od ścian szybu. Mariah zdjął łańcuch, a metalowe drzwi natychmiast się zamknęły, omal nie przytrzasnąjąc mu ręki. Winda ze stukotem pomknęła w dół wśród kłębow gorącej pary.

Wielki Basmala

Hotel Regent był jak wspaniały statek transoceaniczny. Każdy korytarz mienił się pozlota, każde drzwi wykonano z najlepszej dębiny, a wszędzie dało się słyszeć dyskretny pomruk maszyny parowej ukrytej głęboko w piwnicy. W porze przyływu, kiedy fale pieniły się wściekle u jego podnóża, Regent przypominał okręt wojenny wyruszający w morze pod pełnymi żaglami, ceglany pancernik z wysokimi wieżami obok dymiących kominów.

W głębinach jego przepastnych trzewi, wysoko ponad linią największego przyboju wody, znajdował się teatr. Mariah popchnął drzwi i wszedł do środka. Panowały tam ciemności, z wyjątkiem fragmentu sceny z pomalowanych desek, którą oświetlała skwiercząca lampa. Nie było widać ani słyszeć żywej duszy. Przed wysokim łukiem proscenium ciągnęły się rzędy krzeseł wyściełanych czerwonym aksamitem, okutych zimnym żelazem i pozłacanych. Przed sceną, w cieniu głębokiej fosy orkiestrowej, rysowały się kształty najrozmaitszych instrumentów muzycznych.

Mariah przysiadł nieśmiało na skrajnym krześle w ostatnim rzędzie. Oswoiwszy oczy z ciemnością, sięgnął za cholewkę prawego buta i wyciągnął klucz. Przyjrzał mu się w półmroku, trzymając go blisko ciała, w razie gdyby ktoś wszedł i trzeba go było szybko schować. Przesunął palcami po ciepłej krawędzi i wyczuł pod opuszkami wypukłe litery.

- Co ja najlepszego zrobiłem? - powiedział głośnym półszepcetem i zarumienił się ze wstydu. Klucz zadrżał w jego dłoni. Mariahowi przyszło do głowy, żeby wrócić pędem na korytarz i wsunąć klucz z powrotem pod roślinę. Ten, kto go tam ukrył, wkrótce zorientuje się, że zniknął, i zacznie szukać winowajcy.

Zaraz jednak naszała go inna, uporczywa myśl. Spojrzał na rękaw surduta i dotknął szerokiego, czarnego mankietu, dwukrotnie podszytego i raz podwiniętego. Miał wrażenie, że

Feliks podpowiadał mu, co ma robić - jak gdyby zadaniem Mariaha było odegranie jakiejś niedokończonej roli.

- Feliks - powiedział na głos. - To był Feliks... ale dlaczego?

- Bez namysłu wsunął klucz w wąską szparę między mankietem a rękawem, wpychając go jak najgłębiej.

Zamiar odłożenia znaleźiska na swoje miejsce szybko się rozwiął. W głębi ducha Mariah wiedział, że będzie z tego nieszczęście, ale z jakiegoś powodu klucz nabrał w jego oczach wielkiej wartości i na samą myśl o nim chłopiec odczuwał podekscytowanie.

Uśmiechnął się do siebie i poklepał surdut. Klucz spoczywał teraz w bezpiecznym miejscu. Mariah czuł, że nie on pierwszy wpadł na ten pomysł, że klucz już kiedyś był tam schowany - do czasu aż ktoś go znalazł. Wzbierało w nim przedziwne uczucie. Siedział wpatrzony w fosforyzujące światło, które kładło długie, cienkie paluchy cienia na wysokie ściany. Ospałym wzrokiem spojrzał na sufit, słabo rozjaśniony tysiącem iskierek niczym nocne niebo.

- Miał tu być godzinę temu. - Teatr rozbrzmiał męskim głosem, a na deskach sceny rozległ się miarowy łoskot. - Jak mam uczyć kogoś, kogo nie ma? - spytał retorycznie Basmala, wytaczając zza kulis długą skrzynię.

- Coś go zatrzymało - odparła Sacza. Niosła ogromną piłę i dwa kanciaste noże wielkości talerzy z sutego obiadu. - Może pan Luger gdzieś go posłał. Na pewno zaraz się zjawi - świergotała, drepcząc w ślad za nim.

- Jak mam go przeciąć wpół - biadolił Basmala, ustawiając skrzynię pośrodku sceny - skoro nie przychodzi? - Rozejrzał się wkoło, jakby czegoś zapomniał. - Prawdopodobnie już niedługo to będzie jej sztuczka. Oby to spartaczyła i naprawdę przekroiła chłopca. - Uśmiechnął się złowieszczo, przyczesując krzaczaste brwi patykowatymi paluchami. - Miałaby wtedy krew na rękach... zniknęłaby stąd raz na zawsze. Trudno się wyratować od stryczka, gdy policja ma trzystu sześćdziesięciu pięciu naocznych świadków morderstwa - dodał mrożącym krew szeptem.

- Bardzo pana przepraszam, panie Basmalo - zawołał Mariah, zrywając się z aksamitnego siedzenia i zbiegając po schodach ku scenie. - Pan Luger miał mi dużo do powiedzenia, a do tego w połowie uciał sobie drzemkę...

- Cały on - jęknął Basmala. - Będę od ciebie oczekiwał punktualności. Feliks miał brzydki zwyczaj spóźniania się i proszę, jak skończył.

- Jak skończył? - podchwyciła Sacza, kładąc piłę i noże na deskach sceny.

Basmala wyraźnie się stropił i zakasłał nerwowo.

- Uciekł - wymamrotał. - Wszyscy uciekają, tęsknią za domem, wytrzymują najwyżej kilka tygodni. A może ona ich zjada... - Spojrzał na Mariaha. - Teraz mogę ci wreszcie pokazać, na czym polega twoja praca. To bardzo proste. Ja jestem od magii, a ty... ty masz tylko dać się pokroić.

Iluzjonista dał znak Sączy i otworzył wieko skrzyni. Dziewczyna pobiegła za kulisy i przyniosła stamtąd krzeselko, po którym wdrapała się do środka. W jednym końcu skrzyni był otwór na głowę, w drugim - dwa mniejsze otwory na stopy. Sacza ułożyła się tak zwinnie, jakby robiła to po raz tysięczny. Potem uśmiechnęła się do Mariaha, który tymczasem wszedł na scenę po schodkach i patrzył niespokojnie, jak Basmala ceremonialnie opuszcza wieko i zamyka je dużym złotym kluczem, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w jego dłoni, a później znów zniknął bez śladu.

- Szanowni państwo - zaczął, jak gdyby zwracał się do publiczności - Wielki Basmala zaprezentuje wam czary, jakich jeszcze nie widzieliście. Za chwilę przekroję wpół tę oto młodą damę, a potem ją uzdrowię. Mam do państwa tylko jedną prośbę: zachowajcie milczenie.

Mariah, który nie wiedział, czego się spodziewać, cofnął się okrok. Spojrzał na spokojną, uśmiechniętą Sączę, próbując przyciągnąć jej wzrok.

Basmala sięgnął po noże i wsunął je od góry w skrzynię, jeden po drugim. Sacza krzyczała i skręcała się z bólu, jej stopy wierzgały, trzęsły się, w końcu zamarły w bezruchu. Głowa opadła na bok, oczy się zamknęły.

- Widzicie? - wykrzyknął Basmala. - Nie żyje! Aby przekonać niedowiarków, na państwa oczach przepiłuję skrzynię.

Chwycił piłę i z błyskiem w oczach przystąpił do dzieła. Mariah nie mógł się temu dłużej przyglądać. Podbiegł do Sączy, a ona, słysząc jego kroki, otworzyła jedno oko i mrugnęła.

- To tylko sztuczka, Mariah. Wcale nie umarłam...

- Pomóż mi, chłopcze - zawołał Basmala, przerznąwszy pudło na wskroś. - Obróć skrzynię, tak żeby wszyscy widzieli, że to najprawdziwsze czary.

Wspólnymi siłami obrócili połówki skrzyni. Z jednej zwisała głowa Sączy. Z drugiej wystawały jej stopy w czarnych lakierkach i białych pończochach.

- A teraz - wykrzyknął Basmala - przywróć ją do życia!

- To rzekłszy, dmuchnął w otwartą dłoń. Srebrzysty proszek wzbił się w powietrze, fioletowe i niebieskie płomyki zatańczyły na jego dłoni jak świetliki, po czym rozbłysły oślepiającym, białym światłem, spowijając skrzynię drżącym, zimnym płomieniem.

Sacza jęczała i wyła w męczarniach. Odchyliła głowę i spojrzała na Mariaha, a potem w bok, na swoje stopy wystające z drugiej skrzyni.

- Żyjesz? - zapytał Basmala. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Sacza żyła, choć najwyraźniej bardzo cierpiała. Nie czekając na odpowiedź, iluzjonista rozkazał: - W takim razie poruszaj stopami.

Oślupiały Mariah patrzył, jak dziewczyna porusza stopami to na boki, to w górę, to w dół.

- Widzicie? Została przekrojona w pół, lecz Wielki Basmala przywrócił jej władzę w nogach. - Iluzjonista położył ręce na skrzyni i obrócił ją na kółkach. Oddzielone od tułowia stopy Sączy wciąż się ruszały. - Panuje nad ciałem za pomocą nitki wyobraźni.

Mariah nie mógł wyjść ze zdumienia. Czy to sztuczka, czy jednak za rozpołowieniem Sączy kryło się czarnoksiężstwo? Basmala dostrzegł wyraz zdziwienia na twarzy chłopca i zaśmiał się cicho, skubiąc pasma długich wąsów.

- A teraz - powiedział najbardziej donośnym głosem, jaki zdołał z siebie wydobyć - tajemne siły prastarej magii na powrót złączą wszystkie części w jedno ciało. - Skinął na Mariaha, by obrócił drugą skrzynię w jego stronę, po czym dokładnie złączył połówki. Następnie zaczął wyciągać z rękawa czerwony materiał, który zdawał się nie mieć końca, i wkrótce zakrył nim obydwie skrzynie. Potem włożył ręce pod tkaninę, wysunął noże i cisnął je na podłogę. - Już czas - oznajmił, po czym wyrzucił wysoko w powietrze dwa białe gołębie, które magicznym sposobem znalazły się pod jego marynarką. Jeden z ptaków krążył wysoko nad głową iluzjonisty, drugi spadł na scenę i zaczął podrygiwać, nie mogąc rozłożyć skrzydeł.

Basmala znowu wyczarował klucz, wsadził go do zamka i przekręcił, po czym uniósł wieko. Sacza wyskoczyła ze skrzyni, stanęła na deskach i ukloniła się majestatycznie. Mariah zaczął bić brawo, urzeczony tym, co przed chwilą zobaczył, choć nie miał pewności, czy był świadkiem przedstawienia, czy może raczej cudu.

- Twoja pierwsza lekcja magii - pysznił się Basmala. Podeszedł do Sączy, wziął ją za rękę i razem uklonili się pustej widowni.

- Dziś wieczór twoja kolej. Nie będziesz gorszy od niej, prawda?

- A co jeśli moje wnętrzości nie będą chciały się złączyć albo nie uda mi się poruszyć stopami, kiedy znajdą się obok mojej głowy?

Sacza roześmiała się.

- To sztuczka! Fałszywe stopy są poruszane mechanicznie. Spójrz.

Wzięła go za rękę i podniosła wieko skrzyni. Na dnie ujrzał gmatwaninę drutów i

sprężyn. Z boku znajdowała się para sztucznych stóp w takich samych butach i pończochach, jakie Sacza miała na sobie, a obok - koło zębate i sprężyna śrubowa.

- Jak w zegarku - powiedziała, nakręcając mechanizm i wciskając sztuczne stopy w otwory. - Popatrz: kiedy Wielki Basmala przywraca cię do życia, naciska ten pstryczek. - Sacza uczyniła to samo i sprężyna ożyła, ruszając stopami w górę i w dół, potrząsając butami zaczepionymi na wąskich drewnianych kostkach. - Kto by się domyślił? - dodała i wyciągnęła ze skrzyni parę czarnych butów. - Mamy też takie jak twoje. Po prostu wchodząc do środka, wypychasz te stopy na zewnątrz.

- To akurat moje najmniejsze zmartwienie - powiedział Mariah, a tymczasem Basmala zakrzętała się wokół oszołomionego gołębia. - Na czym polega to całe krojenie?

Sacza uśmiechnęła się.

- Gdy tylko zamknie się wieko skrzyni, podciągasz nogi pod brodę. Noże tną powietrze. Tak samo jak piła. Na końcu spektaklu ożywasz... Tylko nie zapomnij dobrze schować nóg. Feliksowi raz wystawały i wszyscy mieli ubaw.

- Wszyscy oprócz mnie - mruknął Basmala, który cucił gołębia, uciskając mu klatkę piersiową i wdmuchując powietrze przez dziób. - Nie lubię robić z siebie pośmiewiska. Jestem gwiazdą, a ty moją kukielką. Pamiętaj o tym, a zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi.

- Oczywiście - potaknął Mariah. - Co jeszcze będę robił?

- Zamiatał, sprzątał, pastował, karmił - odparł Basmala, chowając martwego gołębia z powrotem do kieszeni, jakby to była złożona chusteczka do nosa. - A także zajmował się gołębiami...

- I węzami - wtrąciła Sacza.

- I węzami - powtórzył Basmala. - Poza tym będziesz czyścił wszystkie moje rekwizyty. Czyścił, ale nie dotykał, zwłaszcza rewolweru. Dostałem go od pana Lugera i tylko mnie wolno z niego strzelać.

- Dobrze - przytaknął Mariah i zerknął w stronę Sący w nadziei, że go dokądś zabierze. - Co teraz?

- Sprzykrzyło ci się moje towarzystwo? - spytał Basmala, przyczesując brwi paznokciami. - Niech Sacza zaprowadzi cię do piwnicy i wszystko pokaże. Jest miejsce na wszystko. Przygotuj dekoracje, kurtyny i siebie samego. To twój wielki dzień. Nic tak nie raduje serca jak huragan oklasków. To potężniejsze od wszelkiej magii.

We dwoje potoczyli skrzynię do magazynu za kulisami. Basmala zaczął chodzić po scenie i gestykulować, jak gdyby przemawiał do tłumnie zebranej publiczności. Sacza dała Mariahowi znak, żeby się nie odzywał. Złapała go za rękaw i pociągnęła w dół po długich

schodach oświetlonych tu i ówdzie mętnym światłem gazowych lamp.

Schodzili coraz głębiej i Mariah poczuł zapach morza. Klatka schodowa była dziwna: ceglane ściany prowadziły raz w jednym, raz w drugim kierunku i nie bardzo było wiadomo, na czym opierają się schody. Paluchy morskiej soli zwisały z sufitu jak sople i drżały od pomruków maszyny parowej. Mariah chciał coś powiedzieć, ale gdy tylko otwierał usta lub wydawał najmniejszy odgłos, Sacza uciszała go gestem. Dopiero kiedy zeszli kilka pięter w dół, a ściany zaczęły ociekać paskudną solanką, przystanęła i odwróciła się do niego.

- Jesteśmy teraz poniżej poziomu morza - oznajmiła. Wilgotne zielone glony niczym śliskie rękawiczki okrywały stopnie wokół jej nóg. Odwróciła się twarzą w stronę ciemnych, poplamionych zaciekami i obgryzionych przez szczury drzwi.

- Tutaj trzymamy wszystkie jego rekwizyty. Czasem w porze przypływu dostaje się tu woda i słyhać, jak zalewa korytarz - powiedziała, wskazując w głąb czarnego tunelu.

- Można zejść jeszcze niżej? - spytał Mariah z niedowierzaniem.

- Pod nami są trzy piętra - odparła z dumą, jak gdyby ten okazały budynek był jej osobistą zasługą. - Pan Luger ma tam swoje laboratorium, ale zeszłam tylko raz i nie wpuszczono mnie do środka. Można się tam dostać jedynie w czasie odpływu. Schodzi się po schodach, idzie tunelem, a potem wchodzi wyżej, nad poziom morza. Ledwo dałam radę wrócić, bo akurat woda wezbrała.

- Co jest w środku? - spytał Mariah. Ciekawiło go, że ktoś urządził sobie warsztat tak głęboko pod ziemią.

- Wiem tylko, że pan Luger pracuje tam nad swoimi wynalazkami. - Sacza powoli przekręciła klucz w zamku. - A to pomieszczenie należy do Basmali. Nikt inny tutaj nie przychodzi. Jeżeli będzie czegoś potrzebował, przyśle cię tutaj. Basmala trzyma też mnóstwo rzeczy w swoim pokoju, ale nikomu ich nie pokazuje. - Przekroczyła próg i zapaliła lampę gazową, która rozjaśniła piwniczny pokój chybottliwym blaskiem.

Oczom Mariaha ukazał się bezlik pudeł, masek, starych rekwizytów do sztuczek oraz kostiumów książąt i faraonów. W kącie siedziała lalka o lśniącej porcelanowej twarzy i wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczyma. Jej rubinowe policzki świeciły w blasku lampy, a cienkie, fioletowe usta krzywiły się na jego widok. Mariaha przeszył dreszcz. Zdawało mu się, że lalka wie, kim on jest, i że głęboko pod jej gładką skórą z porcelany martwe serce pompuje zimną krew.

Wszedł za Sączą do środka i rozmyślnie odwrócił się plecami do lalki. Dziewczynie nie zamykały się usta: opowiadała o wszystkim, co znajdowało się w piwnicy, wskazując na różne przedmioty i tłumacząc ich zastosowanie w Magicznym Spektaklu Wielkiego Basmali.

Mariah z jakiegoś powodu nie mógł się skupić na jej słowach. Przelatywały obok niego niczym zwiewna mgła. Czuł na sobie spojrzenie porcelanowych oczu, które przyprawiało go o dreszcz i jeżyło mu włosy na karku, jak gdyby nieboszczyk przeciął mu drogę. Słuchając Saczy, nie mógł się pozbyć wrażenia, że za jego plecami ktoś ciężko dyszy, a każdy oddech kończy się krótkim świstem i delikatnym kasznięciem.

Nagle jego uwagę przykuło wielkie zwierciadło. Wisiało dostojnie na przeciwległej ścianie, w ciemnej drewnianej ramie na dwóch zardzewiałych łańcuchach. Zerknął w lustro bardziej z ciekawości niż po to, by się w nim przejrzeć, i dech zamarł mu w piersiach: lalka zniknęła. Widział wyraźnie, że miejsce, w którym siedziała, było teraz puste. Jak gdyby kukielka wstała i ukradkiem wyszła z pokoju.

Sacza wciąż trajkotała, nie zdając sobie sprawy, że jej słuchacz jest nieobecny duchem. Mariah nie miał odwagi spojrzeć za siebie. Był całkiem pewien, że kiedy wchodził do piwnicy, porcelanowa lalka spoglądała w jego stronę. Siedziała blisko wejścia z ponurym grymasem na rumianej twarzyczce. A teraz, patrząc w lustro, widział samo krzesło - lalka naprawdę zniknęła...

- Aha, jeszcze jedno - powiedziała żywo Sacza, urywając swój rzeczowy wywód. - Przedstawiam ci... - Obróciła się z ręką wyciągniętą w zamaszystym geście, lecz po chwili zastygła w bezruchu. - Zniknęła... Głowę daję, że przed chwilą tu była. Widziałeś ją?

- Porcelanową lalkę? - spytał nerwowo Mariah, przesuwał się powoli w stronę wyjścia, przez które dobiegał daleki odgłos fal uderzających o kamienie.

- Jestem pewna, że ją widziałam... Siedziała w kącie, kiedy weszliśmy. - Sacza wskazała puste krzesło. - Ktoś musiał ją zabrać.

- Może sama gdzieś poszła? - spytał strachliwie Mariah, rozglądając się po piwnicy.

- To niemożliwe - zawołała Sacza i podeszła do wysokiej szafki za drzwiami, podobnej do postawionej na sztorc trumny. - Kiedyś znalazłam ją tutaj. I to w podobnej sytuacji. Pokazywałam Feliksowi piwnicę...

Mariah wolał nie wiedzieć, co jest w szafce. Spuścił wzrok na kamienną podłogę i kopnął walający się po niej kawałek drewna. Słyszał, jak Sacza otwiera drzwiczki na przeżartych przez sól, skrzypiących zawiasach.

- A nie mówiłam? Musiało mi się przywidzieć - oznajmiła Sacza, jakby dokonała wielkiego odkrycia. - Poznaj Scratty. Pochodzi z Islandii. Basmala kupił ją w porcie na wyprzedaży, ocalała z czteromasztowca, który rozbił się o skały. Wyłowiono ją z morza, dryfowała sobie uśmiechnięta... Wszyscy członkowie załogi zginęli. Niektórzy mieli na ciele ślady ząbków.

Mariah niechętnie podniósł wzrok i napotkał wąski porcelanowy uśmiech Scratty. Ubrana w sukienkę z czarnego aksamitu i zielone jedwabne pantofle zwiisała bezwładnie na długim sznurku z metalowego kołka.

Podobne leczy się podobnym

Basmala uklonił się po raz ostatni i wielka, czarna kurtyna opadła na deski. Mariah wyrzwał zza lewej kulisy przez wąską szczelinę w dekoracjach. Ogromny gazowy żyrandol, zwieszający się z ociekającego złotem sklepionego sufitu, nagle się rozjarzył. Dopiero teraz Mariah zobaczył, że występował przed pełną widownią.

Z teatru zaczął się wylewać tłum eleganckich mężczyzn i kobiet, którzy przed chwilą z trwogą patrzyli, jak Wielki Basmala przekrawa chłopca w pasie, a następnie zespala przepołowione ciało. Jediną skazą na wieczorze był fakt, że Mariah zbyt mocno nakręcił sprężynę uruchamiającą mechaniczne nogi, toteż kiedy magik nacisnął pstryczek, zaczęły wściekle wierzgać - z taką siłą, że trzęsły całym pudłem, a Mariah przez chwilę bał się, że kopną go w twarz.

Basmala, bądź co bądź Wielki Sztukmistrz, zachował zimną krew i siłą się na transoldowiański akcent, oznajmił publiczności, że chłopiec znalazł się pod wpływem jego czarów i po przebudzeniu będzie jak nowo narodzony. Później poprosił nawet pewnego podstarzałego grubasa z widowni, żeby wszedł na scenę i sprawdził, czy chłopiec ma jakieś widoczne rany. Mężczyzna uczynił to z wielkim entuzjazmem, ściskając Mariaha mniej więcej w połowie i obwieszczając wszem wobec, że z chłopca nic nie cieknie. Czego bynajmniej nie dało się powiedzieć o nim samym... Mariah musiał zacisnąć nozdrza, zachłyszawszy się paskudnym zapachem taniego wina, kilkudniowego potu i naftaliny. Po tej inspekcji publiczność przez parę minut oklaskiwała chłopca na stojąco, przyprawiając go o wstydlivy rumieniec, który rozlał mu się z karku na policzki, a nawet zaczerwienił uszy. Wreszcie Basmala odsunął skrzynię za kulisy, wyrzucając w górę gołębia, który zrobił kółko nad jego głową, po czym rozprysnął się na tysiąc srebrzystych płatków, a te z wolna opadły na publiczność.

Teraz teatr powoli pustoszał, widzowie w żółwym tempie przesuwali się ku otwartym drzwiom na długi korytarz prowadzący z powrotem do hotelu.

- To jeszcze nie koniec - odezwała się Sacza, szturchnąwszy Mariaha lekko w plecy. - Musimy teraz wszystko posprzątać. Nie ma czasu na bujanie w obłokach.

Mariah już miał odpowiedzieć, gdy nagle w tylnym rzędzie bocznego balkonu spostrzegł samotnego mężczyznę. Był ubrany w strój wieczorowy ze srebrną muchą i

rozglądał się po sali, co chwila odgarniając dłonią długie włosy. Sprawiał wrażenie, jakby kogoś lub czegoś szukał, jakby czekał, aż widowia opustoszeje. Mariah obserwował go przez wąską szparę w kulisie, ale niezbyt wyraźnie widział jego twarz. Dopiero gdy mężczyzna wstał z fotela i podszedł do balustrady, przesuając wzrokiem po pustych krzesłach, wszystko nagle stało się jasne.

- Isambard Black - Mariah odruchowo schował się w cieniu.

- Kto? - spytała Sacza, zwinnym ruchem chwytając białego szczura, który przebiegł jej między stopami.

- To ten człowiek z ogrodu. Przyjechał ze mną pociągiem z Londynu. Mówił, że ma rezerwację do marca - szeptał Mariah, a tymczasem Sacza włożyła szczura z powrotem do lufy armatki, z której go wystrzelono.

- Niech spojrzę.

Wepchnęła się przed Mariaha i zerknęła przez szczelinę.

Isambard Black zgramolił się z balkonu na parter. Sacza patrzyła, jak myszkuje po widowni, wsuwając rękę pod każdy fotel i jednocześnie rozglądając się, jakby nie chciał, żeby go przyłapano.

- Szuka czegoś - powiedziała przenikliwym głosem, który rozniósł się po scenie.

Black przestał węszyć i schował się za oparciem fotela. Przez kilka sekund był niewidoczny. Potem ostrożnie wychynął ze swojej kryjówki, szukając wzrokiem osoby, której głos zmącił ciszę. Sacza patrzyła, jak błądzi spojrzeniem po sali. Nie zdawał sobie sprawy, że głos dobiegł zza kulis. Po chwili znów zaczął sprawdzać fotele, jeden po drugim, zaglądając pod siedzenia i powoli przesuając się wzdłuż pustego rzędu.

- Uważaj - szepnęła Mariahowi do ucha. - Spytam, czego tu szuka...

Zanim Mariah zdążył odpowiedzieć, Sacza zniknęła. Stał na nogach i wyjrzawszy z kryjówki, obserwował szperającego Isambarda Blacka.

Ogromny żyrandol przygasał z każdą sekundą, jakby odcięto mu dopływ światłodajnego gazu. Daleko po prawej coś mignęło

- drzwi się otworzyły i natychmiast zamknęły. Black z pochyloną głową i zasępionym wyrazem twarzy macał podłogę pod kolejnymi fotelami.

Mariah zobaczył, że Sacza weszła do tego samego rzędu i zaczęła skradać się po cichu w stronę Isambarda, który nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

- Zgubił pan coś? - odezwała się głośno, a wystraszony Black okręcił się na pięcie i upadł na plecy.

- Ja... - bąknął, lecz najwidoczniej nie przychodziła mu do głowy żadna wymówka.

- Może pomogę panu szukać? - zaoferowała się Sacza, jakby takie rzeczy zdarzały się codziennie. - Co takiego pan zgubił?

- Spinkę do mankietu - powiedział bez namysłu. - Jestem do niej bardzo przywiązany, należała do mojego brata...

Isambard Black wstał i zaczął przyglądać się Sączy, a ona uśmiechnęła się życzliwie, po czym złapała go za rękaw i pociągnęła za mankiet koszuli.

- Taką jak ta? - spytała, chwytając złotą spinkę mocno zaciśniętą na świeżym, wykrochmalonym rękawie.

- Nie, zupełnie inną - wypalił Black, robiąc krok do tyłu, jakby nie mógł uwierzyć, że dał się nakryć. - Co ci do tego, jaka to spinka? - spytał zmienionym głosem, krzywiąc się.

- Chciałam tylko pomóc, panie Black - odparła Sacza tonem niewiniątka. - Pracuję tutaj i często znajduję różne rzeczy pozostawione przez gości. Wiem, jakie to przykre, utracić bezpowrotnie coś cennego.

- Tak, przykre - zgodził się Black. Cofnął się jeszcze o dwa kroki izmierzył dziewczynę wzrokiem. - Powiedziałaś, że tu pracujesz?

- zagadnął, grzebiąc w kieszeni. - Jeśli tak, to czy mogłabyś pamiętać o mojej zgubie? - Black wyciągnął dłoń w białej rękawiczce.

- Miałem drugą do pary, ale odkąd zamieszkałem w Regencie, nie mogę jej nigdzie znaleźć. Mój brat byłby wielce zawiedziony, gdyby się nie odnalazła. - Black trzymał w ręce małą czaszkę ze złota. Dwoje wysadzanych zielonymi klejnotami oczu błyszczało światłem ogromnego żyrandola. Otwarta szczęka trzymała się na najmniejszych zawiasach, jakie Sacza kiedykolwiek widziała.

- Co to? - spytała zauroczona.

Black dojrzał zachwyt na jej twarzy.

- Masz dobre oko i umiesz poznać rzecz zrobioną z kunsztem. Znajdź drugą, a nagrodą będzie szeleszczący banknot pięciofuntowy na różne wydatki. - Wypowiadając te słowa, kołysał złotą czaszką przed jej oczyma.

Mariah poznał, że to identyczna czaszka jak ta, którą schował pod łóżkiem. Kapitan Charity miał rację: rzeczywiście należała do Isambarda Blacka.

- Mnóstwo pieniędzy za jedną spinkę - zauważyła Sacza, dotykając palcem drogocennych oczu i zamykając miniaturową szczękę.

- To wyjątkowa para, jedyna w swoim rodzaju, nie do podrobienia. W dodatku to ulubione spinki brata.

- Pański brat musi być kimś wyjątkowym - powiedziała Sacza, siadając w fotelu i

spoglądając na sklepiony sufit.

Isambard Black nic nie odrzekł. Odwrócił się, osunął na siedzenie cztery fotele dalej i także podniósł wzrok.

- Co widzisz? - zapytał cicho wpatrzony w złote sklepienie, po którym tańczyły słabe refleksy kryształowego żyrandola.

- Nocne niebo, taniec aniołów...

- To dobrze. - Black wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł oko wyprasowanym białym rogiem. - Przyjechałem do tego hotelu, żeby odpocząć, ale jak dotąd nie zaznałem tutaj spokoju - wyznał melancholijnie.

- Moja mama mawiała, że spokoju i zadowolenia należy szukać w sobie, a nie w otoczeniu - odparła Sacza. - Żeby uzdrowić duszę, nie wystarczy wyjechać w nowe miejsce.

- W takim razie mądra z niej kobieta - uciał mężczyzna, po czym wstał z miejsca, schował złożoną chustkę do kieszeni i strzepnął lśniące drobiny kurzu z rękawów surduta. - Pamiętaj: pięć funtów. Znajdziesz mnie pod numerem trzysta sześćdziesiątym piątym. - Po chwili spojrział na Sączę z lekkim zdziwieniem w oczach. - Skąd wiedziałaś, jak się nazywam?

- Jest pan naszym gościem. Zostaje pan do marca. Pan Luger powiadomił wszystkich pracowników.

- Jesteś pewna, że wiesz to od Lugera?

- A od kogóż by innego? - odparła Sacza, przywołując na usta swój niewinny uśmiech.

- Zawraca panu głowę? - Od strony drzwi dobiegł ich ostry głos Basmali. - Sacza, wracaj do pracy. Rozmawianie z gośćmi nie należy do twoich obowiązków. - Mówił surowym tonem, idąc powoli o lasce, czarnej ze srebrnym okuciem.

- Odprowadzę pana do wyjścia. W nocy różnie bywa, a przecież nie chcielibyśmy, żeby przytrafiło się panu jakieś nieszczęście, prawda? - Basmala ruchem głowy dał Sączy znak, żeby sobie poszła, a sam zwrócił się ku drzwiom.

- Ona tylko... - próbował się za nią wstawić Black.

- Sacza wróci do pracy - oznajmił powoli Basmala, odprowadzając go do wyjścia. - Powiedz Mariahowi, żeby przed spaniem nakarmił gołębice i załadował armatę... i wypolerował miecze. To wszystko - warknął na odchodnym, ciągnąc Blacka za rękaw.

Kiedy Basmala z Isambardem opuścili teatr, Mariah wyszedł na scenę, zeskoczył z niej i sadząc susy jak gazela ponad rzędami krzeseł, podbiegł do Sączy.

- Prędko - zawołał niecierpliwie, jakby miał jej do przekazania pilne nowiny. - Wracajmy do wieży, do mojego pokoju. Muszę ci coś pokazać.

- Ale Basmala powiedział... - zaprotestowała Sacza.

- Później się tym zajmimy. Nie mówił, że mamy to zrobić w tej chwili. Gołębie są najedzone i nigdzie nie odlecą, a my sprzątamy od rana. Proszę cię.

- Ale wrócimy tutaj? - upierała się Sacza, spojrzawszy na zegar wiszący pod balkonem. - Za godzinę? Słowo?

Winda parowa z furkotem wspinała się na ostatnie piętro hotelu. W kącie ktoś zostawił parasol z białą rękojęcią w kształcie łabędziej głowy. Był ciasno ściśnięty paskiem owiniętym kilka razy wokół lśniącego, czarnego materiału i zawiązanym w supełek.

- Zawsze chciałem taki mieć - powiedział Mariah, podnosząc parasol i targając ciasny supeł. - Mój ojciec miał podobny. Nosił go wszędzie, nawet w słoneczną pogodę.

Winda zatrzęsała się gwałtownie i zaczęła zwalniać. Mariah chwycił się mosiężnej poręczy, która biegła wokół rozdygotanej kabiny. Buchająca para wypełniła szyb, tak że ledwie widział Sączę.

- Chyba nie dojedziemy na samą górę. Czasem wyłączają generator pary, żeby ostudzić kocioł. Raz utknęłam w windzie na parę godzin. - Ostatnie słowa Sączy zginęły w zgrzycie zatrzymującej się kabiny. Lampa gazowa przygasła i zrobiło się ciemnowo. - Otwórz drzwi - powiedziała. - Może jednak się udało.

Mariah przewiesił parasol przez ramię i odsunął ciężkie drzwi. Winda stanęła tuż pod wieżą. Wyjrzał na długi korytarz, po czym obrócił się do Sączy i wskazał drzwi do pokoju.

- Trzy... sześć... pięć - wyszeptał. - Isambard Black.

Mariah wyszedł z kabiny i zaczął nasłuchiwać pod drzwiami.

Ze środka nie dochodził żaden odgłos, tylko głucha cisza. Pośrodku drzwi widniała mosiężna tabliczka.

- Nie ma go - powiedział cicho Mariah. - Tu jest napisane, że wyszedł.

Na schodach obok windy rozległy się kroki.

- Chowajmy się - szepnęła Sacza, otwierając drzwi do kredensu po drugiej stronie windy i wskakując do środka. - Prędko!

Mariah wcisnął się do wnęki pełnej starych imbryczków i zakorkowanych, pustych butelek.

- Ostrożnie - powiedziała Sacza, kiedy przyparł ją do ściany, zostawiając w drzwiach niewielką szparę, która rzucała smużkę światła na jego policzek.

Drzwi do klatki schodowej otworzyły się. Basmala wkroczył na piętro z laską w ręce; wściekły przeciąg niczym zionący smok nadymał mu poły fraka. Iluzjonista przystanął przed drzwiami na wprost windy i spojrział w głąb korytarza, nie wiedząc, że jest obserwowany.

Wyjął z kieszeni klucz, umieścił go w zamku i obejrzawszy się ponownie, przekręcił. Potem zniknął w ciemnym pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Basmala wszedł do pokoju Isambarda Blacka - powiedział Mariah. Jednocześnie na schodach znów rozbrzmiały kroki, tym razem piętro wyżej. Drzwi na korytarz ponownie się otworzyły.

Isambard rozglądał się niespokojnie i bawił spinką na lewym rękawie. Wyglądał jak zmokła kura wysmagana wichrem. Stał w niedbalej pozie, rozchełstany, z potarganymi lokami. W ręce ścisnął swój cylinder, zmięty i poszarpany, ze zwisającymi nitkami jedwabiu. Mariah widział przez szparę, jak Black wyciera strużkę błota z twarzy, a potem przetrząsa kieszenie, upuszcza kapelusz na podłogę i patrzy, jak ten toczy się w stronę kredensu.

- Co za życie... - złorzeczył, schylając się po cylinder.

- Najpierw zgubiłem parasol, a teraz jeszcze ten kapelusz - powiedział głośno, jak gdyby wiedział, że ktoś go słyszy. Podniósł sponiewierany cylinder z podłogi, sięgnął do kieszeni po klucz i otworzył drzwi do pokoju. Smuga złotego światła z lampy gazowej wylała się na ciemny korytarz, rozjaśniając wzorzysty dywan, który ciągnął się wzdłuż korytarza między wąskimi pasami ciemnego parkietu. Isambard Black rozejrzał się, a potem wszedł do środka. Zanim zamknął za sobą drzwi, wyściubił jeszcze głowę na korytarz, podobny do rozgniewanej sroki, zerkając znad swego długiego nosa, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledził.

- W środku jest Basmala - odezwała się Sacza głosem cichym jak oddech.

- Możemy stanąć pod drzwiami i posłuchać, o czym rozmawiają - szepnął Mariah, mocując się z parasolem, którego właścicielem okazał się Isambard Black. - Gdyby Basmala był nieproszonym gościem, Black zrobiłby mu awanturę. Widocznie to umówione spotkanie. Kiedy zobaczyłem go w pociągu, od razu wydał mi się podejrzany. - Mariah zniżył głos jeszcze bardziej, tak że Sacza musiała czytać z ruchu jego ust. - Mam w pokoju tę drugą spinkę. Upuścił ją w przedziale. Ale mam coś jeszcze, coś naprawdę niesamowitego. - Mariah nabrał powietrza. Wiedział, że może jej powierzyć sekret. - Dostałem to od pewnego człowieka na stacji Kings Cross. Prosił, żebym to dobrze schował i dał mu znać, gdzie jestem, a wtedy zgłosi się po odbiór. - Mariah urwał i zerknął przez szczelinę, nasłuchując najcichszego dźwięku. Potem spojrzął w półmroku na Sączę.

- I znalazłem coś jeszcze. Coś, co przede mną znalazł Feliks. Klucz.

- Klucz? Co za klucz? - spytała Sacza. Otworzywszy drzwi kredensu, wstała z kucek, po czym ruszyła ostrożnie w stronę pokoju Blacka. Zanim Mariah zdążył odpowiedzieć na jej pytanie, uciszyła go stanowczym gestem i przyłożyła ucho do drzwi.

Z wnętrza pokoju dobiegały stłumione głosy. Sacza wskazała drzwi na klatkę schodową i robiąc wielkie oczy, dała Mariahowi sygnał, żeby przygotował drogę ucieczki. Basmala i Isambard Black mówili szybko, w niezrozumiałym dla niej języku.

- O czym rozmawiają? - spytał Mariah, otwierając drzwi na klatkę schodową.

W pokoju rozległ się głuchy odgłos, a potem ciężkie kroki.

- Ktoś nas podsłuchuje! - zawołał Basmala. - Otwórz drzwi!

Jednocześnie na schodach rozbrzmiały kroki.

- Dwie awarie w jednym dniu. - Język Moniki poruszał się szybciej niż jej stopy w butach na szpilkach. - Proszę cię, Ottonie, napraw tę windę, zanim mi nogi odpadną.

Klamka w drzwiach pokoju zadrżała. Black siłował się z kluczem. Sacza z przestrawieniem w oczach spojrzała na Mariaha.

- Winda! - rzucił przez zęby chłopiec, w chwili gdy przeciąg zatrzasnął drzwi na klatkę schodową.

Sacza rzuciła się ku otwartej kabinie, a Mariah w krok za nią. Zamknął z łoskotem metalowe drzwi z nadzieją, że maszyna ostatnim tchem dowiezie ich na wyższe piętro.

- Padnij! - krzyknął, wciskając guziki jeden po drugim. Isambard Black wreszcie otworzył drzwi swojego pokoju.

Wyrwana ze snu winda głośno syknęła i warknęła. Wydawszy z siebie jęk, zadrżała od słabego ciśnienia, które zebrało się w rurach. Potem bez ostrzeżenia, w mgnieniu oka zleciała półtora metra w dół. Przez ten ułamek sekundy Mariah i Sacza oderwali się od podłogi i unosili w powietrzu jak nasiona dmuchawca, po czym wylądowali z hukiem. Winda znów stała w miejscu...

Sacza przeturlała się na bok.

- Myślisz, że się udało? - zapytał Mariah. Wstał i otrzepał spodnie z kurzu, nie przejmując się zbyt koleżanką.

- Otwórz drzwi - powiedziała prędko. - Musieli słyszeć windę i zaraz do nas zbiegną. Trzeba uciekać.

Mariah szybko chwycił drzwi i odsunął je. Widok, jaki się przed nim ukazał, bardzo go zaskoczył. Nie byli już w hotelu, lecz w jakimś zupełnie innym miejscu. Na wprost windy stał wielki zegar wielkości dorosłego człowieka. Na okrągłej drewnianej tarczy długa złota wskazówka odmierzała sekundy... wstecz.

Natłok sprzeczności

W dwóch susach Mariah opuścił windę - i Sączę. Tykanie wielkiego zegara i ruch

sekundnika wywabiły go na długi, rześcicie oświetlony korytarz. Sacza podążyła za nim, podnosząc parasol z podłogi i wpychając go w szynę drzwi, tak by nie mogły się zamknąć. Poszukała wzrokiem wyjścia na klatkę schodową, która powinna się znajdować na prawo od szybu, lecz ku swemu zdumieniu zobaczyła jedynie ścianę przykrytą od podłogi aż po sufit wypukłą tapetą w ogromne, czerwone łabędzie o przeszywających, czarnych oczach. Na przeciwległej ścianie w równych odstępach widniały ciemne dębowe drzwi w polerowanych mosiężnych framugach. Nie miały klamek ani zamków, a jedynie okrągłe mosiężne tabliczki z wąskim, szczerbatym otworem.

- Musimy wracać do wieży - nalegała Sacza, pociągając go raz i drugi za rękaw. Mariah wpatrywał się nieruchomo w świszczący zegar i jego dwie złote wskazówki: jedna obracała się do przodu, a druga wstecz.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał, przyglądając się złotym cyfrom okalającym tarczę zegara.

- Pierwszy raz jestem na tym piętrze. Myślałam, że znam cały hotel jak własną kieszeń, ale... - Wyglądała na zdziwioną, chłonęła wzrokiem widok osnutych srebrem kryształowych lamp zwieszających się z sufitu. - Popatrz, świecą bez gazu. Są bardzo jasne...

- Sacza zasłoniła oczy przed blaskiem płonących kryształów. - Nie możemy tu zostać, Mariah. Jeżeli Basmala zejdzie schodami, nie będziemy mieli gdzie się schować.

Mariah nic nie odpowiedział. Stał na wprost drewnianej tarczy i patrzył, jak wskazówki obracają się coraz szybciej. Z każdym tyknięciem sekundnika, z każdą szybko mijającą godziną narastała w nim chęć, by wyciągnąć rękę ku obracającym się ostrzom, zanurzyć ją w otworze z korbką i w jednej chwili wstrzymać cały mechanizm. Wskazówka godzinowa błyskała jasno w oślepiającym blasku żyrandoli, świecąc mu w oczy złotymi refleksami. Druga wskazówka rozmazywała się w oczach jak bicz i kręciła wokół tarczy w takim pędzie, że jej wierzchołek odginał się do tyłu.

Mariah powoli wyciągnął rękę w stronę błyszczących ostrzy.

- Nie! - zawołała Sacza. - Utną ci palce!

Zapatrzony w zegar chłopiec dopiero teraz ocknął się.

- Co takiego? - wymamrotał, jakby przed sekundą odzyskawszy przytomność.

- Basmala i Black słyszeli, jak wbiegaliśmy do windy. Musimy uciekać - powtórzyła Sacza i znów pociągnęła go za rękaw, a potem zaczęła szukać drzwi prowadzących do wieży.

- Musi być jakieś wyjście...

Mariah podążył za nią. Nie mógł się otrząsnąć z letargu, w jaki wprowadził go furkot zegarowych wskazówek i głuche bicie sekund, bach, bach, bach, przenikające go na wskroś,

potrzęsające każdą kością i każdym mięśniem, aż miał wrażenie, że jego ciało to jedna wielka galareta.

- Pomóż mi szukać - krzyknęła Sacza, biegnąc wzdłuż korytarza i napierając kolejno na drzwi. Żadne nie chciały się otworzyć.

Mariah znów poczuł wołanie zegara. Chciał stanąć przed nim i zanurzyć się w rytm upływającego czasu. Wirujące wskazówki wprawiały go w stan hipnotycznego zachwytu.

- Już idę - powiedział w oszołomieniu i ruszył niepewnym krokiem po miękkim, wzorzystym dywanie. W oddali dojrzał okno w mosiężnej ramie, na wpół zasłonięte grubą aksamitną kotarą, z której spoglądały łabędzie. - Tu nic nie ma - wymamrotał z roztargnieniem, podczas gdy Sacza gorączkowo szukała wyjścia.

- Musi gdzieś być! - krzyknęła dziewczyna, potrącając go w biegu. Doskoczyła do okna i rozsunęła zasłonę.

W mosiężnych ramach nie było szyb - jedynie czarne kwadraty otoczone świeżym kitem, który pachniał naftą i wodorostami. Sacza zastukała w okno koniuszkami upiornie białych palców i rozległ się głuchy odgłos uderzenia o gruby metal. Bez słowa pociągnęła za skrzypiącą mosiężną klamkę. Doszedł ich syk uciekającego powietrza, jakby otworzyła słoik zagotowanych konfitur. Do środka zaczął się sączyć zapach morza, strzępy mgły rozsnuły się wokół ich nóg.

- To nie okno, tylko tunel - powiedziała Sacza, ciągnąc ramę do siebie. - Spójrz!

Mariah przetarł oczy, nie mogąc się uwolnić od tykania zegara. Ciemny otwór w ścianie zdawał się nie mieć końca.

- Oto i wyjście - oznajmiła Sacza, głośno dysząc. - Ale skoro już tu jesteśmy, może powinniśmy się rozejrzeć.

- A co z Basmalą? - spytał Mariah, przypomniawszy sobie, przed kim uciekali.

- Nie rozumiesz? Na to piętro można się dostać tylko windą. Trafiliśmy tu przypadkiem. Gdyby pompa parowa nie stanęła, zjechalibyśmy z powrotem do teatru, ale stało się inaczej. Ciągłe jesteśmy w hotelu, tyle że między piętrami, na ukrytej kondygnacji, a ten tunel prowadzi do morza. Nie mów, że nie czujesz tego zapachu.

- W takim razie którzy oni się tutaj dostają?

- Zatrzymują windę albo przechodzą tunelem. Ale nie sądzę, żeby Basmala i Isambard Black wiedzieli o tym miejscu. To tajemnica pana Lugera.

- Skąd wiesz?

- To proste - skwitowała z irlandzkim akcentem. - Spójrz na te łabędzie: wszędzie ich pełno. Luger ma pierścień z takim samym herbem, widziałam go w teatrze, kiedy przyszedł

popatrzeć, jak Monika mnie przekrawa. Siedział w pierwszym rzędzie i palił cygaro, a na tłustym paluchu miał pierścień wielkości suwerena.

- Po co mu sekretne piętro?

- Jest właścicielem hotelu, sam go wybudował i może robić, co mu się podoba. Teraz już wiem, gdzie się ukrywa. Czasami znika na długie godziny i nie można go znaleźć. Założę się, że przychodzi tutaj. Patrz - wskazała drzwi za plecami Mariaha.

- Tu są jakieś litery. Myślisz, że to jego nazwisko zapisane po łacinie? CCCLXVI.

- Widziałem je na zegarze. To nie litery, to cyfry rzymskie - powiedział szybko Mariah. - Ten klucz, o którym ci mówiłem, który znalazłem na korytarzu przy windzie, obok portretu Lugera na koniu... Zobaczyłem go pod aspidistrą i schowałem.

- Mariah pogrzebał w rękawie surduta i wy dobył klucz. - Cyfry się zgadzają.

- Sprawdźmy, czy pasuje - zawołała Sacza, wrywając mu go z ręki i przypatrując się cyfrom na breloku. - Zobaczymy, co jest w środku.

- Nie, Sacza - zaprotestował Mariah - nie powinniśmy zaglądać do cudzych pokoiów.

- No to po co go brałeś? Żeby go zwrócić?

- Nie wiem - odbąknął. - Całkiem możliwe.

- A może chciałeś sam poszukać tego pokoju, wkraść się do środka i coś zachachmęcić - powiedziała szybko, szukając właściwych drzwi. - Ale przypadek sprawił, że trafiliśmy tu razem. Chodź, rzucimy tylko okiem. A potem odłożymy klucz na miejsce.

- Ja nie wchodzę. Narobimy sobie biedy. Luger już wie o maszynie do kąpielii. Rano słyszałem, jak o niej mówił. Jeżeli się dowie, że tu myszkowaliśmy... będę skończony.

- I tak jesteśmy skończeni. Jak mam wisieć, wolę przynajmniej wiedzieć za co. Poza tym może znajdziemy inne przejście do wieży.

- Sacza poszukała wzrokiem dziurki od klucza. - Zostawimy otwarte okno, żebyśmy w razie czego mogli uciec. Gdzieś w tych drzwiach musi być zamek, ale go nie widzę.

- Bo nie jest w samych drzwiach, tylko gdzie indziej - zauważył Mariah, wskazując na szeroką framugę. Tuż nad parkietem w mosiądzu widniała niewielka dziurka od klucza. - Zrób to sama. Ja tu poczekam i postoję na czatach.

Sacza popatrzyła na niego z przelotnym uśmiechem. Niepokój na jego twarzy zdradzał, że Mariah wolałby teraz być w zupełnie innym miejscu.

- Pomyśl o tym jak o grze - zasugerowała, schylając się i wkładając klucz w zamek. - Co mogą nam zrobić? Jeżeli nas zwolnią, znajdę ci inną posadę. W tych stronach praca leży na ulicy.

- Nie mogę przestać myśleć o Feliksie. Jak gdyby ciągle tu był i próbował mi coś

powiedzieć. Kiedy znalazłem ten klucz, od razu wiedziałem, że Feliks miał go kiedyś w ręce. Jakbym słyszał głos tego klucza.

- Gadający klucz? I co jeszcze, Mariah? - Sacza przekręciła klucz w zamku i popchnęła drzwi.

Silny zapach cygarowego dymu wypełnił z pokoju niby gęsta mgła. Drzwi były zaskakująco ciężkie. Mariah pomógł Sączy je otworzyć, a ona klękła i na czworakach weszła do środka. Mariah przyjrzał się krawędzi drzwi: były zrobione z litego metalu przykrytego drewnianymi listwami.

Zaglądną do środka z jasnego korytarza, widział ciemne kąty z długimi cieniami, jakie rzucało wpadające światło. Pokój był zagracony. Na wprost dużego ceglaneanego kominka, w którym tlił się popiół, stały dwa skórzane krzesła z wąskim oparciem, a przed nimi wąski stół obity czerwoną skórą. Pośrodku stołu znajdowała się ogromna szklana czara wypełniona zatęchłym, szarym popiołem. Z jej krawędzi zwisał tłący się niedopałek grubego cygara w złotej opasce. Znad kominka spoglądała groźnie wypchana głowa tygrysa z rozdziawioną paszczą i wywieszonym z boku językiem - oraz ze śladem po kuli między oczyma. W kącie rysowała się jeszcze jedna para drzwi, zaryglowana mosiężnymi zasuwami.

Sacza weszła głębiej i wstała z kolan, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje - z bliska śledzi jej ruchy. Obróciła się w bok i ujrzała wysoką, złoconą skrzynię, pionowy sarkofag wyrzeźbiony w kształt człowieka, z namalowaną, czerwono-niebieską twarzą i zielonymi oczyma w złotych obwódkach. Głowę zdobiła wycięta w drewnie korona. Malowidło przyglądało jej się z ponurym uśmiechem ognistoczerwonych ust.

- Mariah, spójrz - szepnęła, odsłaniając trumnę. - Co to?

Mariaha wcale nie korciło, żeby wejść do środka. Jakiś głos podpowiadał mu, że gorzko pożałuje, jeśli przekroczy próg tego zakazanego miejsca. Wychylił się ostrożnie do przodu, oparty dłonią o framugę. Sacza wskazała sarkofag.

- Wygląda jak trumna - powiedział, wychylając się jeszcze bardziej. - Jak w jakimś grobowcu. Widziałem kiedyś podobny rysunek w „London Gazette”. Jedną taką trumnę skradziono z Muzeum Brytyjskiego. Złodzieje myśleli, że jest wypełniona złotem.

- Zajrzemy do środka? Może wyjdziemy stąd bogaci - szepnęła Sacza i nie czekając na odpowiedź, przesunęła dłonią po krawędzi sarkofagu, jakby szukała szpary, żeby podważyć wieko.

- Tam może ktoś być - bąknął Mariah i na samą myśl o tym cofnął się na korytarz. Spojrzał na boki, zerkając w stronę otwartego tunelu, a potem ku windzie. - Nie rób tego,

Sacza. Obudzisz jakiegoś nieboszczyka. Chodźmy stąd. Dość już widzieliśmy. Zawsze możemy tu wrócić. - Mariah powoli cofał się przed spojrzeniem wiszącego na ścianie tygrysa.

- Zerknę tylko raz - upierała się Sacza, podnosząc wieko i próbując wsunąć dłoń głębiej w szczelinę. - Na pewno da się otworzyć. ‘

- Zostaw to, Sacza. Czytałem, że na tych, którzy otwierają trumny, spada klątwa...

Lecz było już za późno. Sacza wsunęła rękę do środka i podważyła wieko. Przez chwilę stawiało opór, po czym nagle ustąpiło z cichutkim jękiem, uwalniając zapach suszonych fig. Sacza powoli otworzyła trumnę. Gęsta chmura kurzu spowiła jej stopy, a potem wzbila się do góry, zakrywając ją całą niczym rój czarnych much. Wystraszony Mariah schował się za drzwiami. Czarny pył rozsypał się jak piasek po froterowanej podłodze.

- Widzę... Widzę... - Sacza odsunęła się od trumny, nie mogąc złapać oddechu. Zawiasy puściły i wieko z hukiem upadło na podłogę, strącając ze ściany kolekcję lśniących szabel.

Kiedy pył nieco opadł, Mariah zerknął do środka. Sacza była czarna od stóp do głów. Stała w śmiertelnym bezruchu, zakrywając usta dłonią, wpatrzona w ciemność.

- Co tam jest? - spytał Mariah, widząc przerażenie na jej twarzy. Nie miał odwagi sam wyjrzeć zza drzwi.

- Feliks! - wyjąkała z trudem przez wyschnięte gardło.

- To... Feliks. Nie żyje. - Pył powoli opadał i coraz wyraźniej widziała twarz swojego przyjaciela. Feliks patrzył na nią martwym wzrokiem woskowych oczu w stężalej trupiej twarzy.

Sacza wsadziła sobie pięść do ust, żeby nie krzyczeć. Cofnęła się, wypchnęła Mariaha z progu i wyszła na rozświetlony korytarz. Potknęła się, upadła na podłogę i zwinęła w kulkę jak jeź. Twarz schowała w dłoniach, broniąc się przed jasnym światłem i strasznym widokiem, który wrył jej się w duszę.

- Nie - powtarzała, szlochając i wyciągając rękę w powietrze, jakby chciała odegnąć upiorną zjawę, która nad nią zawisła.

Mariah przez chwilę się wahał, potem z wolna zajrzał do pokoju. Sarkofag był otwarty, malowane wieko leżało na ziemi wśród złowroźnie skrzyżowanych szabel, co niejedna przesadna gospodyni uznałaby za niechybną zapowiedź czyjegoś nadejścia. W słabym blasku kominka ujrzał chłopięcą twarz wpatrzoną w niego niewidzącymi oczyma, w których zebrała się woskowa łza. Resztę ciała spowijały ciasne bandaże.

Feliks był owinięty od stóp aż po kark. Ciemnobrązowe, nasączone kreozotem łachy oplatały go tak mocno, że ręce ułożone wzdłuż boków zlewały się z tułowiem. W skąpym

świetle przezroczysta cera połyskiwała chłodno. Mariah zbliżył się do trumny, aby lepiej mu się przyjrzeć. Przelknął ciężko ślinę z wszędobylskim pyłem - jak gdyby ktoś pokrył ciało warstewką suchego wapna, które teraz zalegało na drewnianej podłodze w lśniących, pustynnych kopczykach.

Sacza siedziała na jasnym korytarzu i opłakiwała przyjaciela. Wciąż miała przed oczyma trupioblada skórę i zimną czerwień ust. W napadzie złości rwała sobie włosy z głowy i waliła pięściami o dywan. Tymczasem Mariah podszedł jeszcze bliżej ciała. Coś było nie tak. Przyjrzał się uważnie martwej twarzy.

Nagle wyciągnął dłoń i dotknął skóry Feliksa: była ciepła i gładka. Zeskrobał z niej paznokciem długi wiór jasnego wosku. Wyjął z kieszeni ćwierćpensówkę i zebrał z dolnej wargi trochę czerwonego wosku. Cokolwiek to było, nie był to martwy Feliks.

- To figura woskowa! Sobowtór! - zawołał, rozcierając wosk na palcu. - Żaden Feliks, tylko manekin!

Ale Sacza go nie słyszała. Przynęła się do ściany i naciągnawszy zakiet na głowę, przywarła twarzą do dywanu, żeby całkiem odgrodzić się od światła.

- Sacza, to nie on - powtarzał Mariah, badając manekin i wyciągając z jego głowy kosmyk uczesanych włosów. - Słyszysz, co mówię? To woskowa kukła.

Sacza przestała płakać i spojrzała z niedowierzaniem. Wstała z klęczek i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę zaciemnionego pokoju.

- Jak to?- spytała, chwytając się futryny i powoli wchodząc do środka.

- To nie on - upierał się Mariah. Pociągnął ją za rękę i ustawił na wprost woskowej podobizny.

Manekin patrzył na nich smutno szklanymi, błękitnymi oczyma, w których jakby zakręciły się kryształowe łzy.

- Ale przecież wygląda jak Feliks - powiedziała Sacza. Zrobiła krok do przodu i nieśmiało wyciągnawszy rękę, dotknęła martwej skóry. - Jest ciepły! - zawołała, przyciskając opuszki do miękkiego wosku. - Czyja to robota?

- Lugera, to chyba jasne - prychnął Mariah, rozglądając się po pokoju. - Może dlatego Feliks nagle zniknął. Nie wierzę, że sam uciekł. Na pewno jest gdzieś w hotelu. - Spojrzał na drzwi przy kominku. Ich solidna gałka z mosiądzu była tak starannie wypolerowana, że cały pokój odbijał się w niej do góry nogami. W drzwiach zostawiono klucz, wystawał z mosiężnej obręczy. Mariaha coś tknęło: szybkim krokiem przemierzył pokój, zostawiając Saczę przy woskowej figurze. - Lepiej, żeby tędy nie weszli - stwierdził i już miał przekręcić klucz w zamku, gdy nagle zatrzymał się, nasłuchując. Zza ciemnej dębowej boazerii

dochodził cichy szmer koła parowego.

- Co tam jest? - spytała Sacza, widząc, że Mariah przysłuchuje się odgłosom zza drzwi. - Sprawdź, może to jeszcze jedno wyjście.

Mariah odsunął dwie mosiężne zasuwki, potem jednocześnie obrócił klucz w zamku i przekręcił gałkę, która stuknęła głośno i niespodziewanie. Pomału, ostrożnie uchylił drzwi i jednym okiem zerknął przez szparę do sąsiedniego pomieszczenia. Panowały tam egipskie ciemności - ani krztyny światła, tylko wąski prążek przecinający mrok niby srebrne ostrze. Mariah pociągnął nosem; poczuł na ustach woń morza, odetchnął słonym powietrzem. Gdzieś w dali słychać było plusk wody. W ciemnościach po prawej szemrało koło maszyny parowej. Wtem zabłysnął snop światła: odbijał się od ścian, podobny do ostrej strzały, skacząc na wszystkie strony, jakby ktoś wymachiwał latarką. W oddali rozległy się odgłosy mokrych kroków - ktoś się zbliżał.

Mariah - z pomocą nagłego przeciągu - zatrzasnął drzwi. Hałas rozniósł się po ciemnym pokoju i wzdłuż korytarza, coraz głębiej i głębiej, w stronę pluskającej wody.

- Idą! - zawołał do Sący. - Prędko, do tunelu!

Rzucił się ku drzwiom, niechcący strącając z ławy gipsową statuetkę, która roztrzaskała się o parkiet.

Prawdziwa magia

Jakiś czas potem lśniąca mosiężna gałka powoli się obróciła i ktoś popchnął dębowe drzwi. Chuda dłoń o długich palcach i jaskrawoczerwonych paznokciach, które wystawały z czarnej jedwabnej rękawiczki, owinęła się wokół gałki. Pióro z czarnego boa opadło na podłogę i pofrunęło nad parkietem, lądując w kącie na ogromnej pajęczynie.

Skrzypiące drzwi otworzyły się z ociąganiem, popchnięte błyszczącym, spiczastym, czarnym butem. Z ciemności wyjrzała szczupła twarz o lśniących oczach mocno obrysowanych czarną arabską kredką. Gdy kobieta podrapała się po brodzie, płatki błyszczącego pudru posypały się niczym drobinki śnieżnego pyłu.

- Ciszej - odezwał się z tyłu Luger. - Mogą wciąż tu być. Słyszałem, jak coś wołał, zamykając drzwi.

- Dlaczego to ja idę przodem? - spytała szeptem jego towarzyszka ponaglana przez natarczywą dłoń.

- Bo więcej zobaczysz - uciał tamten. - Porządny złodziej nigdy nie uderzy kobiety, która go przyłapała.

Monika szumiała piórami jak wielki indyk. Powoli weszła do pokoju i przytrzymując

swoje boa, rozglądała się wokół.

- Nikogo nie ma - oznajmiła spokojnie. Potem rozsiadła się w fotelu, zdjęła ciasne buty i zaczęła ugniatać niezgrabne palce.

- Kto to mógł być?

Luger milczał. Ściskając w dłoni rękojeść laski, patrzył na sarkofag i bezwiednie poruszał monoklem. Obszedł pokój, spoglądając najpierw na podłogę, a później na zdobny sufit. W myślach odtwarzał przebieg zdarzeń i uzupełniał je obrazkami, jakie podsuwała mu wyobraźnia. Przystanął przed sarkofagiem, schylił się i podniósł z podłogi garstkę czarnego pyłu, pozwalając, by przesypał mu się przez palce.

- Ktoś nam zagrał na nosie - stwierdził chłodno, patrząc na opadające drobiny pyłu. - Czyżby to... - zaczął, ale zaraz urwał, jak gdyby przestraszył się własnej myśli.

- Tutaj? W Regencie? - zdziwiła się Monika i wyprostowała nerwowo, lecz po chwili znów rozparła się w fotelu. - Nie sądzę - dodała przeciągle, wygrzewając się przed kominkiem, w którym nagle buchnął płomień niczym ogień z paszczy śpiącego smoka.

- Może on tu jest i też jej szuka? Może ktoś mu powiedział?

- A może coś sobie uroiłeś? - jęknęła Monika. Pocierając stopą o stopę, patrzyła, jak znika z nich trupia bladość.

- W takim razie czyja to sprawa? - wypalił Luger i cisnął resztką pyłu o boazerię. - To nie był przypadek. Ktoś włamał się do mojego prywatnego pokoju, otworzył skrzynię i znalazł manekina. Niby czego szukał? Czekoladowego zajęczka?

- A może znalazł twoje czarodziejskie pudełko? - zapytała drwiąco Monika, bawiąc się rozsypanymi obok fotela kawałkami rozbitej statuetki.

- Nie zostawiłbym go tutaj, o nie. Ukryłem je głęboko... bardzo głęboko - wymamrotał Luger, wychodząc na korytarz. Okno, za którym znajdował się tunel, było zamknięte, zaś spływająca do samej podłogi zasłona w łabędzie zaciągnięta. Luger poruszył wąsem, aż monokl wypadł mu z oka. Sprawdził mosiężną klamkę. - Tędy nie uciekli - orzekł i zajrzał z powrotem do pokoju, gdzie Monika leżała na szerokim podłokietniku fotela niczym śpiący kot. - Wygodnie ci? - spytał zaczepnie, spoglądając przez korytarz ku windzie.

Monika, umieszczona w gnieździe z czarnych piór, które okalały jej szyję i kołysały się przy każdym głębszym oddechu.

Luger skierował się w stronę windy parowej. Obok wirowały wskazówki zegara błyskające w jasnym blasku korytarza. Przed kabiną sterczał czarny parasol wetknięty w szynę, tak by drzwi nie mogły się zamknąć.

- Popatrz! - zawołał Luger do Moniki. Wyciągnął parasol i uważnie przyjrzał się

każdemu zgięciu lśniącego czarnego materiału. - Coś zostawili. Jedną z tych eleganckich parasolek. I to proszę, z inicjałami na rączce. - Luger przesunął tłustym palcem po kształtnych literach. - P... A... - odczytał powoli. - No, przynajmniej wiemy już, kogo szukamy. Wystarczy sprawdzić w recepcji, czy w księdze figuruje gość o inicjałach P.A.

Monika z ociąganiem wyszła na korytarz, zasłaniając oczy przed jasnym światłem, które padało z góry.

- Skąd wiesz, że to parasol włamywacza? - spytała z przeciągłym teksańskim akcentem, chwiejąc się na cienkich obcasach.

- W hotelu jest ich pełno. Włamywacz mógł go znaleźć i przynieść tutaj. Wrzuć go do piwnicy, tam gdzie są wszystkie rzeczy znalezione.

- Coś mi mówi, że to jego parasol i że włamywacz przyszedł tutaj, bo szukał szkatuły. Jestem tego pewien, Moniko! - Luger skubał farbowany wąs. - Dobrze wie, że szkatuła jest ukryta gdzieś w hotelu. Pan Grimm powiedział mi, że ten człowiek tropił ją po całej Europie i nie spocznie, dopóki jej nie odzyska.

- Skoro tak, to mu ją oddaj. To tylko blaszana puszka.

- To szkatuła Midasa, Moniko. Drugiej takiej nie ma na świecie. Już wkrótce sprzedam hotel i zacznę się bogacić bez najmniejszego trudu. Będę miał tyle złota, ile dusza zapragnie.

- Moja dusza pragnie sławy. Złoto to rzecz mniejszej wagi. Zrozumiałbyś, o czym mówię, gdybyś choć raz wystąpił przed publicznością. To bezcenne uczucie: spoglądać ludziom w oczy i wiedzieć, że trzymasz ich w garści. Rzucasz na nich czar, który nigdy nie pryśnie. To dopiero prawdziwa magia! Przy niej sztuczki Basmali są warte tyle co ten parasol.

- Monika oparła się o ścianę i wyciągnęła dłoń w rękawiczce ku wskazówkom zegara. - Interesują mnie tylko prawdziwe czary - powiedziała, zbliżając rękę do wirujących ostrzy. - Spójrz. Myślisz, że Basmala by tak potrafił?

Po tych słowach przysunęła dłoń do sekundnika, który śmigał niczym stalowy bicz, i czekała, aż ostrze zatopi się w obleczonej jedwabiem skórze. Wskazówka z chrzęstem przebiła się przez kość i gładko przeszła na drugą stronę. Monika, chichocząc, patrzyła, jak ostrze co chwila przecina jej dłoń w tym samym miejscu. Luger zakrył oczy rękoma, nie mógł znieść strasznego widoku.

- Neeee! - krzyczał, stojąc jak wryty.

- Zobacz, przechodzi na wskroś i ani kropli krwi. - Monika napawała się zadowoleniem. Ostrze przenikało jej rękę, jak gdyby była zjawą, nie człowiekiem.

Luger najpierw zerknął przez palce, potem opuścił dłoń i patrzył w osłupieniu.

- Jak to możliwe? - spytał cicho, a oczy prawie wychodziły mu z orbit, jakby nie wiedział, czy to jawa, czy sen.

- Magia - zachichotała Monika, na przemian wyjmując dłoń i wkładając ją z powrotem pod wirujące ostrze. - Zbyt rzadko mnie widzisz i dlatego nie wiesz, na co mnie stać.

- Gdzie się?...

- Nie mogę ci zdradzić wszystkich sekretów, Ottonie.

- Sięgnęła do kieszeni jego surduta i wyjęła z niej kubańskie cygaro. - A teraz udowodnię ci, że to nie żadna iluzja. Spójrz.

- Przytknęła cygaro do tarczy zegara” a ostrze natychmiast pocięło je na tysiąc tytoniowych strzępów. - Widzisz? To nie żadna sztuczka. Jeżeli mi nie wierzysz, spróbuj je poskładać.

- Ale twoja ręka... nawet jej nie drasnęło - ślinił się Luger wpatrzony w kształtną dłoń w jedwabnej rękawiczce.

- Na tym właśnie polega prawdziwa magia. A także na zamianie ołowiu w złoto. I przekrawaniu ludzi w pół. Wszystko to jedno i to samo.

- To musi być jakaś sztuczka, którą podpatrzyłaś u tego starego szarlatana.

Monika chwyciła go za rękę i przysunęła ją do wirujących wskazówek.

- W takim razie sam spróbuj, Ottonie. Włóż tam palce, a przekonamy się, czy to - sztuczka.

Luger spotulniał pod jej piorunującym spojrzeniem.

- No dobrze - powiedział, usiłując oswobodzić dłoń z jej mocnego uścisku. - Wierzę ci. To nie była sztuczka, to... magia.

- Otóż to - rzekła powoli - magia. Zrozum wreszcie, że im szybciej pozbędziesz się tego starego patałacha i oddasz teatr w moje władanie, tym lepiej na tym wyjdiesz.

- Ale, Moniko, już o tym rozmawialiśmy. Jest pewien ważny powód, dla którego Basmala musi zostać.

- Chciałabym wiedzieć jaki. Co ten dziadyga wie o tobie, że wszystko mu wolno?

- On... - zaczął Luger, ale nie potrafił wyjaśnić, dlaczego Basmala stanowi główną atrakcję hotelu. - On jest osobliwością.

- Osobliwością? W takim razie może zatrudnisz jednonogą małpę? To także osobliwość.

Żyły wystąpiły Lugerowi na czoło. Wyczuwał u siebie dziwną lukę w niedalekiej pamięci, jakby wyjęto mu z głowy jakiś krótki wycinek przeszłości. Potrafił się cofnąć do chwili, która go poprzedzała, lecz później wszystko nagle się urywało - jakby zatrzaśnięto

przed nim drzwi do jego własnych wspomnień.

- Wiem, dlaczego musi zostać - wymamrotał, odchodząc na drugi koniec korytarza, jakby nie mógł się oswoić z tym, co przed chwilą zobaczył. - Ale wyleciało mi to z głowy.

- No cóż. - Monika ruszyła za nim, balansując na palcach.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, myślę, że to Basmala jest włamywaczem. Kto inny pożąda twojej magicznej szkatuły, jeżeli nie magik? Może to właśnie jego miał na myśli pan Grimm.

Luger zadumał się. Był rozdarty myślą, że Basmala mógłby chcieć wykraść szkatułę Midasa.

- Wiesz, że nigdy mi to nie przyszło do głowy? Mógł przybyć za mną do Londynu. Potem zaoferowałem mu pracę. Czyżbym sam wprowadził wroga pod swój dach? - Złapał się oburącz za wąsy, zagryzając dolną wargę. Spojrzał na Monikę niczym ogromny mors z parasolem przerzuconym przez ramię. Znów się zadumał, potrząsając głową, jakby chciał się pozbyć przykrej myśli. - Zbyt dobrze go znam - wymamrotał w końcu.

- Towarzyszy mi od dawna, jest oddanym pracownikiem, ani razu nie wziął urlopu. To on cię znalazł i ściągnął do hotelu...

- Może po prostu cierpliwie wyczekuje odpowiedniego momentu, żeby wykorzystać twoją nieuwagę, znaleźć to magiczne pudełko i zniknąć w ciemnościach nocy. - Monika poklepała po ramieniu Lugera, który zapatrzył się w ścianę. - Posłuchaj. Codziennie opowiadasz mi o tej szkatule, a jeszcze ani razu mi jej nie pokazałeś. Skąd mam wiedzieć, czy ona w ogóle istnieje?

- Uwierz mi na słowo, Moniko. Istnieje i jest ukryta w tym hotelu.

- Kituśbajduś! Wszystko to sobie ubzdurałeś. Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę na własne oczy. - Monika przez chwilę rozmyślała o czymś i drapała Lugera po karku długim paznokciem. - Zaprowadź mnie tam - odezwała się słodkim głosem.

- Zamknę oczy, założę przepaskę, zrobię, co każesz, ale chcę to zobaczyć.

Luger podrapał się po twarzy i wyrwał sobie z nosa długi, szary włos.

- W niedzielę - rzucił w końcu. - Pójdziemy tam w niedzielę. A teraz popatrz na to. - Pogrzebał w kieszeni i ostrożnie wydobyl z niej drobną złotą ćmę o skrzydłach rozpostartych w locie, z dwoma cienkimi czułkami sterczącymi jak maleńkie złote różdżki. - To pierwsza rzecz, którą przemieniłem. Latała wokół lampy w moim gabinecie. Złapałem ją i wsadziłem do szkatuły. Kiedy podniosłem wieko, cała była z najszlachetniejszego złota.

Monika capnęła owada i oderwawszy czułki od główki, podniosła je do światła.

- Jestem pod wrażeniem, Ottonie. Inna sprawa, że mogłeś to kupić w pierwszym

lepszym sklepie z ozdóbkami. Na pewno chcesz mi powiedzieć, że przemieniłeś ją w złoto?

- To była najzwyczajniejsza, brązowa ćma. Niewiele brakowało, a usmażyłaby się w lampie. Włożyłem ją na chwilę do szkatuły Midasa. Ale to nie wszystko - dodał z przejęciem i znów zanurzył rękę w kieszeni, tym razem po to, by wyciągnąć zwinięty złoty sznurek, zwężony na końcach i gdzieś tam pomarszczony. - Dżdżownica - oznajmił z dumą. - Piękna dżdżownica z kałuży na ulicy Grobu Świętego. Kiedy wkładałem ją do szkatuły, była wijącym się, żywym stworzeniem. Wystarczyło zamknąć wieko, by stwardniała i stała się najprawdziwszym złotem, jakby za dotknięciem samego króla Midasa.

- W takim razie gdzie jest reszta tych skarbów? Gdybym ja znalazła takie magiczne pudełko, ślezczałabym nad nim od rana do wieczora, aż miałabym dość złota. Jeżeli w ogóle można mieć dość złota - powiedziała Monika, oblizując wargi.

- W tym właśnie problem - odrzekł Luger, chowając dżdżownicę do kieszeni. Wszedł z powrotem do pokoju i popatrzył na sarkofag. - szkatuła działa tylko przez minutę dziennie. Przez resztę dnia nie ma z niej żadnego pożytku. Myślałem, że uda mi się zyskać więcej czasu, przyspieszając zegar, że wtedy będę mógł dokonywać przemiany co godzinę, ale na razie niewiele w ten sposób wskórałem.

- A więc musisz się zadowolić jedną marną minutą dziennie? - parsknęła Monika.

- Niewykluczone, że kiedyś posiadam tajemnicę przemiany materii w złoto. A wtedy, moja droga...

- Wtedy będziesz starcem mieszkającym na Bronksie w budynku bez windy i pracującym w zakładzie dla obłąkanych

- zadrwiła Monika, naśladując ruchy zmiataacza. - Tak czy inaczej, co z tym chłopcem? Kiedy będzie gotowy do podróży?

Luger spojrzął na woskową figurę i westchnął z dumą.

- Ten udał mi się najlepiej ze wszystkich. To najpiękniejsza podobizna, jaką stworzyłem. Użyłem nowej metody i pierwszorzędno wosku. Pył chroni figurę przed wyschnięciem, choć zawsze jest pewne ryzyko, że uszkodzi się w czasie transportu.

- Strzepnął pył z eleganckiego, czarnego surduta i przyjrzał się twarzy manekina, dostrzegając żłobek na ustach.

- Dokąd je wysyłasz? - spytała Monika, stąpając po czarnym proszku.

- Tego nikt, włącznie z tobą, nie może wiedzieć. Przynajmniej na razie. Moje figury woskowe nie mają sobie równych w całej Europie, a cel ich podróży musi pozostać w głębokiej tajemnicy.

- Luger pogłaskał Feliksa po włosach, po czym wyjął z kieszeni surduta zapalniczkę,

zwinnym ruchem skrzesał ogień i przesunął płomieniem po woskowych ustach, a następnie wygładził je kciukiem, usuwając skazę, i paznokciem przywrócił wardze prawidłowy kształt.

- O - mruknął pod nosem, jakby do siebie.

- Tak lepiej.

- A kiedy zrobisz moją podobiznę? - spytała Monika.

- Byłabym dobrą modelką...

- Oby ten dzień nigdy nie nadszedł. Te figury to coś więcej, niż ci się zdaje. Są bardziej wartościowe niż ludzkie życie - wyjaśnił Luger, opierając wieko sarkofagu o ścianę i podnosząc z podłogi rozrzucone szable.

- Chciałabym zobaczyć swoją podobiznę. To coś innego niż przeglądanie się w lustrze. - Mówiąc te słowa, zerknęła przez ramię, jakby chciała spojrzeć na siebie od tyłu. - Zawsze byłam ciekawa, jak wyglądam w cudzych oczach. Co widzisz, kiedy na mnie patrzysz?

- Coś piękniejszego niż figura woskowa, jakby z innego świata. Gdybyś tak jeszcze pokazała mi swoje dłonie... Zawsze chowasz je w rękawiczkach, w jedwabiu i diamentach.

- Tak jest lepiej - odrzekła, obejmując się rękoma, jak gdyby chciała je ukryć przed jego wzrokiem. - Nie mam się czym chwalić. Sama nie lubię ich oglądać. - Wzdrygnęła się i nastroszyła pióra, jakby przejętą dokuczliwym chłodem. - Kiedy byłam dzieckiem, matka mi je poparzyła. Teraz na ich widok od razu przypominam sobie jej przerażoną minę i krzyki.

- W takim razie zdobędę dla ciebie najwspanialsze rękawiczki pod słońcem, wyszywane złotem i srebrem, z jedwabnej siateczki. Będzie ci w nich bardzo do twarzy. - Luger ujął jej dłoń, rozglądając się z roztargnieniem, jakby zapomniał jakąś drogocenną rzecz. Przypomniał mu się dzień, w którym Monika przybyła do hotelu, i na chwilę odpłynął w marzenia.

Stał na schodach Regenta i patrzył, jak jej powóz powoli toczy się po brukowych kamieniach, lawirując wśród niezliczonych straganów, jakimi zastawiony był plac na skarpie, na której wzniesiono hotel. Na widok Lugera w czarnym fraku i złotej kamizelce woźnica uchylił czapki. Pojazd zatrzymał się nagle u podnóża marmurowych schodów, koła zapadły się w rozoranym błocie i chwilę później, wśród hulającej dokoła chłodnej morskiej bryzy, w jego życiu pojawiła się Monika.

Przebrnęła przez błoto w promieniach jutrzeńki, które rozlewały się po wzgórzach na dalekim południu, i weszła na stopnie, wyciągając na powitanie dłoń w rękawiczce, podczas gdy Basmala, opłaciwszy woźnicę srebrną monetą, zdejmował bagaże z dorożki.

- Znalazłem ją! - krzyknął do Lugera, taszcząc kufer. - Najlepsza asystentka dla

najlepszego sztukmistrza. Będziemy z pani Moniki bardzo zadowoleni.

Luger ujął nową pracownicę za długą, kościstą dłoń, a ona weszła lekko po schodach, podobna do zjawy, i zniknęła za obrotowymi drzwiami.

- Otto Luger - Monika wyrwała go z rozmarzenia. - Pomyśleć, że byłeś kiedyś tak daleko, a twoje oczy nie patrzyły na mnie.

- Tak nie może być - powtarzał Luger, chodząc po pokoju ze spuszczoną głową, jakby nadal czegoś szukał. - Muszę się dowiedzieć, jak oni się tu dostali. Koniecznie. Tylko ja mam klucz. Tylko ja wiem, jak zatrzymać windę. - Spojrzał pytająco na Monikę. - Tylko dwie osoby na całym świecie wiedzą o tym pokoju: ty i ja.

- Ktokolwiek tu był, już sobie poszedł, Ottonie. Rzucił okiem, narobił małego bałaganu. Czym się przejmujesz? Wymień zamki, schowaj klucze. Wezwij pana Grimma, może on znajdzie winnych. Trzeba poszukać osoby, która zgubiła parasol.

- Grimma, powiadasz? - Luger chwycił się za pierś i zaczął przetrząsać kieszeń kamizelki. Wreszcie wydobyl zwiniętą wizytówkę w złotej obwódce. - Masz rację, niech on znajdzie włamywacza, a wtedy ja zrobię z niego najdoskonalszą figurę woskową, jaka kiedykolwiek powstała... Spotkam się z Grimmem dzisiaj wieczorem. Zatrzymał się w Trzech Marynarzach. Porozmawiam z nim i załatwimy sprawę raz na zawsze.

Prawo Grimma

Mariah siedział w tunelu i ścisnął mosiężną klamkę fałszywego okna, modląc się, by Otto Luger niczego się nie domyślił i opuścił tajne piętro inną drogą. Wcześniej podsłuchiwał rozmowę, łowiąc przytłumione słowa i próbując zrozumieć soczysty akcent Moniki. Sacza tymczasem udała się na zwiady w głąb ciemnego tunelu, obiecawszy, że wróci. Z kocią zwinnością zeszła po zimnych stopniach żelaznej drabiny prowadzącej w głębokie czeluście hotelu, aż dotarła do wody. Potem wspięła się z powrotem po trzystu szczeblach, skradając się tak cicho, że Mariah w ogóle jej nie słyszał. Dopiero zbliżywszy się na pół metra, wyciągnęła rękę i puknęła go w stopę. Mariah spojrział w dół, wypatrując jej twarzy w przytłaczającej ciemności. Sacza znów puknęła go w stopę i pociągnęła za sznurówkę.

Ręka za ręką, noga za nogą podążył w jej ślady. Daleko w dole słychać było, jak morskie fale uderzają o zimne kamienne schody i rozsiewają w tunelu słoną mgiełkę. Przez dziesięć minut w milczeniu schodzili w czarną otchłań. Gęsty mrok przygniatał Mariaha i zapierał mu dech w piersi. Chłopiec na miękkich nogach schodził po żelaznych stopniach. Płaty grubej rdzy wpijały mu się w dłonie, sypały się ze szczebli rozmieszczonych w coraz większych odstępach i spadając, obijały się o wilgotne ściany. Mariah zatrzymał się na chwilę

i wnętrzem dłoni dotknął ściany. Spomiędzy misternie ułożonych cegieł ściekała po niej zimna woda. W końcu Sacza stanęła na podeście, wyjęła z kieszeni pudełeczko i zapaliła długą zapałkę, która buchnęła jasnym, oślepiającym płomieniem.

- Tędy - szepnęła dziewczyna. - Wiem, jak trafić stąd na plażę.

Mariah potarł podrażnione światłem oczy i ruszył za nią. Odblask zapałki migotał na ceglach sklepienia. Porośnięta algami podłoga przypominała koryto morskiego strumienia. Ściany pokryte były nitkami zielonych glonów wyrastających z podłogi i pnących się w górę jak bluszcz. Sacza zapaliła kolejną zapałkę i zakryła ją dłonią, tak że na ścianie pojawił się cień jej palców. Mariah, który ślizgał się na mokrych kamieniach, starał się skakać po piaszczystych wysepkach. Ciemność postępowała za nimi krok w krok, miejsca oświetlone ciepłym płomykiem po krótkiej chwili znów ginęły w mroku. Sacza narzucała tempo, Mariah z trudem dotrzymywał jej kroku. Zwinnymi susami omijała śliskie kałuże, stawiając stopy na kupkach piasku rozsianych po tunelu niczym wysepki.

- Już niedaleko - powiedziała, zapalając jeszcze jedną zapałkę, po tym jak poprzednia wylądowała z sykiem w kałuży wody. - Byłam tu kiedyś. Zabłądziliśmy z Feliksem. Ale wtedy nie wiedziałam, że tunel kończy się drabiną, więc zawróciliśmy.

- Wskazała cegłę, w której coś wyżłobiono. - Zobacz: Feliks wyrył na ścianie swoje inicjały. Jeszcze kawałek i wyjdziemy na zewnątrz.

Mariah nic nie odpowiedział. Szedł z wzrokiem utkwionym w ziemi, podążając za cieniem Sączy. Od czasu do czasu włosy jeżyły mu się na karku niczym u starego, stróżującego psa - jakby ostrzegając przed niebezpieczeństwem, które mogło w każdej chwili wyskoczyć z ciemności - i wtedy oglądał się za siebie.

Sacza przystanęła i obróciła się, rozjaśniając twarz chłopca kolejną zapałką. Uśmiechnęła się znad płomyka.

- Próbowali iść za nami? - spytała przy wtórze kapiącej ze stropu wody.

- Słyszałem, o czym rozmawiali - odparł Mariah. - To nie był Feliks, tylko woskowa kukła. O włamanie podejrzewają Basmalę. Luger jeszcze dzisiaj wieczorem chce się spotkać z człowiekiem onazwisku Grimm, który nocuje w Trzech Marynarzach.

- W takim razie nie mamy dużo czasu - skwitowała Sacza i ruszyła w dalszą drogę. - Musimy śledzić Lugera. Przekonamy się, co mu chodzi po głowie.

- Ale Basmala chciał, żebyśmy wyczyścili rekwizyty - zaprotestował Mariah.

- Mylisz się. Chciał, żebyś ty wyczyścił rekwizyty. Ja mam dopilnować, żeby były gotowe na jutrzejszy spektakl. - Wciągnęła do płuc haust wilgotnego powietrza. - Zamierzam znaleźć pana Lugera i zobaczyć, z kim się spotka. Ostatnie, co Feliks mi powiedział, to to, że

kluczem do rozwiązania zagadki jest właśnie Luger. Teraz, kiedy znaleźliśmy sekretne piętro i figurę z wosku, rozumiem, że mówił prawdę.

- Co to za miejsce, ci Trzej Marynarze? - spytał Mariah, próbując ogrzać dłonie nad zapalką.

- To gospoda w portowym zaułku. - Sacza zmarszczyła nos, jakby chciała w ten sposób powiedzieć, że lepiej to miejsce omijać z daleka. - Znam drogę. Idąc tędy, miniemy pracownię Lugera i wyjdziemy na plażę. - Rzuciła zapalkę na ziemię i w jednej chwili pochłonęły ich ciemności. Zapaliła następną, a potem kolejne, gdy tak prowadziła Mariaha wąskimi przejściami oraz długimi tunelami, które rozbrzmiewały sykiem generatora pary i pluskiem morskich fal. W końcu zatrzymała się przy wysokich, czarnych drzwiach. Wyglądały jak namalowane na ścianie. Obok zaczynały się długie schody w dół. Zawieszona na ścianie lampa naftowa migotała skąpym płomieniem. Sacza wyrzuciła zapalkę i zajrzała do pudełka.

- Zostało sześć - powiedziała. - Tutaj zwykle pali się światło, bo pan Luger chodzi tędy do pracowni. Niedługo wyjdziemy na plażę.

- Jak się stąd wydostaniemy? - Mariah odruchowo pociągnął za klamkę w drzwiach do pracowni.

- Zostaw - Sacza odciągnęła go na bok. - On zawsze zamyka drzwi na klucz. Zresztą i tak nie odważyłabym się wejść do środka.

- Pewnie tutaj robi manekiny - odparł Mariah, próbując zajrzeć przez dziurkę od klucza. - To pewnie za tymi drzwiami zrobił sobowtóra Feliksa, o ile to jego dzieło.

Sprzeciwiając się Sączy, która ciągnęła go w drugą stronę, Mariah uczeplił się klamki i schylając głowę, zajrzał przez dużą dziurkę od klucza. Przeciwległa ściana pracowni była oświetlona niewidocznym płomieniem. Mariah przeskakiwał wzrokiem z punktu do punktu, chłonąc wszystko w pośpiechu i dając się prowadzić wyobraźni. Zamknięte drzwi skrywały cały świat powrozów i rur, które zdawały się biec od podłogi do sufitu w schludnych, równych rzędach, przypięte do ściany jak w okrętowej ładowni. Pod ścianą stała stara wersalka z brązowej skóry, rozdarta w połowie, jak gdyby ktoś potraktował ją szablą. Wśród wymiętych poduszek z czerwonego jedwabiu siedziała duża lalka o okrągłej buzi, różanych policzkach i ponurym uśmiechu. Patrzyła w stronę drzwi, jakby wiedziała, że ktoś ją obserwuje. Spojrzała prosto w dziurkę od klucza i uśmiechnęła się lekko.

- Scraty - powiedział bezgłośnie Mariah. Popatrzył na Sączę, która tupała nogą o kamienną posadzkę. - Ta lalka. Ona tu jest. Co robi w pracowni Lugera?

- Nie - drwij sobie ze mnie. - Sacza trzepnęła go w ramię wierzchem dłoni. - Stara

Scratty siedzi pod kluczem w schowku Basmali, akurat tego jestem pewna. Widziałam ją przecież, kiedy zamykałam drzwi. Zresztą ty też.

- A ja ci mówię, że jest tutaj i śmieje się z nas. - Jeszcze raz spojrzął przez dziurkę i znów ujrzał Scratty ubraną w czarną aksamitną sukienkę i zielone jedwabne pantofle. - Sama zobacz.

Sacza zerknęła przez dziurkę ku porcelanowej lalce, która tymczasem zamknęła jedno oko, zrobiła ponurą minę, jakby chciała dokuczyć ciekawskiej dziewczynie, i mrugała do niej w zwolnionym tempie.

- Wielkie nieba, teraz wierzę... - Sacza zamilkła i odwróciła wzrok. - Ktoś musiał ją tu przynieść. Przecież nie przyszła sama. Za każdym razem, kiedy ją widzę, coraz bardziej przypomina panią Monikę. Ciekawe, że obie zjawiły się w hotelu tego samego dnia.

Sacza mówiła bardziej do siebie niż do Mariaha, który schodził już po stopniach. Po chwili stanął w mokrym piachu świeżo wypłukanym przez fale przelewające się przez kratkę w wysokich drewnianych drzwiach. Nad głową słyszał szum i terkot generatora pary. Zupełnie jakby hotel wzdychał i kaszlał niczym olbrzymi wieloryb wyrzucony na skały. Pod wysokim sklepieniem tunelu odbijały się dalekie, ostre dźwięki pianina. Sacza podniosła wzrok i położyła dłoń na ramieniu Mariaha.

- Ja też to słyszę - powiedziała, jakby chcąc go upewnić, że nie zwariował. - To z salonu. Te otwory w suficie to przewody wentylacyjne z pomieszczenia, w którym pracuje generator pary.

Słychać przez nie odgłosy z całego hotelu. Czasem nawet chra-. panie gości nocą.

- Zupełnie jakby wszystko tu żyło... jakby cały ten budynek był żywą istotą, a nie tylko stertą cegieł - zauważył Mariah, zbliżając się do drzwi. Moloch Regent sapał i pojękiwał nad jego głową.

Sacza otworzyła skobel na drzwiach, jakby robiła to już tysiące razy. Wyszli z mętnej poświaty strzegącej wejścia do hotelowych podziemi i zanurzyli się w cichą, bezkسیężycową noc.

Szli ramię w ramię po piasku, raz po raz owiewani kłębamii morskiej mgiełki. Chwilami Regent majaczył w górze, by zaraz potem - jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - zniknąć za wilgotnym całunem. Portowe odgłosy niosły się na wietrze razem z łagodnym pluskiem odpływowych fal. Mariah zerknął za siebie na ślady stóp, jakie zostawiali w mokrym piasku. Na chwilę zwolnił kroku i popatrzył w stronę hotelu, który znów rozpląnął się w mroku. Sacza brnęła przez noc z pochyloną głową, podciągając kołnierz i obejmując się ramionami.

- Lepiej wracajmy - zawołał za nią Mariah.

- Najpierw musimy się dowiedzieć, po co Luger wybiera się do Trzech Marynarzy.

- A co jeśli nas zobaczy? - spytał Mariah, szukając wymówki.

- Przed północą, w tej mgle? - prychnęła. - Będzie tak pijany, że nie poznałby nawet czarta.

- A co z Krakenem? Powiedziałaś...

- W czasie odpływu jest niegroźny. Kraken może przybrać ludzką postać, tylko gdy woda zakrywa słup topielczy w porcie. Wtedy wychodzi z morza i porywa dzieci, żeby je pożreć.

- Słup topielczy? - powtórzył Mariah, myśląc na głos.

- Przywiązuje się do niego złodziei przyłapanych w Boże Narodzenie na kradzieży. Jeżeli w dniu św. Szczepana przetrwają oba przypiływy, puszcza się ich wolno. - Sacza podniosła i cisnęła we mgłę kawałek drewna wyrzuconego na brzeg.

- Rok temu widziałam złodzieja, który przetrzymał pierwszy przypiływ, ale kiedy przyszedliśmy rano, już go nie było. Wtedy rozeszła się pogłoska, że Kraken powrócił.

- Wierzysz w Krakena? - spytał Mariah. Bardzo chciał usłyszeć, że to tylko wytwór ludzkiej wyobraźni, że taka morska bestia nie mogłaby naprawdę istnieć.

- Wierzę - odparła wprost. Rozejrzała się dokoła i zadygotała, kiedy zegar na wieży starego kościoła obwieścił północ.

Szli teraz po suchym piasku, nieczęsto zalewanym przez fale, wzdłuż portowego muru, który zaprowadził ich do szeregu smołowanych chałup z barwnymi szyldami. Mariah czytał je kolejno i zastanawiał się, jakie przysmaki mógłby kupić za starego pensa, którym bawił się w kieszeni. Minąwszy chałupy, przecięli brukowaną ulicę opadającą z miasta w stronę portu. Poznaczona głębokimi koleinami i zasypana drobnym piaskiem, skręcała ostro w lewo. W oddali, na ścianie wędzarni, czerwieniła się skrzynka na listy. Mariah pogrzebał w kieszeni, wyciągnął zmiętą pocztówkę i bez słowa wrzucił ją do skrzynki. Zamknął na chwilę oczy, życząc sobie, by kartka szczęśliwie trafiła do rąk Perfidnego Albiona i by ten zjawiał się w Regencie. Sacza szła dalej wzdłuż brzegu.

Wszystkie domy stojące przodem do ulicy były obwieszane sieciami i sznurami, które zwisały z haków niczym pajęczyny zroszone nocną wilgocią. - Pierwsze języki szronu lizały ciemne budynki, nadając dachom srebrzyste kontury.

Sacza co rusz oglądała się za siebie. Na moment zniknęła Mariahowi z oczu, osnuta gęstym, lodowatym tumanem. Chłopiec szczekał zębami, czuł dotyk mrozu na czole i plecach. Sacza pojawiała się i zniknęła, choć dzieliła ich odległość ramienia. Kiedy Mariah

znów się odwrócił, mgła nieco się rozwinęła, odsłaniając nocne niebo.

Spojrzał przed siebie: na białej ścianie rozpościerał się szeroki szyld. Wypolerowana drewniana tablica zdawała się odbijać całe światło nocy. Lśniła w ciemnościach, jakby chciała przywabić do przystani wszystkich marynarzy znużonych żegluga.

Mariah przeczytał napis na szyldzie: Pod Złotym Śledziem.

- Kapitan Charity - powiedział cicho, przypomniał sobie rozmowę z pociągu, zaproszenie na kolację i obiecaną rybę, największą, jaką kiedykolwiek jadł.

- Znasz go? - spytała Sacza, stojąc w długiej uliczce, która łączyła przybrzeże z przytulonym do zamkowego wzgórza labiryntem ciasnych zaułków.

- Z pociągu z Londynu. Dał mi swoją wizytówkę i zaprosił na kolację, a potem wsadził do powozu, który zawiózł mnie do hotelu. Isambard Black jechał z nami w przedziale. Widać było, że ci dwaj nie przypadli sobie do gustu. Myślałem, że Charity wyrzuci Blacka z pociągu.

- To by do niego pasowało - zauważyła Sacza. - To znaczy, nigdy tego człowieka nie spotkałam, ale wiele o nim słyszałam. Wyjechał z kraju, żeby walczyć w królewskiej armii. Mój ojciec mówił o nim „straceniec”.

Mariah zajrzał do budynku przez duże okno. W środku stały rzędy czyściutkich stołów, a na każdym świeczka i ładny bukiet. Na drzwiach wejściowych wisiała girlanda z jemiolą i liści ostrokrzewu, przybrana czerwonymi i białymi jagodami, a na niej mała złota rybka, druczany ludzik i tryskający wodą wieloryb. Mariah wziął je do ręki i pomacał wszystkie po kolei, spoglądając pytająco na Saczę.

- To Jonasz - szepnęła. - Był nieposłuszny, dlatego został połknięty przez wieloryba i wyrzucony tam, gdzie jego miejsce. A ta ryba to cenna zdobycz: w jej ustach pojawia się złota moneta, a gdy ją wydasz - następna i tak w kółko. Niekończące się błogosławieństwo.

- Pod Złotym Śledziem - powiedział Mariah, rozumiejąc nagle, skąd wzięła się nazwa tawerny.

Ale Sacza trąkotała dalej:

- Nigdy tutaj nie jadłam. To droga karczma, nie dla służącej. Mówią, że tutejsza ryba rozpływa się w ustach.

- Mam zaproszenie. Przyjdźmy tu we dwoje. Kapitan na pewno nie będzie miał nic przeciwko. Jutro jest sobota, możemy tu wstąpić w porze podwieczorku. - Mariah mówił z ożywieniem, spoglądając tęsknym wzrokiem na misy egzotycznych owoców na parapecie za szybą. Wysoko na ścianie wisiało ładne zwierciadło w złotej ramie, w którym można się było przejrzeć, zaglądając w okno. Mariah chwycił klamkę z nadzieją, że drzwi nie są

zaryglowane.

- Zostaw - odezwała się cicho Sacza, zdejmując jego dłoń z klamki. - Przecież nikt nie zostawia otwartych drzwi.

Uliczkę wypełnił nagły podmuch lodowatej mgły. Od strony portu dochodził stukot ciasno stłoczonych łodzi rybackich. Mariah popatrzył w zwierciadło i mróz przebiegł mu po plecach, zdawało mu się bowiem, że we mgle za swoimi plecami ujrzał jakąś postać. Długie kosmyki mokrych włosów obklejały twarz, w której świeciła para czerwonych oczu.

- Zobaczyłeś ducha? - zapytała Sacza, widząc jego wystraszoną minę.

- W lustrze - wymamrotał po cichu. Nie miał odwagi się obrócić ani odezwać głośniejsze.

- Widziałem kogoś w lustrze.

Sacza rozejrzała się po ulicy.

- Nikogo tu nie ma.

- Wiem, co mówię - zapewniał Mariah. - Widziałem we mgle jakąś postać. Jakby przed chwilą wyszła z wody.

- Tak czy inaczej, chyba już sobie poszła. W środku nocy lepiej nie patrzeć w zwierciadła, bo łatwo sobie coś uroić.

- To się nie działo w mojej wyobraźni. Ktoś stał za naszymi plecami. Nie widziałaś?

- Ani psa z kulawą nogą. Mimo że patrzyłam w lustro razem z tobą. - Sacza odeszła od okna w aksamitną czerń nocy. - Tędy prowadzi jedyna droga do Trzech Marynarzy. Trzymajmy się ściany, żeby się nie zgubić. Musimy dojść do końca tej ulicy, a potem w prawo ulicą Śrubową.

- Ale... - zaprotestował cicho Mariah, który bał się zostawić w tyle otwartą przestrzeń portu.

- Spokojnie, to tylko ciemności. W nocy wszystko jest takie samo jak za dnia, tylko że tego nie widać - zaznaczyła Sacza, wkraczając w labirynt zaułków u podnóża zбочa porośniętego domami.

W jej tonie było coś, co przypomniało Mariahowi jego matkę. Pamięć o niej pogrzebał w głębokiej mogile na dnie duszy. Stanowiła tylko niewyraźne wspomnienie wyzute z wszelkiego podobieństwa, wątły cień tego, czym była dawniej. Lecz mimo to słowa Sączy sprawiły, że cofnął się w czasie do pewnego wieczora. Był wtedy jeszcze małym dzieckiem i miał gorączkę, a matka tuliła go w ramionach i przemawiała do niego czułymi słowami: „Twoja wierność to puklerz i tarcza. W nocy nie ulękiesz się strachu ani za dnia lecącej strzały, ani zarazy, co idzie w mroku. Choć tysiąc padnie u twego boku, ciebie to nie spotka”.

Mariah ruszył w ślad za Sączą. Zanurzając się w coraz gęstszej ciemności, powtarzał

sobie w kółko słowa, które usłyszał kiedyś od matki.

Trzej Marynarze

Echo każdego kroku odbijało się od mokrych ścian wąskiej uliczki biegnącej od nadbrzeża w głąb miasteczka. Z domów, które wcinały się w zbocze, spiętrzone niczym stos kart, wydobywały się szepty i chrząkania śpiących mieszkańców. Tu i ówdzie drogę oświetlał blask ognia padający przez otwarte drzwi. Z przodu dziewczęca sylwetka, nie oglądając się za siebie, tańczyła od domu do domu. Mariah co chwila przetykał ślinę i starał się mieć oczy dookoła głowy, gdyż był przekonany, że depcze im po piętach stwór o czerwonych ślepiach, którego widział w zwierciadle.

Zatrzymał się przy otwartych drzwiach i nie wchodząc, zajrzał do środka. W mętym świetle przygasłego paleniska zobaczył pokój o ścianach w ponurych kolorach, z postrzępionymi zasłonami przyklejonymi do wilgotnych szyb okiennych. Przy ogniu, obok drabiny, która prowadziła na piętro, spała zawinięta w łachmany kobieta z maleńkim dzieckiem w ramionach. Dymiący, czarny kociołek roztaczał woń wrzącej herbaty. Czyjaś obuta stopa przewróciła się z boku na bok pod krótkim, dzierganym kocem. Tłusty, brunatny szczur ogrzewał się przy ogniu, siedząc na podwiniętym ogonie i beztrosko szeleszcząc wąsami. Mariah obrócił pensa w kieszeni, przestąpił próg i po cichu położył monetę na poręczy zepsutego fotela na biegunach.

Mężczyzna, nieświadomy tego, że przyglądają mu się chłopiec i szczur, głośno chrapanął i obciągnął na sobie skąpy, prujący się koc. Mariah spojrzął w ciemny kąt i dostrzegł rządki śpiących dzieci przytulonych do siebie i przykrytych starymi wełnianymi płaszczami. Obok mężczyzny stał dzban piwa, a także paczka tytoniu i skórzany kapciuch - wszystko ułożone w najlepszym porządku na dębowym stołku, pod który wetknięto gazetę ze strasznymi historyjkami.

Mariah przez chwilę patrzył w zamyśleniu na piwo i tytoń. Potem spojrzął na chrapiącego mężczyznę, który wessał do ust kropelkę śliny ściekającej po szczeciniastym policzku. Mariah podniósł pensa z poręczy fotela i zrobił krok w głąb pokoju. U jego stóp śpiący chłopiec podrapał się po mlecznobiałym ramieniu. Mariah pochylił się bezszelestnie i umieścił ciepłą monetę w jego dłoni, po czym delikatnie zacisnął mu palce. Uśmiechnął się i ostrożnie stąpając, ruszył do wyjścia. Żałował, że nie zobaczy miny chłopca po przebudzeniu. Miał też nadzieję, że stary opój nie ukradnie synowi monety, by ją przepić.

- Zamierzasz uszczęśliwić wszystkich? - karcącym tonem spytała Sacza, która przyglądała się wszystkiemu zza progu.

- Mogę ci pokazać tysiąc takich domów. Dla każdego dziecka znajdziesz pensja?

Mariah wzruszył ramionami i wyszedł na ulicę, zamykając za sobą drzwi.

- Nie o to chodzi - wymamrotał. Sacza poszła za nim ciemną ulicą. - Wyobraziłem sobie, że ten chłopiec budzi się rano z monetą w ręce. Jego ojciec pewnie bierze wszystko dla siebie, a dzieciom nic nie zostawia. Dlaczego zostawiają otwarte drzwi? Chcą, żeby cały świat widział, jacy są biedni?

- Czekają na Krakena - odrzekła cicho. - Wierzą, że Kraken zabierze jedno dziecko i zostawi w zamian garniec złota.

- Oddają dzieci za pieniądze? - zdumiał się Mariah.

- Uwierz mi, że nawet gdyby mieli dostać od Krakena butelkę dżinu, ustawialiby się po nią w kolejce. Łatwo przyszło, łatwo poszło. W końcu zawsze mogą mieć więcej dzieci.

- To jakiś obłąd - wycedził Mariah głosem, z którego przebijała złość.

- Takie jest życie, Mariah. Głód, chłód i ścisk aż po zamkową bramę. Ciesz się, że nie jesteś w ich skórze, i nie myśl o tym za wiele - mówiła szorstko Sacza, podążając za nim w półmroku latarni gazowej.

Odtąd szli już w milczeniu wąskimi uliczkami. Minęli zakratowany urząd celny i dotarli na ulicę Nadbrzeżną. Wszędzie było pusto, słyszeli jedynie skrzek mew i własne kroki na popękany bruk. Sacza sprowadziła Mariaha po krótkich kamiennych schodach wzdłuż rynsztoka, który spływał uliczkami do portu. Mariah wciąż spoglądał za siebie, wypatrując w ciemnościach czerwonych oczu Krakena. Jego skłębione myśli krążyły wokół chłopca z pensjem w zaciśniętej dłoni.

Wkrótce stanęli na rogu szerokiej ulicy. Mariah słyszał szum wody uderzającej o deski portowego pirsu. W czerni nocy rysowała się ogromna bryła nabrzeżnego magazynu. Z drzewca wetkniętego w okap zwisała niczym stryczek cienka lina. Od strony morza między dwoma budynkami wznosiła się wąska pochylnia, na której czerniał zarys wypaczonej łodzi rybackiej na tle ciemnej mozaiki kruszejących cegieł i kamieni. Z jednej strony stał duży dom z żółtego kamienia, wyraźnie starszy niż pozostałe. Przy jego dużych drewnianych drzwiach nabijanych czarnymi ćwiekami o kwadratowych łebkach znajdowała się figurka z piaskowca. Przedstawiała przypartego do ściany mężczyznę w metalowej klatce, który trzymał się za delikatnie rzeźbioną głowę, a właściwie za miniaturową koronę z metalu.

Sacza rozejrzała się, jakby nie była pewna, którędy dalej iść. Wahała się przez chwilę, po czym skinęła na Mariaha, żeby poszedł za nią. Jednocześnie dobiegł ich turkot nadjeżdżającego powozu. Przystanęli w głębokim cieniu bardzo wąskiego zaułka, który przypominał szczelinę w kamiennej fasadzie domu. Przejście cuchnęło ściekiem oraz morską

wodą i bieгло w stronę miasteczka. Mariah i Sacza patrzyli, jak powóz wyjeżdża z zakrętu i zatrzymuje się przy ciasnej uliczce prowadzącej do

Trzech Marynarzy. Drzwiczki otworzyły się nagle i ze środka wysiadł Luger. Rozejrzał się na boki, a potem dał woźnicy znak długą laską ze srebrnym okuciem, unosząc ją żywo w powietrze, jak czarodziej rzucający groźne zaklęcie.

- Wiedziałaś, że tu przyjedzie? - szeptem zapytał Mariah, zakrywając usta.

- To jedyna droga. Za nic w świecie nie przyszedłby na piechotę, bałby się, że pobrudzi sobie buty. Tylko tu powóz może zawrócić. Myślałam, że zdążymy przed nim. - Kiedy to mówiła, Luger zniknął w ciemnościach. - Musimy tu poczekać, a potem śledzić go, jak już wyjdzie z tawerny.

- Zobaczy nas - zaprotestował Mariah.

Sacza weszła w głąb szczeliny.

- Zaufaj mi. Będziemy mu skrobać marchewkę, a on się nawet nie spostrzeże. To tak jakbyś był duchem i podsłuchiwał go przez ramię.

Po chwili Mariah stracił ją z oczu: rozplynęła się w mroku wąziutkiego przejścia. Kroczył za nią na oślep. Miał wrażenie, że stąpa po żywym dywanie ze szczurów i rybich głów. Ruchoma ziemia jakby wiła się wokół jego butów.

Nagle czyjaś ręka chwyciła go za mankiet i wciągnęła gwałtownie w jeszcze ciemniejsze wejście w ścianie długiego budynku. Mariah wydał stłumiony okrzyk i potknął się na kamiennych schodach, zanim jednak zdążył upaść, Sacza chwyciła go, przyparła do wilgotnej ceglanej ściany i trzymała tak, dopóki nie złapał oddechu.

- Bądź cicho - szepnęła, zapalając zapałkę.

Mariah spojrział w dół długich schodów: ginęły w ciemnościach, a każdy stopień rzucał cień na kolejny. Wąskie przejście, którym przed chwilą szli, było zastawione wysoką stertą pustych beczek do piwa, a wokół nich walały się lśniące, zielone butelki.

- To schody do piwnicy - oznajmiła Sacza, stając na pierwszym stopniu. - Na szczęście oberżysta nigdy jej nie zamyka.

Można się tam ukryć, a przede wszystkim słyhać stamtąd wszystkie rozmowy. Ale pamiętaj, że od tej pory nie wolno nam otwierać ust - zaznaczyła, zniżając głos. - Będziemy tylko strzyc uszami.

Mariah nic nie odpowiedział. Ruszył za nią po schodach w mroczniejącym świetle, które całkiem zgasło, gdy stanęli przed drzwiami do piwnicy. Sacza zdjęła haczyk i jedną ręką otworzyła drzwi, po czym weszła do środka. W kącie paliła się lampka naftowa. Wśród zapachu drożdży i zwiertzałego piwa rozchodziły się podniesione głosy. Cienki, deskowany

sufit rozbrzmiewał głośnymi krokami; w paru miejscach przez wąską metalową kratkę sączyło się do piwnicy światło i rozlane piwo z karczemnej izby.

Wszystko tutaj było pokryte kroplami piwnicznej wilgoci lub pianą z piwa. Każdą belkę stropu zdobiły lśniące pajęczyny drżące od kroków na górze. Z kratek buchały kłęby kurzu zamiatanego sztywną, szczeciniastą miotłą, która co rusz smagała podłogę, zbierając nasiąknięte rozlanym piwem trociny i spychając je do piwnicy.

Sacza stanęła w snopie światła. Widać w nim było spadające na nią wióry. Potem zaczęła się przesuwać wte i wewte, wypatrując Lugera i prawie zawadzając głową o dębowe belki. Mariah schował się za dwiema beczkami piwa ustawionymi jedna na drugiej i wsłuchiwał się w rozgwar przytłumionych rozmów, zupełnie jakby dobiegały z jakiegoś innego świata, istniejącego poza widzialną przestrzenią. Gruby pająk, który snuł swoją sieć między podporą ściany a słupkiem w podłodze, kołysał się w strumieniu powietrza wciąganego przez kratkę. Opuścił się na cienusieńkiej srebrnej nici i zawisł Mariahowi przed oczami jak wahadło w zegarze z kurantem.

Sacza znienaacka wyciągnęła rękę, chwyciła pająka między kciuk a palec wskazujący i w ułamku chwili zgmiotła drobne stworzenie na miazgę. Uśmiechnęła się do Mariaha i wytarła kciuk o jego surdut. Potem znów spojrzała w kratkę w suficie, usiłując wyłowić wzrokiem Otto Lugera i jego towarzysza.

Drzwi do tawerny otworzyły się i nagle zapadła cisza jak makiem zasiał. Pijani rybacy umilkli, oberżysta za szynkwasem przestał stukać metalowymi kuflami. Słychać było znajomy odgłos podkutych butów Lugera i stukot jego laski o drewnianą podłogę. Mariahowi zdawało się, że widzi każdy krok: mężczyzna szedł powoli, przystanął na środku, rozejrzał się, po czym skierował kroki w daleki kąt izby. Potem rozległo się szuranie odsuwanego krzesła i szelest grubego płaszcza.

Gwar pomału odżył, tak jakby wszyscy rozpoznali nowego gościa lub wymienili między sobą jakiś tajny znak, że nieznanego nie trzeba się lękać i można przy nim głośno rozmawiać. Sacza powoli przeszła na drugi koniec piwnicy i podpierając się o zakurzoną beczkę, zajrzała przez podłogę do izby. Mariah dołączył do niej i zerknął jej przez ramię. Widział wypastowane buty Lugera i gładkie spodnie z podszytymi nogawkami. Obok siedział pochylony nad stołem mężczyzna, tuląc w dłoniach kufel grzanego piwa i spijając z wierzchu pianę, jakby to były lody.

Barman bez pytania przyniósł Lugerowi coś do picia. Sacza i Mariah nasłuchiwali - Luger milczał. Wydawało się, że czeka, aż jego towarzysz skończy chleptać pianę i poświęci mu całą swoją uwagę.

Wtem zatrzeszczał haczyk u drzwi do piwnicy. Sacza w półmroku pokazała Mariahowi, żeby się ukrył. Haczyk zatrzeszczał ponownie, ktoś pociągnął za drzwi, a potem ze złości kopnął w nie i uderzył pięścią.

Mariah szybko przykucnął i wciągnął Sączę do ciasnej szpary między wilgotną ścianą a stertą beczek. Zakrył dziewczynie usta dłonią i schował twarz w fałdach jej bluzki, żeby przytąić własny oddech. Znaleźli się w pułapce. Ustępujące drzwi zgrzytnęły o kamienny próg, aż poleciały drzazgi.

- Do kroćset! - zawołał mężczyzna, gdy wreszcie udało mu się otworzyć drzwi na oścież. - Jeszcze jedna beczka powinna im starczyć do rana - mruknął pod nosem, nie zdając sobie sprawy z tego, że nie jest sam. Schylił się pod niskim stropem i przyglądał kolejno baryłkom, usiłując odczytać po ciemku zatarte napisy kredą. - To chyba ta - rzekł do siebie, pukając w ściankę tęgiej beczułki z jedliny. Chwycił ją lekko niczym spasionego prosiaka i przycisnął do piersi. - Jak znam życie, zaraz się skończy.

Mężczyzna zachwiał się pod ciężarem baryłki, wyprostował z pewnym trudem i wspiął się po kamiennych schodach ku ciemnemu przejściu. Zlany potem Mariah zdjął rękę z twarzy Sączy i nabrał powietrza. Nasłuchiwał ciężkich kroków mężczyzny, który nie zamknął za sobą piwnicy. W końcu wychynął z kryjówki i popatrzył w półmroku na stojące otworem drzwi. Sacza obróciła się do niego. Jej twarz przepoławiał długi, czarny cień.

- Mamy mało czasu... - Wstała i wyszeptała mu do ucha:

- To był stary Matias. Sam więcej wypija, niż sprzedaje. Niedługo tu wróci.

Nad ich głowami towarzysz Ottona Lugera wreszcie skończył spijać kremową pianę z kufła, wyjął z kieszeni chustkę i wytarł usta.

- Nowe zlecenie? - zapytał Lugera, przyglądając się pęcherzykom powietrza w piwie.
- Od tygodnia siedzę w tym miasteczku i czekam, aż pan do mnie przyjdzie. Co mogę dla pana zrobić tym razem?

- Spotkała mnie pewna przykrość, panie Grimm. Ktoś weszły w moim pokoju. Chcę pana prosić... o znalezienie sprawcy - tłumaczył Luger, popijając aromatyczny napój. Potem sięgnął do kieszeni po cygaro i zapalił je od świeczki.

- Od tego tu jestem. Może pan zaufać Grimmowi i Grendelowi. Nie znajdzie pan lepszej pary detektywów. - Mężczyzna pomieszał piwo żółtymi od tytoniu palcami jak serdelki.

- Ach, właśnie, pan Grendel... Gdzie on się podziewa?

- Luger upił łyk i zaciągnął się cygarem.

- Przesyt życiem... - Grim oblizał palec z resztek piwnej piany i westchnął przeciągle.

- Popadł w nałóg, do którego nawet ja nie mam głowy. O tej porze na pewno jest już pogrążony w sennych rojeniach - mamrotał. - Przywłókł to z Chin. Od tamtej pory ta osobliwa przypadłość chodzi za nim jak ogar piekielny. - Grimm mówił tonem, który nie zdradzał troski o stan przyjaciela. Przystawił kufel do grubych ust i wyłopał piwo do ostatniej kropli, która pociekła mu po brodzie. - Dolewka? - zapytał Lugera na tyle głośno, by Matias usłyszał.

- Czy to się nie odbije na jego pracy? - pomyślał głośno Luger.

- Przeciwnie. Odurzająca nalewka pana Grendela tylko mu pomaga. Zyskuje dzięki niej dostęp do pojęć, które ogarnia jedynie człowiek wyzwolony z kondycji ludzkiej. W rzeczy samej, to właśnie owe rojenia pomogły nam odnaleźć pańskie pudełko...

- To nie miejsce, aby o tym rozmawiać - przerwał mu Luger, nie zdając sobie sprawy, że jego surowy głos dobiega ciekawskich uszu w piwnicy. - Sowiec was nagrodziłem, sprawa jest zamknięta, więc spuśćmy na to zasłonę. Niech mnie pan lepiej posłucha - szepnął, zerkając na boki po twarzach rumianych od zimnego wiatru. - Miałem gościa w moim osobistym pokoju. Ktoś narobił bałaganu i uciekł. Chcę, żeby pan i Grendel znaleźli tę osobę. Czy się rozumiemy?

- Dochodzenia to nasz chleb powszedni. Jutro o ósmej obejrzymy miejsce przestępstwa. Proszę niczego nie ruszać, a wnet złapiemy drania. - Pan Grimm przerwał, gdyż Matias postawił przed nim jeszcze jeden kufel piwa. - Kiedy już trafi w nasze ręce, jaki los ma go spotkać? - zapytał powoli.

- Chcę, żeby zniknął - wyszeptał Luger. - Bez śladu. Jak gdyby nigdy nie istniał.

Grimm zanurzył palce w piwnej pianie.

- Dobrze. A zatem zbudzę pana Grendela i wszystko mu opowiem, a wtedy on we śnie znajdzie winnego.

- Doskonale - rzucił Luger. Sięgnął po płaszcz i laskę, po czym wstał od stołu. - Bez śladu...

- Jeszcze jedno - bąknął Grimm, dotykając mokrymi palcami jego surduta - zanim pan odejdzie. Wstyd się przyznać, ale oczekując pańskiego przybycia, wypilem więcej, niżby pozwalała zawartość mojego portfela, i dlatego zastanawiałem się, czy może...

- Ureguluję pański rachunek... a nawet dodam do niego jeszcze jedno piwo na drogę. Niech pana ochroni przed zimnem i Krakenem - powiedział prędko Luger i skinął na Matiasa, żeby przyniósł więcej piwa. - Na koszt Hotelu Regent - zawołał, po czym rzucił wypalone cygaro na podłogę i kopnął je do kratki, patrząc, jak spada do ciemnej piwnicy. - Czekać z niecierpliwością na waszą pomoc, panie Grimm. Z niecierpliwością...

Mariah patrzył, jak gruby niedopałek spada w dół niczym kometa. Wylądował na wieku beczki, rozrzucając snopy iskier, i tlił się w ciemnościach jak odległe palenisko.

Nagle ze szczytu schodów dobiegł odgłos kroków. Ktoś szedł przez noc żwawo jak w biały dzień, stąpając z chrzęstem po rybich głowach oraz kawałkach szkła i wydając przy tym niewyraźne, gardłowe dźwięki. Mariah kucnął za beczką, cofnąwszy rękę, którą sięgał po tłący się niedopałek cygara. Sacza przylgnęła do jego boku i nasłuchiwała z zapartym tchem. Na górze wysokie, podkute buty zastukotały o cienką drewnianą podłogę i ktoś wyszedł na ulicę, a drzwi tawerny zamknęły się z trzaskiem. Tymczasem w ciemnym przejściu szuranie wzmagalo się i zbliżało do otwartych drzwi oświetlonych mdłym blaskiem słabej lampy.

Kroki były szybkie i wyraźne. Mariah wyostrzył słuch. Był pewien, że słyszy zgrzytanie stali o mokre cegły.

- Ast? u... ast? u... - rozległ się dziwny, świergotliwy głos, jak gdyby w progu piwnicy stała jakaś leciwa służąca.

Sacza od razu poznała, że to nie jest głos Matiasa, i przysunęła się do krawędzi beczki, chcąc ukradkiem podejrzeć, kto tym razem ich prześladowuje. Ostrożnie, starając się pozostać w cieniu, wyjrzała przez szparę między dwoma beczkami a skrzynką cuchnących, brązowych butelek.

- Koma methmig... tu lykta af svinsleur... - zakrakał nieznajomy ciekim głosem przywodzącym na myśl starą papugę z pirackiego statku.

Chwilę potem ukazał się Sący. Stał w żółtawym półmroku piwnicy poprzecinany cieniami kratki podłogowych, ubrany w długi, woskowany płaszcz z czarnymi rzemieniami na piersi. Stare, marynarskie buty wpijały mu się w ciało, tak jakby założył je dawno temu i urósł od tamtego czasu. Włosy miał owinięte wokół twarzy i mocno związane z boku. Wyciągnął przed siebie wielką, sękatą dłoń, jakby chciał uchwycić kurz, który unosił się w złotawych promieniach lampy. Jego palce delikatnie drżały, a każdy z nich kończył się długim, czarnym paznokciem.

Mężczyzna odwrócił się twarzą w stronę dziewczyny zwabiony dymiącym się niedopałkiem, który osmalał drewnianą beczkę. Garbił się i co chwila podrywał opadającą głowę, jakby patykowata szyja ugiwała się pod jej ciężarem.

Sacza wstrzymała oddech i przywarła nieruchomo do ściany. Czerwone oczy omiały pomieszczenie, chłonąc wszystko, co zobaczyły.

Nieznajomy trzema cichymi krokami przemierzył piwnicę. Sięgnął po niedopałek, powąchał czubek, z którego wydobywał się gryzący dym, i wdrygnął się poparzony gorącym popiołem, gdy ten przypalił mu kępki włosów wystających z nozdrzy. Mężczyzna

zaświergotał jak morski ptak, któremu ryba stanęła w gardle. Przystawił cygaro do ust, długim, jaszczurzym językiem skosztował bibułki, po czym w mgnieniu oka pożarł niedopałek, mlaskając z wielkim zadowoleniem, jakby trafił mu się nie lada przysmak. Potem obrócił się nagle, jak gdyby usłyszał czyjeś wołanie, i klucząc wśród beczek i skrzynek, wyszedł po schodach w noc.

- Kto to był? - zapytał Mariah, wsłuchując się w zanikające kroki.

- Kraken - odparła Sacza drżącym głosem. - To był Kraken...

Rachunek szczęśliwości

Gdzieś w głębinach nocy, jakby w otchłani duszy, rozległ się daleki krzyk. Niczym grzmot błyskawicy odbił się od ścian zaułków, przetoczył wzdłuż nabrzeża i wpadł przez otwarte drzwi Trzech Marynarzy, w jednej chwili jak nożem ucinając wszystkie rozmowy. Potem rozpląnął się w nocnej ciszy równie nagle, co się pojawił. Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, wszyscy jak jeden mąż wylegli z tawerny na wąską uliczkę, nadstawiając uszu i próbując odgadnąć, z którego kierunku mógł nadlecieć ów przejmujący okrzyk zgrozy. Nie trzeba było szukać daleko. Na niewielkim skwerku obrzeżonym czterema ciemnymi zaułkami, które wiodły w głąb labiryntu domów, leżała skulona postać. W kłębiącej się mgle można ją było wziąć za stertę zmiętych lachmanów.

Mariah i Sacza stali w ciasnym przejściu i patrzyli na gromadę ludzi, którzy otoczyli ciało nierównym parkanem wytartych płaszczy i obszarpanych spodni. Mdły blask ulicznej latarni oświetlał ich plecy i łysiejące głowy - jedne nakryte marynarskimi beretami, inne dla ochrony przed zimnem owinięte starymi gałganami. Szemrali między sobą i spoglądali na zwłoki, które leżały rozciągnięte na mokrym bruku i nosiły ślady śmiertelnych ciosów zadanych w czoło i szyję.

- Wezwijcie policję - odezwał się jakiś mężczyzna, trącając martwe ciało końcem rozszcepionej laski i pocierając szczeniasty podbródek. - Nie można go tu zostawić... Tak się nie godzi... Drugi trup w tym miesiącu. Pierwszego znaleźli nie dalej niż kilometr stąd.

- Gwizdać na władzę, sami się tym zajmijmy. Bottom End rządzi się po swojemu, tak było, jest i będzie - odparł surowo Matias, przepychając się przez tłum. - Trzeba go wrzucić do morza, nikt się nie dowie. Powiedzą, że zabił się na skałach.

- Mniejsza o to, co zrobimy z ciałem - rzekł tamten i znów trącił ciało, jakby chciał się upewnić, że jest martwe. - Ostatnio trup ściele się zbyt gęsto. To nie robota Krakena. Nie tym razem.

- Ja znajdę sprawcę - odezwał się przysadzisty mężczyzna, który do tej pory kręcił się

na obrzeżach tłumu. - Jestem detektywem, prywatnym, rzecz jasna. Mieszkam w Londynie. Możecie mi panowie zaufać, nie pisnę ani słowa policji. Oni tylko przeszkadzają, a moje metody są... cóż, dość nietypowe.

- Pan Grimm precyzyjnie się do przodu, chroniąc w objęciach jedwabny cylinder. - Spójrzmy, co my tu mamy...

Przyjrzał się uważnie równym, szerokim draśnięciom na czole i trzem głębokim ranom na szyi. Twarz ofiary wykrzywił grymas, lecz pozostał na niej nikły, pogardliwy uśmiech. Grimm wyjął z kieszeni palta srebrne pudełeczko, sprawnym ruchem otworzył złoty zatrzask i włożył palce do schowanej w środku aksamitnej torebki. Wydobył z niej parę cienkich złotych okularów z niebieskawymi szklami - wyglądały jak wycięte z jednego kawałka szlachetnego kamienia. Starannie umieścił je na grzbiecie nosa i odsunawszy Matiasa, zaczął badać zwłoki.

- Nie wiem, czy chcemy, żeby robił to ktoś obcy - mruknął podejrzliwie Matias, wycierając ręce w fartuch.

- Jeżeli ja się tym nie zajmę, zrobi to policja. Co wolicie?

Tłum nic nie odpowiedział, tylko zbił się ciasniej, jakby stojący z tyłu bali się, że sprawca tej okrutnej zbrodni nadal jest w pobliżu i tylko czyha na okazję, by zawlec któregoś z nich w ciemności.

- To z nim rozmawiał Luger, poznaję po głosie - szepnął Mariah, wychodząc z ciasnego przejścia i dając Sączy znak, żeby szła za nim. - Chodź, musimy zobaczyć, co się dzieje.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, chwycił ją za dłoń i wyciągnął na ulicę. Po czarnym powozie nie było już śladu, jeśli nie liczyć wąskich kolein w lotnym piachu przywianym z nad morza.

- Luger wyszedł w tej samej chwili, co Kraken - wyszeptła Sączka, spoglądając w stronę portowego magazynu.

- Tuż przed tym, zanim rozległ się krzyk - prędko dopowiedział Mariah. Próbował zrozumieć, co się wydarzyło na skwerze i kto lub co zajrzało do piwnicy. - Może to był Luger - myślał na głos. - Słyszałem kiedyś historię z Afryki o człowieku, który przemieniał się w lwa i polował na ludzi.

- Luger? Krakenem? - powtórzyła Sączka z niedowierzaniem w głosie.

Wyszli na środek ulicy i po cichu zbliżyli się do zbiegowiska.

- Kto wie - odparł półgłosem Mariah. - Może po wyjściu z tawerny zmienił postać i ruszył na polowanie. Może dlatego w Regencie tyle osób zniknęło bez śladu.

- Zjadł ich Luger? - spytała kpiąco.

- A to, co zostało, przerobił na woskowe figury...

Mariah przepchnął się przez tłum i zatrzymał niedaleko

Grimma. Od morza zawiął chłodny wiatr; hulał głośno po kocich łbach, rozsypując wszędzie kryształki piasku. Grimm stał pochylony nad nieżywą stertą łachmanów. Z obszernej peleryny, w którą zawinięte było ciało, wystawały chude, sine dłonie.

- Zanieśmy go do środka - powiedział Grimm, dotykając rany na szyi czymś, co wyglądało jak długi, czerwony ołówek.

- Potrzebuję więcej światła, żeby dobrze przyjrzeć się obrażeniom - wymamrotał, zerkając na Mariaha. - Złapcie go za przeguby i zaciągnijcie do tawerny. Wygląda, jakby zagryzło go jakieś zwierzę.

- Nic z tego - oznajmił Matias. Odsunął chłopca i stanął między nim a truchłem. - Skoroś detektyw, mów, kto to zrobił. Z ciałem my sami sobie poradzimy. Niepotrzebny mi nieboszczyk w oberży. To miejsce dla żywych.

- Jakoś nie zwróciłem uwagi - mruknął pod nosem Grimm, poprawiając okulary i wpatrując się w bruk ulicy. - Ten, kto to zrobił, miał jedną nogę bosą... a na drugiej stary, rybacki but. - Podążył wzrokiem za śladami stóp, których nie dało się ujrzeć gołym okiem. Pochylił się nad zapiaszczonymi kamieniami, spoglądając na niewyraźny kształt w rynsztoku biegnącym wzdłuż uliczki. - Jak gdyby miał błonę między palcami... zupełnie jak pelikan czy albatros. But jest zdarty, jakby zabójca kulał... Może to wcale nie... - Urwał w pół zdania, nie kończąc myśli. Postawił kołnierz, ostrożnie odłożył okulary do aksamitnego woreczka i zamknął pudełko. - Ale to niemożliwe - wymamrotał. - Całkiem nieprawdopodobne.

- Ja wiem, co pan myśli, panie Grimm - odezwał się Matias najciszej, jak umiał, żeby nikt inny go nie słyszał. - Lepiej nie mówić o tym głośno. Dość już mamy zabobonów, po co myśleć o takich rzeczach w środku nocy. Czarne myśli odłożmy na jasne dni, wtedy człowiek zapomina o nich przed zachodem słońca... i ma przynajmniej spokojny sen. - W tłumie za jego plecami podniósł się szmer, jakby zgromadzeni wyczuli, o czym Matias rozmawia z detektywem. - Lepiej ugryźć się w język i machnąć na to ręką. Dobrze panu radzę, panie Grimm, niech pan sobie da spokój. - Matias zdjął z twarzy ofiary obszarpaną pelerynę. - To nędzacz - powiedział. - Nikt nie będzie go szukał ani opłakiwał. - Skinął na stojącego nieopodal mężczyznę i uniósł ponuro brew. - Podjedźcie z wózkiem. Wiecie, co robić. Zapłacę wam w trunkach. Ogrzejcie się w oberży i skosztujcie przyjemności...

- Przyjemność to wspaniała rzecz - wymamrotał Grimm.

- Zwłaszcza gdy jest czysta i pożyteczna. A wasza jałowcówka, karczmarzu, istotnie

stanowi źródło głębokiej, niezawodnej przyjemności, co uszczęśliwia wielu ludzi na wiele godzin.

Sacza cofnęła się do cienia. Matias wszedł z powrotem do tawerny, a za nim reszta z panem Grimmem. Ciało zostało na bruku, z rozrzuconymi ramionami i zakrytą twarzą. Mariah usłyszał turkot wózka i zbliżył się do Sączy.

- Szybko się uwinęli - zauważyła w blasku księżycy, który na chwilę przedarł się przez chmury i przyćmił lampę gazową.

- Co zamierzają?

- Nie twoja sprawa, dziecino - odezwał się nagle czyjś głos i jakaś mocarna ręka szarpnęła Sączę za łokieć. - Siedziałabyś lepiej w tym swoim hotelu. Widziałem tego Amerykańca w oberży. Ubrany jak panisko i prawie tak samo pijany. - Mężczyzna mówił z irlandzkim akcentem. - Jeszcze tego trzeba, żeby moja córka szlajała się nocą po ulicach. Wracasz ze mną do domu.

Sacza nie zauważyła ojca stojącego w cieniu oberży i nie wiedziała, że przyglądał jej się od dłuższego czasu, gdy wciskała się w tłum, żeby zobaczyć ofiarę zabójstwa. Cuchnęło od niego jałowcówką, a twarz miał umazaną tabaką. Uśmiechnęła się do niego bez przekonania, on zaś zacisnął dłoń na jej łokciu, nie tyle po to, by mieć ją w ojcowskiej opiece, ile dla utrzymania równowagi.

- Właśnie wracaliśmy. Wysłali mnie z wiadomością do pana Lugera, ale odjechał stąd przed naszym przyjściem - tłumaczyła się pospiesznie, wiedziała bowiem, że jej obrotny język nie jest bez szans w potyczce ze zmałym umysłem ojca.

- To ten twój chłoptaş? - mężczyzna spojrział na Mariaha spod przymrużonych powiek.

- Ten picuśglancuś z Londynu, jak mu tam - Feliks?

- Nie, tato. Feliksa już nie ma. To Mariah - odparła, choć wiedziała, że niepotrzebnie strzępi sobie język. Ojciec nigdy jej nie słuchał, miał łuski na oczach, a w uszach szum jałowcówki.

- Jak zwał, tak zwał - wymamrotał. - Pójdiesz z ojcem. Twoja matka wygania mnie z domu i suszy mi głowę, że chodzę pić do Trzech Marynarzy. Przedstaw to sobie, mam własną gospodę, a muszę pić u obcych ludzi. To jak mieć psa i samemu szczekać.

- Powiedziałam, że wrócę prosto do hotelu. Muszę przygotować rekwizyty dla Basmali. - Sacza próbowała mu się wyrwać, lecz chwycił ją mocniej.

- Droga do domu stroma i daleka, na dodatek po ciemku, ni księżycy, ni latarni. Idziesz ze mną i koniec. - Mężczyzna groźnie cedził każde słowo i wykręcał jej rękę. - Sprawy rodzinne, chłoptasiu. Nic ci do tego, jeśli chcesz dla niej dobrze.

Dwaj mężczyźni pchający wózek skręcili w zaułek. Sacza spojrzała na Mariaha, próbując się uśmiechać.

- Odprowadzę staruszka do domu. Wrócę rano. Drzwi przy schodach są zawsze otwarte. No, idź już - powiedziała z wigorem i pomachała mu na do widzenia. - Wracaj szybko do hotelu.

- Otóż to, wracaj do mięciusińskiego łóżka i puchowych poduszek. Co on może wiedzieć o uczciwej pracy... Pies z tobą tańczył, chłoptasiu! - zacharczał stary, jakby lada chwila miał dostać ataku dławiącego kaszlu.

Sacza zabrała ojca i odeszła z nim w noc, kierując się w stronę Edenu. Mężczyzna zataczał się i podpierał o ścianę. Mariah zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. Zerkał z daleka na mężczyzn, którzy dźwignęli martwe ciało z mokrego, zimnego bruku i wrzucili je na wózek. Siedem złotych monet wypadło z brzękiem z kieszeni zmarłego i poturlało po kamieniach. Mężczyźni rzucili się na kolana, żeby je pozbierać, zostawiając nędzarza na wózku pod peleryną. W pośpiechu wybrali z piachu wszystkie monety, a kiedy spostrzegli Mariaha, rzucili mu pierwszą z brzegu, jakby chcieli kupić jego milczenie.

Mariah złapał monetę w locie. Chwiejne kroki ojca Saczy ucichły, podobnie jak jego złorzeczenia. Mariah zbliżył się do wejścia do tawerny i oparł o framugę, wystawiając kark na powiew ciepłego powietrza. Zapach dymu i taniego piwa ulatywał na zewnątrz przez szparę w uchylonych drzwiach, która niczym brzytwa przecinała ciemną uliczkę paskiem światła. Chłopiec obrócił monetę w dłoni, próbując odczytać w półmroku niewyraźną inskrypcję wytartą przez setki rąk. Zamazana twarz na awersie miała bujne brwi i długie pukle, które kiedyś pewnie kłębiły się wokół ramion. Z brzegu wybito szereg niezrozumiałych dla Mariaha znaków: były drobne i ciemne, sięgały zewnętrznej, obciętej w dwóch miejscach krawędzi monety.

Bez namysłu wsunawszy pieniądz do kieszeni, patrzył, jak mężczyźni owijają pelerynę wokół ciała i pchają wózek w stronę oberży.

- Popilnuj wózka, chłopcze, a dostaniesz drugą - odezwał się jeden z nich, drapiąc się złotym penssem po ciemnej szczecinie i uśmiechając do Mariaha pożółkłymi zębami, które wyglądały jak wycięte z kartofla. - Raczej nie będzie próbował ucieczki. W razie czego krzyknij.

Mężczyźni, ocierając się o Mariaha, weszli do tawerny. Chłopiec stał w miejscu, otoczony poświatą lampy gazowej, która wisiała nad złuszczonej drzwiami. Nie miał ochoty się od niej oddalać. Jakiś uporczywy wewnętrzny głos ostrzegał go, że jest bezpieczny dopóty, dopóki znajduje się w kręgu światła. Przez kilka minut Mariah czekał na grabarzy,

mając nadzieję, że pójdzie za nimi ciemnymi zaułkami, aż trafi na główną ulicę łączącą port z okazałymi placami pełnymi sklepów. Nasłuchiwał w ciszy śpiewów ojca Sączy prowadzonego przez córkę do Edenu, chociaż czuł w duszy, że dotarli już na miejsce i teraz siedzą w otoczeniu rodziny przy wesoło strzelającym ogniu za grubymi drewnianymi drzwiami. Sacza zbudzi się o pierwszej zorzy, a potem w złotych promieniach wstającego słońca, wyciągającego długie, świetliste palce do wszystkich ciemnych miejsc, pomaszeruje do Regenta ulicami pełnymi rybaków i dziewczyn oporzędzających śledzie. Nie będzie się musiała lękać nocnych straszydeł ani tajemniczych odgłosów przyprawiających o bicie serca. Ciemność i strach ustąpią przed zwykłą koleją codziennego życia. ‘

Czekał i czekał, aż grabarze wreszcie odejdą od stołu, by zawieźć sztywne ciało w jakieś niewiadome miejsce. Odkryty wózek stał oparty o ścianę w mroku ulicy. Mariaha korciło, żeby podejść bliżej i przyjrzeć się twarzy nieboszczyka. Przez chwilę mocował się z sobą, odpierając pokusę zerknięcia pod starą, czarną pelerynę i spojrzenia truposzowi w twarz. Musiałby w tym celu wyjść poza krąg światła i stanąć oko w oko ze zmarłym.

Bijąc się z myślami, słuchał ściszonych głosów dochodzących zza drzwi gospody. Od czasu do czasu łowił niewyraźne słowa: mówiono o Krakenie i morskich stworzeniach, o mordercach i upiorach. Pan Grimm podtrzymywał rozmowę, jakby dokładał drzewa do buchającego ogniem pieca. W chwilach ciszy chrząkał nerwowo, po czym dorzucał od siebie pierwszą lepszą opowieść, jaka mu zaświtała w głowie, i wysławiał własne zasługi w ujęciu zbrodniarzy.

Słuchając tego gwaru urywkowych rozmów, Mariah nieco się odprężył i uwolnił od strachu przed nocą. Grimm coraz głośniej wychwalał swój trud, zagłuszając resztę swoją oksfordzką wymową. Wesoły karczemny harmider rozpraszał ponure ciemności. Mariah usiadł na zimnym stopniu i wzruszył ramionami, jakby strząsał z siebie macki strachu, który wpełzł mu na plecy i szeptał coś do ucha. Niebo się przetało, noc zrobiła się chłodniejsza. Czarny firmament był teraz nabit milionem jasno mrugających światełek. Z wózka powoli unosiła się para - to nocny towarzysz chłopca stygnął na mroźnym powietrzu. Mariah odsunął się od lampy, żeby spojrzeć w niebo, na którym rozbłysnął samotny punkt i pomknął jak iskra z zachodu na wschód. Gwiazda była widoczna tylko przez mgnienie oka, lecz w tym czasie przebyła dłuższą drogę niż Mariah przez całe życie.

Na szczycie wzgórza kościelny zegar wybił pojedynczy ton, który poniósł się głośno i dźwięcznie w nocnej ciszy, goniąc krzyki mew znad plaży.

- Już pierwsza - powiedział na głos Mariah, choć nie spodziewał się odpowiedzi ze strony swego martwego towarzysza. Dokuczliwy wewnętrzny głos wciąż nie dawał mu

spokoju. Chłopiec wrócił w krąg światła i wsunął zmarznięte palce w szczelinę drzwi, po czym uchylił je bardzo wolno, by zajrzeć do środka.

W gospodzie było jasno i duszno, w powietrzu wisiały długie smugi błękitnawego dymu z fajek. Grimm siedział plecami do wejścia, po jego bokach dwaj grabarze, a Matias znów napełniał im kufle. Zamiast starych świec paliły się teraz jasne lampy naftowe; na tylną płytę paleniska rzucono cały kosz węgla. Mężczyźni pieczętowali alkoholem znowu milczenia. Mariah w jednej chwili stracił nadzieję, że opuszczą gospodę przed świtem. Będzie musiał pilnować truposza do bladego świtu. Popatrzył na wózek, a potem na ulicę rozjaśnioną srebrzystym blaskiem księżyca.

Schował ręce w głębokie kieszenie i ruszył żwawo przed siebie, oglądając się, by po raz ostatni spojrzeć na gospodę. Zwolnił kroku, dopiero gdy minął zakręt i przejście, które zaprowadziło ich do piwnicy. Próbował sobie przypomnieć wersety powtarzane przez matkę. Miał ją teraz przed oczyma, uśmiechała się do niego, lecz milczała. Spozrzegł ślady pozostawione w piasku przez powóz, który zawiózł Lugera z powrotem do hotelu. Postanowił iść za nimi wzdłuż uliczki biegnącej obok portu. W pośpiechu mijał stare domy z piaskowca, powyginane klatki na kraby oraz chałupy obwieszane sieciami. Szedł coraz prędzej, gnany rosnącym niepokojem, gdyż oprócz swoich kroków słyszał również cudze. Z początku wydawało mu się, że to tylko echo jego własnego chodu odbija się głośno od ścian domów. Potem zerknął za siebie - i ujrzał ciemną sylwetkę.

Jakiś człowiek szedł za nim, chowając się w cieniu. Jego płaszcz ciągnął się po ziemi i wzbijał tumany piasku. Gruba marynarska czapka na opuszczonej głowie zakrywała twarz.

Mariah powtarzał sobie, że to tylko kolejny zbłąkany przechodzień, który zmierza ku jasnym ulicom miasteczka. Zwyczajny przypadek - pomyślał - jakiś rybak albo nocny hulaka wraca do swojego pokoju na poddaszu. Lecz z każdym krokiem coraz mniej w to wierzył. Rozum podpowiadał mu, żeby się nie zatrzymywał, nie ufał niespodziewanemu towarzyszowi, tylko uciekał, ile sił w nogach przed Krakenem.

Zaschło mu w gardle, gniotło go w żołądku. Szedł, zaciskając usta, broniąc się przed uczuciem rozpacz, które w nim narastało. Przed oczyma stanęła mu twarz nieboszczyka z rozciętym czołem i okaleczoną szyją. Co chwila zerkał przez ramię na mrocznego prześladowcę.

Stado morskich ptaków zerwało się ze spadzistych dachów nad portem. Mariah podniósł wzrok: zatoczyły łuk wokół księżyca, wypełniając niebo krzykiem i jękiem. Potem się obejrzał. Mężczyzna wciąż szedł za nim, zwalniał kroku, przeskakiwał między długimi cieniami i ze szczurzą zwinnością omijał rynsztoki.

Mariah mimowolnie przeszedł w trucht, a potem w pełen bieg, rozkopując górki piachu nawianego z plaży. Jego prześladowca także zaczął biec, kołysząc się ciężko na boki, utrzymując dystans dwudziestu kroków. Daleko z przodu jaśniał szyld karczmy Pod Złotym Śledziem. Biegając na oślep w stronę portu, Mariah pomyślał o kapitanie Charity. Jeszcze raz spojrzął za siebie i zobaczył, że Kraken zostaje z tyłu i zwalnia, lekko kuśtykając po piaszczystym bruku. Mariah biegł dalej co tchu, dopóki zmora nie zniknęła w cieniu, najwyraźniej zaniechując pościgu.

Po prawej ujrzał długie schody prowadzące do urzędu celnego. Przemknął pędem obok zepsutego szyldu i zabitych na głucho okien starego warsztatu złotniczego. Długimi susami wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie. Wiedział, że już tylko dwa zakręty dzielą go od ulicy wiodącej do Regenta, i uśmiechnął się do siebie. Ciężko dysząc, otarł strużki potu z twarzy. Zwalczył w sobie strach i spojrzął w rozświetlone nocne niebo, na którym pogodnie jaśniał księżyc. Wreszcie zwolnił kroku i szedł dalej, obracając w kieszeni monetę, dotykając koniuszkami palców jej gładkiej powierzchni.

Wtem jakaś ręka chwyciła go za kołnierz i cisnęła na ziemię. Nie widział jej, bo zaczęła się w ciemnym bocznym przejściu. Mariah potoczył się po mokrych kamieniach, próbując zerwać się na równe nogi, lecz następny cios uderzył go w pierś z taką siłą, że chłopiec runął na schody. Podniósłszy wzrok, ujrzał przed sobą utykającą postać o świecących czerwonych oczach, odzianą w ociekający płaszcz, który ciągnął się za nią po kamiennych stopniach.

- Nie! - krzyknął, gdy potwór wydobyl garść złotych pensów i obrzucił go nimi jak weselnym ryżem, po czym zbliżył się z grymasem, szurając bosą stopą o kamienie. Mariah dostrzegł błonę między palcami i sękaty kikuty palców czepiające się ziemi niczym ptasie pazury. Poczwarą przypominała sędziwego marynarza w przemoczonym płaszczu do samej ziemi. Na obu jej nadgarstkach widać było pęknięte obręcze kajdan przyrośnięte ciasno do bladej skóry, a na jednym również ciekłą srebrną bransoletkę z wrytymi podobiznami słomianych kukiełek. Potwór sięgnął za pazuchę i wyjął sztylet o trzech ostrzach. Warknął, zacharczał, plując morską wodą, i zrobił krok w stronę chłopca, szukając go rozbieganym wzrokiem.

- Znów kłopoty? - odezwał się spokojny głos za plecami Krakena. Zanim potwór zdążył się obrócić, dostał kijem po plecach i potykając się o własne nogi, runął w dół po schodach tuż obok Mariaha. Jack Charity biegł za nim i wymierzał bestii kolejne razy, aż z kieszeni jej długiego płaszcza wysypały się złote monety i potoczyły z brzękiem ku morzu. - Precz, wynocha! - krzyczał na Krakena, który obrócił się twarzą do mężczyzny i zasłaniał

głowę przed ciosem kija. - Wracaj do swojego wraku!

Kraken odgarnął włosy z twarzy, spojrział na Mariaha, potem na kapitana Charity, wreszcie skinął głową, jakby rozumiał jego gniew. Odwrócił się i kulejąc, zniknął w mrocznym labiryncie uliczek prowadzących do portu.

- Mariahu Mundi! Nie powiem, że bym się ciebie tutaj spodziewał...

Pod Złotym Śledziem

Jack Charity chwycił za długą, przypaloną rączkę patelni i zniknął w kłębie pary unoszącej się z panierowanych ryb, które skwierczały na oleju. Ogromna, biała chmura wzbijała się aż po sam sufit, rozsiewając rozkoszny zapach gorącej żabnicy. Mariah siedział u szczytu długiego stołu nakrytego wspaniałym, śnieżnobiałym obrusem, na którym połyskiwały srebrne sztuce i odwrócone do góry dnem kieliszki. Za plecami chłopca znajdowało się wysokie okno z widokiem na przystań, gdzie kołysały się stłoczone łodzie rybackie, oraz latarnię przeczesującą czarne morze snopem żółtego światła. Przy oknie, na dębowym trójnogu stała dostojna luneta z drewna i mosiądzu.

Mariah siedział na połączonym krześle z aksamitnym obiciem i patrzył, jak Charity uwija się przy czarnym piecu zajmującym całą długość otwartej kuchni. Na ścianach izby wisiały różne osobliwości obramowane na górze białym gzymsem, który biegł pod wysokim sufitem, a na dole wypolerowanymi listwami przy lśniącej drewnianej podłodze. Mariah nigdy w życiu nie gościł w tak starannie wysprzątanym miejscu. Podczas gdy Charity krzątał się przy kuchni, chłopiec zerkał na wiszące na ścianach rozmaite dziwne stworzenia o skamieniałych pyskach i wytrzeszczonych, martwych oczach. Jedne kojarzył, inne były dla niego całkowitą zagadką. Rozpoznał bizona i łosia, które widział kiedyś na rysunkach w „London Chronicie”. Raz bizon pojawił się nawet w Szkole Kolonialnej - przyjechał z młodym człowiekiem w zamszowej kurtce z frędzlami i spiczastych butach na trójkątnym obcasie.

Uwagę Mariaha przykuł zwłaszcza ogromny krokodyl. Zwierzę leżało pod ścianą obok drzwi wejściowych, podobne do przewróconego kanoe, długie prawie na dwa metry, ze zwiniętym ogonem, tak by mieściło się w pomieszczeniu. Podczas gdy Charity mruczał coś pod nosem przy akompaniamencie skwierczącego tłuszczu i mieszał rozgnieciony groszek w wielkiej kadzi, Mariah z zafascynowaniem przyglądał się zielonej bestii. Najpierw policzył wszystkie łuski na grubej skórze, a potem dodał do nich liczbę kłów wystających z zamkniętej paszczy. Zwierzę było świetnie zakonserwowane; chłopiec miał wrażenie, że wpatruje się w niego brązowymi oczyskami wielkości filiżanek, a nawet uśmiecha. Mariah również

uśmiechnął się do tej rozumnie patrzącej istoty, choć dobrze wiedział, że ma przed sobą dzieło wprawnego wypychacza zwierząt.

Jack Charity rozwiązał plisowany fartuch i wytarł nim czoło. Wziął do ręki duży, owalny półmisek i trzymając go przez fartuch, żeby się nie oparzyć, zaniósł na stół.

- Czegoś takiego pewnie jeszcze nie widziałeś, co? - zwrócił się do Mariaha podnieconym głosem, jakby chwalił się swym najnowszym odkryciem. - Ryba cud! Z morskiej głębiny prosto na twój talerz, świeża jak zimowe powietrze.

Mariah wlepił wzrok w piramidę złocistych kawałków rybiego mięsa, którą jasnozielonym pierścieniem otaczało puree z groszku przetykane talarkami ziemniaków usmażonych w głębokim tłuszczu. Aromat potrawy krążył po izbie jak spojrzenie złodzieja. Mariah przełknął ślinę, w brzuchu zaburczało mu radośnie. Zapomniał o ponurej nocy, o Krakenie, nawet o Sączy. Półmisek pobudził jego wyobraźnię - i pusty żołądek - tysiącem obrazów kotłujących się po głowie niczym kłęby pary z gorącej ryby.

- Dziękujemy za ten posiłek - powiedział Charity, zamykając na chwilę oczy, a potem dodał po cichu: - Pamiętajmy o ofierze tych, którym go zawdzięczamy.

Mariah zacisnął palce na nożu i widelcu, po czym spojrzał na gospodarza, jakby oczekując rady, od czego należy zacząć jedzenie. Jack Charity uśmiechnął się, uniósł brew i mrugnął, jak gdyby dawał znak do rozpoczęcia wyścigu. Mariah jadł, aż mu się uszy trzęsły, ani na moment nie odrywając oczu od posiłku. Nie odzywał się i tylko od czasu do czasu chrząkał z głębokim zadowoleniem, gdy jakiś wielki, pyszny kawałek trafił mu do ust i ześlizgiwał się do gardła;

- Chleb i herbata - oznajmił Charity, wracając do stołu z gorącym, brązowym bochenkiem, nad którym drgało rozgrzane powietrze. - Prawie najedzony? - spytał Mariaha, a ten jednocześnie przełknął kęs i skinął głową. Wiedział, że napchał żołądek aż po same brzegi, lecz wciąż miał ochotę na więcej. - W takim razie wyczaruję coś słodkiego. - Charity ponownie odszedł od stołu i pokonał dziesięć metrów dzielących go od kuchni na drugim końcu izby.

Mariah objadał się dalej. Wetknął do ust pajdę chleba i popił ją łączywie gorącą herbatą. Spojrzał na krokodyla i uśmiechnął się, zwierzę zaś odwzajemniło uśmiech i powoli, znacząco mrugnęło do niego najpierw jednym, a zaraz potem drugim okiem, po czym opuściło powieki, jak gdyby też się najadło i postanowiło uciąć sobie drzemkę.

Dreszcz strachu wstrząsnął Mariahem od stóp do głów. Zaraz potem poczuł ucisk w przepełnionym żołądku, zobaczył bowiem, jak z krokodylich nozdrzy ulatuje rzadka mgiełka. Na drugim końcu tawerny kapitan Charity w błogiej nieświadomości szykował deser, a

tymczasem wypchany krokodyl ożył i nie tylko uśmiechał się ponuro, lecz także mrugał i parskął.

- Kapitanie - szepnął Mariah, nie chcąc zbudzić potwora z drzemki. - Zechce pan przyjść, muszę panu powiedzieć coś bardzo ważnego. - Nie spuszczać krokodyla z oczu, podniósł stopy z podłogi i oparł je na krześle po drugiej stronie stołu, najwyżej, jak się dało.

- Najpierw zjemy pudding. Potem opowiesz mi o Krakenie i Ottonie Lugerze - odparł Charity, a po izbie rozeszły się odgłosy rozbijania i trzepania jajek. - Do rana zostało jeszcze sporo czasu, zdążymy ze wszystkim. Odstawię cię do Regenta, zanim ktokolwiek zauważy twoje zniknięcie. - Zdjął z pieca rozgrzany biszkopt i polał go złocistym płynem. - Jeszcze trzy długie minuty i zakosztujesz prawdziwej rozkoszy! - zawołał. Krokodyl otworzył jedno oko, jakby śledził słowa wędrujące z jednego końca izby na drugi, a potem wlepił wzrok w Mariaha.

- Czy to bizon amerykański? - zapytał słabym głosem Mariah, po czym stanął na krześle i przeskoczył na długi okienny parapet.

- Znasz się - zawołał z uznaniem Charity. Zniknął za ladą, by po chwili wyłonić się z powrotem ze srebrną misą i wielką trzepaczką. - Sam go przywiozłem. To było wiele lat temu. Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia.

- Trudno było go ustrzelić? - Mariah stanął na parapecie, zastanawiając się, czy zdoła przebiec po stołach na drugi koniec obszernej izby, zanim krokodyl capnie go w powietrzu.

- Nie mam pojęcia - przyznał Charity, przerzucając pudding na duży talerz i polewając parującym słodkim sosem. - Kupiłem go w porcie w Nowym Jorku tuż przed powrotem do Anglii. Zresztą chyba nie ośmieliłbym się zabić tak pięknego stworzenia. Wszystko, co tu widzisz, przywiozłem z dalekich krajów. To dzieła sztuki, różne moje zachcianki, pamiątki z podróży.

- Krokodyl też? - szepnął Mariah drżącym głosem. Modlił się w duchu, by zielony stwór pozostał w swoim leżu.

- Byłem ciekaw, kiedy zauważysz Kubę - rzekł Charity z nutką rozbawienia, wracając z kuchni z puddingiem i stawiając go na stole niczym dymiące trofeum. - „Jak krokodyl, co rzewnym spojrzeniem usidla podróżnych.” Ciebie prędko usidliła, nieprawdaż?

- Jest prawdziwa? - zapytał głośno Mariah. Przyzwany ruchem ręki zszedł z parapetu i wrócił do stołu.

- Prawdziwa, przyjazna... i objedzona rybami. To już duża dziewczynka. Sam ją złapałem. - Charity zabrał półmiska ogon żabnicy i rzucił bestii. - Ledwie się tu mieści, tak bardzo urosła. Ale kiedy wyprowadzam ją na spacer, wciąż ciągnie do miejsca, w którym ją

znalazłem.

- Do Afryki? - spytał nieśmiało Mariah.

- Na plażę obok Regenta - wyjaśnił Charity. - Tam ją znalazłem. Była jeszcze malutka, zmieściłaby ci się na dłoni. Trzymałem ją w piwnicy. Tam jest mokro, bo przyplływ ją zalewa. Poza tym Kuba chętnie zjada... resztki - dokończył ze śmiechem. - Raz mieliśmy tutaj włamanie. Dwóch łotrów dostało się do piwnicy przez stary zsyp węglowy. Podobno ich krzyki słychać było na zamkowym wzgórzu. Nie został po nich prawie żaden ślad, a policja z jakiegoś powodu wolała nie zaglądać do piwnicy... To naprawdę wyjątkowy okaz. Nogi jak u warana. Błonę ma tylko na jednej stopie. Właściwie bardziej przypomina smoka niż krokodyla.

Mariah w milczeniu spoglądał to na gospodarza, to znów na śpiącą Kubę.

- Częstuj się puddingiem. - Charity wziął sobie dwie łychy gęstego ciasta pokrytego jeżynami w syropie i oblanego słodkim żółtym sosem. - W sam raz na wczesne śniadanie.

Mariah spojrzał na wielki złoty zegar nad drzwiami. Sekundnik mknął po tarczy, ciągnąc wskazówkę minutową ku następnej pełnej godzinie. Kurant z nieskończoną precyzją wydzwonił dwa rzewne tony, które rozbrzmiały głośno w całej izbie. Kuba poderwała się ze snu i kłapnęła paszczą. Potem mlasnęła kilka razy, a jej wielkie oczy spojrzały wokół.

- Nie znosi hałasów i gwałtownych ruchów... Próbowałem ją przyzwyczaić, ale bez skutku. Dlatego tuż przed północą lepiej się do niej nie zbliżać - powiedział ze śmiechem Charity, chwytając za drugą łyżkę, po czym wbił ją w sam środek deseru i nappełnił usta po brzezi.

- Ten potwór na schodach - podjął Mariah - co to było?

- Tego, mój drogi, nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno. Kraken, zły duch... wiele jest rzeczy na tym świecie, które przechodzą nasze pojęcie - stwierdził, przeżuując pudding i wycierając strużkę sosu ciekącą mu po brodzie. - Jedno nie ulega wątpliwości: to coś chciało cię porwać.

- O co chodziło z tymi pieniędzmi? - Mariah dotknął monety w kieszeni.

- Niektórzy mówią, że Kraken mieszka w zatopionym statku pełnym islandzkiego złota. To jakiś wikiński łup skradziony z królewskiego grobu. Kraken odbiera życie, ale płaci za nie złotymi monetami. - Charity wstał od stołu i zaciągnął grube zasłony z czerwonego aksamitu. - O pewnych rzeczach lepiej mówić bez świadków - wyjaśnił cicho, zatrzymując się i rozglądając po izbie.

- Obok Trzech Marynarzy, tej gospody, znaleziono martwego człowieka z rozciętym czołem i trzema ranami na szyi. Pasują do sztyletu Krakena. - Mariah wyciągnął rękę. -

Gdyby nie przyszedł mi pan z pomocą... - Urwał i myślał przez chwilę, a potem po raz pierwszy spojrzał kapitanowi prosto w oczy.

- Co pan właściwie tam robił? - zapytał. - Skąd pan wiedział?

- Same pytania. Ja też mam do ciebie wiele pytań. Jesteś tu drugi dzień, a już o mały włos nie postradałeś życia. Co się stało z tym człowiekiem z pociągu? A Otto Luger i Basmala - jak cię traktują?

- Pan mnie śledził, kapitanie - nie rezygnował Mariah. Odłożył łyżeczkę i widelec na talerz, jedno przy drugim, i złożył wielką białą serwetkę.

- Kiedy do ciebie dotrze, że to był zbieg okoliczności? - odparował Charity.

- Szedł pan za mną.

- A nawet jeśli, to co? Powinieneś się cieszyć. Ten potwór pożarłby cię kawałek po kawałku. Stałeś pod oknami mojej tawerny i rozmawiałeś z koleżanką. Nie dziw się, że mnie to zaintrygowało. - Charity uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Poszedłem za tobą w dobrej wierze. Pamiętałem cię z pociągu i chciałem się upewnić, że nic ci nie grozi. Ostrzegałem cię wtedy i powtórzę to teraz. Jesteś uwikłany w sprawy, których nie zrozumiesz, choćbyś nie wiem jak się starał. Garnitur za pięć funtów i eleganckie buty niewiele ci pomogą.

Charity położył dłoń na ramieniu chłopca, po czym spojrzał mu prosto w oczy. Przez chwilę Mariah mógł się przyjrzeć każdej zmarszczce na jego pobrużdżonej twarzy. Ciekawiło go, co widziały te przenikliwe błękitne oczy - ile cudów, dziwów i nieszczęść. Patrzyły bez skrępowania i nigdy nie odwracały się z zakłopotaniem. Mariahowi przeleciała przez głowę myśl, że oto ma przed sobą własną przyszłość.

- Naprawdę był pan w Sudanie?

- Podczas rebelii. Walczyłem tam przez dwa lata.

- Czy kiedykolwiek... - zaczął Mariah, lecz nie potrafił dokończyć pytania.

- Twoich rodziców? - odparł Charity, jakby przejrzał jego myśli. - Myślałem o nich w pociągu, po tym jak się poznaliśmy. Nigdy nie trać nadziei - dodał szybko - szukaj prawdy, dopóki nie znajdziesz odpowiedzi.

- Popłynąłbym tam choćby jutro - rzekł Mariah, zaciskając zęby. - Przeczesałbym każdy skrawek tego kraju. Gdybym znalazł choćby jedną kosteczkę, choćby paznokieć, cokolwiek, co po nich zostało... wtedy miałbym pewność. - Mariah umilkł i zaczął nerwowo nawijać długi kosmyk włosów na palec. - Ale kartka papieru, na której napisano, że nie żyją, to dla mnie za mało. Profesor kazał mi powtórzyć na głos, że moi rodzice zmarli, tak jakby musiał to ode mnie usłyszeć. Ale ja wierzę, że oni żyją. Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie.

Charity słuchał go z uwagą. W jego lśniących oczach odbijały się płomienie lampy. Przypomniały mu o sudańskiej wiosce i kręgu chat palących się jasnym ogniem na tle czarnego nieba. Na chwilę cofnął się do tamtej chwili, poczuł żar płomieni rozpraszających chłód pustynnej nocy. Siedem czarnych skorpionów czmychnęło z płonących krzewów i ominąwszy jego nogi, zeszło po kamienistym zboczach do suchego koryta rzeki.

- Czasem na wojnie różne rzeczy dzieją się wbrew naszej woli - powiedział zamyślnym głosem. - Rzeczy tak straszne, że nie chcemy ich pamiętać. Ludzie biorą nasze milczenie za skromność bohatera, a my tak naprawdę nienawidzimy siebie za to, cośmy uczynili. - Charity spojrział na resztki puddingu rozrzucone po talerzu. - Najedzony i gotowy do drogi? - odezwał się nagle zmienionym głosem, jakby wrócił w objęcia rzeczywistości. - Pora odprowadzić cię do Regenta. Kuba ucieszy się ze spaceru.

Charity wstał z krzesła i strzelił palcami. Zielona smoczyca dźwignęła się na długich łapach; wszystkie z wyjątkiem jednej były zakończone pazurami. Przeszła zwinnie między stołami i usiadła przy drzwiach, wesoło poruszając ogonem w oczekiwaniu na swojego pana. Mariah wytarł resztki dania z twarzy i podążył w pewnej odległości za kapitanem Charity, który wdział ciężkie palto i wyjąwszy z kieszeni długi skórzany pasek, założył go bestii na szyję.

- Muszę ją prowadzić na smyczy, inaczej miejscowi się boją. W ogóle tolerują Kubę tylko dlatego, że ich zdaniem odstrasza Krakena. To imię nadał jej pewien stary rybak. Powiedział, że tak się nazywa anioł, który strzeże śpiących dzieci. Kuba pilnowała tawerny podczas mojej nieobecności. - Charity szarpnął za smycz i krokodyl zadrżał, podniósł się na tylnych łapach i zaczął drapać drzwi. - Chyba zwęszyła szczura. Uwielbia polować. Pożera je tak szybko, że nie zdążą nawet pisnąć. - Zaśmiał się i jego twarz pokryła się zmarszczkami, śladami po wielu serdecznych uśmiechach.

Z progu tawerny Pod Złotym Śledziem można było dostrzec zarys Regenta widoczny w księżycowym blasku na tle poszarpanej mgły. Mariah ruszył przodem, a za nim gospodarz i krokodyl, który szarpał smycz i głośno wciągał słone powietrze.

- Kuba ciągle czuje szczura - wyjaśnił Charity, zamykając drzwi tawerny i stawiając kołnierz palta. - Znowu się zamgliło - szepnął. - Odkąd wybudowano Regenta, woda w morzu jest cieplejsza, a mgła utrzymuje się dłużej.

Przekroczyli brukowaną ulicę i zeszli pochylnią na plażę. Kuba skakała na smyczy jak szczenię, kłapiąc zębami i wciągając powietrze przez chropawe nozdrza. Charity spuścił ją z uwięzi i patrzył, jak gna po piasku i znika w ciemnościach. Mariah szedł tuż przy nim, bacznie wypatrując bestii.

- Spokojna głowa - rzucił rażno Charity. - Kuba pobiegła gonić rybołowy. O tej porze jesteś dla niej zbyt obfitym kąskiem, nie skusi jej nawet ta pyszna ryba w twoim brzuchu.

Mariah sięgnął do kieszeni i wyjął bilet, który kapitan dał mu w pociągu.

- To za kolację.

- Nie trzeba - odparł prędko Charity. - Jeżeli go wezmę, kto wie, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? A tak mam pewność, że wstąpisz do mnie znowu na darmową kolację. Oczywiście, gdy będziesz miał ochotę. - Kapitan położył chłopcu dłoń na ramieniu i szedł dalej. - Powiedz mi jedną rzecz. Ten człowiek z pociągu, Isambard Black: co u niego?

Mariah przez chwilę milczał, bojąc się, że powie coś niestosownego. Popatrzył w stronę domów i sklepów rozrzuconych po wybrzeżu. Daleko po prawej stały trzy nowe, prążkowane kabiny kąpielowe z drabinkami schodzącymi do morza.

- Widziałem go parę razy - odparł ostrożnie. - U Basmali zawsze jest coś do zrobienia. Black i Basmala się znają. Wczoraj wieczorem spotkali się w pokoju.

- A co sądzisz o hotelu? Widziałeś coś więcej oprócz miejsca, w którym pracujesz? - spytał cicho Charity, prowadząc Mariaha plażą w stronę Regenta.

- Widziałem tyle, ile mi potrzeba. Za to Sacza zna hotel jak mało kto. Oprowadziła mnie po nim. Od najwyższych wież aż po mroczne piwnice. Tam, na dole, potrafi być gorąco jak w piekle. Ciemno, parno i czuć rybą.

Gdzieś blisko wody rozległ się krzyk mew. Potem dał się słyszeć miarowy tupot krokodylich nóg na piasku. Kuba niczym posłuszny pies usiadła u stóp kapitana, owinięta swym długim gadzim ogonem, którego czubek lekko podrygiwał. W delikatnie przymkniętej paszczy tkwiła skrzecząca, tłusta srebrzysta mewa. Krokodylica mrugała powiekami, trochę warcząc, a trochę pojękując, z jej oczu zaś pociekło z wolna parę słonych łez.

- Zostaw ją, Kuba - skarcił swoją pupilkę Charity. - To nie dla ciebie. - Kiedy bestia posłusznie rozwarła paszczę, wystraszony ptak wyskoczył pomiędzy śmiercionośnych zębów i poderwał się do lotu. Mariah z wrażenia zaklaskał w ręce, a Kuba zatańczyła na tylnych łapach, wzbijając ogonem tuman piachu.

- Ciepła noc, jak na zimę - zauważył beztrósco Mariah. Podniósł kawałek drewna, który fale wyrzuciły na brzeg, i rzucił go krokodylicy najdalej, jak potrafił.

- Czujesz, jak ciepły jest piasek? - zagadnął Charity, podnosząc garść parujących ziarenek. - Morze jest gorące jak woda w kąpeli. Tak samo piasek - przesypał go chłopcu do ręki.

- Zrób coś dla mnie, Mariahu. Dowiedz się, co jest tego przyczyną, a przy okazji pewnie uzyskasz odpowiedź na wszystkie trapiące cię pytania.

Nad nimi wznosił się niebotycznie wysoki cień Regenta.

Reductio ad absurdum

Mariah zawsze wierzył, że im lepiej będzie się wysypiał, tym dłużej będzie żył. Do tego stopnia, iż przyszło mu nawet do głowy, że gdyby spał w nieskończoność, mógłby żyć wiecznie. Często wracał do tej myśli, gdy czuł się przytłoczony codziennymi problemami. Swego czasu prowadził specjalny dziennik, w którym zestawiał przespane godziny z tymi spędzonymi na jawie - i zawsze cieszył się, gdy z tego bilansu wynikało, że przez większość czasu przymknięte powieki odgradzały go od świata. Od czasu rzekomej śmierci rodziców starał się sypiać jeszcze więcej. W Szkole Kolonialnej w Chiswick często znajdował jakieś ciche miejsce gdzieś na uboczu, na przykład przy kominku w sali jadalnej, i zamykał oczy. Najbardziej lubił uciąć sobie drzemkę w porze lunchu i podczas godzinnej przerwy między podwieczorkiem a nabożeństwem. Jeszcze częściej po prostu spuszczał powieki i oddawał się skrytym rozmyśleniom - żył wtedy we własnym świecie niedostępnym dla reszty. Wyobrażał sobie, że siłą woli może zmienić bieg własnego życia. W snach często widywał matkę, rozmawiał z nią, poznawał na nowo. Nie zamykały im się wtedy usta, byli jak dwie turkawki. Spotykali się zawsze w tym samym miejscu, na moście rozpiętym ponad rzeką, wpatrzeni w swoje twarze odbite w leniwie płynącej wodzie. W tych snach nigdy nie było słońca, jedynie promienne światło zza wysokich szarych obłoków, które przesłaniały niebo.

*Reductio ad absurdum (łac.) - dowód nie wprost; sposób dowodzenia twierdzeń, polegający na zaprzeczeniu tezy i pokazaniu, że prowadzi to do sprzeczności; metoda chętnie stosowana przez Sokratesa (przyp. red.).

Nie zdarzyło się ani razu, by stanął z nią twarzą w twarz. Zawsze spoglądał na jej połyskujące odbicie, czasem zmacone tchnieniem wiatru spomiędzy wysokich dębów i cedrów, które rosły dookoła. Tracił ją wtedy z oczu i wiedział, że niedługo się obudzi, lecz mocno wierzył, że niebawem znów się spotkają.

Pobudka była nieodmiennie przykra. Wspaniały sen pryskał, a Mariahowi przypominała się chwila, kiedy krzyczał: „Moja matka nie żyje!” Tylko w śnie znajdował ukojenie. Pobudka zabierała wszystko, co było mu drogie...

Kiedy pożegnawszy kapitana Charity, wspinał się po długich schodach na skarpe, na której stał Regent, myślał o spaniu. Wiedział, że prędzej czy później dotrze do jakichś drzwi, a do tego czasu Charity i Kuba będą czekać na plaży, by się upewnić, czy nic mu nie grozi. Trzymał się zimnej żelaznej poręczy i z mozołem, noga za nogą, wchodził coraz wyżej, raz po raz wycierając kropelki potu z czoła. Strome kamienne schody rozjaśniały cztery wysokie,

czarne latarnie gazowe. Ich złote światło migotało w kłębach rzednącej mgły, która wlokła się krok w krok za chłopcem. W grubej ceglanej ścianie widniały ciemne drewniane drzwi, na których wyraźnie odcinało się namalowane białą farbą słowo Dostawy.

Mariah obrócił się twarzą do morza i spojrzął w dół. Charity stał na brzegu i odprowadzał chłopca wzrokiem, Kuba rozgrzebywała piasek, wywijając ogonem i wgryzała się w kawałek drewna, który jej rzucił. Mariah jedną ręką nacisnął mosiężną klamkę, a drugą pomachał swojemu Opiekunowi. Drzwi ustąpiły z łatwością, skrzypiąc na jednym zawiasie i szurając o wyszczerbiony ceglany próg.

Obejrzał się znowu, gdyż dobiegł go jakiś odgłos ze szczytu schodów. Na górze, opodal skromnego rzędu sklepów, włoskiej kawiarni i fryzjera męskiego, stał uliczny latarnik. Popatrzył na chłopca i skinął głową w jego stronę, a następnie długim kijem odciął dopływ gazu.

- Pół do trzeciej - zajęczał gardłowym głosem człowieka żującego tytoń, jakby chciał usprawiedliwić swoją obecność.

- Najpierw je człowiek zapala, potem gasi, trochę jak w życiu.

O pół do trzeciej gaszę wszystkie... Nocna zmiana? - spytał, grzebiąc w kieszeni znoszonego woskowanego płaszcza w poszukiwaniu jeszcze jednej prymki do żucia. - Człowiek żyje bez słońca, od zmierzchu do świtu, i tak w kółko - biadolił zza długiej, bujnej brody, rad widzieć żywą duszę.

Mariah uśmiechnął się do niego, a potem wszedł do hotelu, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę stał w miejscu i nasłuchiwał, jak latarnik schodzi po kamiennych stopniach i kolejno gasi latarnie, pozostawiając za sobą ciemność.

W środku przywitał go świst windy parowej oraz woń siarki i gęsiego smalcu. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby bielone wapnem ściany pociągnięto cienką warstwą brązowej mazi. Obok drzwi stało kilka skrzynek bananów; owoce wystawały spomiędzy drewnianych desek i przypominały żółte palce wyciągnięte w jego stronę. Każdą skrzynię zamknięto mosiężnym drutem, który szczelnie dociskał wieko do ścianek. O tej wczesnej porze wszystko było w należyтым porządku. Wkrótce przybędzie piekarz, by ugnieść ciasto pozostawione na noc w porcelanowych naczyniach, żeby urosło. Szef zmiany śniadaniowej, wciąż daleki od trzeźwości po nocnym pijaństwie, wśliznie się po cichu do kuchni. Przepastny wieloryb powoli zbudzi się ze snu. Pięciuset wymuskanych kelnerów i dwieście pokojówek będzie spełniać zachcianki hotelowych gości, Mariah zaś przygotuje i wyczyści każdy magiczny rekwizyt przed wieczornym widowiskiem.

Z magazynów chłopiec udał się tylnymi schodami w kierunku teatru. Przemierzając

zaciemnione korytarze, zastanawiał się, czy nie powinien spełnić swoich obowiązków, zanim położy się spać. Z pewnością ucieszyłoby to Sączę, a także dało mu trochę czasu na to, by lepiej zrozumieć wydarzenia mijającej nocy. Nie mógł przestać myśleć o Krakenie. Starał się wygnać potwora z pamięci, lecz straszidło wciąż powracało i za każdym razem wydawało się jeszcze prawdziwsze.

Kiedy skręcił w ostatni korytarz i był już na schodach prowadzących do wejścia dla aktorów, usłyszał daleko w tyle szuranie butów. Zadrżał, przystanął w cieniu, z dala od blasku lampy, i spojrzął za siebie. Korytarz był pusty i pogrążony w ciszy. Widocznie wyobraźnia płatała mu figle. Mariah odchrząknął i poczekał, aż echo całkiem wybrzmi, trzymając złotą monetę w kurczowo zaciśniętej dłoni.

- Kto tam? - zawołał w nadziei, że nikt mu nie odpowie. Odczekał długą chwilę, lecz nikt się nie odezwał, nie było też słychać żadnych odgłosów, żadnego szurania, tylko łagodny szmer generatora pary, który jak zwykle szumił melancholijnie w głębinach hotelu.

Dwoma krokami Mariah pokonał odległość dzielącą go od drzwi i po chwili znalazł się w teatrze. Stał w egipskich ciemnościach, ale wiedział, że po prawej stronie znajdzie stolik z mosiężnym lichtarzem i grubą świecą, a obok niej zapałkę i draskę. Zaczął po omacku szukać świecznika. Zza drzwi znów doszło go szuranie czyichś kroków. Przywarł plecami do drzwi, wymacał zasuwę i wsunął ją do skobla. Potem przykucnął i nadstawił uszu, ale raz jeszcze zapanowała cisza.

- Wyobraźnia - szepnął do siebie, podnosząc zapałkę ze stolika. Jasny błysk siarki rozegnał ciemności. Trzymając płonącą zapałkę między palcami, Mariah podsunął knot świecy. Odetchnął z ulgą, gdy mrok się rozpierzchnął. Światło rozwiało w nim strach, tak jak brzask przepędza nocne straszidła. Drżącą ręką odłożył zapałkę do miseczki świecznika, gdzie zwinęła się i zwęgliła do cna.

Podniósł lichtarz i wyszedł z nim na scenę. Zapalił kulisowe lampy, po czym wyciągnął dwuczęściową skrzynię, sprawdzając mechaniczne stopy i wszystkie zatraski. Nie chciał, żeby coś poszło nie tak - bądź co bądź powierzał Basmali własne życie. Musiał jeszcze zamieść scenę, przygotować dekoracje na długich, poskręcanych sznurach i powciskać dwanaście tłustych gołębi do kapeluszy i pudełek.

Prawie zapomniał o straszliwym Krakenie, gdy nagle drzwi dla aktorów zatrzeszczały na zawiasach, jakby uderzone krótkim podmuchem wiatru. Kotary zwieszane z wysokiego łuku nad sceną poruszyły się lekko, z sufitu na podłogę posypały się niezliczone drobiny kurzu. Nie byłoby ich widać, gdyby nie to, że tańczyły w snopie kulisowego światła, które rozlewało się po scenie i rozjaśniało mrok na widowni. Mariah patrzył, jak obracają się w

powietrzu i ocierają o siebie niczym płatki śniegu.

Drzwi znowu zadrzały, tak jakby cały hotel przesunął się o ułamek cala. Mariah odstawił skrzynię na swoje miejsce, ułożył na niej pozostałe rekwizyty w kolejności, w której będą potrzebne, i zakrył wszystko fioletową jedwabną chustą Basmali.

- Dziwna pora, żeby pracować - odezwał się czyjś głos w mrokach ogromnej widowni. Mariah spojrział w tamtą stronę, lecz nie widział nikogo.

- Myślałem, że chłopiec w twoim wieku będzie o tej godzinie leżał w ciepłym i bezpiecznym łóżku - dodał sarkastycznie zza zasłony ciemności.

- Pan Basmala chce, żeby wszystko było jak w zegarku. Za dnia trudniej schować gołębie, bo odfruwają. - Dopiero gdy wypowiadał te słowa, zaczęło do niego docierać, z kim rozmawia.

- Widzę, że masz długi język... Lepiej przysięgnij, że nie wyjawisz sekretów Bractwa Sztukmistrzowskiego. Gdybyś zdradził arkana naszego rzemiosła osobie niewtajemniczonej, groziłaby ci kara śmierci - powiedział głośno Isambard Black, zbliżając się do sceny. - Uprzedzę twoje pytanie: ja też nie mogłem zasnąć. Ostatnimi czasy sen mnie omija. Choćbym nie wiem jak bardzo się starał, nie potrafię odpłynąć w objęcia Morfeusza. - Idąc powoli ciemnym przejściem, zakasłał, a następnie odchrząknął, jakby szykował się do uroczystej przemowy. - Zacząłem nawet spacerować uliczkami wokół portu. To bardzo ciekawe miejsce, zwłaszcza wieczorem. Można tam spotkać niezwykłych ludzi, nieprawdaż?

- Trudno mi powiedzieć, proszę pana. Mam stałe zajęcie.

- Mariah usiłował dojrzeć jego postać w cieniu.

- Racja, racja... W końcu chłopiec ze Szkoły Kolonialnej nie oddaliłby się własnowolnie z miejsca, które mu wyznaczono.

- Uśmiechnięty Black stanął w zakurzonej świetle i popatrzył na Mariaha. - Ale jedno mnie intryguje. Dopiero co mówiłem mojemu dobremu znajomemu... - Urwał nagle, jakby ugryzł się w język. - Wybierz którąś kartę - zawołał głośno, a w tej samej chwili w jego dłoni pojawiła się talia czerwonych kart.

- Tylko jedną, o nic więcej nie proszę.

Mariah podszedł z wolna do krawędzi sceny, schylił się i wydobyl kartę z wyciągniętej w jego stronę talii. Spojrział w nią i przyłożył do piersi.

- Król trefl! - wykrzyknął Black.

Mariah skinął potakująco głową.

- Wybierz jeszcze jedną...

Mariah wyjął następną. Nie zdążył jeszcze spojrzeć, a Black już odgadł, że to król

karo.

- Spróbujesz jeszcze raz? - spytał podnieconym głosem, wchodząc po drewnianych schodkach na scenę. - Ostatnia karta i skończymy tę zabawę.

Mariah zawahał się. Wiedział, że to jakaś sztuczka - że Isambard Black zapamiętał kolejność kart albo sobie tylko znanym sposobem podsunął mu takie, a nie inne. Przyglądając się uważnie talii, miał wrażenie, że Isambard Black steruje jego ręką. Tym razem postanowił sięgnąć po kartę z brzegu wachlarza, najbardziej oddaloną od palców magika. Odwrócił ją i błysnął mu przed oczyma znaczony dzoker w barwnej opończy.

Stłumił w piersi okrzyk zdumienia, nie dając po sobie poznać, że serce wali mu jak szalone. Kiedyś już trzymał w reku tę samą kartę: przyglądała mu się zezowato znad magicznej laski w pociągu z Londynu. Teraz dzoker ponownie utopił w nim spojrzenie.

- Dzoker - rzekł teatralnie Black. - Znów pojawia się w twoim życiu. Może karty próbują ci coś powiedzieć.

- Wolałbym, żeby mówiły po ludzku. Wybacz pan, ale mam jeszcze dużo pracy. Basmala będzie zły, jeśli nie zdążę wszystkiego przyszykować.

- Basmala, ten miły magik? - podchwycił Black. - Wierz mi, że będzie zadowolony, zwłaszcza z moich czarów. - Szarpnął nadgarstkiem, a wtedy z rękawa surduta wysunął się sztylet otrzech ostrzach, taki jak ten, który miał przy sobie. Kraken.

- Jestem pewien, że to cię zainteresuje - wyciągnął nóż w stronę chłopca. - Na całym świecie istnieją tylko trzy. Ponoć wykuto je w gorących wulkanach Islandii z odłamka rudy, której nigdy potem nie odnaleziono. Ma wygląd złota i moc stali. Zamierzam odszukać pozostałe dwa.

Mariah uważnie przyjrzał się trzem lśniącym, zębatym ostrzom. Były spiczaste jak tygrysie kły i osadzone na fiszbinowej rękojeści z połączoną głowicą. Pasowały do śladów na szyi człowieka, którego zabito przy Trzech Marynarzach.

- Myśli pan, że się panu uda? - zapytał, cofając się i podnosząc miotłę. Ostatni raz popatrzył na sztylet, po czym z wolna oddalił się za kulisy.

- Szukam wielu rzeczy: talii kart, cennej szkatuły i sztyletów. Kolekcjonuję magiczne urządzenia i akcesoria - oznajmił Black, a teatr znów zadrżał, rozsypując po scenie migoczący kurz spod wysokiego sufitu.

Mariah odwrócił się i już miał odpowiedzieć, gdy spostrzegł, że Isambard Black przepadł jak kamień w wodę. Chłopiec rozejrzał się na wszystkie strony, podejrzewając, że to kolejna sztuczka, że Black pojawi się równie nagle, jak zniknął.

- Panie Black? - zawołał, przemierzając scenę i spoglądając w ciemną widownię. -

Panie Black?

Potem z niechęcią zakręcił kurek od gazu. Mrok spowił scenę i opadający srebrzyście kurz. Trzymając przed sobą kurczowo lichtarz, Mariah małymi krokami wrócił do drzwi dla aktorów. Odsunął rygiel i wyjrzał na korytarz, który prowadził do schodów na wieżę. Gdzieś daleko rozbrzmiewał śpiew piekarza ładującego do pieca pierwsze bochenki. Chłopcu zrobiło się raźniej na myśl, że nie jest sam i w razie kłopotów ktoś zapewne usłyszy jego wołanie.

Wychylił się, ostrożnie nasłuchując, po czym zdmuchnął świecę, odstawił lichtarz i ruszył ku schodom. Teraz nie było już odwrotu. Otworzył drzwi na schody i popędził co tchu do góry ze wzrokiem strachliwie wlepionym w ciemny dywan. Przeskakując po dwa stopnie, dotarł na ostatnie piętro i stanął przed drzwiami swojego pokoju. Winda parowa pięła się w górę, sycząc i dysząc. Mariah prędko wszedł do rozjaśnionego księżycowym blaskiem pokoju, chwycił krzesło i podparł nim drzwi, tak by nie można ich było otworzyć od zewnątrz.

Potem odetchnął i spojrzał przez okno na księżyc, którego blask rozegnał chmury i mgły. Drzwi windy otworzyły się z brzękiem i na korytarzu rozległo się znajome szuranie. Ktoś zrobił trzy ostrożne, powolne kroki w stronę jego pokoju. Mariah czekał, spodziewając się lada moment pukania do drzwi. Isambard Black, pomyślał, podchodząc do łóżka i siadając na zgrzebnym kocu.

Klamka powoli się obróciła. Ktoś lekko napał na drzwi. Widząc, że się poruszyły, Mariah wskoczył na łóżko i przycisnął do siebie szorstką poduszkę. Drzwi znów drgnęły. Klamka obróciła się szybciej niż poprzednio. Chłopiec spojrzał w okno, zastanawiając się, którędy uciekać. Wtedy rozległo się ciche pukanie. Mariah nie odpowiedział - głos ugrzązł mu w gardle.

- Mariah - dał się słyszeć szept. - Mariah, wpuść mnie.

Chłopiec milczał. Ktoś kopnął w drzwi, aż krzesło wyskoczyło spod klamki. Drzwi powoli się rozwarły, szurając przewróconym krzesłem po deskowanej podłodze. Mariah sięgnął po stojący obok łóżka nocnik i trzymał go za cienki uchwyt, gotów rzucić nim w intruza, kimkolwiek - lub czymkolwiek - był.

- Mariah - odezwał się ten sam głos co przed chwilą. - Czekałam na ciebie...

Pojedyncza chmura przecięła księżyc niby wąskie, czarne ostrze. Jakaś postać weszła do pokoju. Mariah podniósł wzrok i zamierzył się nocnikiem...

- Sacza? - spytał, wpatrzony w ciemną sylwetkę. - To ty?

- To ja - przytaknęła, zapalając zapalną, a następnie lampę przy drzwiach. - Gdzie się podziewałaś? Uwolniłam się od ojca i przysłam prosto do hotelu. Czekałam w

nieskończoność przed tylnym wejściem, ale nie wracałeś. Potem spotkałam Isambarda Blacka, powiedział, że widział cię w teatrze, więc przyszedłam tutaj. Jesteś zaskoczony?

- Zaskoczony? - powtórzył prędko. - Strasznie się cieszę, że cię widzę. Po tym jak się rozstaliśmy, gonił mnie Kraken. Uratował mnie kapitan Charity, poznałem jego krokodyla, a na koniec Isambard Black pojawił się i zniknął. Miałem całkiem sporo wrażeń, jak na jeden wieczór.

- A więc poznałeś Kubę. Wygląda groźnie, ale jest łagodna jak pudel. Charity znalazł ją na plaży - tłumaczyła, jakby z góry zakładając, że kapitan nie powiedział mu wszystkiego. - Czekaj, mówisz, że gonił cię Kraken?

- On naprawdę istnieje, Sacza. Widziałem go na własne oczy.

- Wielu tak mówi, kiedy wraca w sobotę nad ranem z Trzech Marynarzy - burknęła, odgarniając ciemne włosy z oczu.

Mariah opowiedział jej wszystko po kolei w najdrobniejszych szczegółach. Mówił o smażonej rybie, o panu Grimmie i o spotkaniu z kapitanem Charity. Pokazał jej monetę z wytartym wizerunkiem i obciętymi krawędziami, a potem opisał potyczkę z Krakenem.

- Tylko że... - powiedział powoli, sięgając pod łóżko.

- Tylko że bardziej bałem się Isambarda Blacka niż Krakena.

Miałem wrażenie, że Kraken nie chce mi zrobić krzywdy, tylko ze mną porozmawiać. A Black czegoś szuka. - Rozejrzał się nerwowo, po czym wyciągnął spod łóżka talię kart Pandzandrum.

- Chyba wie, że je mam.

Szczelnie zamknięte pudełko jaśniało na jego dłoni w blasku księżyca. Oczy dzokera lekko się zarzyły jakby rozświetlone wewnętrznym blaskiem.

- Niczego sobie talia do pokera - skwitowała Sacza, patrząc na jarzącą się złotą obwódkę pudełka.

Taniec Pandzandrum

Dwa poczerńiałe krzesła, zaparte chudymi nogami o twardą drewnianą podłogę, blokowały drzwi. Za nimi stała szafka, a na niej misa wypełniona po brzegi zimną wodą i dokładnie owinięta obszarpanym ręcznikiem. Ostatnim elementem barykady było łóżko rozpięte w poprzek wąskiego pokoju niczym przesło stalowego mostu i dociskające całą konstrukcję. Sacza zaglądała Mariahowi przez ramię, gdy klęczał przy blasku kominka, wydając talię Pandzandrum z ciasnego pudełka. Karty były zapakowane w sztywny biały papier o starannie złożonych rogach. Przypominały schludnie pościelone łóżko. Mariah

wsunął palec pod płaską woskową pieczęć i powoli odwinął papier. Opakowanie otworzyło się z nagłym trzaskiem, strzelając mnóstwem maleńkich, niebieskich iskier i wypełniając pokój wonią starych, zatęchłych książek. Po wewnętrznej stronie papieru odbito rysunek przedstawiający piramidę z kart. Obok widniały nazwy poszczególnych kart oraz instrukcja układania.

Mariah spojrzał na Sączę. Kiwnęła głową na zachętę. W blasku ognia, który migotał jej na twarzy, usiłowała odczytać słowa prześwitujące przez papier. Jedną ręką oparła się o wilgotną ścianę, odciskając ślad na tapecie.

- Czy to jakaś gra? - spytała cicho i zerknęła na ciężkie krople deszczu, które spadały z nieba i uderzały o szybę niczym kryształki lodu.

Mariah w milczeniu układał karty zgodnie z instrukcją. Mocno szczepiały się krawędziami, wydając przy tym cichy odgłos, jakby od dawna czekały na okazję, by zespolić się w jedną całość. Król łączył się z waletem, buławy z denarami, karciana wieża rosła w oczach. W końcu Mariah wziął do rąk dwie ostatnie karty: zezowatych dzokerów. Jeden się uśmiechał, drugi był skrzywiony, przymykał jedno oko i zasłaniał usta dłonią, jakby nie chciał czegoś powiedzieć.

Sacza puknęła go w ramię, żeby się ocknął i ukończył piramidę, która osiągnęła już wysokość dwunastu kart. Mariah postawił dzokerów na ostatnim przęśle, twarzami do ścian. Potem cofnął się, by objąć wzrokiem całą wieżę stojącą pewnie na drewnianej podłodze.

Wtem cały hotel zadrżał w posadach, wstrząsając kabiną windy parowej. Z sufitu posypał się pył, okno zabrzęczało w drewnianej ramie, a na szybie pojawiła się długa rysa. Piramida z kart nawet nie drgnęła. Mariah spojrzał na Sączę, a potem na instrukcję odbitą na opakowaniu i przeczytał słowa, które, jak mu się zdawało, dopiero teraz się tam ukazały. Zdziw swoich widzów czarodziejską mocą wieży. Chi - Samekh - Digamma. Mariah wymówił te słowa jednym tchem, głosem, który wydawał się dobywać skądinąd.

Ich uszu doszły ciche szepty. Sacza rozejrzała się, podejrzewając, że głosy rozległy się za drzwiami i że barykada z mebli nie powstrzyma nieproszonych gości. Miała nadzieję, że również Mariah słyszy ten nieznośny szmer dolatujący z zakamarków sufitu.

- Słyszysz to, co ja?... - zapytała, gdy pomruki jeszcze się wzmogły.

- Chi - Samekh - Digamma - powtórzył Mariah, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. Siedział zapatrzony w niezwykle, miniaturowy spektakl, który rozgrywał się przed jego oczyma.

- Co to za szmer? - zawołała Sacza, nie mogąc znieść hałasu rozbrzmiewającego w jej głowie.

- Bądź cicho. - Mariah nie odrywał wzroku od kart Pandzandrum, które nagle ożyły i zaczęły unosić się w powietrzu.

- Podaj mi dłoń - wymamrotał, jakby zobaczył coś w kartach.

Piramida obracała się coraz szybciej, obrazki rozmazywały się w ciepłym blasku kominka i strzelały iskrami. - Widzisz?

Sacza nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- To jakaś sztuczka - powiedziała prędko. - Jak czary Basmali.

- To nie sztuczka - zaprzeczył Mariah wpatrzony w karciany wir. - To musi być prawdziwa magia. Teraz już wiem, dlaczego Perfidny Albion dał mi tę talię. Spójrz! - Wstrzymał oddech, gdy piramida przemieniła się w żywe, dynamiczne obrazy. Wszystkie karty topniały i zlewały się w jedną scenę. Ich oczom ukazała się londyńska ulica ułożona z drobnych kawałków Pandzandrum. Wirując i zamieniając się miejscami, stwarzały złudzenie ruchomego obrazu, po którym przechadzały się ciemne postacie. Jedną z nich był nie kto inny jak Perfidny Albion: szedł żwawym krokiem po chodniku, naciągając rondo kapelusza na twarz i stawiając kołnierz płaszcza dla ochrony przed zacinającym deszczem. Ulicę rozświetlał promienisty szyld Hotelu Claridges. Albionowi deptało po piętach dwóch ciemno ubranych mężczyzn, a za nimi jechała powoli dorożka ciągnięta przez konia o przemoczonej deszczem sierści, przystrojonego czarnym pióropuszem żałobnym.

Karty uniosły się jeszcze wyżej i obraz się zmienił. Perfidny Albion wstąpił na kamienny próg hotelu. W jego dłoni Mariah dojrzał wysłaną przez siebie pocztówkę z Hotelem Regent, mokrą i zmiętą. Wtem śledzący Albiona mężczyźni chwycili go bezceremonialnie za ramiona i oderwali od ziemi, a następnie wpakowali do czekającej dorożki. W rogu obrazu czaiła się jakaś postać o szarej twarzy, zamiatająca schody czymś, co przypominało długą, czarną miotłę. Po chwili człowiek ten wyszedł na ulicę i ruszył wzdłuż chodnika. Od czasu do czasu koniuszkiem długiego, sękiego palca dotykał niepostrzeżenie czoła zmokniętych przechodniów, naznaczając ich krwistoczerwonym piętrem.

- O co w tym chodzi? - odezwała się Sacza, bardziej zaintrygowana niż przerażona niezwykłym widowiskiem.

- Nie wiem, ale wyczuwam jakąś złą moc - odparł Mariah, odsuwając się od Pandzandrum, które zaczęły się już układać w następną scenę. - Popelniliśmy błąd. Trzeba to przerwać.

- Przerwać? - zdziwiła się Sacza. - Przecież to niesamowite. Ruchome obrazy - kto by pomyślał!

- Widziałas, co się stało z Perfidnym Albionem?

- Skąd wiesz, że to się wydarzyło naprawdę? Może to jakaś karciana sztuczka.

- Miał przy sobie pocztówkę, którą mu wysłałem. Trzymał ją w dłoni.

Nagle w rogu migoczącej ramy pojawiło się sześć ciemnych liter w złotych obwódkach. Przy łagodnym blasku kominka ułożyły się w jedno słowo: SPYTAJ.

- Mariah, one chcą, żebyśmy zadali jakieś pytanie. - Sacza z przejęcia mówiła prędko i niewyraźnie.

- Cicho bądź. Nie podoba mi się to - uciął Mariah. Chciał przerwać magiczny pokaz, lecz nie miał pojęcia, jak to zrobić.

- Jesteś gamoniem, który boi się własnego cienia. To przecież sztuczki, nic nam nie grozi. A jeśli te karty pokażą nam przyszłość, będziemy bogaci...

- Wolę już do końca życia klepać biedę. Jest w nich coś złego, czuję to.

- Tak czy owak, chcą, żebyśmy zadali jakieś pytanie.

- Sacza zaczęła się namyślać i wepchnęła się między Mariaha a karty. - Czy Feliks żyje? - spytała, zanim Mariah zdążył ją powstrzymać.

Czarodziejskie malowidło zadrzało. Karty jedna po drugiej spadały na podłogę i lądowały na równej kupce. Ostatnia karta zawisała nad deskami, jakby utrzymywała ją w powietrzu niewidzialna nić albo jakieś zaklęcie. Mariah bez trudu przeciął ręką powietrze nad kartą. Wtem talia ożyła: kilka kart wystrzeliło do góry i zaczęło się ścigać pod sufitem jak stado gęsi. Z każdą chwilą coraz więcej kart rozlatywało się na wszystkie strony niczym wyrwane ze snu wojsko. Wszystkie prędzej czy później wznosiły się wysoko i zakrywały sufit zwartym całunem.

Mariah podniósł wzrok: wyglądało to tak, jak gdyby nocne niebo wśliznęło się przez okno do pokoju i przyczepiło do fasety białego wapnem stropu. Błękitne gwiazdy mrugały i skrzyły się jasno na firmamencie, po którym wędrował blady księżyc. Potem w ułamku chwili znów zapadła ciemność. Na drugim końcu pokoju sufit zaczął się jarzyć czerwonym światłem. Pośród kłębow buchającej, białej pary ukazała się sylwetka chłopca, który razem z wieloma innymi siedział mokry i zgarbiony w podłużnej, ciemnej dziurze usłanej mlecznymi perłami. Spod zmierzwionych włosów wyglądało dwoje zapuchniętych, zmęczonych oczu, a sine, bezkrwiste wargi poruszały się niemo.

- To Feliks! - wykrzyknęła Sacza i zerwawszy się na nogi, zaczęła podskakiwać i wyciągać dłoń w stronę zjawy - Feliks, widzę cię. Ty żyjesz! - Ale chłopiec jej nie odpowiedział. Jego spojrzenie było nieruchome, usta wciąż coś mamrotały. - Gdzie jesteś? - spytała płaczliwie.

Mariah poczuł rozdrażnienie. Po jej oczach widać było, że tamten chłopak jest dla niej

kimś ważnym, że Sacza nosi go w sercu.

- Nie widzisz, że on jest milion kilometrów stąd? - zawołał, odpychając ją od roztańczonych kart. - Skończmy z tym. Feliks nie żyje, to wszystko kłamstwa. Przyjrzyj mu się: siedzi na perłach i przymiera głodem. Jeżeli to nie złudzenie, to co nim jest według ciebie? Źle zrobiłem, że w ogóle przyjąłem te karty. Trzeba je zatrzymać. W tej chwili!

- Powiedzcie mi, gdzie on jest - powiedziała szybko Sacza, lekceważąc Mariaha. - Proszę! - błagała. - Chcę wiedzieć!

- Nie! Koniec tego! - przekrzykiwał ją Mariah, stanąwszy między nią a kartami. - Nie chcemy wiedzieć. Feliks odszedł. Na zawsze.

Karty zaczęły się zbijać w kształt złotej kuli, która zbliżała się z każdą sekundą.

- Zmiażdż nas - pisnęła Sacza. Mariah rzucił się na podłogę, szukając pudełka z instrukcją.

- Cofnij się i nie odzywaj! - zawołał, a sam wturlał się pod łóżko, ściskając w garści papierowe opakowanie.

Sacza została sama. Kula zawisła przed jej oczyma, rozświetlona migotaniem złotych i błękitnych plamek niczym świąteczna choinka. Zza cienkiej pozłotki wylaniał się świat widziany z góry, jakby Sacza była wroną krążącą wysoko nad ziemią. Hen w dole spostrzegła skąpane w słońcu dachy Regenta. Budynek był pęknięty niczym olbrzymie jajo i oczom Sączy ukazywały się kolejne piętra. Zataczając koła, sfruwała coraz niżej i coraz głębiej, aż otwarły się przed nią czarne skały skrywające fundamenty hotelu. Ujrzała podziemną pieczarę usłaną muszlami ostryg i kremowymi kropkami pereł, a w jej zapadłym kącie - gromadkę skulonych dzieci drżących ze strachu przed ciemną bestią, ta zaś trzaskała na oślepek łuskowatym ogonem, aż zewsząd sypały się połyskujące kamyki.

Tymczasem schowany pod łóżkiem Mariah ścisnął w palcach instrukcję wytłoczoną czarną czcionką na papierze, który podniósł z podłogi, a który teraz próbował się wyrwać z jego uścisku, jakby nie chciał, aby go przeczytano. Czarne litery rozmazywały się, słowa powoli stawały się nieczytelne. Mariah przeskoczył wzrokiem do ostatnich trzech, które bledły w oczach:

- Zayin! Zayin! Zayin! - zawołał tuż przed tym, zanim całkiem zniknęły.

Błyskawica przecięła powietrze i uderzyła w sam środek złotej kuli. Eksplozja odrzuciła zapatrzoną Sączę pod ścianę. Karty rozsypały się po podłodze niczym liście miotane wicherem.

Słyszając stłumiony okrzyk, Mariah wyjrzał ze swojej kryjówki. Sacza ledwie chwyciła oddech: dzoker przywarł do jej twarzy jak dłoń, zakrywając nos i usta. Kilka innych kart

przebiło ubranie i przyszpiliło dziewczynę do ściany niczym noże magika, a jeszcze inne przycisnęły jej nadgarstki do boków, tak że nie mogła poruszyć rękoma. Powoli uchodziło z niej życie, brak tlenu rozdzierał jej płuca.

Mariah skoczył na równe nogi jak kot i chwycił dzokera, lecz ten rozpląnął mu się w palcach i szczelnie zalepił usta Sączy. Chłopiec zobaczył przerażenie w jej oczach. Zaczęła się osuwać na podłogę i upadłaby, gdyby nie piki, które niczym żelazne gwoździe przytwierdzały ją do ściany. Mariah znów chwycił dzokera. Karta przywarła mu do dłoni, zlepiając go z Sączą.

- Zayin! Zayin! Zayin! - powtarzał w kółko, próbując odkleić dzokera wolną ręką. Sacza przewróciła o czyma i zwiesiła głowę bez tchu. Płuca gniotły jej serce, żyły na bladej skórze szyi pulsowały resztką sił. - Zayin! Zayin! Zayin! - wykrzykiwał bez przerwy Mariah i rozpaczliwie szarpał topniejącą kartę.

Wreszcie Sacza z rozdzierającym piskiem nabrała powietrza do płuc. Mariah przewrócił się na plecy. W ręce ścisnął nagle zeszywniałego dzokera. Błazen uśmiechał się do niego, szczerząc zaciśnięte zęby i unosząc brwi. Piki jeden po drugim odrywały się od ściany i rozsypywały po ziemi wirujące płatki tynku.

- Prędko! - krzyknął Mariah, starając się pochwycić jak najwięcej kart. - Łap je, zanim znowu zwariują. Trzeba je schować do pudełka. Wtedy są niegroźne. - Sacza tylko patrzyła, jak biega wkoło, podnosi karty i wpycha je do pudełka, a potem owija papierem z instrukcją. - Pomóż mi! - sarknął, wstając z kolan i wkładając talię pod łóżko.

Sacza uczepiła się paznokciami ściany i stała w bezruchu.

- Scraty - powiedziała powoli ze wzrokiem utkwionym w drewnianym krześle, które stało w ciemnym kącie pokoju.

- Ona tu jest...

Mariah podążył za jej spojrzeniem. W głębokim cieniu, rozjaśnionym jedynie smużką światła wpadającego przez okrągły świetlik w suficie, siedziała Scraty. Plecy miała wyprostowane, a na jej twarzyczce z białej porcelany igrał nikły uśmiech, jakby widziała wszystko, co się przed momentem wydarzyło. Lalka przechyliła się na bok, niby ze zmęczenia opierając się o krzesło. Dłonie trzymała w kieszeniach fartuszka. Podwinięte rękawy odsłaniały białe drewno wypłukane morską wodą.

- Jak ona się tu dostała? - spytał Mariah, podczas gdy Sacza usuwała barykadę blokującą drzwi.

- Nie było jej tutaj. Kiedy przyszłam, to krzesło stało puste.

- Musiała być w pokoju. Lalki nie pojawiają się znikąd - odrzekł Mariah bez

przekonania. Spojrzał na kukielkę i spostrzegł srebrną bransoletkę na jej przegubie. Metal był zmatowiały, prawie czarny, a wyryte w nim słomiane postacie wyglądały, jakby owionął je ciemny dym. Mariahowi znowu stanął w pamięci Kraken.

- Ta bransoletka... Identyczną widziałem na ręce Krakena.

- Zdejmij, obejrzymy ją - powiedziała Sacza, sama jednak nie miała ochoty zbliżyć się do uśmiechniętej lalki.

- Ty to zrób. Ja nie chcę jej dotykać.

- Nie możemy jej tu zostawić - odparła dziewczyna, popychając Mariaha w stronę Scratty. - Basmala będzie jej szukał.

- Skąd się tu wzięła? Nie było jej, zanim karty zwariowały. Widocznie sama się przemieściła, tak jak wtedy w piwnicy - rzucił Mariah ze złością. - A przecież zwykłe lalki się nie ruszają. Ma drewniane ręce i porcelanowy nocnik zamiast głowy. Nie powiesz mi chyba, że sama tu przyszła.

- A ty mi chyba nie powiesz, że karty do gry potrafią fruwać i przyszpilić człowieka do ściany - odparowała Sacza. - Oboje to widzieliśmy, ale to mnie dzoker próbował udusić. - Zamilkła na chwilę, żeby nabrać powietrza, po czym odezwała się już spokojniej: - Wiem, gdzie uwięziono Feliksa i resztę. Oni żyją... Tuż przed wybuchem zajrzałam w głąb ziemi. Feliks jest w jaskini pod hotelem. Karty mi ją pokazały.

- I dlatego chciały cię zabić: żebyś go nie odnalazła - myślał na głos Mariah. - Jeżeli karty mówią prawdę, Perfidny Albion jest w opałach...

- A Feliks w niewoli. - Sacza spojrzała bezradnie na Mariaha.

- Musimy mu pomóc.

- Domyślą się, że talia Pandzandrum jest w Regencie - ciągnął chłopiec, nie zważając na jej słowa. - Będą jej tutaj szukać. Isambard Black! - wyrzucił z siebie. - Powinienem był się domyślić. W pociągu mówił, że czekał na kogoś na dworcu. Tym kimś był Perfidny Albion! Opowiadał też o sztuczkach, magii i...

Mariah nie skończył, gdyż przerwała mu Scratty. Jej długa drewniana ręka, zwieszona w czarnym rękawie wzdłuż korpusu, zastukała o ścianę. Mariah spostrzegł, że lalka ściska w dłoni duży metalowy klucz. Podeszedł do niej i ostrożnie rozgiął sztywne palce jeden po drugim, obawiając się, że Scratty lada moment ożyje. Srebrna bransoletka nagle zsunęła się z jej przegubu.

- Kraken miał taką samą - stwierdził Mariah, spoglądając w twarz Scratty. Mógłby przysiąc, że kiedy wymówił imię Krakena, jej dotychczas uśmiechnięta twarz przyobkleła się ledwie dostrzegalnym smutkiem. Chwilę później po porcelanowym policzku spłynęła

pojedyncza łza, jak gdyby to imię wiele dla niej znaczyło.

- Chcesz nam pomóc, staruszko? - zapytała Sacza, kiedy Mariah wyłuskał klucz z drewnianej dłoni i podniósł go do światła. - Powiedz, czy ten klucz otwiera jakieś drzwi?

Prawa ręka starej Scratty zsunęła się raptem z kolana, jakby wskazując palcem niższe kondygnacje hotelu.

- Zastanówmy się - rzekła Sacza, zabierając Mariahowi klucz i przyglądając się grubym płatkom rdzy odchodzącym od metalu. Powąchała klucz i dotknęła go czubkiem języka.

- Woda morską - stwierdziła radośnie. - Musiał być wiele razy zalewany przez morze.

- To znaczy, że te drzwi są niżej niż piwnica?

- Są niżej i jest tam niebezpieczniej - odparła Sacza, głaszcząc Scratty po zwichrzonych lokach.

Pagurus

Mariah otworzył oczy i przez chwilę patrzył na puste krzesło. Rybołowy krzykliwie obwieszczały nastanie świtu, a huk spienionych fal, które zalewały gorący piasek, niósł się echem wśród hotelowych wieżyc. Zawinięta w szorstki koc Sacza leżała obok przytulona do niego. Ze strachu przed ciemnościami oraz mocą Pandzandrum nie chciała wrócić na noc do własnego pokoju. W dłoniach niczym drogocenny łup ścisnęła zardzewiały klucz.

Mariah uśmiechnął się na widok pustego miejsca, na którym parę godzin wcześniej siedziała Scratty. Lalka zniknęła tak samo, jak się zjawiała: cicho i po kryjomu. Jej blada porcelanowa twarz była ostatnią rzeczą, jaką widział przed zaśnięciem. Wcześniej przy dogasającym świetle naftowej lampy omówił t Sączą dalszy plan działania. Dziewczyna powtórzyła mu kilka razy, co zobaczyła w złotej kuli na chwilę przed wybuchem. W najdrobniejszych detalach opowiedziała o tym, jak ziemia rozstała się na jej oczach i jak sama sfrunęła w głęboką rozpadlinę. Mariah w pierwszej chwili uznał, że poniosła ją wyobraźnia, że coś jej się uroiło. Teraz w szarym, chłodnym świetle poranka nocne wydarzenia były już tylko niewyraźnym wspomnieniem. Dopiero ujrawszy leżącą w palenisku kartę, zrozumiał, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Dżoker uśmiechał się z wyrzutem. Zdawał się spoglądać jednym okiem na kawałek tynku zwisający ze ściany, do której parę godzin temu piki przybiły Sączę jak szmacianą lalkę.

- Nie ma jej - powiedział cicho Mariah, próbując obudzić dziewczynę z głębokiego snu. - Scratty znowu się ulotniła...

Ponad krzykami ptactwa i hukiem fal rozbrzmiały niesione wiatrem dźwięki

kościelnego zegara, oznajmiając godzinę siódmą. Sacza uniosła głowę i spojrzała niechętnie spod ołowianych powiek.

- Już rano? - Naciągnęła koc na głowę i przytuliła się do poduszki, jakby w nadziei, że niebo jednak pociemnieje, a dzień zmieni się z powrotem w noc. Potem zerknęła na puste krzesło.

- Zniknęła? - zapytała i' od razu dodała: - Czy to się działo naprawdę? - Przesunęła kciukami po złuszczonej powierzchni starego klucza.

- Na pewno się działo - przytaknął Mariah, przecierając zaspane oczy i przeciągając ręką po włosach. - Ale czy naprawdę... - rzekł głosem oddającym stan jego umysłu. Wszystko, co zobaczył w blasku kominka i na kamiennych schodach w miasteczku, pozostawało jakby na obrzeżach rzeczywistości; pukało delikatnie do jego umysłu niczym tyczka ulicznego latarnika stukająca o knoty w przeszklonych puszkach.

- Myślisz, że ona?... - Sacza urwała, nie nadążając za własnymi myślami. - Czy to możliwe, żeby?...

- Wolę nie wiedzieć. Wystarczy o niej pomyśleć i zaraz się pojawia. Jestem pewien, że spotkamy ją znowu. Próbuje nas na coś naprowadzić.

- Albo na kogoś - dodała prędko Sacza, życząc sobie w duchu, aby tym kimś był Feliks.

- Dziwna rzecz - rzekł wolno Mariah. - Tę bransoletkę miał na sobie Kraken, kiedy się na mnie rzucił, a potem uciekł przed kapitanem Charity. Sęk w tym, że... Charity nie chciał mi powiedzieć, skąd się tam wziął ani dlaczego śledził mnie po nocy. Pojawił się ni stąd, ni zowąd, przyznał się tylko, że szedł za nami.

- Myślisz, że on wie?

- Boję się, że tak. Wydaje mi się, że on wie wszystko. - Mariah spojrzał na talię Pandzandrum. - Schowam je, żeby nikt ich nie znalazł. Wkrótce przyjdą ich szukać. Jeśli złapali Perfidnego

Albiona, przyjdą po mnie. Na pewno zmuszą go, żeby im powiedział, komu dał karty i skąd ma pocztówkę. Muszę stąd uciekać. Nie mogę dłużej zostać w tym hotelu.

- Wyrzuć karty do morza i kłam do oporu. Tak zrobił mój ojciec. Spalił sekrety arsenału, kiedy Francuzi wpłynęli do portu. Popiół wrzucił do starej zamkowej studni. Spodziewał się inwazji. Możesz sobie wyobrazić jego minę, gdy Francuzi odpłynęli po paru salwach. Poczzerwieniał jak pawiani tyłek...

- Żeby kłamać, trzeba mieć dobrą pamięć. Lepiej będzie, jak wrócę do Londynu - uciał Mariah, biorąc talię z kominka i wciskając do kieszeni.

- Rób, jak uważasz - odburknęła Sacza. Wstała z łóżka i odsunęła je od drzwi. - Sama znajdę Feliksa, bez obaw. Mam klucz, a gdzieś tam na dole są drzwi, do których on pasuje. Jeżeli Scratty ma rację, zaprowadzą mnie do Feliksa.

- Nie możesz pójść sama - zaprotestował Mariah, łapiąc ją za ramię. - Nie wiadomo, jakie tam czyhają niebezpieczeństwa.

- W takim razie chodź ze mną, zamiast dawać drapaka

- Sacza wyrwała się z jego uchwytu. - Zrozum: co się stało, to się nie odstanie. Koło poszło w ruch, a my musimy po nim biec. Za późno na ucieczkę. - Zbliżyła klucz do jego twarzy.

- To nasza przyszłość, Mariah. Twoja i moja. Nie możemy tego zmienić. Scratty wie o tym i dlatego do nas przyszła. Nie wiem, co takiego dzieje się w tym hotelu, ale trzeba położyć temu kres. Nie możemy pójść na policję, bo nam nie uwierzą.

- Można przynajmniej spróbować - mruknął Mariah.

- Opowiedzieć im o wczorajszym zabójstwie i o Krakenie.

- I co, myślisz, że daliby wiarę? - spytała Sacza z kpiną w głosie. - Należę do fenian”. Całe życie przed kimś uciekam, ale nie tym razem. Jeżeli będę musiała pójść sama - trudno.

*Fenianie - działająca w XIX wieku tajna organizacja irlandzka, która dążyła do oderwania Irlandii od Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

- A co z kapitanem Charity? - zapytał ze zniecierpliwieniem Mariah.

- Nie ma go tutaj. Jesteś tylko ty, ja i piwnica pełna tajemnic. Wchodzisz w to? Nie ma czasu do stracenia. - Nie czekając na odpowiedź, Sacza wyszła z pokoju. Wezwała windę, naciskając guzik, i oparta plecami o ścianę wsłuchiwała się w jęki kabiny, która z mozołem gramoliła się na ostatnie piętro. Mariah tępo poszedł za nią, chowając ręce głęboko w kieszeniach surduta.

- Co z Basmalą? - zapytał z niepokojem, gdy sapanie windy było już blisko.

- Wczoraj wszystkim się zająłeś. To znaczy, że mamy czas do ósmej wieczorem. Powinno wystarczyć na rozejrzenie się po piwnicach.

- A jeśli ktoś nas przyłapie? - spytał Mariah ze ściśniętym gardłem.

- Wtedy skończymy tak samo jak Feliks.

Winda parowa gwałtownie stanęła. Sacza odsunęła drzwi, weszła do środka i obejrzała się na Mariaha. Chłopiec zawahał się i zerknął przez ramię na drzwi swojego pokoju, zastanawiając się, jakim cudem Scratty go znalazła. Chwilę później mknęli już w podziemne czeluści Regenta, gdzie z każdej szczeliny w murze unosił się wilgotny zapach wodorostów. Wreszcie winda zwolniła, zatrzęsła się i całkiem wyhamowała.

- Niżej się nie da - zauważył Mariah, po cichu otwierając drzwi i rozglądając się po ciemnym korytarzu. Wychylony poza płamę żółtego światła wsłuchiwał się w szum fal, który dobiegał z dalekiego przejścia.

- Morze jest niespokojne, zaczyna się przyływ - mruknęła Sacza, wciągając nosem powietrze, jakby coś jej ono mówiło.

- Czuję perfumy - szepnęła. - Monika tędy przechodziła.

Mariah zastrzygł uszami, nasłuchując jeszcze pilniej niż dotychczas. Zacerpnął powietrza w nadziei, że uda mu się złowić choć odrobinę zapachu Moniki.

- Skąd wiesz? - spytał, kiedy Sacza wyszła z windy, idąc za tropem jak pies myśliwski. - Ja czuję tylko smród morza i torfu, który Luger pompuje do maszyny kąpielowej.

- Ważniejsze jest to, czego nie czujesz - odparła półszepem.

- Perfumy i cygaro.

Mariah wspiął się na palce i zadartym nosem chłonał silny powiew od morza, który przenikał piwnicę niczym ciężki dech wieloryba wyrzuconego na brzeg. Delikatna woń gryzącego tytoniu przez chwilę unosiła się w powietrzu i zaraz rozwiała niby senna zmora. Mariah poszedł za Sączą zawiedziony, że nie poczuł na ustach perfum Moniki.

- Jesteś pewna, że to jej zapach? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Tania woda toaletowa - wyszeptała ku jego rozdrażnieniu.

- Ze straganu na targowisku. Wystarczająco mocna, żeby ukryć zapach jej kwaśnego potu.

- Co takiego? - zdziwił się Mariah, zatrzymując Sączę w małym łukowato sklepionym przejściu.

- Leje się z niej strugami. Dlatego bez przerwy pudruje sobie twarz. Bielą ołowianą i gipsem wapiennym. Jak myślisz, dlaczego nigdy nie zdejmuje rękawiczek? - mówiła Sacza, kiwając głową z uznaniem dla siebie samej. - Wszędzie zostawia ślady. Pan Murrybuck mówi na nią Ślimak. Wystarczy pójść za ciepłym tropem, żeby znaleźć Monikę, ubraną na czarno i spoconą jak prosię. Powiedział mi to jednego razu, kiedy wnosił walizki.

- Murrybuck? Ten tłusty tragarz? - skrzywił się Mariah.

- Przecież on sam cuchnie. Nie powinien tak mówić o innych.

- Być może, ale to nie zmienia faktu, że ona też cuchnie. Przytul się do niej, a poczujesz się tak, jakbyś wsadził głowę do nocnika - zakończyła Sacza i wróciła do tropienia zapachu, który tylko ona potrafiła zwietrzyć.

Korytarz kilkakrotnie skręcał w lewo i raz w prawo. Schodzili ślimakiem coraz niżej,

mijając otwarte na oścież, puste pomieszczenia, każde oświetlone jedną lampą naftową zawieszoną wysoko na ścianie. Gęstniejąca, słona mgielka osiadała na skórze i zasychała białymi soplekami na rzęsach. Z każdym krokiem robiło się coraz goręcej od pary skłębionej w piwnicznym półmroku.

Pokonali ostatni zakręt i stanęli u szczytu krótkich schodów, które przechodziły w długi, mokry korytarz. Z ciemnej oddali dobiegał odgłos morza wlewającego się drzwiami do piwnicy. Mariah usłyszał dziwny szczeł i spojrzał pod nogi. Zielone płytki posadzki poruszały się. Ostre skorupy postukiwały jedna od drugą. Zgrzytliwe, czarno zakończone szczypcy cięły powietrze, a czerwone oczy, osadzone na słupkach, wpatrywały się w niego w nikłym świetle.

- Patrz! - zawołał Mariah, nie odrywając wzroku od tysięcy malutkich czerwonych oczu, w których odbijał się mętny blask lampy. - Co to jest?

- Cancer pagurus - odparła Sacza, zstępując o stopień, żeby im się lepiej przyjrzeć. - Krab pustelnik. Tylko że te są dwa razy większe. Tędy nie przejdziemy. Z takimi wielkimi szczypcami nie ma żartów.

- A Luger? Jak się przedostał? - Mariah spoglądał na wyjątkowo dużego kraba, wielkości obiadowej tacy, który po grzbiecie drugiego wdrapał się na pierwszy stopień i kłapał szczypcami.

- Pewnie tędy - Sacza wskazała drzwi osadzone w ściennej wnęce zakrytej kępą zwisającej morskiej trawy.

Mariah wciąż wpatrywał się w Pagurusa, który szorował skorupą o stopień i uderzał wielkimi szczypcami o zielone płyty.

- Skąd one się biorą? - spytał cicho. - To niesamowite, jakie są ogromne...

- Pierwszy raz tu jestem. Nawet Basmala nie schodzi tak głęboko. Tutaj nie ma nic prócz beczek z winem i...

Urwała nagle i wskazała korytarz. W zamglonym półmroku spostrzegła, że kraby pierzchają na boki. Spod gęstwiny ostrych nóżek wyłonił się grzbiet jeszcze większego stworzenia. Olbrzym strząsnął piasek ze skorupy i powoli, bezgłośnie wspiał się na czubki spiczastych odnóży, podobny do fortepianu wspartego na sześciu długich, różowych nogach.

Obracając się z wolna, bestia chwyciła w szczypcy jednego z mniejszych krabów, zgmiotła go i wypila czerwony śluz, który wypływał z pokruszonej skorupy jak sos z pękatej kanapki. Potem zadowolony Pagurus pisnął, poruszając żuwaczkami. Czarne oczy na krótkich słupkach przeczesywały korytarz, wzdrygając się przy każdym gwałtowniejszym podmuchu wiatru.

Pagurus podniósł kraba wielkości salonowego pieska i jego także zmiażdżył, a następnie łapczywie wepchnął w otwór gębowy. Zadrzał, zjeżył włoski na nogach, po czym obrócił się i jednym sterczącym okiem spojrzął w ich stronę.

Sacza i Mariah zastygli nieruchomo w nadziei, że potwór ich nie zauważy. Chmara małych krabów rozpiezchała się do pomieszczeń po obu stronach korytarza. Mariah odsunął Sączę, chwycił za klamkę w kształcie żelaznego kółka w drzwiach schowanych we wnęce i obrócił ją najszybciej, jak potrafił.

Przedzierając się przez mrowie skorupiaków skubiących jego ostre pancerne odnóża, wielki Pagurus zrobił dwa długie, wolne kroki w kierunku Mariaha i Sączy. Przystanął, kłapnął po trzykroć szczypcami, po czym zbliżył się jeszcze bardziej.

- Nie chcą się otworzyć! - zawołał Mariah, zerkając przez morskie opary ku zbliżającemu się potworowi. - Pewnie są zamknięte na klucz.

Sacza wyjęła z kieszeni klucz od'Scratty i włożyła go do dziurki. Obrócił się tylko do połowy, dalej ani drgnął. Szarpała się z nim, Mariah ciągnął za okrągłą klamkę, a kosmyki morskiej trawy opadały na nich jak zimne, mokre dłonie.

Pagurus posuwał się wolno po kamiennych płytach. Był tak wielki, że nie mógł się obrócić, ledwie mieścił się w zwężeniu korytarza. Go chwila ciął powietrze szczypcami, a twarde pancierz zgrzytał o ściany jak kreda o tablicę.

Sacza pociągnęła z całej siły i zardzewiały klucz wreszcie wyskoczył z dziurki. Zdyszana i przerażona, obejrzała się na potwora, który nadchodził i był tuż-tuż.

- Uciekaj! - zawołał Mariah, zdjęty nagłą trwogą, odlepiając wodorosty z twarzy. - Możemy się cofnąć.

- A co z Feliksem? - spytała prędko Sacza, ściskając klucz w garści niczym nóż.

- Znajdziemy inne przejście... Biegnij! - Widząc, że Pagurus przyspieszył kroku, Mariah chwycił Sączę za ramię. - Tędy!

Oboje pognali co tchu z powrotem, wbiegając po schodach, aż dotarli na podłużny podest. Odblaski gazowych lamp w zielonych kamiennych płytkach przypominały księżycy wynurzające się z oceanu. Za nimi odbijały się echem hałaśliwe kroki Pagurusa, który zgrzytał ostrymi szczękami, jakby to były dzwoniące zęby.

- Którędy teraz? - zapytał spanikowany Mariah. Obrócił się na pięcie, stracił równowagę i runął jak długi na śliskie kamienie.

- Chyba prosto - odparła Sacza, choć w duchu wiedziała, że zgubili się w labiryncie tuneli przecinających podziemia Regenta.

- Wszystkie drogi wyglądają tak samo. Byliśmy już tutaj?

Dźwigający olbrzymią skorupę Pagurus zbliżał się głośno na twardych odnóżach.

W głębi tunelu, w świetle ostatniej lampy widniały drzwiczki osadzone pół metra nad podłogą, jak okienko pod sufitem sąsiedniej sali. Wypaczone, wycięte z jednej dębowej kłody, były zamknięte na zardzewiały rygiel. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że korytarz co prawda odbija w prawo, lecz odnoga tunelu szybko się kończy. Zabrnęli w ślepy zaułek.

Z czarnej kraty wentylacyjnej w suficie buchnęła skłębiona biała para o zapachu morza. Osiadała na mokrych płytkach i skapywała wrzącymi kroplami na podłogę. Korytarzem wstrząsnął potężny odgłos generatora pary. Przypadek rzucił ich w samo serce Regenta.

Brodząc po pas w kłębach pary, Mariah wymacał rygiel na drzwiach. Był przeżarty grubą warstwą soli i w ogóle nie chciał się ruszyć. Sacza stanęła pod kratą w pluskających strużkach skroplonej pary.

- Tędy nie wyjdziemy - stwierdziła. Kiedy spojrzała w korytarz, zobaczyła, jak pierwsze szczypce Pagurusa wylaniają się powoli zza rogu i strzygą wilgotne powietrze.

- Daj mi klucz - odezwał się Mariah zdławionym ze strachu głosem. - Może się przyda.

Szybkim ruchem wziął od niej klucz i zaczął nim uderzać w zaklinowany rygiel. Słona skorupa pękła razem z warstwą rdzy. Mariah obejrzał się na Pagurusa: nadchodził szybkimi kroczkami, zatrzymując się co jakiś czas, by wytrzeć żuwaczkami parę z oczu. Gdy ich spostrzegł, zazgrzytał i zabrzączał szczypcami, jakby to były szable kawalerskie. Potem rzucił się naprzód z wyciągniętymi kleszczami, chwytając Sączę za włosy i ciągnąc ją ku ziemi. Dziewczyna zniknęła w chmurze pary z kraty wentylacyjnej.

- Mariah! - krzyknęła wleczona po mokrych kamieniach ku szczękom potwora. - Ratunku!

Mariah ostatni raz uderzył rygiel i drzwi nareszcie się otworzyły. Obrócił się twarzą do Pagurusa, który machnął w jego stronę drugą parą szczypiec. Skorupiak ponawiał ataki, lecz wąski korytarz przeszkadzał mu w manewrowaniu wielkim cielskiem. Mocno trzymał krzyczącą Sączę za pukiel gęstych włosów i uderzał nią o ścianę.

Mariah wykorzystał dogodny moment, zrobił krok w stronę kraba i uderzył go kluczem w oko, rozrywając gałkę aż po wierzchołek słupka. Bestia odskoczyła, z rany popłynęła gęsta maź. Cały korytarz był jak wrzący kocioł pełen gorącej pary.

- Teraz! - wykrzyknął Mariah, zadając oślepionej bestii kolejne razy. Pagurus instynktownie puścił Sączę, rzucając ją ku otwartym drzwiom. Dziewczyna wstała i prędko wskoczyła do sąsiedniego pomieszczenia.

- Pospiesz się! - zawołała.

Tymczasem krab lekko się obrócił i otwierając obie pary szczypiec, zniemacka przygarnął chłopca do paszczy.

- Zamknij drzwi! - odkrzyknął Mariah, po czym zniknął razem z krabem wśród skłębionej pary.

Po chwili Pagurus wyrzął zza gęstej słonej mgły.

- Mariah! - zawołała Sacza, nie wiedząc, co się stało z chłopcem.

Krab zatoczył się w jej kierunku, nogi rozjeżdżały mu się na śliskiej podłodze. Upadł na rozgrzane kamienie i rzucał się groźnie.

- Mariah! - Sacza z drżeniem serca wypatrywała choćby cienia chłopca wśród wirującej pary.

Wtem raz i drugi rozległo się głuchoe walenie w pancerz bestii. Osnuta mgłą sylwetka, podobna do sennego widziadła, zeskoczyła z jej grzbietu na podłogę.

- Drzwi! - krzyknął Mariah, rzucając się ku wyciętemu w ścianie przejściu, które także zdążyło się wypełnić parą.

Upadł na Sączę i razem runęli na podłogę. Pagurus dopadł otworu i próbował ich stamtąd wyskubać jak drobne, morskie żyjątka uczone jego pancerza. Mariah poderwał się i uchylił przed ciężkimi szczypcami, które wypychały się coraz głębiej, wściekle tnąc powietrze. Podczas gdy krab próbował na chybił trafił wyłuskać ich z kryjówki, chłopiec naparł z całej siły na dębowe drzwiczki, napinając wszystkie mięśnie w zmęczonym i posiniaczonym ciele.

Nagle Sacza zapaliła zapalniczkę i Pagurus cofnął się gwałtownie przed oślepiającym światłem. Mariah wykorzystał okazję, prędko zatrzasnął drzwiczki i zamknął na rygiel. Potem spojrzał na Sączę, uśmiechnął się i podał jej rękę.

- Dużo jeszcze zostało? - spytał, spoglądając na dopalającą się zapalniczkę.

- Wystarczy, żeby zapalić to - wyjęła z kieszeni przysadzistą świeczkę i przystawiła knot do gasnącego płomienia. - Prawdę mówiąc, nie lubię ciemności - powiedziała cicho. - Ojciec zamykał mnie w kredensie. Mówił, że jak wyjdę, przyjdzie po mnie lichy. Dlatego zaczęłam nosić przy sobie zapalniczkę i świeczkę. Od tamtej pory niestraszne mi żadne lichy.

- Czy to znaczy, że nie boisz się znikających lalek, Krakenów ani olbrzymich krabów?

- zapytał Mariah zdyszonym głosem. Opierał się o dębowe drzwiczki i uśmiechał w łagodnym blasku świecy. Gdzieś opodał szumiący generator pary.

- Ani chłopca z Londynu, który sprowadza nieszczęście...

Księżycowy piasek

Przez kilka minut siedzieli w migotliwym blasku świecy i słuchali odgłosów dobiegających zza drzwiczek. Pagurus rzeźił i świergolił w ciemnym, parnym korytarzu. Usiłował wcisnąć szczypcę pod spazzone drewno i podważyć drzwi, ale wkrótce poddał się i niechętnie zawrócił, tłukąc się głośno i niezdarnie w głąb korytarza. W pewnej chwili przysiadł wśród mgły, wyzierając z ciemności jednym okiem, które sterczało niby czarny muchomor.

Mariah przez szparę w drzwiach śledził każdy ruch potwora. Odpelzający krab w końcu zniknął mu z oczu, ale chłopiec wiedział, że nie odejdzie daleko - przyczai się w mroku i będzie czekał okazji, by pokrajać intruzów potężnymi szczypcami, a potem najeść się do syta ich mięsem. Sacza w milczeniu bawiła się stopionym woskiem, który spływał jej po palcach na dłoń. Zewsząd słychać było syk generatora pary głośno pompującego ukrop do najdalszych zakamarków Regenta.

- Jak długo możemy tu zostać? - spytała Sacza, gdy Mariah znów usiadł i rozejrzał się.

- Pagurus ciągle tam jest - odparł, wskazując korytarz.

- Na pewno będzie na nas czekał. Musimy znaleźć jakieś inne wyjście.

Sacza, unosząc świeczkę, rozjaśniła wysoki sufit oraz kamienny mur na drugim krańcu grotu.

- Myślisz, że to są fundamenty? - Spojrzała na obciosane kamienne bloki wielkości powozu. - Podobno kiedyś było tu gorące źródło i ludzie przychodzili się kąpać. W sali jadalnej jest nawet specjalny kran, cały ze złota. Goście mogą się z niego napić za szylinga. Raz spróbowałam tej wody. Smakowała jak końskie siki.

- Isambard Black mówił, że właśnie po to tu przyjechał: żeby leczyć się wodą. Mam nadzieję, że to naprawdę są końskie siki. Oby się nimi udławił. - Mariah podniósł się z ziemi i przeciągnął dłońią po chropowatych blokach. - To stare kamienie - zauważył. - Spójrz na te ślady: wyrzeźbione ludzką ręką. Myślisz, że jesteśmy teraz poniżej morza?

- I to znacznie poniżej - odparła Sacza tonem zadumy.

- Magazyn Basmali jest na wysokości plaży. Nie wiem tylko, jak głęboko zeszliśmy.

- A generator pary? Kto go obsługuje?

Sacza zamyśliła się. Sama nigdy nie zadała sobie tego pytania. Codziennie oglądała wyfraczonych kelnerów, armię pokojówek, kucharzy i pomywaczy, ale jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś wychodził z piwnic.

- Sam się obsługuje - odrzekła po chwili. - Inaczej być nie może. Nie znam nikogo,

kto by tutaj pracował.

- W takim razie to chyba pierwsza maszyna parowa, której nie trzeba obsługiwać - zachwyił się Mariah, wchodząc w jeszcze głębszy cień i przesuając ręką po ścianie, jak gdyby czegoś szukał.

- Choć prędko! - zawołał nagle. - Coś znalazłem. Poświeć tutaj.

Sacza podążyła za jego głosem, rozświetlając mrok. Podłoga z płytek przechodziła w tłuczone kamienie, a jeszcze dalej była usypana z pokruszonego gruzu. Zupełnie jakby wchodziło się w ruiny starego zamczyska, nad którym zapadła najczarniejsza, bezksiężycowa noc. Dziewczynie przyszło do głowy, że syk generatora pary równie dobrze mógłby być oddechem śpiącego smoka. Nie mieściło jej się w głowie, że nadal znajduje się w podziemiach Regenta, wiele metrów pod poziomem morza. Otaczały ją pozostałości po placu budowy: łopaty, kilofy, puste dzbany i stłuczone butelki zalegały wzdłuż muru, jakby urządzono tam prowizoryczne wysypisko śmieci.

- Spójrz - powiedział Mariah podnieconym głosem, stojąc w zamurowanym przejściu.

- Nie wiem, co tu stało, zanim wybudowano hotel, ale to chyba było wejście.

Sacza podeszła bliżej i uniosła świeczkę. Płomyk rzucał długie cienie w poprzek groty. W grubej kamiennej ścianie widniał otwór w kształcie drzwi, zamurowany takimi samymi czerwonymi ceglami, w jakie przyodziany był Regent od plaży aż po chmury. Spozrzęła, że nadproże wykonano z kamienia, a przez jego środek biegła szczelina o szerokości palca, obwieszona słonymi pajęczynami, które lśniły w blasku świecy jak oprószona świeżym śniegiem jemiola.

- A teraz popatrz na to - Mariah wskazał ubytek w zaprawie łączącej stare z nowym. - Czuję podmuch morskiej bryzy.

Sacza zbliżyła się i raptem świeca zamigotała w strumieniu powietrza wydostającego się ze świstem z wąskiej szczeliny.

- Wyjście - oznajmił z dumą. - Nie powinniśmy mieć kłopotu z przekopaniem się na drugą stronę.

- A jeśli tam nic nie ma? - jęknęła Sacza. - Tylko piasek i kamienie?

- Musimy spróbować. Albo wyjdziemy tędy, albo będziemy musieli zmierzyć się ze starym Pagurusem - odrzekł z powagą Mariah, wykruszając czubkiem palca mokrą zaprawę. - Byle tylko poluzować pierwszą cegłę, potem już będzie z górki.

- I wszystko zwali nam się na głowę - mruknęła Sacza.

- W takim razie Pagurus? - zapytał Mariah, układając dłonie w kształt szczypiec, jakby chciał ją w ten sposób zmobilizować.

Sacza oddała mu świeczkę i wygrzebała z gruzu złamany kilof.

- Jestem Irlandką, urodziłam się z kilofem w małym palcu iangielskim jarzmem na karku. Wy, chłopcy, nie nadajecie się do męskiej roboty. - Uśmiechnęła się, zacisnęła palce na krótkim trzonku i wzięwszy zamach, gruchnęła pordzewiałym żelaznym pazurem w ceglany mur. - Proszę bardzo – rzekła zadowolona, gdy kawałki zaprawy i cegieł posypały się na ziemię. - Poluzowałam ci pierwszą.

Mariah zajrzał w otwór wykuty w murze na wysokości pasa. W blasku świecy dostrzegł kilka kamiennych filarów podpierających sufit. Generator pary hałasował gdzieś w pobliżu, dysząc i sapiąc coraz szybciej.

Sacza odciągnęła go na bok i dwoma zwinnymi uderzeniami wykuła dziurę, przez którą można było przejść. Opuściła kilof i wytarłszy zakurzone dłonie w rękaw Mariaha, zapaliła zapalną.

Chłopiec ruszył przodem po gorącym, suchym piachu. W skąpym świetle widział zaledwie na odległość paru kroków, ale zdawało mu się, że ruiny ciągną się daleko. Wiedziony przecuciem kierował się w stronę odgłosów generatora. Co drugi krok zerkał przez ramię na Sączę. Szła tuż za nim, trzymając w dłoni klucz.

Ominęli kamienne filary wzywani przez syczącą maszynę parową, czerwoni i spoceni na twarzach od gorąca. Mariah niósł topniejącą świecę nad głową, by oświetlić jak największą połąć ciemności, miał jednak nadzieję, że niebawem dojrzy z przodu jakieś inne światło. Kiedy znów obejrzał się za siebie, okazało się, że jest sam. Sacza zniknęła. Strach rozlał się po jego ciele, zaparł mu dech w piersi i wyostrzył wszystkie zmysły. Wzdrygnął się przed cieniem jak przed opadającą pięścią. W pobudzonej nagle wyobraźni szum generatora brzmiał niczym oddech dzikiej bestii: każdy świst wydawał się sapaniem.

W tańczących cieniach rzucanych przez migotliwy płomyk świecy Mariah dopatrywał się dziwacznych stworów. Krew ścinała mu się w sercu, wargę zaczęła się trząść. Idąc powoli przez półmrok, wołał imię Sączy, lecz jedyną odpowiedzią był posępny szmer.

- Sacza - powtórzył, ocierając ślinę z ust i odchrząknął przez ściśnięte gardło. - Sacza...

W ruinach panowała całkowita cisza. Mariah przywarł do muru i lekko spoglądał to w jedną, to w drugą stronę, szukając koleżanki. Raptem w oddali dojrzał jakiś blask. U podnóża kamiennego filaru płonął nikły ogień, nad którym pochylała się jakaś ciemna sylwetka.

- Sacza? - zawołał w nadziei, że dziewczyna obróci się do niego z uśmiechem na ustach i nie będzie już sam.

Spojrzała w jego stronę i przyzywała go ruchem dłoni. Nie zwlekając, Mariah ruszył biegiem od filara do filara, zatrzymując się na moment przy każdym z nich. To, co w pierwszej chwili wydało mu się ogniskiem, było w istocie starą, przeszkloną lampą wypełnioną po brzegi wielorybim olejem. Ciepły płomień rozjaśniał twarz Sączy. Siedziała w ciszy i patrzyła w ciemność.

- Dlaczego mnie zostawiłaś?

- Zapaliłam zapałkę i coś zauważyłam. Błyszczało się. Pognałeś do przodu, a ja musiałam zobaczyć, co to jest.

- Trzymała na dłoni czarny skórzany portfel pokryty skorupą soli i wypchany starannie poskładanymi banknotami pięcioletnimi. - Znalazłam to - powiedziała obojętnym tonem, jakby nie dbając o zawartość znaleziska. - I coś jeszcze.

Wskazała na ścianę oddaloną o kilka kroków. W głębokim cieniu widać było zarys leżącego człowieka, tuż obok stał pokryty solą cylinder. Mariah poświecił w tamtą stronę. Płomyk świecy rozjaśnił bielutką czaszkę i kości palców.

- Nie żyje - stwierdził Mariah z umiarkowaną pewnością.

- Bez wątplenia kiedyś miał się lepiej - odparła kąpiąco Sacza. - A najciekawsze jest to, że powinien zarządzać hotelem.

Uprzedzając pytania, podała Mariahowi bilet wizytowy w eleganckim srebrnym pudełeczku i złożoną wpół kopertę.

- Otto Luger. Rzuciłam okiem na list - jest do niego. Myślę, że go zamordowano.

Mariah ponownie spojrzał na ciało. Było obgryzione do cna. Na szkielecie nie zostało ani odrobiny skóry czy mięsa. Obszarpany, niegdyś szykowny garnitur wisiał na grubych kościach. Niegdyś dumna głowa leżała przekrzywiona z rozwartą szczęką. W okolicach skroni dało się zauważyć trzy okrągłe dziurki.

- Znowu ten nóż? - odezwał się Mariah. - Kto mógł coś takiego zrobić? - Nie tylko nie bał się sterty kości, ale wręcz nie potrafił od niej oderwać wzroku. Trudno było uwierzyć, że kościotrup kiedyś chodził i mówił - że miał w sobie życie. Gdy tak leżał w gorącym piasku, był równie twardy i martwy co otaczające go kamienie. Zamiast budzić grozę - fascynował. Cała krew wyschła, została zjedzona lub wsiąkła w ziemię. W powietrzu w ogóle nie czuło się odoru śmierci, a odkryte kości lśniły jak wyplukane w białkach jajek.

- Otto Luger? - powtórzył z niedowierzaniem. - Ale jak to możliwe?

- Jego nazwisko jest w liście i na kapeluszu. To nie może być nikt inny - oznajmiła Sacza pewnym tonem i spojrzała na biały papier, który trzymała w ręce. - Luger jest adresatem. Nadawca się nie podpisał. Posłuchaj. - Zaczęła czytać na głos wiadomość napisaną

nierównym czarnym atramentem. W tłoczonym nagłówku widniała korona i dwa lwy oraz nazwa Hotelu Claridges. Sacza odkaszklnęła i czytała dalej: - Drogi Ottonie, spotkało mnie pewne rozczarowanie. Muszę się z tobą pilnie rozmówić. Jeżeli mamy kontynuować nasze przedsięwzięcie, koniecznie spotkaj się ze mną dziś wieczór... - Sacza pokazała list Mariahowi. - To musi być prawdziwy Otto Luger. Czyli człowiek, który teraz kieruje hotelem... - Urwała w pół zdania. Mariah kucnął przy kościotrupie i trzymał jego dłoń w powietrzu. Ostrożnie zsunął z trzeciego palca złoty pierścień i zbliżył go do lampy.

- Herb z łabędziem. Luger ma taki sam. Nosi go na tym swoim tłustym paluchu. Dwa identyczne pierścienie: jeden na dłoni zmarłego, drugi - na dłoni żywego człowieka.

- Zostaw - skarciła go Sacza. - Nie wolno okradać zmarłych.

- Jestem pewien, że on by chciał, byśmy znaleźli mordercę. Kiedy już będzie po wszystkim, dopilnujemy, by pochowano go jak należy. Kapitan Charity o to zadba. - Mariah mówił cicho, spoglądając na lśniące kości. Zastanawiał się; jak nieboszczyk wyglądał za życia. Sądząc po kroju eleganckiego garnituru, był podobnego wzrostu i tuszy co Luger i ubierał się równie sztywnie. Nawet buty do złudzenia przypominały te, które skrzypiały na korytarzu, gdy Mariah schował się za aspidistrą. Kimkolwiek był obecny właściciel Regenta, miał wiele cech wspólnych ze szkieletem spoczywającym w fundamentach hotelu. - Sprawdźmy, czy nie ma przy nim czegoś jeszcze - zasugerował Mariah i klękawszy, zaczął przetrząsać kieszenie zakurzonego garnituru.

- Już to zrobiłam - szepnęła Sacza takim głosem, jakby coś przed nim ukrywała.

- I co? - spytał zaciekawiony.

Sacza rozwarła palce u dłoni. Duża, kremowa perła wielkości kasztana błyszczała jak pełny księżyc w ciemną noc.

- To morska perła. Znalazłam ją u niego w kieszeni.

- Nie wolno okradać zmarłych - odgryzł się Mariah.

- Musi być warta z tysiąc funtów. Razem z tym, co jest w portfelu, wychodzi więcej, niż zarobię do końca życia.

- Wystarczyło, żeby zginął - zauważył Mariah, chwytając perłę między dwa palce i unosząc ją do światła. - W każdym razie to by nie były uczciwie zdobyte pieniądze. Z dwójga złego lepiej przymierać głodem, niż kraść, żeby mieć na chleb.

Gdy tak przyglądali się drogocennemu znalezisku, twarz Sacy jaśniała jak perła. Ale w głębi serca dziewczyna pogodziła się z tym, że jej marzenia się nie ziszczą. Z każdą chwilą pożądała perły coraz mniej. Jeszcze przed momentem miała w garści klucz do zmiany swojego nędznego losu i zdawało jej się, że raz na zawsze zrzuciła kajdany ubóstwa. Teraz

jednak w imię uczciwości nałożyła je z powrotem - zapewne na całe życie.

- Gdybym ją sprzedała - szepnęła pod nosem - mogłabym odejść z hotelu i już nigdy więcej nie pracować.

- I do końca życia śniłby ci się ten kościotrup - dodał Mariah, oddając jej perłę. - Weź ją sobie i odmień swoje życie. Zobaczmy, czy dobrze na tym wyjdiesz.

Sacza poczuła ciepło perły na dłoni. Przyłożyła ją do ust i wcisnęła klejnot głęboko w skórę.

- Drogocenna perła - powiedział Mariah, przeszukując okolicę ciała. - Może znajdziemy coś jeszcze i dowiemy się, co tu się wydarzyło.

- Zabili go - odparła Sacza zdławionym głosem.

- No dobrze, ale nie dla tych pieniędzy ani dla perły.

- Dla hotelu? - zasugerowała.

- I dla tajemnicy zamkniętej w jego murach - dodał Mariah, gdy świeczka do reszty roztopiła mu się w dłoni. - Jeżeli prawdziwy Otto Luger leży tutaj, to znaczy, że człowiek, który się za niego podaje, maczał palce w morderstwie. Jak myślisz, będziesz umiała trafić do tego miejsca? - Ponownie schylił się nad ciałem.

- Mogę spróbować. Ale po co?

- Moglibyśmy przyprowadzić tutaj Jacka Charity. On będzie wiedział, jak postąpić. Porozmawia z kimś, kto umiałby wyjaśnić całą tę sprawę - tłumaczył Mariah, rozpinając surdut nieboszczyka i oglądając czystą, białą koszulę, która zakrywała gołe zebra. Tuż nad sercem spostrzegł trzy niewielkie nakłucia, a wokół nich - ledwie widoczne ślady wyblakłej krwi. - Mało krwi. Nie umierał długo. - Mariah odciągnął koszulę. U paska w spodniach wisiał pistolet z perłową rękojeścią. - Otto Luger nosił broń - powiedział, ostrożnie wyjmując pistolet, po czym zdmuchnął z niego grubą warstwę soli i zajrzał do komory. - Ale nie zdążył jej użyć. To znaczy, że albo zabito go znieacka, albo znał mordercę. Ktoś go tutaj zwabił, a potem zasztyletował.

- Ale dlaczego zostawił ciało?

- Zamufował je, myśląc, że nikt go nie odkryje. Gdyby nie pogonił nas Pagurus, nigdy byśmy się tutaj nie znaleźli. Musi istnieć jakieś inne wyjście... - Mariah uniósł lampę olejną i patrzył, jak niewidzialny przeciąg chybotrze płomieniem.

- Nie możemy zawrócić.

Obrócił się i ruszył z lampą przed siebie, tym razem upewniając się, że Sacza nie została w tyle. Dziewczyna prędko wepchnęła portfel w najgłębszą kieszeń. Poklepała się po żakiecie i ścisnęła perłę w garści. Potem ruszyła za światłem, omijając kamienne filary i co

pewien czas wkładając perlę między wargi.

Wkrótce dotarli do ściany zbudowanej z tego samego ręcznie ciosanego kamienia, który służył Ottonowi Lugerowi za grobowiec. Sufit w tym miejscu podtrzymywały jedynie dwie granitowe kolumny. Na podłodze zalegała gruba warstwa nagrzanego piasku. Całość w złotawym blasku lampy olejnej sprawiała wrażenie powierzchni księżycy - w każdym razie tak zwykł ją sobie wyobrażać Mariah, gdy nieraz spoglądał zasępiony w niebo z ogrodów Szkoły Kolonialnej.

Teraz, kiedy patrzył na zacieniony piasek u swych stóp, odżyło w nim wspomnienie tamtych wrześnieowych wieczorów. Cofnął się pamięcią do chwili, gdy stał na zielonym brzegu Tamizy i obserwował księżyc wznoszący się ponad chude palce drzew na drugim brzegu. Przy jego blasku niebo czerniało, a świat mienił się srebrzyście. Księżyc był jak ogromna, ospowata twarz, chudnąca w miarę wspinaczki po niebie, uśmiechająca się do niego smutno. Mariah odwzajemniał to spojrzenie i czuł wtedy nadzieję w sercu; wiedział, że księżyc świeci również innym ludziom o zawikłanych losach. Stał tak całą godzinę w głębokiej rosie, która oszraniała trawę u jego zmarzniętych stóp. Potem zwracał zmęczone oczy ku ziemi i widział dzieci stojące wokół niego niczym nagrobki w blasku księżycy. Wszyscy milczeli, jak gdyby srebrny glob nakazał im, by razem z Mariahem uczcili pamięć bliskich. Mariah także się nie odzywał; wiedział, co czują, ponieważ ich serca palił ten sam ból. Wracając, stąpał żałobnie po mokrej trawie, jakby przed chwilą pożegnał przyjaciela. Obrazy widnego nieba nad piaszczystą pustynią w dalekim kraju tkwiły mu głęboko w duszy. Lecz gdy tylko jego buty zachrzęściły o zwirowy podjazd Szkoły Kolonialnej, wszystkie te myśli znikwały, a jego umysł zwracał się ku przyszłości.

- Musi być jakieś inne wyjście - wymamrotał, wracając na ziemię. - Sprawdź przy ścianie. Czuję powiew, ale nie jestem pewien, z której strony.

Sacza zanurzyła się w cień i zaczęła obmacywać styki kamieni. Czowała, że gdzieś w pobliżu wydobywa się morskie powietrze.

- Tutaj! - Mariah uklęknął i zbliżył lampę do syczącej górki piasku, przez którą przedzierał się mocny cug, tworząc kopczyk przypominający wulkan. - Pomóż mi kopać!

Sacza zaczęła odgarniać rozgrzany piasek, Mariah garściami odrzucał go na bok, odsłaniając gejzer gorącego powietrza w podłodze. Wnet dokopali się do warstwy kamyków bulgoczących jak wąski potok.

- Tędy na pewno dostaniemy się na niższe piętro - stwierdził Mariah, usuwając co większe kamienie, aby poszerzyć dziurę.

- A jeśli tam nic nie ma? - spytała Sacza. Kamienie były coraz gorętsze i parzyły ją w

palce.

- Posłuchaj - Mariah uciszył ją gestem. - Słysząc generator pary.

Szmer dobywający się spod kamieni był głośniejszy niż przedtem. Zupełnie jakby siedzieli w kotle ogromnego parowca sunącego przez ocean. W rytmie furkoczącego motoru spod kamieni strzelało powietrze. Mariah kopał coraz szybciej, czerwonymi palcami wyłuskując gorące kamyki.

W pewnej chwili natrafił dłonią na kawałek rozgrzanego, czarnego metalu. Opierając się na kamiennej belce, odgrzebał kamyki po obydwu stronach grubej kratownicy.

- To pewnie otwór wentylacyjny od generatora - rzekł do Sączy, która odgarniała kamienie za siebie. - Muszę tylko chwycić pręty i pociągnąć, wtedy będziemy mogli...

Zanim jednak dane mu było dokończyć, krata znienacka się zapadła i dziura szybko zaczęła się powiększać. Poczul, że traci grunt pod nogami, i cofnął się rozpaczliwie, a Sacza osunęła się razem z kamieniami w głąb ciemnego otworu, nie zdążywszy nawet krzyknąć. W ułamku sekundy zniknęła mu z oczu połknięta przez czeluść. Mariah obiema rękoma chwycił się kamieni w nadziei, że zdoła się wydostać z lawiny. Balansował na kamiennej belce spychany coraz niżej przez strumień kamyków i piasku. Słyszał, jak kamienie wpadają w dziurę i lądują wiele metrów niżej. Z każdą chwilą osuwał się głębiej. Lampa, którą oświetlali sobie drogę, wypłuła z siebie olej i stanęła w płomieniach. Rękaw chłopca zajął się od nich i zajaśniał upiornym ogniem. Chwilę później jego stopy ześliznęły się z oparcia.

Mariah wyciągnął ręce i runął w dół z deszczem kamyków. Spadając, chwycił się kamiennego występu tkwiącego głęboko w ziemi. Zawisł na palcach, raz po raz dostając w głowę spadającym kamykiem. Wisiał tak wśród ciemności wczepiony w kamień, a starta dłoń paliła go żywym ogniem. Czubki palców jeden po drugim odmawiały posłuszeństwa. Dyndał w powietrzu jak stara marionetka.

Z góry dobiegł go dźwięk osuwających się kamieni, jak gdyby lada moment cała podłoga miała runąć. Kamienny występ zadrżał i zaczął się powoli wysuwać. Mariah chwycił go mocniej, znalazłszy sterczący kawałek skały, który dobrze leżał w dłoni. Spojrzał w dół. Przesłonięta tumanem kurzu ciemność ciągnęła się bez końca. Gdzieś opodał syczał i dudnił generator pary.

- Mariah! - w dole rozległo się wołanie. - Nie mogę się ruszyć...

Nie był w stanie dłużej się utrzymać. Spocone palce, pokryte piekącymi bąblami, zsunęły się ze skały. Mariah wydał z siebie jeszcze zdławiony okrzyk i runął bez tchu w bezdenną, czarną czeluść.

Szare eminencje

Świszczący oddech generatora pary dochodził z bliska. Mariah siedział w całkowitej ciemności, nie widział nawet własnej dłoni. Na próżno przecierał oczy, chcąc je uwolnić od mroku: wszystko wokół tonęło w przytłaczającej czerni.

Pomieszczenie, do którego wpadł, było znacznie chłodniejsze, a podziemny powiew mocniejszy. Mariah siedział na stercie kamyków i piasku, oddychał powoli i wsłuchując się w odbijane echem dźwięki, rozważał dalsze możliwości. Drobne kamienie przestały się sypać z góry. Po czole spływała mu wolno strużka lepkiej krwi. Odruchowo dotknął rany startymi do krwi palcami. Odkasznął pył z osuwiska, który wdzierał mu się do płuc.

- Sacza! - zawołał, a ściany natychmiast odpowiedziały mu szeptem. - Jesteś tu?

Cisza.

Wytarł usta w rękaw surduta i zsunął się po kamieniach. Wiedział, że będzie musiał szukać wyjścia po omacku. Zaczął pełznąć przez rumowisko, błędząc rękoma w ciemnościach i z bólem dotykając kamieni. Wyczuł w kieszeni pistolet. Zaczął delikatnie bawić się kurkiem, nasłuchując pojękiwań wiatru wśród mroku. Przez chwilę leżał tak po ciemku na stercie kamieni, zapatrzony w czarną nicość, nie wiedząc nawet, gdzie jest góra, a gdzie dół. Szumiało mu i kręciło się w głowie.

Wtem coś dotknęło jego brody. Najpierw musnęło ją niczym pajęczyna uniesiona wiatrem. Potem już mocniej, chwytając się jego twarzy, lekko drapiąc skórę.

Mariah zamarł z przerażenia. Dotyk był ciepły i miękki. Dopiero po sekundzie dotarło do niego z siłą pioruna, że to ręka Sący wystaje spod gruzu. Zaczął go odgarniać, nie zważając na ostre krawędzie, które kaleczyły mu pozdzierane dłonie. Kamienie staczały się coraz niżej, a wśród żwiru wyczuwał już kontur jej twarzy. Pomagając sobie nogą, odgrzebał stertę kamieni, które przykrywały dziewczynę niczym prastary kurhan.

- Sacza! - krzyknął, wyciągając ją z grobu krwawymi dłońmi. - Słyszysz mnie?

Zakasłała, splunęła piaskiem i ciężko dysząc, przycisnęła Mariaha do siebie.

- Ugrzęzłam w piachu - odrzekła, ściskając go mocno, jakby ostatni raz w życiu obejmowała drugiego człowieka.

- Słyszałam, że mnie wołasz, ale nie mogłam odpowiedzieć.

- Usiedli razem w ciemnościach, Sacza wciąż pokastywała.

- Jak głęboko spadliśmy?

- Nie wiem, jest ciemno. - Mariah podniósł wzrok i zaśmiał się cicho z własnej głupoty. - Masz zapalną?

Sacza poklepała się po kieszeni, wyprostowała, po czym otworzyła małe pudełko i zapaliła zapalkę. W nagłym blasku Mariah dojrzał ścianę oraz porzewiałą kratownicę zwisającą ze stropu. Po prawej ukazało się duże, sklepione kamienne wejście i krótkie schody biegnące w dół i skręcające ostro w lewo. Zdawać by się mogło, że to wejście do jakiegoś starego kościoła, ujęte w ramy rzeźbionego bluszczu, z głową gargulca spoglądającą z nad strzelistego łuku.

- Zapal drugą - poprosił Mariah, gdy zapalka się wypaliła.

- Niewiele zostało - powiedziała Sacza, ściskając nowy płomyk między palcami. - Musimy coś znaleźć albo będziemy iść po ciemku.

- Przynajmniej nadal żyjemy - odparł Mariah. - Zaczynałem się bać, że to miejsce próbuje nas ukatrupić.

Wyciągnął z kieszeni długą, białą chustkę i związał ją w knot. Przyłożył koniec do zapalki i patrzył, jak zaczyna się tlić, a potem płonąć.

- Na jakiś czas powinno wystarczyć - rzekł, widząc zdumienie na twarzy Sączy. - W Szkole Kolonialnej uczą nas wielu różnych rzeczy - dodał z uśmiechem.

- Ja nie miałam tak dobrze - odpowiedziała szorstko. Jej twarz przecinały cienie. - Sama nauczyłam się czytać i pisać. Sprzątałam kiedyś u księdza. Parę razy buchnęłam mu papier i pióra. Jak człowiek musi, to jakoś mu łatwiej. Nie miałam wyrzutów sumienia. To był dureń. Nosił okulary na czubku nosa. Całymi dniami tylko złopał porto, mamrotał przekleństwa i bazgrolił w brudnopisie. Wielebny Cataxian... Napisał Niezwykłe przygody goblina Doblina. - Sacza przez chwilę naśladowała piskliwy głosik. - Może i ma plebanię koło Edenu, ale będzie się smażył w ogniu piekielnym. Pewnie o nim słyszałeś? - Sacza najwyraźniej była zadowolona, że może pomówić o czymś innym niż jej własna ciężka dola. - Jego dom stoi przy tej samej ulicy co mój. Mieszkaliśmy stłoczeni w pokojach nad gospodą, a on sam w takim pałacu, że można by się tam zgubić i przez tydzień szukać wyjścia. Do wychodka miał tak daleko, że wołał zadrzeć szatę i sikać przez okno.

Mariah wyobraził to sobie i zaśmiał się.

- Mam tę książkę, przywiozłem ją z Londynu. Czytałem ją kilka razy.

- No, skoro tak - odparła powoli, spuszczając wzrok - to może go odwiedzimy, kiedy już się stąd wydostaniemy.

- I to jak najszybciej. - Mariah pomógł jej wstać i ruszył ku schodom. - Mamy pistolet - powiedział, pokazując jej lśniącą broń. - Nie sądziłem, że przyjdzie taki dzień. Skoro ktoś zamordował Ottona Lugera, nas może spotkać to samo.

- Ja się nie boję. Wolę śmierć w słusznej sprawie niż życie pozbawione sensu. Feliks

wiedział, że to miejsce kryje ponurą tajemnicę. Tamtego wieczoru, kiedy zniknął, chciał mi o niej opowiedzieć. Mówił, że grozi mu niebezpieczeństwo, że Otto Luger ma pudełko, które odmieni cały świat. Powiedział, że odpowiedź jest ukryta w kamieniach i że one przemówią. A potem ślad po nim zaginął.

- Znajdziemy go, Sacza. Na pewno gdzieś tu jest. On i wszystkie tajemnice tego hotelu - wyszeptał Mariah. Zaczęli schodzić po krętych, zapiaszczonych schodach.

Wkrótce dotarli na niższe piętro, jakby wykute w litej skale, na której wznosił się Regent. Generator pary hałasował głośniejsz z każdym krokiem w głąb wąskiego korytarza. Ledwie się mieścili, idąc pod rękę, złączeni przeciwko ciemności.

Mariah ścisnął w dłoni pistolet, Sacza trzymała w górze tłącą się chustę, która oświetlała ściany z piaskowca ociekające strużkami gorącej słonej wody. Przed nimi z ręcznie wykutego portalu wydobywał się snop jasnozłotego światła rozcinającego mrok nad ich głowami. Sacza przyspieszyła kroku i wyjrzawszy poza grubo ciosaną kamienną framugę, poczekała na Mariaha.

W ogromnej sklepionej sali stał generator pary. Mariah nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Grubymi mosiężnymi nitami przytwierdzono do skały wielką, lśniąca, zieloną rurę. Po jednej stronie znajdował się stalowy tłok, który poruszał się miarowo tam i z powrotem wzdłuż jasnego pręta przymocowanego do ściany. Za tłokiem silnik wielkości niewielkiego domku dyszał niczym wolno bijące serce. Co pewien czas zawór wentylacyjny buchał obłoczkami pary, a rury tworzące istny labirynt wokół maszyny wsysały gorące powietrze i odprowadzały je aż do wysokiego sufitu, na którym świecił się rząd niebieskich lamp.

- Maszyna parowa - zawołała Sacza.

- Inna niż wszystkie, które do tej pory widziałem. Nie ma palacza, kotła ani wody. Zupełnie jakby ciągnęła parę z wnętrza ziemi.

- Cicho! - wtrąciła Sacza, jak gdyby usłyszała jakiś głos.

- Ktoś płacze. Słyszałeś?

Mariah nadstawił uszu. Słyszał tylko huczenie generatora i świst pary w wielokilometrych rurach wijących się nad jego głową niby zwoje ogromnego węża.

- Znowu... Nie słyszysz? - dziwiła się Sacza.

Mariah włożył pistolet do kieszeni i pochylił się. Przyłożył dłoń do ucha i wyteżał słuch, lecz w głowie miał tylko hałas generatora i kołatanie własnych myśli.

- Nic a nic.

Sacza jęknęła pod nosem.

- Jestem pewna, że... - Zanim skończyła, cichy krzyk rozległ się znowu. - O, teraz musiałeś to słyszeć.

Kiedy Mariah pokręcił głową, Sacza ruszyła w stronę wydrążonego przejścia, na wpół zasłoniętego przez generator.

- Tędy - powiedziała, idąc szybkim krokiem i ściskając w garści klucz.

Mariah poszedł za nią, ostatni raz oglądając się na generator, który wznosił się od skalnej podłogi aż po wysokie sklepienie. Jaskrawozielona farba i wypolerowane mosiężne nity świeciły w blasku lamp łukowych.

- Niesamowite - szepnął do siebie, idąc tyłem. - Po prostu niesamowite.

Sacza podążała za jękami, które zaprowadziły ją do długiego, jasnego korytarza. Po obu stronach ciągnęły się setki maleńkich lamp bez knota ani płomienia. Przyglądała się przezroczystym szklanym kulom, które osłaniały cienki, jarzący się drucik. Dawały mocne, oślepiające światło, choć nie palił się w nich ogień. Mariah szedł za Sączą, a w dłoni trzymał pistolet. Co drugi krok przystawał i odwracał się, mierząc z broni do jakiejś wyimaginowanej poczwary.

Wnet dotarli do kolejnej dużej sali. Szli teraz po metalowej kładce, która wisiała na grubych, splecionych łańcuchach ponad zbiornikiem wzburzonej, błękitnej wody. Delikatnie się kołysząc, dotarli do następnego sklepionego przejścia. Dął stamtąd wściekły wichur, który spychał ich w przeciwnym kierunku, poruszając wodę i rozwiewając mgiełkę aż po sam sufit.

Płaczliwy głos zdawał się teraz bardziej odległy niż przedtem. Sacza miała wrażenie, że uganiana się za końcem tęczy, która przesuwa się razem z nią. Wciąż jednak raz po raz jej uszu dolatywał cichy szept. Odwracała się do Mariaha, a on za każdym razem wzruszał ramionami, jak gdyby coś sobie uroiła.

Mariah schował twarz przed wiatrem w kołnierz surduta. Pchał do przodu Sączę, która z trudem utrzymywała się w pionie, tak potężne były podmuchy powietrza z głębi wąskiego tunelu.

- Wiatr schładza generator - krzyczał ponad wyjąłym wichrem. - Powietrze jest zasysane z góry. Jeżeli znajdziemy to miejsce, wydostaniemy się na zewnątrz.

Sacza uklękła i ostatnie parę metrów korytarza pokonała na czworakach. Wiatr smagał ją po głowie i obsypywał ostrymi ziarenkami złotego piasku. Mariah chwiejnym krokiem szedł za nią, patrząc pod nogi i przyciskając pistolet do ciała.

Raptem coś zatrzęsło całym korytarzem. Rozległ się zgrzyt metalu o skałę. Wichur zaskamlał po raz ostatni, a potem ucichł. Z tyłu znów dobiegło drzenie, a następnie trzask zamykanych metalowych drzwi.

- Kominy! - zawołał jakiś głos z przodu. - Zamknąć kominy!

Raz jeszcze w oddali zazgrzytał metal. Przenikliwy hałas wypełnił tunel. Sacza spojrziała na Mariaha. Pokrywała ją cienka warstwa złotego pyłu, który przyprószył całą jej twarz i przylepił kosmyki włosów do skóry. Oboje ruszyli chyłkiem przed siebie, nie wiedząc, kogo się spodziewać.

Przekroczywszy jeszcze jedno łukowate przejście, ujrzeli światło lśniącego kryształowego żyrandola. Zwieszał się majestatycznie ze sklepionego sufitu na podobnej wysokości jak kładka, po której się czołgali, schowani przed wzrokiem ludzi na dole.

Mariah ostrożnie wyjrzał za metalową krawędź pomostu, który przebiegał środkiem sklepionej sali. Na dole stał Otto Luger, elegancko ubrany i jak najbardziej żywy. Miał na sobie taką samą białą koszulę i starannie odprasowany surdut. Monokl mocno tkwił na nosie, wypomadowane włosy były gładko zaczesane do tyłu. Monika stała na długiej kamiennej ławce, jakby wyciosanej ze skalnej podłogi. Pochylając się nad kamiennym stołem, zmiatała złoty piasek szczotką z końskiego włosia.

Przy wielkich drewnianych drzwiach stali dwaj mężczyźni. Mariah rozpoznał rumianą facjatę pana Grimma. Czekali niecierpliwie, a towarzysz Grimma pocierał złotą lwią głowę u szczytu mahoniowej laski. Był to człowiek wysoki i chudy, cerę miał bladą, policzki zapadnięte, usta wąskie, a na czubku jego pociągłej i niezwykle spiczastej twarzy czerniła się niewielka bródka.

- Grendel! - szepnął Mariah do siebie.

Pan Grendel bawił się okularami o błękitnych szklach. Wyjął z kieszeni okazały srebrny czasomierz i co chwila nerwowo sprawdzał godzinę. Wszystkie ścięgna jego ciała zdawały się w ruchu, mięśnie twarzy drgały pod cienką, białą skórą.

- Wielka mi tajemnica. Nie rozumiem, dlaczego musimy się spotykać w podmorskich jaskiniach zamiast w hotelu - wymamrotał pan Grimm.

- Czy pan Grendel jest gotowy wyświadczyć nam przysługę? - spytał Otto Luger, siadając u szczytu kamiennego stołu i zapraszając mężczyzn skinieniem głowy. Monika strzepnęła resztki pyłu na ziemię. - Liczę, że przyśnią mu się sprawcy wczorajszego włamania. Coś mi mówi, że nie powiedzieli ostatniego słowa. Nie chcę mieć na głowie jeszcze jednego zmartwienia.

- Czy kiedykolwiek sprawiliśmy panu zawód? - odparł żarliwie pan Grimm. Chwytał Grendela pod rękę i posadził go przy stole naprzeciwko Lugera. - Lepiej, żeby siedział na wprost pana i widział pańską twarz.

- Wszystko mi jedno, byleby zobaczył tego, kto miesza mi w głowie.

- Jest pan bardzo niecierpliwy - odezwał się Grendel, siadając na zimnym kamieniu. - To nie jest prosta sztuka. Nie można jej posiąść przypadkiem ani za pieniądze. To dar.

- Doprawdy? A mnie się zdawało, że to coś jest do kupienia w zielonych buteleczkach i ma zapach opium.

Pan Grendel zaśmiał się pod nosem, drapiąc się po zaroście i poprawiając okulary na nosie chudym jak u elfa.

- Dzięki tej substancji mogę wzlecieć ponad ten świat i udać się, dokąd zapragnę. I nie jest to żadne plugawe opium, nic podobnego. Wystarczą trzy krople tego syropu, abym uwolnił się od ziemskich pragnień i namiętności. Nie ma nic wspanialszego niż wydostać się z tej bojaźliwej, roztrzęsionej tuszy! Trzy krople, panie Luger. Zachęcam do spróbowania. Może to jest właśnie owa ulga dla udręczonego stworzenia, serce w świecie pozbawionym serca i dusza pośród bezdusznych warunków? Jeśli wierzyć filozofii pana Hegla...

- Pijże pan i miejmy to z głowy - warknął Luger, a jego słowa rozbrzmiały echem po sali. - Dobrze zapłacę za te sny. Niech mu pan wytłumaczy, panie Grimm. Muszę wiedzieć, kto włamał się do mojego pokoju.

- Już się robi, już się robi. Z przyjemnością opuszczę pańskie towarzystwo. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy mam się rozglądać za czymś szczególnym - a trzeba panu wiedzieć, że wszystkie drzwi będą dla mnie otwarte i nie zatrzyma mnie żaden mur. Nic się przede mną nie ukryje. Rozumie pan?

Luger spojrział na Monikę, jakby czekając, aż ona coś powie. Uśmiechnęła się do niego i tylko wzruszyła ramionami, przekrzywiając głowę niczym gruchająca gołębica.

- Cóż... jest wiele rzeczy, które wolałbym utrzymać w tajemnicy przed światem. Mam nadzieję, że potrafi pan zachować milczenie. Na pewno uda nam się w tej sprawie jakoś porozumieć? - Luger mówił tonem człowieka, który zdał sobie sprawę, że usługi detektywów będą go kosztowały znacznie więcej, niż w pierwszej chwili sądził.

- Może najpierw zobaczę, jakie to sekrety, a później uzgodnimy cenę? - zaproponował Grendel, odkręcając buteleczkę, którą wyjął po cichu z tylnej kieszeni spodni. - Zapewniam pana, że dochowujemy tajemnic w bardzo przystępnych cenach.

- To jak ubezpieczenie - wtrącił nerwowo Grimm, ocierając spocone czoło i łypiąc na Grendela, jakby chciał go uciszyć.

- Proszę pomyśleć o tym jak o inwestycji. Będziemy strażnikami pańskich sekretów. Możemy panu obiecać, że zabierzemy je ze sobą do grobu.

- Wolałbym, aby nie zapuszczał się pan zbyt głęboko pod ziemię w swoich nocnych majaczeniach - oznajmił Luger i znów posłał milczącej Monice spojrzenie błagające o pomoc.

- Prowadzę pewne przedsięwzięcie, nazwijmy je hodowlą...

- Czy to coś cennego? - spytał Grendel, obwąchując szyjkę buteleczki.

- Bardzo cennego i pięknego - włączyła się Monika.

- Powiedz im, Ottonie. Skoro przejrzy przez ściany, i tak zobaczy dzieci i perły.

Miejmy to z głowy.

- Moniko! - zjeżył się Luger.

- Dopuszczymy was do interesu - oznajmiła z werwą, unikając spojrzenia Lugera. - Otto hoduje perły. Kilka pięter pod nami jest grota pełna ostryg. Karmi je... - Urwała i zerknęła na Lugera, który oblał się pąsowym rumieńcem i dusił w ciasnym kołnierzyku białej koszuli.

- Parą i ekskretami - pisnął.

- Kretami? - zdumiał się Grimm. Tak się skrzywił, że okulary zleciały mu z nosa.

- Odchodami... Kałem... Kupą. Jak kto woli - jęknął Luger.

- Karmi pan tym ostrygi? - Grimm nie mógł uwierzyć w pożywność takiej diety. - Teraz już rozumiem, dlaczego matka powtarzała, żebym nigdy nie brał do ust małży.

- Uwielbiają ekskrety - zachichotała Monika.

- Pobieramy je z kanalizacji miejskiej, filtrujemy, podgrzewamy parą i wrzucamy do jaskini. Ostrygi mają tam dwa razy cieplej niż w morzu i znajdują się pod troskliwą opieką. Możecie sobie panowie wyobrazić, jak wspaniale rosną - rzekł Luger jakby urażony tonem Grimma.

- Znaleźliście chętnych do tej pracy? - spytał Grimm, poluzniając krawat.

- Nie mają wyjścia - odparł Luger. - Jak to najogólniej powiedzieć? - zwrócił się do Moniki.

- To niewolnicy - wyjaśniła bez ogródek. - Pan Luger bardzo starannie dobiera nowych pracowników. Ściąga do hotelu młodzieńców, o których na pewno nikt się nie upomni. Dobrze za nich płaci. Przez jakiś czas pracują na górze. Potem wybiera najsilniejszych do pracy... na dole. - Zaśmiała się i z dreszczem zachwytu wskazała podłogę długim palcem w rękawicze.

- A perły? - Grimm zniżył głos do szeptu i oblizał wargi.

- Czy są sprzedawane... w okolicy?

- Niech panu wystarczy, że damy w Paryżu stroją się w najpiękniejsze perły, jakie kiedykolwiek wypasły się na gorących fekaliach - odrzekł Luger, uśmiechając się do Moniki i unosząc gęstą, przyczernioną brew.

- Szmugiel? - spytał ostrożnie Grimm, a tymczasem pan Grendel przyłożył zieloną buteleczkę do ust i upił z niej syropu.

- I to jaki pomysłówy! Nigdy by się pan nie domyślił - zachichotała Monika.

Grendel zaczął się cicho skręcać na krześle: syrop rozpalał mu żyły niczym gorący ołów. Zakasłał lekko, strużka ciemnoczerwonej krwi wypłynęła mu z ust i pociekła po brodzie. Po chwili zamknął zaczerwienione oczy i usnął.

Na ziemi pod stołem wzbil się kłęb piasku, jakby poruszony czyimś krokiem. Monika wzdrygnęła się i owinawszy mlecznobiałą szyję szalem z piór, przeczesywała wzrokiem grootę.

- To najdroższy sen w moim życiu - zauważył Luger z nutą sarkazmu.

- Ale wart swojej ceny, panie Luger. Znajdziemy pańskiego prześladowcę. A skoro o tym mowa! Otrzymałem wieści z Londynu. Moi współpracownicy znaleźli człowieka, którego pan szuka, i są już w drodze. Zastali go na schodach Hotelu Claridges. Teraz oczywiście jest w powozie.

- A co z Pandzandrum? - ostrożnie spytał Luger, skubiąc nerwowo wąsa.

- Telegram, co zrozumiałe, był dość ogólny - wyjaśnił Grimm. - Nie możemy przecież wyjawiać naszych tajemnic przed światem. - Wyjął z kieszeni zmiętą kartkę. - Już panu czytam... wszystko po naszej myśli... wieziemy naszego przyjaciela z Claridges... w kieszeni miał pocztówkę z Hotelu Regent.

- A więc jednak. Ktoś tutaj węszy. Wszystko zaczyna się układać w sensowną całość. Kolorowych snów, panie Grendel. Niech mi pan znajdzie tego złodziejaska... i Pandzandrum

- z westchnieniem zakomenderował Luger. - Przypuszczam, że zostanie złapany, a moje podejrzenia się potwierdzą.

- Mówię ci, Ottonie, że to Basmala - upierała się Monika.

- To jemu Grendel powinien się przyjrzeć.

- Zostawmy to mistrzowi, już on rozwikła zagadkę. Wbrew pozorom pan Grendel nie zasnął. Opuścił tylko swoje ciało i przebywa w innym wymiarze. Widzi rzeczy, których my nie jesteśmy w stanie zobaczyć, a inne istoty w zaświatach wskażą mu drogę - wymamrotał Grimm ściszym głosem, jakby nie chciał, by go usłyszały owe niewidzialne duchy.

Monika nagle wzdrygnęła się i zaczerwieniła. Rozejrzała się niespokojnie po przestronnej sali.

- A więc widzi rzeczy pochodzące z innej rzeczywistości

- nienależące do świata ludzi? - spytała podenerwowana.

- Z całą pewnością, pani Moniko. Gdyby tu była jakaś zjawia czy upiór, to zobaczyłby ją, więcej: powiedziałby nam, skąd przyszła. Otóż wszystkie istoty zostawiają ślad - wyjaśnił Grimm, wyciągając z kieszeni podłużny futerałik, a z niego okulary. - Ludzie na przykład

zostawiają ciepło. Te tutaj okulary, gdy się je odpowiednio dostroi, pozwalają ujrzeć ślady stóp sprzed wielu dni. Potrzebuję tylko dowolnej rzeczy, która miała fizyczny kontakt z podejrzanym, choćby włos lub nitki z ubrania. Mówiono mi, że ta para szkieł należała do pewnego anioła, który zstąpił na londyński bruk, ale to tylko bajka wyszana z palca.

- A kiedy pański przyjaciel zbudzi się ze snu? - spytała słabym głosem Monika, wstając od stołu i podchodząc do drzwi.

- Już niebawem. To nigdy nie trwa długo. Tam, dokąd się udał, czas działa inaczej. Wczoraj, dziś i jutro nie następują po sobie, lecz nierozzerwalnie się łączą. To, co tutaj wydaje się chwilą, gdzie indziej trwa całe wieki. Ale gdzie, tego nie wiadomo... - Grimm mówił tym szybciej, im bardziej płątał się w swoich wywodach.

- Dzieci! - wrzasnął Grendel, podrywając się ze snu. - Co pan robi z dziećmi? - Usiadł wyprostowany ze wzrokiem wlepionym w Lugera. - Pozory myślą, panie Luger. W chwili włamania Basmala spierał się z jednym z pańskich gości. Do pańskiego pokoju wtargnęły dzieci.

- Co takiego? - Luger aż podniósł się z miejsca.

- Chłopak i dziewczyna. Znają to miejsce lepiej, niżby pan przypuszczał. Są blisko, panie Luger, bardzo blisko. Ale to nie wszystko - prawda, pani Moniko? - rzekł drżącym głosem, spoglądając w jej stronę.

- Gdzie one są? - dopytywał się Luger.

- Tam! - odparł spokojnie Grendel, unosząc łaskę z głową lwa i wskazując kładkę u sufitu. - Schowały się na górze i słyszały całą naszą rozmowę.

Luger odwrócił się i spojrzał w górę. Nie widział, jak Monika ukradkiem opuszcza salę.

- Nie widzę ich! Czy to duchy?

- Na razie jeszcze są żywe, panie Luger.

Mariah zrozumiał, że nie mogą dłużej czekać. Pociągnął Sączę i pobiegli wzdłuż kładki w stronę kamiennego wyjścia na drugim jej końcu.

- Prędko! - krzyknął Luger i zerwał się z ławki. Podreptał najszybciej, jak umiał, poganiając Grimma i Grendela. Monika już wcześniej wysliznęła się z sali do ciemnego tunelu. - Po lewej są schody. Musimy złapać te bachory!

- Daleko nie uciekną, panie Luger. Nie przed najlepszymi londyńskimi detektywami!

Drogocenna perła

Mariah nie czekał na Sączę. Popędził kładką jak ścigany szczur, na czworakach,

odwrócony twarzą do ściany. Na dole trzasnęły drzwi: Luger i jego detektywi zniknęli w ciemnym korytarzu, by odciąć im drogę ucieczki.

- A więc to prawda, uwięzili Feliksa - zawołała Sacza, ściskając w dłoni klucz Scratty.

- Musimy ich uwolnić.

- Mają też Perfidnego Albiona. Słyszałaś, co mówili? To samo pokazały nam karty. - Mariah zatrzymał się na skrzyżowaniu czterech bardzo wąskich tuneli, po których można się było poruszać wyłącznie pojedynczo.

- Karty mówiły prawdę o Feliksie i ostrygach - zauważyła Sacza i zdyszana oparła się o ścianę. - Któreś teraz?

Mariah rozejrzał się. W oddali zabrzęczały metalowe drzwi i rozległ się tupot butów na kamiennej podłodze. Dźwięki drgały w zimnym powietrzu, zdawały się dochodzić ze wszystkich trzech kierunków jednocześnie.

- Tędy - odparł chłopiec, wskazując najwęższy tunel, który opadał stromo w dół, i popchnął Sączę przodem. - Grimm się tu nie zmieści, jest za gruby.

Mijali w biegu mrugające lampy zwieszane z sufitu. Korytarz zwęził się na szerokość ramion.

- To chyba droga donikąd - zawołała Sacza, widząc, że ściany biegną coraz ciasniej i kradną powietrze. - Zagonią nas w ślepy zaułek.

- Spójrz na ślady: ktoś szedł w tym samym kierunku - odparł Mariah. - To znaczy, że tunel dokądś prowadzi.

Żelazny klucz drgnął w zaciśniętej dłoni Sączy, jakby pragnął się uwolnić. Miała wrażenie, że ciągnie ją do przodu ku jakimś drzwiom, które są już niedaleko.

- Klucz ożył! - krzyknęła.

Mariah popatrzył na przeżarty rdzą i solą kawałek metalu, który rzucał się we wszystkie strony, ale wciąż tkwił w uścisku Sączy.

- Puść go - powiedział odruchowo. - Pójdziemy za nim.

Sacza wetknęła palec w zardzewiałe kółko i rozluźniła dłoń.

Klucz natychmiast pociągnął ją naprzód niczym różdżka. Z tyłu zbliżały się kroki Lugera i detektywów. W miarę jak uciekinierzy posuwali się coraz dalej, światło w tunelu zaczęło migotać i przygasać. Klucz wrywał do przodu jak narowisty koń w pełnym galopie, tak że Sacza musiała biec na czubkach palców.

Pędzący tuż za nią Mariah spojrzął za siebie. Odgłosy pościgu przycichły. Stękanie Grimma i Grendela było już tylko dalekim szmerem. Tunel schodził ostro w dół, kamienie pod ich stopami ustępowały miejsca drobnym skalnym okruchom. Oddalili się od generatora

pary, a mimo to jego dudnienie wciąż rozchodziło się po skałach. Tu i ówdzie na ziemię spadały kamyki, rozpryskując się na drobne odłamki niby wybuchające pociski.

Sacza biegła co tchu ciągnięta w głąb ciemnego tunelu. Klucz trząsał się jak oszalały, wibrował jej w palcach i dźwięczał niczym kamerton. Odpadały od niego kawałki solnej skorupy, przez co brzmiał coraz głośniejszy i czystszy. Daleko z przodu odpowiedział mu dźwięk o jedną oktawę niższy, dudniący jak kontrabas.

- Jesteśmy prawie na miejscu - zawołał Mariah, dotrzymując dziewczynie kroku. Ścisnął w dłoni pistolet i zastanawiał się, czy potrafiłby go użyć przeciwko Grimmowi i Grendelowi. - Spójrz przed siebie...

Dziesięć metrów dalej w ścianie otwierało się wąskie przejście do wykutego w kamieniu przedsionka - jak gdyby skalny uskok pękł na dwoje i powstała niewielka pieczara, którą następnie młotem i dłutem zamieniono w sklepione pomieszczenie.

Stanęli przed metalowymi drzwiami z ogromnym żelaznym zamkiem, osadzonymi w drewnianej framudze. Pośrodku drzwi znajdowało się okrągłe okienko.

Klucz najwyraźniej był u siebie. Popiskiwał wesoło, tym razem tonem podnieconego drozda śpiewaka. W odpowiedzi gniazdo, w którym tkwił zamek, głośno zabzyczało. Klucz pociągnął Saczę ku drzwiom i sam wsunął się do otworu. Potem szczyknął, zadrżał i obrócił się kilka razy z wielką ochotą.

Drzwi otworzyły się powoli, skrzypiąc na dwóch zardzewiałych zawiasach, jakby popchnięte niewidzialną ręką. Woń ścieków wdarła się do pieczary, a po ziemi rozpełzła się zielonawa morska mgiełka.

- Myślisz, że tędy też można się wydostać z podziemi? - spytała Sacza, bezskutecznie mocując się z kluczem, który za nic nie chciał wyjść z zamka.

- Musimy zaryzykować. Ale nie sądzę, żeby Luger przedostał się przez ten wąski tunel. Miałem wrażenie, że ściany się zacieśniły.

Sacza przestąpiła kamienny próg, a Mariah obejrzał zamek. Pokręcił kluczem wte i wewte, a kiedy szarpnął mocniej, ten złamał się wpół z cichym piskiem. Mariah stał z kawałkiem metalu w ręce i patrzył, jak otwór wtapia się w metalową płytkę i znika bez śladu. Ku jego zdumieniu kluczowi wyrosła nowa główka. Żelazo skrzyło się, jakby wyszło prosto z odlewni.

- Popatrz - wyciągnął klucz w stronę Saczy. - Przed chwilą się złamał, a teraz jest jak nowy.

Klucz istotnie wyglądał jak nowy, nie ostał się na nim żaden ślad rdzy. Zaszczębiotał zmienionym tonem jak pliszka. Sacza wzięła go i wcisnęła do kieszeni.

- Może teraz pasuje do innych drzwi? - zastanawiała się głośno. - Wygląda inaczej, jest cały z jednego metalu. - Na te słowa klucz zaświergotał, jakby przyznając jej rację, po czym równie szybko ucichł.

- Tak czy inaczej, tych drzwi nikt już nie otworzy od tamtej strony - powiedział Mariah, zatrzaszkując metalowy zamek. Stali w ciemnym tunelu. Nie było tam sznurów jasnych światła, ciemności rozpraszał jedynie łój tłący się na kościanych podstawkach, które sterczały ze ściany niczym dziesiątki zębów, umazane resztkami tysiąca świec. Ponieważ znajdowały się tuż nad podłogą, Mariah i Sacza, idąc, rzucali migoczące cienie na sufit.

Tunel był bezwietrzny. Panował w nim gorący zaduch, a mętnowa, świecąca mgła snuła się uciekinierom pod nogami. Posuwali się niepewnie naprzód. Mariah zdjął surdut i przerzucił przez ramię. W drugiej dłoni niósł pistolet, ściskając gładki, przyjemnie chłodny metal czerwonymi, obtartymi palcami.

- Idziemy szukać Feliksa? - zapytała Sacza, która szła przodem. - Przez cały ten czas był uwięziony.

- Luger go wybrał, bo Feliks odkrył jego tajemnicę - zauważył Mariah.

- Czyli nas czeka to samo - odparła prędko dziewczyna.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mieli już nasze figury woskowe. Zrobią z nas niewolników. Będziemy przerzucać łajno i brodzić po kolana w ostrygach.

- Przynajmniej będziesz blisko swojego Feliksa - odparł uszczypliwie.

- Po co właściwie te manekiny? - Sacza zignorowała docinek. - Jak myślisz, do czego są potrzebne Lugerowi?

Mariah nic nie odpowiedział. Szedł przed siebie i myślał o figurze, którą widzieli w pokoju Lugera. W sarkofagu było mnóstwo czarnego piasku, a manekin wyglądał jak chłopiec. Mariah zerknął pod nogi, ku białej kościanej podstawie świecznika, po której ściekał strużkami stopniały łój.

- Luger szmugluje perły za granicę w manekinach - oznajmił, jakby dokonał cudownego odkrycia. - To jedyne wytłumaczenie. Pomyśl, jesteśmy tuż obok portu. Codziennie wpływają i odpływają nowe statki. Luger wysyła do Francji perły ukryte w figurach z wosku schowanych w trumnach. Komu by się chciało zaglądać do środka, żeby sprawdzić, czy niczego tam nie ukryto?

- Mój ojciec... - powiedziała cicho Sacza. - Jego praca polega na sprawdzaniu ładunków, które wpływają i wypływają z portu.

- Myślałem, że pracuje w straży przybrzeżnej? - zdziwił się Mariah.

- I jako celnik. To należy do jego obowiązków. Obrona wybrzeża i walka z

przemycem - wyjaśniła. - Wiem, że zdarza mu się... przemykać oko.

- Na przemytników?

- I nie tylko. To bardzo mały świat. Pewnych rzeczy byś nie zrozumiał. To, że czasem przepuści jakiś galon brandy, nie znaczy, że jest oszustem - zaznaczyła stanowczo. - A ty myślałeś, że jak dostałam posadę w hotelu? Przecież nie dzięki pracowitości. Luger zna mojego ojca, widziałam ich kiedyś razem, jak pili rum i grali w karty. Trzymają sztamę, odkąd Luger przyjechał w te strony. Przestali się spotykać, dopiero gdy pojawiła się Monika. Luger mówił, że mają wiele wspólnego: on, Amerykanin, i mój ojciec, Irlandczyk.

- Najwyraźniej mają wspólnego więcej, niż sądziłaś - stwierdził Mariah, wyprzedzając Sączę.

U wylotu wąskiego, ciemnego tunelu otwierała się wielka grotą przeciętą metalowymi kładkami, które biegły pod wysokim sklepieniem sufitem. Całość wyglądała jak wnętrze nieczynnej fabryki wydrążonej w ogromnym klifie. Sacza i Mariah stali na metalowym pomoście, który wznosił się wysoko nad zbiornikiem gorącej, brązowej wody. Wszędzie panowała cisza zmacona jedynie łagodnym pluskaniem wody lejącej się z rury w skalnej ścianie. Rozejrzeli się: nigdzie nie było widać ani śladu Lugera i jego pomagierów.

Na drugim końcu jaskini znajdowały się małe drzwi z jeszcze mniejszą kratą pośrodku. Mariah dostrzegł w niej ciemną twarz. Przywarła do prętów, jakby zaciągając się zastałym powietrzem, które wypełniało grotę. Obok twarzy na kracie zaciskały się dwie blade dłonie.

- Feliks - szepnął Mariah do Sączy. - Jest tam, za drzwiami.

- Feliks! - wykrzyknęła dziewczyna, a jej głos rozniósł się po jaskini. - Uwolnimy cię.

- Nie - doleciała niemrawa odpowiedź. - Uważajcie...

Sacza gorączkowo rozglądała się za zejściem z pomostu. Po prawej stronie spostrzegła wąskie metalowe schody, które zbiegały stromo ku kamienistej ścieżce wiodącej do drzwi. Rzuciła się w tamtym kierunku i zaczęła zeskakiwać po brzęczących stopniach.

- Nie! - krzyknął Feliks, potrząsając kratą w drzwiach.

- Wracaj!

Głucha na jego prośby Sacza przeskakiwała po dwa stopnie, a Mariah mknął za nią. W gorącej, błotnistej wodzie otworzyło się jakieś oko zbudzone ze snu. Spojrzało w stronę Sączy znad samej powierzchni sadzawki, a potem chlasnęło długim ogonem i zaczęło się po cichu zbliżać.

- Nie schodź! - wołał rozpaczliwie Feliks. - Iksjon cię złapie! Krokodyl! Jest w wodzie! - Jego słowa rozlegały się echem w podziemiach.

Mariah przystanął i spojrział w brązową sadzawkę, wypatrując bestii. Na nieruchomej tafli pojawiły się tylko dwie maleńkie zmarszczki i od razu zniknęły.

- Sacza, stój! - krzyknął Mariah. Domyślił się, że pod mętną powierzchnią wody czeka przyczajony potwór. - Wracaj!

Nagle uderzenie zważyło Sączę z nóg i popchnęło ku wodzie.

- Iksjon! - wydarł się Feliks, potrząsając bezradnie drzwiami.

Bestia zanurzyła się z powrotem we wzburzonej sadzawce, szykując do ponownego ataku. Sacza zerwała się na nogi, ale nie wiedziała, co się dzieje. Wysoko w górze Mariah wycelował pistolet w spienioną wodę. Iksjon wyskoczył z ukrycia z uniesioną wysoko, łączywie rozwartą paszczą. Jednocześnie rozległ się głuchy huk wystrzału, który odbił się od skał niczym uderzenie pioruna. Wszystko nagle zamarło, po czym zwierzę runęło na kamienistą ścieżkę. Dyszało ciężko ze wzrokiem wbitym w Sączę, nie zważając na krew płynącą z długiej rany z boku paszczy. Potem krokodyl wspiał się na czubki smoczycych łap i stanął niby ogar gotowy do gonitwy.

- Nie ruszaj się - powiedział cicho Feliks. - On widzi tylko na jedno oko. Luger wyłupał mu drugie szablą, bo się na niego rzucił.

Mariah obrócił komorę w pistolecie i odciągnął kurek. Wycelował broń i czterokrotnie pociągnął za spust. Za każdym rozlegał się tylko głuchy szcęk kurka uderzającego w zbitego kapiszona.

- Skończyły mi się naboje - zawołał do Sączy. - Nie mogę ci pomóc...

Dziewczyna stała nieruchomo, oko w oko z bestią. Krokodyl uśmiechał się po krokodylemu, a w oku zakręciła mu się łza. Potem z wolna ruszył w stronę Sączy na smoczycych łapach, wciągając powietrze w nozdrza.

Cofnęła się ku metalowym schodom, jej ręka szukała poręczy za plecami. Krokodyl przyspieszył, jakby zwęszył bliskość ofiary. Pochrzakując i warcząc jak pies, tocząc śluz i ślinę zza niezliczonych zębów, sunął po ścieżce.

Przykucnięty Mariah zaczął ukradkiem schodzić w dół, najciszej, jak potrafił.

Iksjon był coraz bliżej. Prychnął i naprężył łuskowaty grzbiet, szykując się do ataku. Zadrzał, najeżył ostre łuski, postawił ogon. Sacza krzyknęła i zatoczyła się do tyłu, wiedząc, co ją czeka, wyczuwając wściekłość, z jaką potwór spoglądał z nad rozdętych nozdrzy.

Kamyki zachręściły i Iksjon rzucił się na Sączę. Obrócił łeb i w mgnieniu oka rozwarł długie szczęki, gotów odgryźć jej głowę. Jednym susem pokonał długość własnego ciała. Sacza przewróciła się do tyłu.

Wtedy Mariah chwycił ją jedną ręką i wciągnął na schody. Iksjonowi zabrakło

centymetrów. Zaciskając szczęki, wylądował na kamieniach i ześliznął się w błoto, rozdrapując pazurami brzeg stawu. Sacza zerwała się i uciekła po schodach przed kłapiącą w powietrzu paszczą. Pisnęła z przerażenia, gdy krokodyl chwycił w zęby najniższy metalowy stopień i zaczął wściekle potrząsać schodami.

Mariah wciągnął ją na górę i krzyknął, żeby uciekała. Sacza zdrętwiała ze strachu, ręce i nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a serce biło w szaleńczym tempie. Krokodyl wygramolił się ze stawu i wpełzł na schody. Bulgocząca paszcza rozlewająca błotnistą wodę zdawała się uśmiechać do przestraszonej dziewczyny.

- Uciekajcie! - wołał Feliks. - Przyjdźcie w nocy. Iksjon jest wtedy uwiązany na rozkaz Moniki. Znajdźcie drogocenną perłę, nic więcej wam nie trzeba.

Sacza wdrapała się na pomost i popatrzyła na żalospną twarz więźnia. Feliks wystawił wychudzone dłonie zza krat, jakby machając dziewczynie na pożegnanie, po czym zanurzył się w ciemnościach jak ręka tonącego.

- Znajdźcie perłę!

- Nie możemy go tu zostawić - zaprotestowała Sacza, gdy Mariah zaczął ją odciągać od schodów.

- Ani tutaj zostać. Nic teraz nie wskóramy. Krokodyl by nas zabił - tłumaczył, biegnąc ku wyjściu pod stropem jaskini. Tymczasem w dole szczęknęły metalowe drzwi. Do groty wdarły się odgłosy rozmowy. Iksjon ześliznął się z przyczółku na schodach burcząc z głodu, podreptał w tamtą stronę.

- Choć do tatusia - zawołał Luger. W jednej dłoni trzymał barani udziec, a w drugiej szpadę. - Ostrożności nigdy nie za wiele - zwrócił się do Grimma i Grendela, którzy schowali się za jego plecami. - To nie jest potulne zwierzę.

Mariah patrzył w dół przez pordzewiałą kratę pomostu oplecioną gęsto przewodami, które przecinały się pod każdym możliwym kątem. Widział, jak Luger karmi Iksjona mięsem, a dwaj detektywi stoją w przezornej odległości pod ścianą. Odgłos miażdżonych kości odbił się od wody niczym płaski kamyk i wznosił wysoko pod ciemne sklepienie groty.

- Nigdzie ich nie widzę - odezwał się Grimm, a krokodyl łapczywie rzucił się na kolejny kawał mięsa.

- Co nie znaczy, że ich tu nie było - skwitował Luger stanowczo, choć z pewną nerwowością w głosie. - Sprawdziliśmy wszystkie inne drogi. Musieli tędy przejść.

- Ale nie ma ich tutaj - odnotował zgryźliwie Grendel, który nie miał ochoty dłużej przebywać w obecności drapieżnej bestii.

- W takim razie powinniśmy tu na nich poczekać. Pozwolę wam nakarmić Iksjona -

rzekł Luger i uśmiechnął się przelotnie do myśli, która przemknęła mu przez głowę i zaraz rozwiała się jak mgła.

- Nie przepadam za krokodylami, panie Luger - odparł szybko Grendel. Okulary kiwały mu się na czubku nosa.

- Krokodylami? - powtórzył Luger, jakby Grendel popełnił częsty błąd. - To nie żaden krokodyl, tylko smokodyl, krzyżówka dwóch różnych stworzeń. *Varanus komodoensis* z wyspy Sumbawa. Smok i krokodyl w jednym, uzyskany w drodze sztucznego doboru.

- Spotkałem kiedyś takiego stwora w moich widzeniach, wolałbym jednak mieć z nim jak najmniej do czynienia - oznajmił Grendel i zrobił krok do tyłu.

- Zdaje się, że już dziś jadł. Wnoszę po tym strzępku materiału - stwierdził chytrze Grimm, wskazując na skrawek czarnej bawełny, który leżał na kamienistej ścieżce nad sadzawką.

Luger wrzucił mięso do wody i patrzył, jak Iksjon się oddala. Następnie postąpił kilka kroków i podniósłszy strzępek, przyjrzał się uważnie każdemu splotowi tkaniny, próbując ustalić tożsamość właściciela. Wysoko w górze Mariah wsłuchiwał się w słowa unoszone przez echo. Sacza zerknęła na przedarty rąbek spodni, o który zahaczył ząb smokodyla.

- Może pomogę? - zaoferował się Grimm, dobywając z kieszeni okulary i umieszczając oprawki na tłustych uszach.

Luger bez słowa wręczył mu strzępek. Rozejrzał się i nasłuchiwał. Ze szpadą w dłoni podszedł do więziennych drzwiczek i zajrzał przez kratę.

- Wszystko w porządku - zamamrotał pod nosem. - Nikt nic nie widział? Feliks - ty też nie?

Żadna z drobnych postaci ściśniętych w gromadkę w ciemnym kącie nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Sprawa jest prosta, panie Luger. Za odpowiednią kwotę pan Grendel i ja wytropimy te dzieci i rozprawimy się z nimi. Ktokolwiek to zostawił, musiał mieć bliskie spotkanie z pańskim... pupilem. Nie sądzę, żeby zdołali daleko uciec. Dzięki tym okularom znajdziemy ich z łatwością. Teraz, gdy mam strzępek ubrania, mogę ich tropić przez wiele dni. Tym razem nie umkną.

Luger zadumał się i zaczął szukać świecidełek po kieszeniach.

- Zapłacę siedmioma najwspanialszymi perłami.

- Oczekujemy co najmniej dwudziestu, panie Luger. Tylko na ziemi wokół mnie leży chyba z jedenaście. Dwudziestu na głowę, rzecz jasna. - W głosie Grimma pobrzmiwał tłumiony rechot. - Płatne natychmiast po wykonaniu zadania?

- Zgoda - odparł Luger i jednocześnie w kieszeni zadzwonił mu zegarek. - A teraz wybaczcie, panowie, ale muszę się zdrzemnąć, tu i teraz. To całkiem nieodzowne... - Wspiął się na metalowe schody i rozparłszy się w rogu zardzewiałej balustrady, zapadł w sen głęboki, lecz niespokojny.

- Chodźmy, Grendelu, mamy zbiegów do schwywania i perły do zdobycia - rzekł Grimm. Jego wiotkie policzki zwisały jak fafle bloodhouna. Zdjął okulary z nosa i wetknął strzępek do pudełeczka zawieszzonego na krótkim rzemyku. Potem obrócił pokrętło z boku niebieskiej soczewki, ponownie umieścił okulary na twarzy i rozejrzał się. - Tam! - zawołał. - I tam! - Zaczął wskazywać różne miejsca wzdłuż tej samej ścieżki. - Prędko, Grendelu, trop jest bardzo świeży, byli tu jeszcze przed chwilą.

- A co robimy z panem Lugerem? - zastanawiał się Grendel, omijając nieprzytomne ciało tarasujące schody.

- Może rzucimy go Iksjonowi? - odparł Grimm.

Aria ceroplástica*

Mariah zakrył usta szlochającej Sączy. Dziewczyna próbowała zatamować krew, która spływała jej po nodze do buta. Wydobyła z rany mały smokodyli ząb. Dopiero teraz powoli docierało do niej, że została ugryziona przez potwora.

- Grimm ma urządzenie, które pozwala mu nas tropić

- szepnął Mariah. - Musimy się pospieszyć.

Daleko w dole pan Grimm szedł zgarbiony po wąskiej kładce i wypatrywał śladów, których nikt inny nie mógł dostrzec. Grendel kroczył za nim, oglądając się na chrapiącego Ottona Lugera. Ten siedział oparty o metalowe pręty, a jego szeroka pierś unosiła się ciężko i opadała.

Mariah ukradkiem zerknął przez balustradę na swoich prześladowców, którzy jego tropem przechodzili z pomostu na pomost. Popatrzył w otwierający się przed nim i Sączą długi, ciemny tunel, pomógł dziewczynie wstać i wzięwszy ją pod ramię, ruszył w mrok.

- A co z Feliksem? - spytała, gdy już zanurzyli się w gęstej czerni korytarza.

- Jeżeli uda nam się wydostać z Regenta, sprowadzimy pomoc i wrócimy po niego - odparł Mariah. Nie miał wątpliwości, że nie wolno im tu zostać ani chwili dłużej.

- Ale kto nam pomoże? - drążyła cicho Sacza, wchodząc niepewnie po schodach w zupełnej ciemności.

* Aria (yr.) - część opery; ceroplástica - od łac. cera - wosk; ceroplastyka - technika rzeźbienia w wosku (przyp. red.).

- Kapitan Charity, na przykład - rzekł Mariah zmęczonym głosem. Czuł się osamotniony. - Szkoda, że nie ma z nami mojego ojca, on by wiedział, co zrobić.

- Tego, który zostawił cię w Szkole Kolonialnej, a sam popłynął w świat, bo takie miał widzimisie? - Sacza bez namysłu mówiła wszystko, co jej przyszło do głowy.

- Nie mieli wyjścia - odfuknął Mariah. - To nie takie proste. Człowiek bez przerwy musi podejmować decyzje. Już dawno by wrócili... - Uderzył pięścią w ścianę.

- Mój ojciec przynajmniej wziął nas ze sobą.

- Mój ojciec przynajmniej nie był pijakiem i złodziejem - odparował.

Przez dłuższą chwilę szli w pełnej napięcia ciszy skazani na swoje towarzystwo. Mariah po cichu życzył Sączy, żeby potknęła się, spadła w jakąś niewidoczną przepaść i została pożarta przez smokodyla.

- Komu możemy zaufać? - wymamrotał sam do siebie.

- Pójdę po Jacka Charity, a ty możesz tutaj zostać.

- Nie ma mowy. Idę z tobą - burknęła Sacza, trzymając się mocno poły jego surduta. - Chcesz mnie zostawić z Moniką i Scratty?

- Trafił swój na swego. - Mariah skręcił jak prowadziła droga w tunelu. Doszli do podestu oświetlonego szklaną kulą bez knota.

W dole widać było wąskie drzwi z giętką metalową kratą. Po jednej stronie w pomalowanej na czarno skale tkwił jasno oświetlony, czerwony przycisk. Sacza instynktownie go nacisnęła, a wtedy gdzieś wysoko w górze rozległo się dudnienie windy parowej.

- Myślałem, że winda jest tylko jedna - zdziwił się Mariah.

- Ta jest inna - odpowiedziała Sacza. - Wsłuchaj się.

Buchająca parą winda zbliżała się bardzo szybko. Jak wiatr w gwizdku spychała powietrze w dół szybu. Nagle stanęła przed nimi, a metalowa kabina sama się otworzyła, rzucając zielone światło na ich stopy.

- Kapitan Charity, na przykład - rzekł Mariah zmęczonym głosem. Czuł się osamotniony. - Szkoda, że nie ma z nami mojego ojca, on by wiedział, co zrobić.

- Tego, który zostawił cię w Szkole Kolonialnej, a sam popłynął w świat, bo takie miał widzimisie? - Sacza bez namysłu mówiła wszystko, co jej przyszło do głowy.

- Nie mieli wyjścia - odfuknął Mariah. - To nie takie proste. Człowiek bez przerwy musi podejmować decyzje. Już dawno by wrócili... - Uderzył pięścią w ścianę.

- Mój ojciec przynajmniej wziął nas ze sobą.

- Mój ojciec przynajmniej nie był pijakiem i złodziejem - odparował.

Przez dłuższą chwilę szli w pełnej napięcia ciszy skazani na swoje towarzystwo. Mariah po cichu życzył Sączy, żeby potknęła się, spadła w jakąś niewidoczną przepaść i została pożarta przez smokodyla.

- Komu możemy zaufać? - wymamrotał sam do siebie.

- Pójdę po Jacka Charity, a ty możesz tutaj zostać.

- Nie ma mowy. Idę z tobą - burknęła Sacza, trzymając się mocno poły jego surduta. - Chcesz mnie zostawić z Moniką i Scratty?

- Trafił swój na swego. - Mariah skręcił jak prowadziła droga w tunelu. Doszli do podestu oświetlonego szklaną kulą bez knota.

W dole widać było wąskie drzwi z giętką metalową kratą. Po jednej stronie w pomalowanej na czarno skale tkwił jasno oświetlony, czerwony przycisk. Sacza instynktownie go nacisnęła, a wtedy gdzieś wysoko w górze rozległo się dudnienie windy parowej.

- Myślałem, że winda jest tylko jedna - zdziwił się Mariah.

- Ta jest inna - odpowiedziała Sacza. - Wsłuchaj się.

Buchająca parą winda zbliżała się bardzo szybko. Jak wiatr w gwizdku spychała powietrze w dół szybu. Nagle stanęła przed nimi, a metalowa kabina sama się otworzyła, rzucając zielone światło na ich stopy.

Mariah wszedł pierwszy, Sacza za nim. Na mosiężnej tablicy znajdowały się dwa przyciski. Przy pierwszym wyryto napis Laboratorium, drugi oznaczono grubymi czarnymi literami jako Biuro.

Sacza wyciągnęła palec ku dolnemu guzikowi. Mariah na złość odepchnął jej rękę i z tryumfalnym uśmiechem kazał windzie jechać do laboratorium. Drzwi kabiny zamknęły się na dwa stalowe bolce, które niczym bagnety wyskoczyły z ukrytych przegród. Winda zatrzęsała się i sycząc parą, wystrzeliła w górę z tak zawrotną prędkością, że oboje przewrócili się na podłogę. Chwilę później byli na miejscu i wytoczyli się przez otwarte drzwi.

W laboratorium stało wielkie drewniane biurko i olbrzymi miedziany czajnik pokryty zimnym woskiem. Dwupoziomowe pomieszczenie było przecięte drewnianą podłogą, podobną do sceny w amatorskim teatrzyku. Środkiem biegła gruba aksamitna kotara, do której przy ścianie prowadziły drewniane schodki. Ich sękata poręcz była wyslizgana, jakby przez wieki kołysała się wśród morskich fal.

Mariah przyklęknął, wciągając ostry zapach stygnącego wosku. Na ścianach wisiały zaschnięte krople i bryzgi podobne do wielkich smarków. Na drążkach suszarki powieszono różne ubrania: spodnie z łatami na kolanach, sukienki oraz fartuchy. W kącie stał manekin

przyodziany w długą, czarną suknię z cekinami. Na dłoniach miał parę wytwornych operowych rękawiczek, które połyskiwały jak wysadzone diamentami.

Sacza widywała je wcześniej. Identyczne nosiła Monika. Okrywały jej długie, chude ręce aż po czubki palców. Dziewczyna przeszła w poprzek pomieszczenia i wsunęła jedną z nich na dłoń. Rękawiczka była miękka i ciepła, błyszczała w blasku świeczników zdobiących sufit.

- Myślisz, że Luger zrobił woskowego sobowtóra Moniki? Może chce ją uwięzić w jaskini, bo za dużo wie? – powiedziała żartobliwie Sacza do Mariaha, który wciąż się dąsał i krążył po laboratorium z ponuro spuszczoną głową.

- Może twój też zrobi, jak będziesz taka wesola? - Wszedł po drewnianych schodkach i zajrzał za kotarę. - No, chyba że już zrobił - dodał stłumionym głosem. Cofnął głowę zza krwistoczerwonej zasłony i przywołał prędko dziewczynę. - Zajrzyj. Ale się zdziwisz.

Sacza zniknęła za kotarą i zrobiło się cicho. Mariah słyszał jej stłumione kroki na deskach. Nagle wyłoniła się z woskową głową w rękach.

- Naprawdę tak wyglądam? - spytała znad własnej podobizny. Woskowa Sacza miała włosy spięte w koński ogon.

- Ceroplastyka. - Mariah ostrożnie dotknął sztucznego nosa. - Sztuka przedstawiania ludzkiego wizerunku w wosku. Czytałem o tym w gazecie. Nie sądziłem, że kiedyś zobaczę twoją podobiznę - dodał ze śmiechem.

- To nie wszystko - odparła Sacza, odsuwając kotarę. - Ty też tam jesteś. W dodatku powieszony.

Mariah wszedł głębiej. Nad podestem, na całej długości sufitu, z długich stalowych haków zwieszały się woskowe manekiny. W kącie dojrzał chłopca w swoim wieku, o sterczących, brązowych lokach, smukłej twarzy i dużych, jasnych oczach. Z rękawa czarnego surduta zwisała welinowa etykieta. Zbliżył się do manekina i przeczytał słowa: Mariah Mundi - w przyszłym tygodniu.

- A więc za parę dni miałem zniknąć? - odezwał się cienkim, zdenerwowanym głosem. - Zobaczymy, kto kogo wykiwa!

Sacza zaśmiała się pod nosem i obróciła etykietę, pokazując mu datę.

- To zostało napisane w dniu twojego przyjazdu. „Przyszły tydzień” już się zaczął.

- Niech spróbuje mnie złapać. Nie zamierzam do końca życia pracować przy ostrygach. Swoją drogą, ciekawe, co z tobą robi, kiedy się zestarzejesz? Rzuca cię na pożarcie temu staremu krokodylowi? - Ze złością urwał manekinowi dłoń. - Nie dam się

wyekspediować do Francji. To ostatnie miejsce, w którym chciałbym się znaleźć.

Mariah szarpnął kukłę za nogi, tak że zsunęła się z haka i roztrzaskała o podłogę. Wziął rozbieg, po czym z całej siły kopnął woskową głowę, aż pofrunęła i uderzyła w ścianę.

- To za admirała Nelsona, króla mórz - zawołał tryumfalnie, gdy rozpadła się na kawałki.

- Spójrz! - krzyknęła Sacza na widok pereł, które wyleciały z woskowego czerepu i rozsypały się po podłodze. - Miałeś rację!

- Ta ręka posłuży nam za dowód - powiedział Mariah, przyciskając urwaną dłoń do surduta i spoglądając w stronę drzwi.

W tym momencie winda, która przywiozła ich do laboratorium, ożyła, drzwi zamknęły się z brzękiem, a kabina pomknęła w dół na jednym parowym wdechu.

- Luger? - przestraszyła się Sacza i prędko rzuciła swoją woskową głowę na podłogę, po czym rozdeptała ją, żeby dostać się do pięknych, dzikich pereł. - Te będą dla mojej siostry - powiedziała, zbierając je i upychając po kieszeniach. - Skoro jemu wolno zabijać, mnie wolno kraść.

- W samą porę! - odezwał się Mariah, gdy świst gorącego powietrza podobny do upiornej arii obwieścił zbliżanie się windy.

- Musimy wracać do hotelu.

Sacza znalazła drzwi ukryte w bocznej ścianie za zasłonką. Przekręciła klucz i po chwili znaleźli się w tunelu niedaleko wyjścia na plażę. Dobrze знаła to miejsce. Skręcając w prawo, doszliby do magazynu, w którym mieszkała Scratty, dalej zaś znajdowały się schody prowadzące do głównej windy parowej i do Regenta.

Winda w laboratorium zatrzymała się gwałtownie. Rozległ się zgrzyt otwieranej kabiny. Ostatnią rzeczą, którą usłyszeli, zanim zamknęli za sobą ukryte drzwi, był podniesiony głos Grimma. Przekręcili klucz w zamku, a potem Mariah cisnął go w dół schodów prowadzących na plażę.

W dwie minuty przemknęli korytarzami do windy. Chwycili się poręczy i włożyli stopy w strzemiona, a kabina popędziła z podwójną prędkością ku hotelowej jadalni.

W końcu drzwi się otworzyły i oblało ich światło słoneczne. Mariah zasłonił oczy. Obok niego przemknął kelner ze srebrną tacą pełną brudnych naczyń ze stolików. Sacza wskazała rozkołysane drzwi do kuchni. Pracownicy skończyli już obsługiwać gości i schodzili się na drugie śniadanie.

- Nie jesteście głodni? - zawołał w ich stronę starszy kelner, zdejmując obrus ze stolika pod oknem i strząsając okruszki na podłogę. Mewa uderzyła w szybę okienną i zsunęła

się po niej oszołomiona. - Obsługujemy pracowników teatru - rzekł wesoło. - Basmala opuścił hotel w towarzystwie gościa, więc nie musicie się bać, że was zgromi za próżniactwo.

Sacza uśmiechnęła się i odwróciła, pociągając Mariaha za rękaw.

- No chodź - nalegał chłopiec, podczas gdy kelner zamiatał stół twardą szczotką. - Ramzes ma jajka i soloną wołowinę.

Wyszarpnął się i uśmiechnął do kelnera, który po chwili zniknął w kuchni. Przypomniało mu się, jak bardzo jest głodny. Aż go skręcało na samą myśl o śniadaniu. Zapach solonej wołowiny, jajek i wędzonego plamiaka roznosił się po sali jadalnej. Gromada kelnerów w ciasnych marynarkach i muszkach uwijała się rażno w zawrotnej krzątaninie.

- Chociaż jedna kanapka... - błagał Mariah.

- Dobrze, ale tylko jedna i wiejemy. Luger prędzej czy później wydostanie się z laboratorium. Pojedzie windą do biura i zacznie nas szukać w hotelu - szepnęła.

- Ale Grimm będzie musiał zejść aż do piwnicy, żeby pójść naszym tropem. Mamy akurat dość czasu, żeby coś przekąsić. Proszę, zgódź się.

Sacza nie zdążyła odpowiedzieć. Drzwi do kuchni otwarły się i wyszedł z nich szef ubrany na biało, z kuchennym nożem wetkniętym za pasek. Marszcząc brwi, potoczył stalowoniebieskim wzrokiem po sali, jakby wypatrując guzdralskiego gościa, którego mógłby ostro złażyć, a potem wyrzucić za drzwi.

- Ty! - wydarł się na Mariaha, wytykając go palcem jednej ręki, a drugą zaciskając na trzonku noża. - Podobno gardzisz moim jedzeniem. Nie smakuje ci? - Jego spocone, sterczące blond włosy podskakiwały jak u papugi, która przed chwilą wyczyściła sobie piórka. - Nikt nie odmawia mojej strawy. Nazywam się Ramzes i jestem szefem tej kuchni. Zrozumiano?

- Twarz zapłonęła mu szkarłatem, a mówił z takim ogniem, że nikt by się chyba nie zdziwił, gdyby tapety na ścianach poodklejały się od żaru jego słów.

Mariah ani drgnął - zastygł w bezruchu jak wystraszony zając, takie wrażenie zrobiła na nim srogość i zaciekłość tej północnej wymowy. Przysunął się z wolna do Sączy i razem zaczęli się kierować ku drzwiom, za którymi znajdował się główny hol i wyjście na ulicę.

- Nawet nie myślcie, że uda wam się stąd wyjść, zanim spróbujecie choć odrobiny mojego jedzenia! Absolutnie wykluczone - oznajmił gromko szef kuchni, wyjmując nóż z za pasa i wymachując nim w powietrzu. Czubkiem ostrza wskazał niewielki stolik w zaciemnionym kącie. - Najpierw zjecie śniadanie, a potem róbcie, co wam się podoba. - Ramzes dobył z kieszeni wielką, rechoczącą żabę i jednym zwinnym ruchem noża w powietrzu oddzielił nogi od reszty drżącego ciała. - Uprzedzam, że nie będzie żadnego przebiegania w jadłospisie. Ja ustalam, co zjecie na śniadanie.

Mariah i Sacza nie mieli wyboru. Ramzes raz jeszcze wskazał stolik ostrym nożem i wymownie zmarszczył czoło. Stolik stał w dalekim kącie otoczony palmami w czerwonych glinianych donicach oraz wysokimi jedwabnymi parawanami w smoki.

Ramzes kpiąco wydał usta, parodiując ich rozczarowanie, a kępy sterczących blond włosów zatańczyły mu na głowie.

- Siadać! - zakomenderował. - Nie ruszajcie się z miejsc. Zostaniecie obsłużeni. - Jeszcze raz machnął nożem, wciąż trzymając w drugiej ręce podrygujące żabie nogi. - Zabawne, im dłużej go używam, tym jest ostrzejszy.

Zniknął za drzwiami, gdy Sacza zajęła miejsce przy stoliku i spojrzała w okno wychodzące na morze. Daleko w dole do zimnej wody Morza Północnego wciągnięto dwie kabiny kąpielowe. Już było widać podskakujący, czerwony czepek.

- Siadaj - zwróciła się do Mariaha, poklepując skórzane obicie mahoniowego krzesła. - Miejmy oczy dookoła głowy. Jeżeli tu przyjdą, przynajmniej zobaczymy ich odbicie w oknie.

Mariah obejrzał się ku drzwiom windy parowej. W jadalni panowała cisza. Przy kilku stolikach siedzieli kelnerzy czekający na śniadanie. Wszyscy wyglądali podobnie: wysocy, chudzi, z wąsem okrywającym usta. Jeden z nich, nawijając na widelec pukiel tłustych włosów, które opadały mu na twarz, posłał Mariahowi zde gustowane spojrzenie. Przyglądał się jemu i Sący ciemnymi oczyma spod najciemniejszych brwi, jakie chłopiec kiedykolwiek widział. Jednocześnie wygarniał kleistą szarą owsiankę z porcelanowej miseczki i oblizywał łyżkę, śliniąc się przy tym odrażająco. Mariah odwrócił wzrok, a kiedy po jakimś czasie znów spojrzał w tamtą stronę, kelner wciąż się na nich gapił.

Drzwi kuchni nagle się otwały i Ramzes wmaszerował do sali z wielką srebrną tacą, na której piętrzyły się lśniące, białe talerze w srebrnych ogrzewaczach. Balansując chybocliwą stertą jedzenia, stawiał je po kolei na stole. Uprzejmy uśmiech zmarszczył mu podbródek, a niewielka, biała blizna na górnej wardze przybrała kształt wschodzącego księżyca. Zobaczył, że oczy im rozblęły na widok jedzenia, i przemówił dla odmiany głosem łagodnym i pełnym entuzjazmu:

- Same pyszności, wiem, że będzie wam smakować. Najpierw jedzenie, a dopiero potem obowiązki. - Ramzes spojrzał na Mariaha. - Jesteś tutaj nowy? Pracujesz dla Basnali? Poznaję po stroju. Tamtych też ubierał na czarno. - Szef kuchni zmarszczył nos. - Tylko nie przepadnij jak Feliks. To był mój najlepszy klient. Smakowało mu moje jedzenie. Aż nagle zniknął. Jedni mówią, że fala zmyła go z pirsu, inni - że zabrał go Kraken.

- Ja słyszałam, że struł się obiadem - zakpiła Sacza, sięgając po coś, co wyglądało jak pieczone skrzydełko kurczaka, po czym wgryzła się w nie zębami.

- A ja słyszałem, że nie lubisz żabich nóżek - odparł Ramzes i odszedłszy od stołu, zniknął w drzwiach kuchni. Do Sączy dopiero teraz dotarło, co tak naprawdę wzięła do ust.

Mariah, który właśnie obierał i solił ugotowane jajko, raz jeszcze obrócił się twarzą w stronę sali. Kelner nadal wpatrywał się w nich przez szparę między jedwabnymi parawanami. W końcu wytarł brodę o brzeg obrusu, wstał i obejrzawszy się przez ramię, zniknął za drzwiami z mahoniem, które zakołysały się na sztywnych sprężynach, dzwoniąc szybą.

Najedli się do syta. Mariah bez przerwy zerkał na zrobioną z kości słoniowej tarczę zegara nad wyjściem, który odmierzał sekundy wahadłem w postaci ręki kościotrupa.

- Pora na nas - odezwał się, gdy winda parowa znów poszła w ruch. - To mogą być oni.

Winda buchnęła parą i ze świstem pomknęła na wyższe piętro. Mariah odetchnął z ulgą. To oznaczało, że nie mogli jej wezwać Grimm i Grendel.

Drzwi do jadalni otworzyły się i do środka wszedł ten sam co wcześniej spocony kelner, wycierając wąsy długimi, tłustymi palcami. Na jego twarzy igrał uśmiezek zadowolenia. Kiedy spojrzał na Mariah, powieka drgnęła mu nerwowo. Wrócił na swoje krzesło i znów nie odrywał od nich oczu. Mariah wepchnął woskową dłoń głębiej za pazuchę. Ruchem głowy ponaglił Sączę, a gdy nie przestała jeść, kopnął ją pod stołem. Zdziwiona podniosła wzrok i dopiero teraz dostrzegła dziwne spojrzenie kelnera.

Pogryzła ostatni kęs, uniosła brwi, odłożyła nóż i widelec na talerz, a potem siedem razy zagięła serwetkę.

- To znajomy Feliksa - szepnęła. - Był u niego tamtej nocy, kiedy Feliks zniknął. Podobno jest Francuzem. Często widuję go z Lugerem.

Kelner uśmiechnął się i grzecznie pomachał Sączy, po czym uprzątnął stół i zniknął w kuchni.

- Teraz - powiedział Mariah, odsuwając mahoniowe krzesło i wstając od stołu.

- Czyżbyście się dokądś wybierali? - odezwał się jakiś głos zza parawanu. - Po co ten pośpiech? Czekaliśmy, aż skończycie śniadanie. - Grimm wysunął tłustą i zwiotczałą facjatę zza jedwabnych smoków i uśmiechnął się niczym pies gończy.

- Właśnie tłumaczyłem panu Grendelowi, że lepiej będzie poczekać, aż się posilicie, i dopiero wtedy poprosić, abyście udali się z nami, czyż nie tak, Grendelu?

- Owszem, Grimmie, owszem. - Rozedrgany Grendel, ściskając kurczowo drewnianą ramę, patrzył na nich znad parawanu.

- A zatem, skoro już się najedliście, chcielibyśmy, abyście poszli z nami - powiedział Grimm tonem człowieka zapraszającego na podwieczorek.

- Goście?! - wrzasnął ktoś zza kuchennych drzwi. - W jadalni? Co to, to nie!

Ramzes wypadł z kuchni z nożem w ręce i takim grymasem, jakby napił się zsiadłego mleka.

- Ty! - wykrzyknął, a Grimm odwrócił się w jego stronę. - Tak, do ciebie mówię, tłusty karle z gębą buldoga. - Grimm otworzył usta, by zaprotestować, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdyż Ramzes złapał go za gardło i powłókł w stronę drzwi, Grendel zaś potulnie ruszył za nim. - Won z mojego lokalu, ale już!

- Ależ my tu jesteśmy na polecenie pana Lugera... Mamy przyprowadzić do niego chłopca - Grimm, dławiony potężną ręką szefa kuchni, mówił cienkim głosem zakrztuszonego kogucika.

- To moi goście - odparł Ramzes, jedną ręką unosząc Grimma w powietrze, a drugą poganiając Grendela. - Zostaną, dopóki nie zjedzą wszystkiego. - Po tych słowach rzucił Mariahowi spojrzenie będące sygnałem do ucieczki.

Mariah złapał Sączę i wepchnął ją do kuchni. Oboje przewrócili się na podłogę u stóp spoconego kelnera. Ten chwycił Sączę za rękę i postawił ją na nogi.

- Tędy - odezwał się, prowadząc ich przez kuchnię.

- Zejdziecie do piwnicy i stamtąd wydostaniecie się na ulicę. Feliks był moim przyjacielem. No, wiejcie. - Uśmiechnął się i wypchnął ich na krótkie schody do piwnicy zastawionej skrzyniami owoców i wina. W głębi ujrzeli dwie pary drzwi wychodzących na plac. Hałasując, przebrnęli przez ciemne pomieszczenie i wydostali się na jasne poranne powietrze, gdzie nie dolatywał już karcący głos Ramzesa.

Hala targowa

Mariah wybiegł na dwór ścigany przez własny cień. Na ulicach mrowie ludzi kłębiło się wokół wielkiego targowiska, które sąsiadowało z Regentem. Chłopiec wpadł co tchu między krzykliwe stragany, a Sacza pędziła tuż za nim. Jakiś czarny pies z głową w kształcie pogiętej zbroi podgryzał mu piętę w biegu. Mariah wierzgnął nogą i zwierzę pokoziołkowało w kałużę błota.

Ktoś w tłumie krzyknął do niego, żeby się zatrzymał, jakby rozpoznano w nim złodzieja. Jakiś przysadzisty mężczyzna z najeżonym wąsem doskoczył do Mariaha i chciał go chwycić za surdut. Chłopiec uchylił się i przetoczył w błocie, by zaraz poderwać się na nogi i pobiec dalej. Sacza ukryła się między straganami przed wędrującym spojrzeniem Isambarda Blacka, którego spostrzegła na hotelowym balkonie.

- Tutaj! - krzyknęła wystraszona, a tymczasem Mariah był coraz dalej. Minął właśnie

mężczyznę, który urąbał tasakiem kawał krowiej nogi, aż krwawe skrawki mięsa bryzgnęły na wszystkie strony i opryskały przebiegającego chłopca. - Tędy! - zawołała jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem, ponad jarmarcznym zgłębieniem, na próżno usiłując przyciągnąć jego uwagę. Wreszcie Mariah odwrócił się i cudem dojrzał ją w tłumie. - Musimy się stąd wydostać - rzuciła prędko, cała roztrzęsiona. Mariah biegł, potykając się co chwila, lądując w błocie i znów się podnosząc.

Jakiś powóz zatrzymał się gwałtownie przed hotelem. Mariah obejrzał się i zobaczył Perfidnego Albiona wywlekanego z pojazdu na błotnisty plac. Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach trzymali go za ramiona. Obaj mieli na głowach spłaszczone, czerwone kapelusze obszyte złotem. Po ich zaroście i przekrwionych oczach znać było zmęczenie długą podróżą. Szczęśliwym trafem Perfidny Albion odwrócił się twarzą do targowiska i wypatrzył Mariaha wśród straganów. Spróbował się do niego uśmiechnąć, ale zaraz odwrócił wzrok, skinął głową i dał się zaciągnąć po marmurowych schodach do hotelu.

W obrotowych drzwiach Regenta pojawili się Grimm i Grendel. Przywitali Albiona, trzepiąc go rękawiczką po twarzy, a następnie zaczęli wodzić wzrokiem po targowisku. Obaj wspierali się na czarnych laskach z lwią głową. Grimm potarł szyję, a jego świecąca cera i szkarłatne policzki lśniły w pierwszych promieniach słońca. Grendel poprawił okulary na nosie i zmrużył oczy od blasku poranka. Wymienili spojrzenia, po czym zeszli na brudny bruk, zanurzając czarne, pastowane buty w błocie.

Kuśtykali razem przez targ, a Grendel wciągał powietrze, jakby chciał w ten sposób zwietrzyć trop. Grimm patrzył pod nogi, uważnie przyglądając się wszystkim odciskom butów. Wyjął z kieszeni swoje wielkie, okrągłe okulary i osadził je na perkatym nosie. Wpatrywał się w błoto i pokazywał coś serdelkowatym palcem.

- Tędy - powiedział zgrzytliwym głosem, który odbił się od murów Hotelu Regent. - Widzę ich ślady. Okulary nawet za dnia spisują się bez zarzutu - oznajmił. Poprawił złote oprawki i obrócił małe pokrętko. - Wręcz lepiej - mamrotał stawiając kroki coraz szybciej. - Jeszcze chwila i będę widział każdy ich krok. Głupi kucharzyna. Naprawdę myślał, że mnie powstrzyma? Pewnie spalił gęś na węgiel.

Grimm utykał jak grubaśny pingwin, a poły surduta powiewały mu w wiatr. Grendel chodził na czubkach palców, starając się omijać kałuże błota.

- Czuję ich zapach! - rzekł, wciągając ogromny haust powietrza i wydymając cienkie wargi. - Strach ścieka po nich jak rosa. Nie ma to jak pościg, zwłaszcza w dzień świątecznego jarmarku. - Kroczył rażno za swym tłustym współnikiem, a drewniana laska wbijała się głęboko w błoto pod jego ciężarem.

Grimm wciąż mamrotał pod nosem. Przepchnął się przez gromadkę rozgadanych ludzi, przewracając na ziemię stojak z piwem i nic sobie nie robiąc z utyskiwań i złorzeczeń kramarza.

- Z drogi, śledzie! - odezwał się Grendel, gdy tamten gniewnie spojrzał na Grimma, jakby oczekiwał zadośćuczynienia.

- Jesteśmy detektywami! - Odepchnął wzburzonego mężczyznę, a ten upadł na plecy, rozchlapując błoto.

- Tędy! - rzucił żywo Grimm i pomaszerował między straganami. - Te ślady są jeszcze ciepłe. Widzę je wyraźnie. Nie uciekli daleko. Niech sobie biegają, i tak ich złapiemy.

- To był dobry nabytek - stwierdził za jego plecami Grendel.

- Zabrałem je pewnemu mężczyźnie w stanie Utah - odparł Grimm. - Mówił, że jest prorokiem i zna grekę, ale nie potrafił powiedzieć ani słowa.

Daleko z przodu Mariah i Sacza gnali na oślep przez targowisko. Kiedy Sacza spojrzała za siebie, mignął jej srebrny cylinder - znak, że Grimm i Grendel depczą im po piętach.

- Mariah, oni są za nami. Pobiegnijmy tamtędy - wskazała wąską boczną uliczkę, która wiodła poza obręb targu. Mariah poniósł wzrok ku niebu. Na wprost wznosiła się wysoka rogatka zamkowa. Paroma krokami przecięli ulicę i przez sklepioną bramę weszli w wąską uliczkę prowadzącą w głąb miasteczka.

Po obu stronach ciągnęły się arkady z najdziwniejszymi sklepami, jakie Mariah w życiu widział. W witrynie sklepu rybnego zwisała na haku ogromna, czarna płaszczka. Kołysała się jak wisielec, z jej otwartego pyska ciekły krople morskiej wody, a smętne, szkliste oczy gapiły się na Mariaha.

- Nie mamy czasu! - zawołała Sacza, pociągając go za rękaw. - Znam kogoś, u kogo możemy się schować. Pracuje w hali targowej. Chodźmy do niego. Jestem pewna, że nam pomoże.

- Mówiła rozpaczliwym głosem, jakby chciała przekonać samą siebie. Popędzili po zatłoczonym bruku, a gdy znów obejrzała się przez ramię, dostrzegła w oddali dwa jedwabne kapelusze: jeden przysadzisty, drugi wysmukły.

Biegli teraz ulicą Rogatka, wzdłuż wąskich budynków, które wznosiły się ku ciemnemu niebu, chroniąc ich przed wielkimi kroplami deszczu, jakie spadały na wysokie dachy kryte strzechą i szarymi płytkami.

Raptem Sacza stanęła i pociągnęła Mariaha w stronę sklepu z tabaką. Nad umazanymi brązowym osadem oknami widniał szyld z napisem: Ebenezer Bartholomew. Tabaka

magiczna. Odświeża najbardziej zatęchłe umysły.

Mariah przeczytał zblakłe złotobrzowe litery, nie bardzo rozumiejąc, czego miałoby szukać u pana Ebenezera. Sacza zwróciła się przodem do drzwi, ale nie weszła do środka. Przywarła do szyby, jakby zaglądała do sklepu. Potem złapała Mariaha i obróciła twarzą do siebie.

- Zagłądaj do środka! - szepnęła.

Oboje odwrócili się tyłem do ulicy, a wtedy Mariah dojrzał w oknie odbicie policjanta, który przechadzał się po bruku w czarnej pelerynie i hełmie, zaglądając kolejno do wszystkich okien, jakby czegoś szukał. Sacza długą chwilę stała nieruchomo.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Poszedł sobie.

- Dlaczego się przed nim chowałeś? - spytał Mariah, odwracając twarz w stronę ulicy. Konstabl złączył dłonie za plecami i oddalał się pewnym krokiem.

- To Jack Teal. Znajomy ojca. Gdyby mnie zobaczył, od razu by się domyślił, że coś kombinuję. Ty tego nie zrozumiesz, ale to miasteczko ma uszy i oczy. Gdziekolwiek pójdziemy, ktoś nas Sacza powiodła wzrokiem wzdłuż ulicy i spostrzegła, że Jack Teal rozmawia z Grimmem i Grendelem. Detektywi wdali się w uprzejmą pogawędkę, wymieniali ukłony i grzeczności. Grimm zdjął okulary, złożył je starannie, wsadził do czarnego jedwabnego woreczka i schował chybcikiem do wewnętrznej kieszeni surduta. Poklepał je czule, a potem wsunął na dłonie parę eleganckich, czarnych rękawiczek z posrebrzonymi palcami.

- Oni się znają! - powiedział Mariah, z daleka przyglądając się konwersacji. - Co robimy?

Sacza po chwili namysłu chwyciła go za rękę.

- Tędy - oznajmiła. - Jeżeli się pospieszymy, zostawimy ich z tyłu.

Opuścili wąski sklepowy zaułek i skręcili w szerszą ulicę, na której turkotały dorożki. Panował tam wielki ścisk, konie rżały, przepychając się jeden przy drugim. Sacza pociągnęła Mariaha i zbiegli w stronę portu. Rześka woń morza niosła się z wiatrem. Przed sobą widzieli wierzchołek hali targowej z powiewającą brytyjską flagą.

- To już niedaleko - rzekła zdyszana Sacza, uśmiechając się do Mariaha i odzyskując rezon.

Pięć minut później stanęli u wieży hali targowej. Przy wejściu kolumna z jaskrawożółtego piaskowca wznosiła się ku błękitowi roz pogodzonego nieba. Obok, w usmolonych oknach, widniało ogłoszenie o najnowszej wyprzedaży towarów i wszelkich innych rzeczy ocalałych z wraku statku, który niedawno się rozbił.

Jaskrawoniebieskie drzwi do hali były zamknięte. Przez chwilę stali pod rzygaczem w formie zwiniętego jaszczura i spoglądali na siebie bez pomysłu. Sacza popchnęła drewniane drzwi oraz biegnącą w poprzek wielką żelazną poręcz. Otwarły się niespodzianie i oboje wpadli do środka, staczając się po czterech wytartych stopniach na kamienną posadzkę.

Przed nimi, w półmroku rozjaśnionym blaskiem świec, rozpościerał się ogromny, bogaty bazar. Jedyne cienie pochodziły od łagodnego światła z głębi hali. Sacza ostrożnie ruszyła przodem.

Na końcu korytarza pełnego pozamykanych sklepów Mariah dojrzał nagle światło w grubej szybie witryny. Po bokach ciągnęły się w dwóch rzędach łukowate wejścia z zasłonami z koralików, a nad każdym z nich wisiały znaki rzemiosła.

Nad ich głowami kołysała się bezszelestnie wielka dłoń o połączonych konturach. Mariah przeczytał szyld przy drzwiach: Wielki Plagiarus - Chiromanta i frenolog Pokaż mi swą czaszkę, a przepowiem ci przyszłość - Płatność z góry. Poniżej na szybie ktoś napisał dziecięcą kredką: Zamknięte z powodu nieprzewidzianych okoliczności.

Mariah pomyślał, że jego życie to właśnie pasmo nieprzewidzianych okoliczności i bezustanna udręka. Stopy zaciążyły mu ołowiem, kolana skamieniały, jakby nagle uszło z nich życie. Całym sercem zapragnął oddać się w ręce Grimma i Grendela. Zupełnie tak, jak gdyby horyzont zaciągnął się ciemną chmurą, która przesłoniła słońce, a dzień zmienił się w noc. W jednej chwili opuściła go cała nadzieja, zasępił się nad własnym losem i żałował, że nie może skorzystać z usług Plagiarusa.

- Dobrze by było wejrzeć w przyszłość - powiedział do Sączy, razem z nią wpatrując się w okna mijanych sklepów. - Szkoda, że nie zapytaliśmy Pandzandrum, co się nam przydarzy, zamiast się tylko gapić jak na przedstawienie w cyrku. Co za marnotrawstwo. - Z jego cichych słów przemawiało przygnębienie.

Sacza próbowała się uśmiechnąć, lecz w głębi serca wiedziała, że Grimm i Grendel nie mogą być daleko. Grimm z pewnością założy swoje okulary, zobaczy ich ukryte ślady i pójdzie za nimi wszędzie jak wierny pies.

W dalekim kącie podcieni widać było pomalowany jaskrawymi kolorami front Zamorskiej Faktorii Quadlibetta. Bogate towary wystawione w witrynie jakby świeciły w gęstym półmroku. Każda puszka, butelka czy torebka aż się prosiła, by ją zakupić. Mariah patrzył jak zahipnotyzowany na piramidę słoików z najprzeróżniejszymi pysznościami. Poczł drgnienie w żołądku, a do ust napłynęła mu ślina. Nigdy w życiu nie widział takiej ilości tak ponętnych produktów.

W cieniu stał mężczyzna w kapelusiku z frędzlami i spoglądał zza kobaltowych

okularów mocno osadzonych na nosie. Ubrany był w schludny czarny garnitur i fular z najlepszych złotych nici z wyszytymi fioletowymi smokami. Biała koszula ze sztywnym kołnierzykiem opinała mu szyję, a spod rękawów wystawały mankiety. Uwagę Mariaha przykuło jednak przede wszystkim lśnienie pięknego pierścienia ze szmaragdem. Mężczyzna grzecznie chrząknął, a gdy zaskoczona Sacza się odwróciła, zaśmiał się do niej.

- Gdzie się podziewałaś tak długo? - zapytał, bawiąc się pierścieniem na palcu. - Spodziewałem się ciebie znacznie wcześniej. - Wyciągnął dłoń w przyjaznym geście. - A to kto?

Sacza obejrzała się na Mariaha i przez chwilę milczała.

- To jest Mariah z Londynu. Ze Szkoły Kolonialnej. Pracuje ze mną w Regencie.

- Jak Feliks - zauważył Quadlibett, obracając szmaragdowy pierścień wokół palca. - Nazywam się Quadlibett, jestem właścicielem i opiekunem tego pasażu. Co prawda nie wszyscy moi najemcy spełnili pokładane w nich oczekiwania. Ale można tu kupić rzeczy ze wszystkich stron szerokiego świata. Opaski od Indian z obu Ameryk, najlepsze zioła z Tybetu i każdy artykuł odzieżowy, jakiego dusza zapagnie. A w moich skromnych podwojach - najpyszniejszą czekoladę znaną ludzkości.

- Mamy kłopoty, panie Quadlibett - bąknęła Sacza.

- Przecież ty zawsze masz kłopoty! - odparł beztrósco Quadlibett, jakby chciał odłożyć tę sprawę na później. Zaprowadził ich do wejścia, wyjął z kieszeni jasny mosiężny klucz, włożył do zamka towary wystawione w witrynie jakby świeciły w gęstym półmroku. Każda puszka, butelka czy torebka aż się prosiła, by ją zakupić. Mariah patrzył jak zahipnotyzowany na piramidę słoików z najprzeróżniejszymi pysznościami. Poczul drgnienie w żołądku, a do ust napłynęła mu ślina. Nigdy w życiu nie widział takiej ilości tak ponętnych produktów.

W cieniu stał mężczyzna w kapelusiku z frędzlami i spoglądał zza kobaltowych okularów mocno osadzonych na nosie. Ubrany był w schludny czarny garnitur i fular z najlepszych złotych nici z wyszytymi fioletowymi smokami. Biała koszula ze sztywnym kołnierzykiem opinała mu szyję, a spod rękawów wystawały mankiety. Uwagę Mariaha przykuło jednak przede wszystkim lśnienie pięknego pierścienia ze szmaragdem. Mężczyzna grzecznie chrząknął, a gdy zaskoczona Sacza się odwróciła, zaśmiał się do niej.

- Gdzie się podziewałaś tak długo? - zapytał, bawiąc się pierścieniem na palcu. - Spodziewałem się ciebie znacznie wcześniej. - Wyciągnął dłoń w przyjaznym geście. - A to ktę?

Sacza obejrzała się na Mariaha i przez chwilę milczała.

- To jest Mariah z Londynu. Ze Szkoły Kolonialnej. Pracuje ze mną w Regencie.

- Jak Feliks - zauważył Quadlibett, obracając szmaragdowy pierścień wokół palca. - Nazywam się Quadlibett, jestem właścicielem i opiekunem tego pasażu. Co prawda nie wszyscy moi najemcy spełnili pokładane w nich oczekiwania. Ale można tu kupić rzeczy ze wszystkich stron szerokiego świata. Opaski od Indian z obu Ameryk, najlepsze zioła z Tybetu i każdy artykuł odzieżowy, jakiego dusza zapragnie. A w moich skromnych podwojach - najpyszniejszą czekoladę znaną ludzkości.

- Mamy kłopoty, panie Quadlibett - bąknęła Sacza.

- Przecież ty zawsze masz kłopoty! - odparł beztrąsko Quadlibett, jakby chciał odłożyć tę sprawę na później. Zaprowadził ich do wejścia, wyjął z kieszeni jasny mosiężny klucz, włożył do zamka i szybko przekręcił. Kiedy otworzył drzwi, Mariah zaniemówił. Jego oczom ukazał się najbardziej rajski widok, jaki można sobie wyobrazić, a którego nie dojrzał z ulicy przez bogato udekorowaną witrynę. Oto rozciągały się przed nim długie półki zastawione puszkami ciastek, pudełkami słodczy i paczkami najcudowniejszych delicji, jakie w życiu widział. Na widok tych łakoci głód skręcił mu kiszki. Chłopiec zaśmiał się cicho, jakby trafił do raju. Pan Quadlibett popukał się w nos i mrugnął porozumiewawczo.

- Domyślam się, chłopcze, że doznajesz tego samego uczucia, co każdy, kto wchodzi do tego sklepu. Ludzie od progu pożerają wszystko wzrokiem, widzę to w ich oczach!

Chłopiec westchnął.

- Przepraszam pana. Moje oczy mnie zdradziły. Ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego!

- W takim razie częstuj się - odparł mężczyzna. - Wybierz, co tylko zechcesz. Wskaż dowolne pudełko i skosztuj zawartości. Niech to będzie pyszna niespodzianka.

Mariah błędził wzrokiem po puszkach. W jasnym blasku lampy lśniły tysiącem barw: zielenią, błękitem, czernią, turkusem, głęboką czerwienią i szkarłatem, który nieomalże palił oczy. Na etykietkach roilo się od niezwykłych, zagadkowych nazw. Miętówki Balonowe Galaktusa, Czekolada Caruso - wszystkie rodzaje słodczy w zasięgu ręki. Długo nie mógł się zdecydować, jego dłoń wędrowała tam i z powrotem, aż wreszcie dokonał wyboru.

- Wezmę tylko jedną!

Wskazał blaszaną puszkę w kształcie rzędu książek, oznaczoną jako Magiczny Rarytas Madisona.

Mariah tylko raz w życiu widział podobną puszkę. Pewna cierpiąca matka przysłała ją do Szkoły Kolonialnej - był to dar przebłagalny dla porzuconego syna. Zanim chłopiec ośmielił się otworzyć wieko, przez wiele dni napawał się samym tylko widokiem i dotykiem

kosztownego podarku.

Mariah wiedział, że w środku czeka najwspanialszy, najpyszniejszy i najbardziej kolorowy smakołyk, o jakim młody człowiek może zamarzyć. Już samo trzymanie w ręce Magicznego Rarytasu Madisona było rozkoszą nad rozkosze. Mariah świetnie pamiętał tamten dzień. Stał w gronie kilku kolegów i czekał, aż chłopiec otworzy złote opakowanie i pozwoli mu zajrzeć do środka. Ten chwycił palcami złote krawędzie i delikatnie podniósł blaszane wieko z obu stron. Właśnie w tamtej chwili Mariah po raz pierwszy w życiu zobaczył na własne oczy Magiczny Rarytas Madisona: obtoczony w cukrze i mączce jęczmiennej, skropiony wyborną gorzką czekoladą. Chłopiec wziął go do ręki, zamknął oczy jak do modlitwy, a potem jednym szybkim ruchem wepchnął sobie cały smakołyk do ust.

Pozostali chłopcy do tej pory żywili płonną nadzieję, że to słodkie marzenie stanie się również ich udziałem. Lecz teraz westchnęli ciężko, patrząc na kolegę, a ten mlaskał i ociekał ciemną śliną, która skapywała na podłogę u jego stóp. Jedyne ślad po tym, co się tam wydarzyło.

Dla Mariah był to swoisty sakrament, uświęcona chwila podobna do tych, jakich dostępują ludzie za pośrednictwem księży - tyle że ani Mariah, ani jego koledzy nie zostali do niej dopuszczeni. Samotny szczęśliwiec wolno, niezgrabnie, kawałek po kawałku przeżuwał cudowny przysmak, chichocząc sam do siebie. Zawiedzeni przyjaciele odwrócili się od niego i już nigdy nie zamienili z nim choćby słowa.

Tym razem szczęście uśmiechnęło się do Mariah. Otwarta dłoń pana Quadlibetta sięgała w stronę półki, w miejsce wskazane przez chłopca.

- Dobry wybór, młodzieńcze. Bardzo dobry. Wybrałeś najdroższy przysmak ze wszystkich. Niech to będzie prezent ode mnie. - Mężczyzna zdjął puszkę z półki i odemknąwszy blaszane wieko, podetknął ją Mariahowi.

Chłopiec natychmiast zanurzył w niej dłoń i chwycił czekoladkę palcami. Pospiesznie odwinął ją ze złotego papierka, który odpadł niczym martwa skóra jaszczurki. Obejrzał smakołyk i - podobnie jak kiedyś jego kolega ze Szkoły Kolonialnej - nie czekał na słowa zachęty. Wepchnął czekoladkę głęboko do ust, chrupiąc, wzdychając i znowu chrupiąc. Przysiadł na stoliku w kącie sklepu i zajadał, aż mu się uszy trzęsły. Chciał się uśmiechnąć do Quadlibetta z wdzięcznością, lecz w efekcie tylko pobrudził się czekoladową śliną.

Kiedy Mariah rozglądał się po Zamorskiej Faktorii, Quadlibett wziął Sączę na stronę.

- Kłopoty? - spytał szeptem. - Masz na myśli prawdziwe kłopoty, od których sama się nie uwolnisz?

Sacza spojrzała mu w oczy, a potem w kierunku ciemnych arkad.

- Jesteśmy śledzeni - odparła niespokojnie. - W Regencie dzieją się dziwne rzeczy.

- A twój przyjaciel Mariah? Jaka jest jego rola w tym wszystkim? - dociekał Quadlibett, patrząc na chłopca, który wciąż chrupał pyszną czekoladę.

- Tu nie chodzi o niego, tylko o Feliksa.

- O Feliksa? Pamiętam go bardzo dobrze! Czy aby nie wybrał tych samych czekoladek co Mariah?

- Zgadza się - przytaknęła Sacza. Była wyraźnie zaniepokojona. Podrapała się po skroni i zaczęła owijać kosmyk włosów wokół palców. - Stało się coś niedobrego. Feliks zniknął, przepadł bez wieści. Myśleliśmy, że nie żyje albo uciekł, ale okazało się, że ciągle jest w hotelu.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł pan Quadlibett, wyglądając przez próg na zewnątrz.

- O takich rzeczach lepiej rozmawiać za zamkniętymi drzwiami.

Sięgnął - do klamki i zamknął drzwi. Przekręcił wyjęty z kieszeni klucz w mosiężnym zamku, po czym zasunął dwa rygle. Obrócił się twarzą do lampy naftowej i zmniejszył płomień.

- Usiądźmy. Opowiedzcie mi wszystko, co widzieliście, a może zdołam jakoś wam pomóc.

Mariah, który wciąż miał usta pełne czekolady, próbował wysłowić się wzrokiem. Sacza go wyręczyła. Szybko i niecierpliwie zdała Quadlibettowi sprawę z ostatnich wydarzeń.

Niefortunna tragifarsa

Pan Quadlibett rozpiął surdut i złapał się za szelki. Przyjrzał się badawczo Mariahowi, po czym uśmiechnął się lekko i zaczął dłubać w zębach starannie przyciętymi paznokciami.

- Widzę po tobie, że jesteś skrytym młodzieńcem - odezwał się, częstując go jeszcze jedną czekoladką.

Mariah wyciągnął ją z pudełka i prędko schował do kieszeni.

- Na później! - powiedział z nadzieją, że sklepikarz się nie rozmyśli i mu jej nie zabierze.

- Zawsze warto być zapobiegliwym - przytaknął Quadlibett z uśmiechem zadowolenia na twarzy. - Dziwią mnie ludzie, którzy nie myślą przewidująco. Ja, wychodząc z domu, zawsze zabieram ze sobą torbę z jedzeniem. Ale nigdy nie pakuję do niej rzeczy, które od razu bym spałaszował. Najlepiej brać to, co nam smakuje umiarkowanie. Ulubione przysmaki znikają, zanim człowiek ujdzie parę kroków. - Spojrzał na Mariaha i wręczył mu jeszcze jedną czekoladkę. - Nigdy nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się okazja, żeby coś zjeść. Na

dobrą sprawę powinienem też nosić ubranie na zmianę, zapasowy kapelusz, kalosze i testament - nie chciałbym, żeby buszowano po moim domu, w razie gdybym umarł na ulicy. - Zacerpnął w końcu tchu i powietrze zaświstało mu między zębami. - A zatem, gdybyśmy chcieli być zawsze przezorni, należałoby nosić sakwę - co ja mówię! - prowadzać za sobą osła, który by nam dźwigał przeróżne rzeczy na wszelką życiową ewentualność. Lecz mimo to codziennie wyruszamy na spotkanie losu z samą tylko chusteczką i tabakierką. Oto właśnie kondycja ludzka, mój chłopcze. Nie czynimy żadnych przygotowań, za to robimy wiele hałasu, gdy nas spotyka przykra niespodzianka. - Quadlibett wyjął kolejną czekoladkę i wcisnął w dłoń chłopca. - Bądź mądrzejszy niż reszta ludzkości. Bierz na zapas i zawsze miej cukierek w kieszeni.

- Ile jestem panu winien? - spytał podejrzliwie Mariah.

- Ani pensa, mój chłopcze. Pomyśl o tym jak o zachciance

- mojej zachciance. A teraz bądź tak dobry i wyjaw mi sekret, który widzę w twoich oczach. W naszym gronie nie ma miejsca na tajemnice. Powiedz mi, co cię trapi.

Mariah zmierzył mężczyznę wzrokiem, lecz nie znalazł w nim żadnej skazy, oznaki zniecierpliwienia czy fałszu. Uśmiechnął się więc i zaczął opowiadać:

- Odkąd przyjechałem z Londynu, zdarzyło się wiele dziwnych rzeczy. Jeszcze w pociągu poznałem pewnego mężczyznę, który przedstawił się jako Isambard Black. Mówił, że czekają go zaplanowane trzymiesięczne wczasy w Hotelu Regent, ale wczoraj, tuż po śniadaniu, odkryłem, że przyjechał bez rezerwacji. Okłamał mnie, a przy tym odniosłem wrażenie, że dużo wie na mój temat.

- Może to zbieg okoliczności - odparł pan Quadlibett. - Do hotelu bez przerwy zjeżdżają nowi goście. Czy aby na pewno ten człowiek jakoś się wyróżnia?

- Dziwnie się zachowywał. Jechaliśmy razem w jednym przedziale. Zdradzał mi sekrety, opowiadał o różnych rzeczach. Wcześniej na stacji Kings Cross poznałem pewnego mężczyznę, przedstawił mi się jako Perfidny Albion i wręczył talię kart, prosząc, żebym je przechował, a potem wysłał mu pocztówkę do Hotelu Claridges. Napisałem do niego z Regenta. A dziś rano przed hotel zajęchali jacyś ludzie i wywlekli Albiona z powozu.

- Mariah patrzył na Quadlibetta wzrokiem osoby, która stała się częścią zawikłanej rozgrywki. - A dwóch innych mężczyzn, podających się za detektywów, chodzi za nami po mieście. Czy to może być przypadek?

- Jeden wysoki, drugi gruby i niski? - spytał Quadlibett, jak gdyby dobrze ich znał, a kiedy Sacza skinęła głową, dodał:

- Grimm i Grendel.

- Pan ich zna? - odezwała się Sacza.

- Ze słyszenia. Zdążyli sobie wyrobić opinię w miasteczku. Tutaj wszystko prędko się rozchodzi. Na przykład sprawa tego ciała znalezionego przy Trzech Marynarzach. Co ciekawe, dziś rano znaleziono je znowu, tym razem pod nowym mostem. Ludzie mówią, że to jakiś włóczęga potknął się i spadł. Ale ja pierwsze słyszę, żeby nieboszczycy rzucali się z mostów.

- Quadlibett mówił cicho, jakby sam do siebie. - Kraken wrócił... takie przynajmniej chodzą słuchy. A plaża paruje.

- Namyślał się przez chwilę. - Powinniśmy chyba porozmawiać z panem Charity. On będzie wiedział, jak postąpić. Doprawdy, dziwne spotykają was przygody.

Wtem rozległo się ostre pukanie do drzwi, od którego zabrzęczały szyby.

- Lepiej schowajcie się na zapleczu - rzekł Quadlibett do Sączy. - Jeżeli nasi goście okażą się natrętni, wiesz, którądy wyjść. Beczki i schody... - wymamrotał.

Drzwi zatrzeszczały jeszcze silniej niż poprzednio, ktoś zaczął w nie natarczywie walić.

- Grimm i Grendel? - Mariah cofnął się z jasno oświetlonego sklepu do ciemnego magazynu odgradzonego niebieską zasłoną.

- W każdym razie ktoś, kto bardzo chce z nami porozmawiać - odparł Quadlibett lekkim tonem, jakby wcale nie przejmował się tym, że za drzwiami może stać dwóch detektywów.

- Schowajcie się i nasłuchujcie. Jeżeli to rzeczywiście oni, skorzystajcie z drugiego wyjścia.

Sacza wciągnęła Mariaha w ciemność, zaciągnęła cienką zasłonę i zastawiła przejście niepozornym drewnianym regałem ze słoikami pełnymi łakoci.

Drzwi znów się zatrzęsły i doleciał zza nich wrzaskliwy głos, jak gdyby mewa przybrała ludzką postać.

- Quadlibut... panie Quadlibut. - W trajkoczącym głosie kobiety słychać było bulgotanie, jakby coś jej musowało w płucach. - Potrzebuję sznurka, panie Quadlibut! Tylko pan ma wystarczająco duży kłęb.

- Pani Sachavell, myślałem, że to koniec świata, a pani chodzi o zwykły sznurek? - odezwał się sklepikarz, wkładając klucz do zamka.

- Tak jest, sznurek, panie Quadlibut. Bez sznurka jestem zgubiona! - krzyczała, waląc w drzwi. - Klienci czekają, a jak ja mam zawijać dorsze? - wyrzuciła z siebie, nasuwając na uszy kapelusz z bardzo wydłużonym rondem.

Quadlibett powoli uchylił drzwi i ostrożnie wyjrzał przez szparę.

- No prędzej! - sarknęła kobieta, napierając na drzwi i wpychając się do środka. - Robi się już późno. - Ścisnęła w rękach owinięte rybie głowy i wąpzia, które nazywała filedami, a jej wzrok łapczywie krążył po całym wnętrzu sklepu w poszukiwaniu tematów do plotek. - Widzę, panie Quadlibut, że podjada pan własny towar? Zostawił pan złoty papierek. To nieładnie.

- Nazywam się Quadlibett, szanowna pani. Quadlibett - poprawił tęgą kobietę w niegdyś ładnej sukience kilkakrotnie poszerzanej do jej rosnących gabarytów. Pani Sachavell wtoczyła się do sklepu krokiem kury, która nie może znieść jajka. Odepchnęła Quadlibetta na bok i powędrowała pożądlivym wzrokiem po półkach.

- Nie mogę pracować bez sznurka - fuknęła, roztaczając po sklepie zapach nieświeżej ryby. - Ile zechce mi pan użyczyć?

- Dokładnie tyle, ile pozwoli wziąć bez zapłaty sumienie szanownej pani - odparł cierpliwie Quadlibett. Odszedł za ladę i po chwili wręczył jej kłęb szałowego sznurka wielkości strusiego jaja.

- Bez zapłaty, panie Kundlibut? Pan jest prawdziwym dżentelmenem, ale potrafię się odwdziżyć. Moje ryby są tak świeże, tak delikatne, że będzie pan wniebowzięty. Przyniosę panu co nieco po zamknięciu straganu - rzekła z czułością, wyskubując sobie włos z nosa, a następnie zmierzyła go wzrokiem i rzuciła na podłogę.

Na samą tylko myśl o skosztowaniu specjalów pani Sachavell sklepikarza przebiegł zimny dreszcz. Jej „świeże” ryby roztaczały woń po całym sklepie. Pani Sachavell bez wahania chwyciła centymetr i zgodnie z radą wielkodusznego pana Quadlibetta zaczęła odmierzać tyle sznurka, ile sumienie pozwalało jej zabrać bez zapłaty.

Sacza przyglądała się wszystkiemu w szparze między regałem a ścianą, a tymczasem Mariah rozglądał się po magazynie, szukając drogi ucieczki. W półmroku spostrzegł, że tutaj półki nie uginały się od słodyczy, lecz od skrzynek z winem, tytoniem i butlami dżinu. Wszystko pokrywała jakby warstewka kurzu, po bliższych oględzinach okazało się jednak, że są to szkielety drobniutkich stworzeń: jedne starte na proszek, inne w skorupach albo w różnych stadiach suchego rozkładu. Mariah podszedł z powrotem do Sączy.

- To przemytnik. Trzyma tu pełno dżinu - powiedział szeptem, który rozszedł się po sklepie.

- Słyszał pan? - odezwała się pani Sachavell, drapiąc się po kroście na czubku nosa i rzucając niespokojne spojrzenia na boki.

- Co takiego? - spytał Quadlibett z kamienną twarzą, zagryzając wargę, na którą

zakradał się uśmiech. - Słyszę jedynie szmer pani sumienia.

- Głosy - odparła z przejęciem. - Ktoś mnie nazwał przemytnikiem. Słyszałam wyraźnie, jakby stał za moimi plecami i wiedział o moim... - Pani Sachavell w porę ugryzła się w język, przyszło jej bowiem do głowy, że ów ktoś mógłby usłyszeć jej słowa i użyć ich przeciwko niej.

- Ciszej, bo nas usłyszysz - powiedziała Sacza, nie zdając sobie sprawy, że cieniutka zasłona nie stłumi nawet najbardziej konspiratorskiego szeptu.

- Jakby o czym wiedział, szanowna pani? O ile ten głos rzeczywiście mówił do pani...
- spytał powątpiewająco Quadlibett.

- Nic takiego, panie...? - Kobieta urwała. W natłoku myśli spowodowanym oskarżeniem o przemyt nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. - Ostatnio często słyszę głosy, zwłaszcza kiedy jestem sama. Pierwszy raz przytrafia mi się to w czyjejś obecności, a co gorsza, tylko ja je słyszałam.

- Czy te głosy są bardzo rozmowne? - spytał mężczyzna.

- Często budzą mnie ze snu i każą robić różne rzeczy, które nie przystoją kobiecie w moim wieku.

- Ani w żadnym innym wieku, jak mniemam - odparł Quadlibett, a tymczasem przekupka już prawie do szczętu ogołociła kłęb.

- Każą mi tańczyć... wyjść na ulicę i tańczyć w strugach deszczu. Ale ja nie mogę. Czyraki, panie... gniotą mi stopy, ledwie się w butach mieszczę - tłumaczyła, zadzierając spódnicę i pokazując Quadlibettowi toporne, marynarskie kalosze obcięte w kostce. - No i strasznie pieką - dodała. Odmierzyła jeszcze jeden metr sznurka, krzywiąc się i marszcząc usta w kształt suszonej śliwki.

- Czy pani sumienie wzięło już dosyć? - spytał sklepikarz.

Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył pan Grimm.

- Co to za sklep? - spytał zniecierpliwionym tonem.

- Zamorska Faktoria Kundlibuta - odburknęła pani Sachavell, choć w duszy ucieszyła się, że tym razem obcy głos przyoblekł się w ciało.

- Pani nazywa się Kundlibut? - zwrócił się do niej Grimm, zdejmując z twarzy czarodziejskie okulary i chowając je do kieszeni. - A pan czym się zajmuje? - spytał Quadlibetta, zanim pani Sachavell zdążyła odpowiedzieć.

- Aktualnie pomiarem kobiecego sumienia - odparł sklepikarz, zabierając przekupce miarkę i wyciągając ją w stronę Grimma niczym nauczycielską linijkę. - W tej chwili mierzy ono dwadzieścia pięć metrów.

- Sprawy sumienia mnie nie dotyczą, Bogu dzięki - rzekł Grimm. - Powiedzcie no mi oboje, czy nie kręcił się tu w okolicy żaden chłopak z dziewczyną? Zwłaszcza tacy, którym było spieszno.

Nim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, do sklepu wszedł Grendel, schylając głowę w progu, by nie zahaczyć o futrynę. Przecisnął się obok pani Sachavell i wciągając powietrze nosem, uchylił kapelusza, po czym wyszczerzył w uśmiechu szereg równych złotych zębów.

- Nie czuję ich tutaj, Grimmie. Jesteś pewien, że ślad prowadzi do tego miejsca?

- Pod same drzwi - sarknął Grimm. - Jak amen w pacierzu.

- W takim razie muszą gdzieś tu być - mruknął nonszalancko Grendel, a potem uniósł niezliczone halki pani Sachavell i przyjrzał się obszernej odzieży spodniej, którą miała na sobie.

- Tutaj ich nie ma - zachichotał, nie odrywając wzroku od pantalonów z różową koronką.

- I nie będzie - odfuknęła pani Sachavell i otrząsnęła się jak stara kura. - Co z pana za dżentelmen?

- Taki, który nie daje się zwieść z tropu, gdy na drodze stają mu falbany starej wiedzy - wtrącił się Grimm, chcąc uciąć dyskusję i wrócić do pracy. - Oni tu są, Grendelu, jestem o tym zupełnie przekonany. Nie daj się oszukać... sine die, sine die...

- Zapewniam panów, że nie będziemy wam utrudniać poszukiwań, rzecz w tym, że powinniście je kontynuować gdzie indziej. Owszem, zajrzało tu dwoje dzieci, ale już sobie poszły. Wspominały coś o pociągu do Londynu i o hotelu, jeżeli dobrze usłyszałem - rzekł Quadlibett i spojrzał na panią Sachavell.

- Miła pani, coś mi mówi, że miara pani sumienia już się przebrała. Jestem pewien, że przed straganem czeka kolejka ludzi żądnych świeżej ryby.

Pani Sachavell nie bez rozbawienia przyglądała się Grendelowi, który myszkował w jej halkach. Co prawda nie była pewna, czy nadal szuka tam zaginionych dzieci, czy też zawładnął nim jakiś inny kaprys.

- Lepiej już pójdę - oznajmiła z powagą. - Ale przyjdę później z kawałkami dorsza. Dorsz ryba niezgorsza, a ostatnio jest bezrybie, bo Kraken znów grasuje - świergotała, owijając sznurek wokół dłoni, po czym wyszła ze sklepu, ciągnąc go za sobą po ziemi. - Wiedźma? - rzuciła na odchodnym. - Phi. Grendel zamknął drzwi i przekreślił klucz w zamku, a Grimm włożył na nos magiczne okulary i zaczął się rozglądać po sklepie.

- Nie bawi się pan z nami w kotka i myszkę, panie Quadlibett? - spytał Grimm, podnosząc wzrok.

- Powtórzyłem panom to, co słyszałem już nie raz. Wielu chłopców przychodzi do mojego sklepu i opowiada różne rzeczy. Dziś było podobnie.

Grimm przyglądał się każdej desce w podłodze.

- Z całą pewnością byli tutaj. Widzę ich ślady, jeszcze ciepłe. Są gdzieś blisko. Bardzo blisko.

- W takim razie ma pan lepszy wzrok niż większość mężczyzn w pana wieku. Jeżeli o mnie chodzi, dostrzegam tylko ślady myszy, która mieszka w moim starym fotelu - mruknął Quadlibett.

- Nie każdy ma takie okulary - zauważył Grimm, przysuwając soczewki bliżej oczu. - I nie każdy widzi to, co ja.

Quadlibett odwrócił się energicznie, wszedł na małą drabinkę i zdjął z najwyższej półki wielką puszkę oranżady w proszku.

- Mam coś dla panów na drogę.

Obrócił się do nich i niby niechcący ześliznął się ze szczebla, udając okrzyk zaskoczenia i otwierając wieko puszek.

Bieluteńki proszek wystrzelił w górę i rozsypał się kaskadą po całym pomieszczeniu. Osiadł cienką, lepką warstwą na Grimmie oraz Grendelu i zakłębił się jasno w blasku lampy. Grim splunął ze złością, gdyż proszek zakrył świecące ślady stóp. Quadlibett, wstając, rozmyślnie wysypał jeszcze więcej oranżady na podłogę i na powalane spodnie Grimma.

- Głupiec... szelma... podlec... imbecyl... Syzyf! - wykrzykiwał Grimm oprószony białym proszkiem jak zimowy dach śniegiem. - Jak ja mam pracować w takich warunkach? - zajączał, podczas gdy Grendel zgarnął kwaśny proszek z rękawa i oblizał palce.

- Zawsze lubiłem szербet - wymlaskał i schylił się, by nabrać garść słodkiego proszku do kieszeni.

- Panowie, co za niefortunna tragifarsa. Absolutna frenezja! Jak mogę panów udobruchać? - rzekł Quadlibett tonem wielkiej skruchy. Jednocześnie przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i jednym ruchem wyprowadził gości ze sklepu, zanim zrozumieli, co się dzieje.

- Którym pociągami? - spytał Grendel, lecz drzwi zamknęły mu się przed nosem i ponownie zazgrzytał w nich klucz.

- Wywiedziono nas w pole. Nie ma żadnego pociągu, a ten człowiek wie więcej, niż jest skłonny wyjawić - powiedział Grimm gniewnym głosem.

- My zaś jesteśmy po złej stronie drzwi - zauważył Grendel, otrzepując surdut i wycierając proszek z pociągniętego nosa.

- Wobec tego poczekamy. Nie sędę, aby istniało drugie wyjście ze sklepu. To miejsce jest jak zamek z okratowaną bramą - rzekł Grimm i strzepnął sypki przysmak z jedwabnego cylindra.

Quadlibett uśmiechnął się do siebie, zamknawszy drzwi na dwa rygle i przyćmiwszy światło. Zaciągając zasłony w oknach, widział, jak Grimm i Grendel znikają w mroku arkad.

Odwrócił się i przemierzył sklep, stąpając po rozsypanym proszku. Potarł dłonie w geście zadowolenia.

- To była wzorowa robota! - powiedział głośno. - Możecie wyjść, droga wolna. Pani Sachavell okradła mnie-2 całego zapasu sznurka, a Grimm i Grendel unurzali się w proszkowanej oranżadzie.

Odpowiedziała mu cisza. Spod lady w dalekim kącie sklepu dobiegło szurzenie chrobotanie. Pan Quadlibett uchylił zasłonkę w przejściu i odsunął regał na miejsce. Postąpiwszy trzy kroki w głąb magazynu, dosunął skrzynkę dzinu z powrotem do drzwiczek w ścianie. Potem sięgnął po stary słoik, posypał deski gęstym, srebrnym pyłem i zdmuchnął go w kąt.

- Gotowe... pył to pył, ni mniej, ni więcej. Z prochu powstaliśmy i w proch się obrócimy, a wtedy ktoś będzie nas nosił pod podeszwą buta - powiedział Quadlibett sam do siebie z satysfakcją. - Jak gdyby nigdy ich tu nie było.

Charadrius

Kanał cuchnął jak kostnica w upalny letni dzień. Biegł kręto i stromo w kierunku portu. Sacza niosła niewielką lampę, którą wzięła z półki magazynu pana Quadlibetta. Świecąc sobie pod nogi, widziała ogromne, brązowe szczury, jak pierzchają na wszystkie strony przed jej chlupoczącym krokiem. Mariah szedł z tyłu, zatykając nos i starając się nie zwymiotować żabich nówek skaczących mu teraz w żołądku, który przewracał się od ściekowej woni. Próbował nie dotykać ścian tunelu, lecz nadaremnie. Ociekały zielonym śluzem, który przybierał kształt błyszczących stalaktytów zwisających małymi skupiskami ze stropu. Co jakiś czas mijali ciemny wyłom w ścianie wypełniony skrzynkami i beczkami. Każda baryłka była naznaczona węglem, na każdej widniała sylwetka ptaszka z głową zwróconą ku księżycowi w pełni. Jedne stały przykryte grubymi derkami, inne, ściśnięte jedna przy drugiej, kołysały się na boku w ściekowej wodzie, która zbierała się za tamą z cegieł.

Sacza brnęła przed siebie, nie zważając na to, co wałało jej się pod nogami. Stawiała stopy śmiało i pewnie, trzymając się suchego gruntu, podczas gdy Mariah brodził w

nieczystościach. Doszli do miejsca, gdzie zawalił się strop, zapewne podmyty w czasie jakiegoś gwałtownego sztormu, który wypłukał do morza wszystkie szczury i skorupiaki. Teraz, po kilku miesiącach, szczury znów się tutaj rozpanoszyły, a Mariah i Sacza stanęli przed zarwanym stropem i rozsypaną zawartością krypty Grobu Pańskiego.

Ze stropu zwisała otwarta, czarna trumna, niczym fotel w Operze Królewskiej. Odłamany kawałek drewna tkwił w ziemi. Sacza w milczeniu poświeciła lampą i przeszła dalej, ani razu się nie oglądając.

Mijając trumnę, Mariah patrzył na postać zmarłego. Zimny dreszcz zjeżył mu włosy na karku i na chwilę ożywił żabie nogi w żołądku. Znowu poczuł ich smak, podskakiwały mu do gardła i paliły go jak żółć.

- Miło cię widzieć - przemówił do zwłok, jakby chcąc oswoić własny strach przed śmiercią i dodać sobie otuchy. Obrośnięte pajęczynami ciało przyglądało mu się znad opadłej szczęki i porozczepianych kości.

Sacza położyła palec na ustach i wskazała rząd metalowych kratek. Po twarzy Mariaha przemknął cień rzucany przez gasnące światło dnia.

- Ulica Książęca, skrzyżowanie z Pagórkową - szepnęła. Jej słowa poniosły się echem po tunelu. - Niedługo dojdziemy do portu.

-1 co wtedy?

- Znajdziemy kapitana Charity i pójdziemy uwolnić Feliksa.

- Wymawiasz jego imię tak, jakby to był twój narzeczony - zauważył Mariah, spoglądając na swoje brudne buty.

- To przyjaciel - ofuknęła go Sacza. - Na co komu narzeczony? Wolę rzucać kamienie w morskie fale, niż chodzić z kimś za rękę i się obściskować. - Dziewczyna uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu godzin. W blasku lampy ten uśmiech wydał się szczególnie promienny, jakby na jej twarzy zagościła radość i nadzieja. Sacza spojrzała na Mariaha.

- Wierzysz w siebie?

- Nie jestem pewien, co masz na myśli.

- Wierzysz, że wybrniemy z tego wszystkiego?

Mariah nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Myśli kotłowały mu się w głowie. Przed oczyma stanął mu Otto Luger, figury woskowe, Grimm i Grendel, wreszcie martwe ciało wpatrujące się w niego pustym wzrokiem. Każdy z tych obrazów napełniał go nieszczęściem. Umysł Mariaha pogrążał się na przemian w zamęcie i zgryzocie.

Sacza wyrwała go z ponurego zamyślenia.

- Musisz uwierzyć, inaczej nam się nie uda. Wszystko zależy od stanu duszy. Jak

zwieszysz głowę, to już jej nie podniesiesz i oboje skończymy w piachu.

- Gdyby życie było takie proste - wymamrotał Mariah, spoglądając w snop jasnego światła wpadającego przez kratkę studzienki ściekowej - to chętnie bym się pozbył tego worka zmartwień, który wszędzie ze sobą dźwigam.

- To jak, idziemy dalej? - Sacza szturchnęła go w ramię.

- Wyjaśnimy tę sprawę do końca i uwolnimy Feliksa i resztę?

- Nie żebym miał co innego do roboty.

- Mój dziadek powtarzał, że przetrwają tylko narody z wizją przyszłości. Mówił, że tak samo jest w życiu. Kto nie marzy o niczym, ten marnuje swoje życie. Jesteśmy jak trawa, jednego dnia świeża i zielona, a następnego wyschnięta i łatwopalna. Nie chcę, żeby moje życie tak wyglądało. - Sacza poczerwieniała z emocji. - Teraz wiele od nas zależy. Możemy ich uwolnić i zdemaskować Lugera...

- Chyba że złapią nas Grimm i Grendel i skończymy w lochach z ostrygami albo złapie nas Isambard Black i kto wie, co się z nami wtedy stanie - odrzekł Mariah z twarzą w promieniach słońca.

- Spróbuj zmienić swoje nastawienie, Mariah. Nie myśl o przyszłości ani o przeszłości. Żyjemy tu i teraz.

- Czyli w kanale - mruknął. - Uciekamy przed dwoma szaleńcami prosto w ręce trzeciego.

Daleko w głębi tunelu rozległ się głuchy łoskot. Wszystko jakby zadrżało. Trumna zwisająca ze stropu spadła do stojącej wody ściekowej i powoli popłynęła w ich stronę. Po chwili znów dał się słyszeć głuchy odgłos. Ktoś podnosił i upuszczał kolejne włazy. Powietrze w kanale wypełniało się kurzem i strzępami usmolonych pajęczyn.

- Grendelu, tutaj! - odezwał się głos Grimma, cichy i odległy. - Ślady parują. Widzę je wyraźnie. Musieli zejść do kanałów. Tędy!

Dwie ulice dalej Grendel uniósł inny czarny żelazny właz. Grimm poprawił okulary na nosie i obrócił pokrętkę, aż soczewki zaświeciły się błękitem. Wpatrywał się w coś, czego nikt inny nie byłby w stanie zobaczyć. Ze studzienki wydobywała się czerwona mgiełka zdradzająca obecność dzieci. Popatrzył w dal, poza wieżę kościoła Grobu Pańskiego, ku szeregowi domów przy brukowanym placu.

- Wyłaź, Grendelu - krzyknął, a jego głos rozszedł się echem w kanałach. - Są daleko przed nami, pod placem.

Grendel podniósł wzrok i podążył za spojrzeniem Grimma.

- Gdzie?

- Wystarczy, że ja ich widzę. Obok piwiarni. Prędko...

Jego słowa niosły się podziemnym tunelem niczym daleki głos z zaświatów.

- Znow wpadli na nasz trop, widzą nas - powiedział Mariah.

Sacza cofnęła się w cień, gdzie nie sięgało światło z góry.

- Będą nas śledzić ulicami. Możemy pierwsi dojść do portu i przedostać się plażą do tawerny pod Złotym Śledziem. Kapitan Jack ich stamtąd pogoni, musimy tylko opowiedzieć mu o wszystkim. - Ruszyła naprzód po cienkim ceglany gzymsie wzdłuż rzeki nieczystości, a następnie zeszła po wąskich schodkach pachnących zwietrzałym piwem.

- Pokażemy mu tę woskową dłoń - Mariah powlókł się w ciemnościach za Saczą, która pognęła z lampą do przodu. Spoglądał na kontury stropowych cegieł, myślał o setkach stóp, które każdego dnia stąpają po bruku, i przypomniał sobie biednego chłopca owiniętego cienkim kocem. Życie jest kruche i ulotne jak oddech... - Ale co z tego? - pomyślał na głos, wpychając woskową rękę głębiej za pazuchę. - Nie zmienię przeszłości.

- Już blisko - rzuciła Sacza przez ramię, gdy kanał zaczął rozbrzmiewać chłupotem fal.

- Jeszcze jedno zejście w dół i...

- Zatrzymała się na widok tunelu zanurzonego w czarnej wodzie. - Przyływ. Minie parę godzin, zanim będziemy mogli tędy przejść.

- Jest inna droga - odezwał się Mariah, wskazując tunel po drugiej stronie. Bulgoczący strumień brudnej wody przecinała cienka deska zaparta ceglami.

- To przejście do zamku. Nigdy tam nie wchodzimy, bo nie ma tam żadnych kryjówek.

- Musimy stąd uciec, zanim przyjdzie Grimm - nalegał Mariah.

- Ale nie tamtędy. Nie o tej porze.

- Nie mów, że strach cię obleciał.

- Mogę iść wszędzie, ale nie do góry... proszę.

- Dlaczego? Czy tam są duchy? A może to kolejna historyjka, którą przemytnicy straszą ciekawskich? - dopytywał Mariah.

- Nie chcesz, żebym zobaczył, co tam jest, bo mógłbym się przed kimś wygadać?

- Poczekajmy na odpływ i wtedy się wydostaniemy.

- A jeśli będą już na nas czekać i oskarżą nas, że okradliśmy Lugera? I jeszcze ten pistolet w mojej kieszeni! Od razu zakują nas w kajdany, nie zdążysz nawet zawołać tatusia.

- Co komu po broni, w której nie ma nabojów? - spytała Sacza.

- A ten twój wielki zwój banknotów?

- Możemy się wrócić - odparła. - Zakraść z powrotem do hali targowej.

- Wiesz co, Sacza? Miałem wizję... wtedy, kiedy szedłem po ciemku, a Grimm krzyczał nam nad głowami.

Pomyślałem o tysiącu ludzi tam, na górze, o ich codziennej bieżącej walki o chleb i ryby, Przez te wszystkie lata zamartwiałem się o moje życie. Wiem, że może się skończyć w każdej chwili. Ale w tym cuchnącym kanale, wśród szczurów i brudu, dotarło do mnie, że przecież to bez znaczenia. Życie... życie... to coś więcej niż chleb i bieganie za kłębkiem sznurka. Moi rodzice umarli. Postanowiłem, że dowiem się, jak to się stało, zanim sam opuszczę ten świat.

- Mariah ujął w dłonie twarz Sączy i dotknął jej delikatnej skóry. - Idę do zamku - powiedział, uśmiechając się do niej - i niech będzie, co ma być.

- W takim razie idę z tobą - odparła Sacza i razem przeszli po chybotałej desce.

Kiedy wspinali się po schodach biegnących wzdłuż suchego ścieku, do uszu Mariaha doleciało z oddali brzmienie pozytywki. Łowił wysokie dźwięki na tle chłopotu wody za plecami. Był to taki odgłos, jakby ktoś szarpał gruby drut metalowymi paznokciami. W miarę jak się zbliżali, dźwiękom tym zaczął towarzyszyć słaby, zawodzący głos, który rozlegał się po każdej wybrzmiewającej nucie.

- To stamtąd - Mariah wskazał wyrwę w ścianie. Wyglądała, jakby ktoś wyjął z niej cegły. - Przemysłowcy? - spytał podejrzliwie.

- Nie tutaj, nie o tej porze - odszepnęła Sacza, przyćmiewając lampę otwartą dłonią. - W ostatnich dniach nie było statków. Następny przyplywa jutro.

- W takim razie kto tam jest? - wymamrotał chłopiec, zbliżając się chyłkiem do krawędzi przejścia i usiłując zajrzeć w głąb.

W środku, przy blasku niedużego ogniska z potrzaskanych skrzynek, trzymając głowę w dłoniach, siedział Kraken. Co jakiś czas nakręcał korbę pozytywki i przyciskając ręce do oczu, nucił w kółko tę samą monotonną pieśń w jakimś niezrozumiałym narzeczu.

Mariah podszedł bliżej. Sacza, która chciała uciekać, ciągnęła go za poły surduta. Czuł jednak, że musi znów stanąć twarzą w twarz z tą dziwną istotą i że nie należy jej się obawiać. Zanurzył się w cieniu i wstąpił na stertę cegieł.

W tym momencie gruz obsunął mu się spod stóp i Mariah runął przed siebie, wpadając do kryjówki Krakena. Ten skoczył na nogi i wyciągnął w stronę chłopca nóż o trzech ostrzach.

- Nie! - krzyknął Mariah, wyciągając ręce przed siebie. - Nie chcemy cię skrzywdzić.

Kraken popatrzył na niego i opuścił broń, rozumiejąc nie tyle jego słowa, ile wyraz oczu. Zrobił krok do tyłu, wciągnął powietrze nosem i wskazał na tunel za plecami chłopca.

- On wie, że tam jesteś - powiedział Mariah do schowanej Sączy. - Możesz wyjść. Nie bój się.

Dziewczyna wynurzyła się z cienia. Kryjówka Krakena była sucha i ciepła, wyłożona perskimi dywanami oraz płatami eleganckich tkanin. Z sufitu zwieszała się srebrna klatka ze śnieżnobiałym ptakiem wielkości rybołowa. Migoczący srebrny kandelabr stał na orzechowym stole obok wyciętej z jednego kawałka dębu rzeźby okrętowej. Wyobrażała uśmiechniętą syrenę morską, która rozpościera różowe dłonie w geście powitania.

- Elwira... ta syrena to Elwira - odezwała się Sacza, zbliżając się do rzeźby. - Zniknęła jakiś czas temu z Trzech Marynarzy. Była tam przez lata i nagle przepadła bez śladu. Ukrywał ją tutaj przez cały ten czas. Spójrz na niego: to tylko żalosny starzec.

Dziewczyna popatrzyła z pogardą na Krakena z jego zgiętą szyją i wątłą posturą. Próbował się uśmiechnąć i zakasłał, przyciskając rękę do piersi.

- Jest chory albo nawet umierający - zauważył Mariah.

- A więc to jego wszyscy się boją? - dziwiła się Sacza. Kraken stał z wytrzeszczonymi oczyma, kosmyki włosów zwisały mu luźno po kostropatej skórze. - To wszystko bajki... Nie zrobiliby nam krzywdy, nawet gdyby chciał.

Kraken opadł powoli na niewielkie, obite skórą krzesło, na którym siedział. Potarł twarz splekanymi dłońmi, aż płatki wysuszonej przez sól skóry posypały się na podłogę. Otulił się ciaśniej płaszczem, jakby chroniąc się przed zimnem.

- Potrzebny mu lekarz - rzekł Mariah, podchodząc do chorego stworzenia. Podniósł z ziemi duży strzęp żagla i owinął nim kościste plecy Krakena.

- Mówią, że mordował ludzi - odezwała się Sacza.

- Nie sądzę, żeby to był on. Może i jest złodziejem, ale nie zabójcą.

Kraken popatrzył na chłopca i przemówił z wielkim trudem.

- Scratty - zachrypiął całkiem suchym głosem. - Scratty?

- Powiedział „Scratty”. Chyba chciałby tę lalkę - rzekł Mariah.

- Sądząc po tym, jak się tutaj urządził, chce wielu rzeczy - skwitowała Sacza. - Kradnie, co się da. Te dywany są ze statku, który miesiąc temu płynął do Francji. Tak samo jak ta pozytywka. Sama widziałam, jak ją wnoszono na pokład. Statek rozbił się o skały, nikt nie ocalał.

- Charadius... - Kraken znów przemówił słabym, wypalonym głosem. Pokazawszy Mariahowi zasuszone dłonie, uniósł je ku sinym, spierzchniętym ustom. Dźwignął się z krzesła i przez chwilę mocował się z malutkim zamkiem w drzwiczkach srebrnej klatki, nie mogąc obrócić klucza spuchniętymi palcami. Biały ptak siedział całkiem nieruchomo z głową

schowaną pod skrzydłem.

- Charadrius... - powtórzył Kraken, osuwając się na krzesło i chowając głowę w dłoniach. Słabnąc w duszy oraz na umyśle, spojrział na ptaka i wyciągnął ku niemu długi, trędowaty palec.

- Charadrius...

- Chce uwolnić ptaka - stwierdziła Sacza. - Nie może przekręcić klucza.

Mariah sięgnął zamka i obrócił klucz w dziurce. Drzwiczki otworzyły się same, a Kraken nakręcił pozytywkę, która zaczęła na nowo wygrywać swoją melodię, po czym osunął się na wytartym krześle, wspierając głowę na szerokim oparciu. Kołysał dłonią w rytmie muzyki z nadzieją, że ptak wyfrunie z klatki. On jednak wciąż siedział bez ruchu, aż wreszcie powoli wyprostował długą szyję w takt dźwięków pozytywki, jakby sam był częścią grającego mechanizmu.

Wyglądał teraz jak bieluteńki łabędź o skrzydłach orła i pazurach wielkiego rycyka. Mieniając się w blasku ognia, poruszył wolem i otworzył złote oczy. Utkwił wzrok w Mariahu i zaczął się przesuwając w stronę otwartych drzwiczek, wychylając długą szyję z klatki. Pióra najpierw skrzyły się biało, by potem w jednej chwili posrebrzeć jak płynna rtęć. Ptak popatrzył na Krakena, odwrócił głowę i zagapił się w sufit. Wreszcie poderwał się do lotu i zaczął fruwać w kółko nad ich głowami, pokrzykując. Następnie wylądował między Krakenem a ogniskiem, wbił wzrok w chorą istotę i potrząsnął piórami. Kraken spojrział na ptaka i złuszczone skóra odpadła mu z twarzy, wrzody na rękach zaczęły pękać, a paznokcie posypały się na podłogę.

- Charadrius...

Stare kości Krakena oblekły się nową skórą, a głowa porosła włosami.

- Ozdrawiał - szepnął Mariah. Patrzył, jak srebrne skrzydła Charadriusa starzeją się i tracą blask, a pióra wypadają z nich jedno za drugim i piętrzą się u jego stóp. - Ptak umiera.

- Umarł - powiedziała Sacza, gdy chwilę później Charadrius padł bez życia na skraj paleniska.

- On nie umiera... - wymamrotał Kraken. - On przynosi życie.

- Ty mówisz - zdziwił się Mariah, cofając o krok.

- Mówię, śmieję się, jem i robię wiele innych rzeczy - teraz, kiedy wstąpiło we mnie nowe życie. - Kraken uśmiechnął się do nich. - Czy jestem stary i godny pożałowania? - zwrócił się do Sacy.

Zawstydzona dziewczyna najpierw spuściła wzrok na ziemię, a potem odwróciła się twarzą do Mariaha.

- Sacza nie chciała cię urazić - odezwał się chłopiec,- podchodząc bliżej. - Ludzie mówią, że jesteś mordercą, który zabiera dzieci i zostawia w zamian pieniądze.

- Szukam Scratty. Nikogo nie zabiłem. Widziałem sprawcę tych zbrodni - zabija tylko w nocy, zawsze nożem o trzech ostrzach. Jestem Krakenem, a ten, którego szukacie, to człowiek, jak wy. Podpiera się laską ze srebrnym okuciem. - Kraken wstał, otworzył błoniaste dłonie i patrzył na swoją nową skórę.

- Charadrius był na okręcie, który się rozbił. Uratowałem go i trzymałem z myślą o Scratty, żeby ją ożywić... ale nie mogę jej nigdzie znaleźć. - Kraken podniósł ptaka z podłogi i umieścił na dnie srebrnej klatki.

- My wiemy, gdzie ona jest. Mieszka w Regencie - podchwyciła Sacza, próbując się uśmiechnąć. - Magik Basmala używa jej w swoich spektaklach.

- A czy jest z nim kobieta? - spytał Kraken. - Wysoka, chuda, elegancka, z pomalowaną twarzą?

- Monika! - wyrwało się z piersi Mariaha.

- Monieczka Karpowa. Więcej niż magiczka: czarodziejka... kapłanka... wiedźma morska. To ona zabrała moją Scratty i zamieniła ją w drewnianą kukielkę.

- W takim razie znajdziemy ją i przyniesiemy tutaj - oświadczyła Sacza, wyciągając rękę. Potem jednak się zawahała.

- Mamy pewien problem... Na razie nie możemy wrócić do hotelu, bo ściga nas człowiek, który widzi przez mury i potrafi nas wyśledzić nawet w kanałach.

- Musimy poprosić o pomoc człowieka nazwiskiem Charity. Tamtej nocy, kiedy za nami szedłeś, zobaczyłem cię w lustrze w jego restauracji obok portu. Musimy go teraz poszukać.

- Jestem istotą z morskich głębin. Nie mogę wychodzić na światło dzienne. Sami widzieliście, jak wyglądałem. Szukałem

Scratty o świcie i promienie słońca stopiły mi skórę. - Kraken myślał przez chwilę, wodząc oczyma po swej kryjówce.

- Pamiętam to miejsce, o którym mówicie. Można się tam dostać inną, ciemniejszą drogą.

Niepisane prawo

Przeczekali godzinę. Charadrius spoczywał w klatce z wiotką szyją owiniętą wokół ciała. Przy ogniu wciąż leżała garść piór. Rozmawiając z Mariahem i Sączą, Kraken podnosił i wrzucał po jednym w ogień ogrodzony równymi rzędami kamieni. Każde srebrne pióro po

zatknięciu z płomieniem skrzyło się jasno i bieląło w ogniu, tracąc czarny kolor, jaki przybrało w tej samej chwili, gdy Kraken ozdrowiał.

Mariah wypytywał Krakena o jego pochodzenie. Morski stwór śmiał się i płakał. W końcu popatrzył na swoje dłonie, wstał z krzesła, podszedł do ściany i spojrział w przechylone zwierciadło.

- Czyż nie jestem piękny? - zapytał z bezgłośnym śmiechem.

- Co innego, gdybym się takim urodził. Dziwne są koleje naszego losu.

- To znaczy, że nie zawsze tak wyglądałeś? - zdziwiła się Sacza.

- Gdybyście wiedzieli, przez co przeszedłem - odparł Kraken, gładząc długi płaszcz. -

Gdybyście tylko wiedzieli...

- A to wszystko? - Sacza rozejrzała się po bogatym wnętrzu.

- Czy sam zatapiasz statki, które okradasz?

- Ratuję z nich, co mogę, ale zatapianie zostawiam sztormom i wichurom, a także podstępnyim ludziom, którzy wysyłają mylące sygnały z klifów.

- Po co ktoś miałby rozbijać statki? - spytał Mariah.

- Zdziwiłbyś się, do czego człowiek potrafi się posunąć dla garści dukatów. Czyż nie mam racji, Saczo? - odrzekł Kraken.

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami i utkwiała wzrok w ziemi.

- Co to znaczy? - zwrócił się do niej Mariah.

- Pewnie nasłuchał się rozmów, których nie powinien był słyszeć - wymamrotała Sacza.

- Jestem tutaj dlatego, że kogoś szukam - odparł Kraken.

- Nie moja wina, że czasem dochodzą mnie pijackie knowania. Z radością powrócę do morskich głębin, w tym porcie śmierć zbytnio się panoszy.

- Ile osób zamordowano? - dopytywał Mariah.

- Jedenaście, może dwanaście - odrzekła Sacza. - Ludzie obwiniają Krakena. Zaczęło się, gdy on się pojawił. Widziano go, jak ucieka do wody.

- Widziałem sprawcę - zaprotestował Kraken. - Rozpoznałbym go bez trudu. Ale czy wy byście nie uciekali przed zgrają mężczyzn uzbrojonych w szable i pochodnie, gdybyście wyglądali jak ja? - spytał. Sacza milczała. - Zamieszkałem tutaj, bo chcę ją odnaleźć. Potem wrócimy tam, skąd przyszliśmy.

- Ale dlaczego wszyscy podejrzewają właśnie ciebie? - dociekał Mariah.

- Bo jestem inny, obcy. Łatwiej im wskazać na mnie, niż uwierzyć, że mógł to zrobić jeden z nich - odparł cicho Kraken.

- A kim ty właściwie jesteś? - spytała Sacza, mrużąc oczy i mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

- Kim tylko chcecie. Upiorem, krwiopijcą, widziadłem, które za wami chodzi, morskim potworem. Sami zdecydujcie i dopowiedzcie sobie jakąś historię. Czyż nie tak postępują ludzie? Jeżeli o mnie chodzi, wiem tylko, że jestem Krakenem.

- Stwór zamilkł i spojrział w ognisko. Odblask płomieni zamigotał w jego oczach. - Czasem nachodzi mnie dziwny sen, jakby pradawna myśl, i od razu znika. Jakby coś ważnego uleciało mi z pamięci. Może gdybym sobie przypomniał, wiedziałbym więcej na swój temat. - Kraken spojrział na Mariaha. - Kiedy znaleźliście Scratty?

- Ona sama nas znalazła. Zjawiła się u mnie w pokoju na ostatnim piętrze hotelu. Po prostu pojawiła się znikąd. Zostawiła nam klucz.

- A zatem życie jeszcze się w niej kołacze. - Kraken wstał i zaczął chodzić po grocie. W pewnej chwili popatrzył na strop i ruchem dłoni nakazał im ciszę. - Już czas - odezwał się. - Są blisko. - Wyjął Charadriusa z klatki, włożył pod pachę, tak że głowa ptaka zwieszała się bezwładnie u jego boku, po czym bez słowa opuścił kryjówkę.

Sacza podniosła lampę i ruszyła w jego ślady. Mariah oderwał wysoką świeczkę od stojaka i osłaniając ją od przeciągu, poszedł za nimi. Wkrótce znaleźli się z powrotem u wylotu tunelu i przeszli po desce. Kraken szedł przodem w ciemnościach. Kiedy się obracał, oczy płonęły mu jak ogień. W pewnym momencie stanął bokiem i wsunął się w wąskie przejście, którego nie zauważyli, uciekając z hali targowej. Począł na nich po drugiej stronie i pomógł Mariahowi wydostać się z ciasnej szpary.

- Wasi przyjaciele czekają na was przy wejściu do portu. Robią tyle hałasu, że zbudziliby nieboszczyka. Niedługo woda opadnie i zejda was szukać. Ale tutaj nic wam nie grozi.

- Oni widzą nasze ślady - wyjaśnił Mariah. - Tak jakby nasze stopy zostawiały atramentowe odciski.

- Być może, ale tędy nie przejdą, chyba że odetną sobie brzuchy i te swoje grube kupry. Zaprowadzę was do człowieka, którego szukacie, a potem wrócę tutaj i poczekam na nich.

- Kraken uśmiechnął się szeroko, wysuwając długi, zielony język i oblizując ostre, rybie zęby.

Przez następny kwadrans przemierzali labirynt coraz to węższych korytarzy. Wreszcie dotarli do długiej metalowej drabiny w cementowanej w ceglana ścianę. Kraken wpełznął

Charadriusa za pazuchę i prędko wspiął się po szczeblach. Sacza zostawiła lampę i

ruszyła za nim. Wnet znaleźli się pod kratką ściekową, zza której dolatywały krzyki mew.

- Jesteśmy blisko miejsca, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy - Kraken zwrócił się do Mariaha, wyjmując z kieszeni złotą monetę. - Weź to i przekaz waszemu przyjacielowi. To zapłata za ryby, które mu podkradałem. Idźcie już. Kratę wystarczy popchnąć, żeby ustąpiła.

- A co ze Scratty? - zapytała Sacza, gdy Kraken zaczął schodzić po drabinie.

- Pójdę po nią dziś wieczór, a potem odpłyniemy. Księżyc wskrzesi Charadriusa i Scratty odzyska swoje ciało.

- Czy jeszcze się zobaczymy? - spytał Mariah.

- Zależy wam na ponownym spotkaniu z morskim potworem?

- Pod warunkiem, że to będziesz ty - odparł chłopiec i uśmiechnął się do Krakena, który zniknął w ciemnościach kanałów.

Siedział z Sączą w snopie światła wpadającego przez kratkę.

- Śmierdzisz - powiedział do niej z udawanym obrzydzeniem.

- Ty też nie pachniesz fiołkami. Basmala będzie pytał, gdzie łąziłeś w tych butach - odparła, spoglądając na jego ubłocone nogi.

- Nie wróćę do pracy w hotelu. Dla mnie to koniec. Uwolnimy Feliksa i wracam do Londynu.

- Zostawisz mnie? - jęknęła Sacza.

- Nie martw się, na pewno znajdzie się ktoś niemądry, kto mnie zastąpi.

- To samo mówił Feliks i zobacz, co się stało... Przyjechałeś podczas burzy i wszystko stanęło na głowie.

Mariah popchnął metalową kratkę. Łatwo wyskoczyła z ramy. Kiedy wyjrzał na ulicę, zobaczył tylko białą ścianę tawerny Pod Złotym Śledziem i lśniące, czarne drzwi z mosiężną kołatką. Po prawej stał mały namiot rybacki przymocowany na lnianych sznurach do kamiennej ściany dwoma wygiętymi hakami.

- Chodź. - Mariah zaparł się dłońmi o bruk i wy dostał ze studzienki. Kiedy stanął na nogach, wyciągnął Sączę. Rozejrzał się, zrobił krok w tył, a potem energicznie zapukał do drzwi.

Sacza odłożyła metalową kratkę na miejsce i przyskoczyła do Mariaha w chwili, gdy drzwi się uchyliły i przez szparę wyjrzało wielkie oko.

- Tak? - dobył się zmęczony głos.

- Przyszliśmy do kapitana Charity - oznajmił Mariah. Oko obejrzało go od stóp do głów.

- Nie ma go - odrzekł głos, wyraźnie poirytowany, że ktoś otej porze zakłóca jego spokój.

- Niemożliwe - odparł Mariah, czując się coraz bardziej nieswojo.

- Wyszedł. W interesach. Kazał mi pilnować tawerny. Co prawda nie mam jednej nogi, ale rozumiem, co się do mnie mówi. A ty kto? Jasnowiedz? - dopytywał się mężczyzna coraz bardziej spiętym głosem, skrzypiącym jak stara gałąź. - Co prawda mam osiemdziesiąt lat, ale wiem, że dzisiaj środa i że Napoleon jest królem Francji.

- Dziś nie jest środa, a Napoleon dawno umarł - wtrąciła Sacza. Gdzieś na drugim końcu ulicy rozległ się tupot nóg.

- Umarł? Napoleon? Co książę teraz poczniesz? - pytał mężczyzna, jak gdyby świat się dla niego skończył. - A więc jesteś jasnowiedzem. Przyszedłeś mnie zabrać do przytułku? Już mówiłem, że nie chcę. - Drzwi się zatrzasnęły i Mariah usłyszał odgłos zasuwanych w pośpiechu rygli.

Stali w uliczce prowadzącej do nabrzeża. W dali widzieli Grimma i Grendela. Detektywi czekali u wylotu kanału, aż morze się cofnie. Grimm bawił się nerwowo okularami do tropienia, a Grendel rozglądał się i patrzył z ukosa na rozkrzyczane mewy, które co rusz śmigały mu nad głową.

- Tędy - Mariah skierował się w stronę na wprost przeszklonych drzwi do salonu. Ustąpiły, gdy nacisnął klamkę. - Charity musi być w środku. Mówił, że go tu znajdzie.

W tawernie Pod Złotym Śledziem było pusto. Wszystkie stoły nakryto białymi obrusami i srebrnymi sztucami. Drewniana podłoga wyglądała na świeżo zamiecioną, kuchnię i schody na półpiętro niedawno wywoskowano. Mariah usłyszał chrzęst zamka w tylnych drzwiach. Złapał Sączę za rękę i przemknąwszy długim korytarzem, zobaczył, jak kędzierzawy, jednonogi człowieczek z krzaczastą, białą brodą przesuwają rygiel tam i z powrotem.

- Otwarte czy zamknięte? - powtarzał pod nosem, nie mogąc sobie przypomnieć, co właściwie robi i gdzie się znajduje.

- Ech, nie mam głowy do tych nowoczesnych wynalazków...

- Gdzie jest kapitan Charity? - Mariah wyrwał mężczyznę z roztargnienia.

Starzec podskoczył, aż jego drewniana noga pośliznęła się na wywoskowanych deskach i przewrócił się bezwładnie na podłogę.

- A kto pyta? - odparł głosem bulgoczącym od śliny.

- Mariah Mundi, stary znajomy - rzekł chłopiec, oferując mężczyźnie pomocną dłoń.

- Stary znajomy? Kitsuśbajduś! Największa bzdura, jaką w życiu słyszałem. Wszyscy

znajomi kapitana to młodzi ludzie. On nie ma starych znajomych, to znaczy, prócz mnie, ale ja nie jestem znowu taki stary... - Mężczyzna jakby mamrotał do własnej brody, a jego błękitne oczy o nieskazitelnych białkach biegały nerwowo wte i wewte, jakby pierwszy raz oglądały to miejsce. - Jak? Urundi?

- Mariah Mundi - poprawiła go Sacza.

- Kapitan coś wspominał o Urundi, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to było. - Starzec zaczął na nowo zasuwać i odsuwać mosiężny rygiel, jakby zapomniał o Ich obecności. Drewniany kikut skrobał o podłogę. Czyjaś sprawna ręka wyrzeźbiła na nim kilka myszy, które zdawały się biegać tam i z powrotem, a ich ogonki plątały się w gałązkach ostrokrzewu.

- To my sobie pójdziemy - rzekł Mariah, zostawiając śliniącego się starca w spokoju. - Ale czy moglibyśmy najpierw usiąść i coś zjeść?

- Bierzcie, co chcecie. Tylko nie próbujcie podkradać łyżek, sztucce są policzone! Zawsze giną łyżki, nic więcej...

- Kuba jest w domu? - spytał Mariah.

- O, to, to! Wyszedł z nią na spacer. Ta bestia odgryzła mi nogę - chaps! Przez tydzień nie mogłem chodzić, musiałem sobie wystrugać nową. Do diaska z takim zwierzęciem domowym! A potem ja muszę się nią opiekować, kiedy on wałęsa się po świecie w imieniu ojczyzny i królowej. - Starzec mówił teraz całkiem przytomnie i wpatrywał się w Mariaha. - No, ale siadajcie, dopóki są wolne miejsca.

Mężczyzna przeszedł do salonu z wykuszem wychodzącym na port i wskazał im schody, które prowadziły do sali jadalnej na półpiętrze. Sacza popędziła przodem i usiadłszy przy oknie, zaciągnęła zasłonę, tak by nie dojrzał jej z ulicy żaden przechodzień.

Nastąpiła pora odpływu i przyportowe ulice zapełniły się ludźmi w eleganckich surdutach. Zażywali świeżego powietrza, przyglądając się rybakom, którzy szorowali łódki i naprawiali porwane sieci. Grimm i Grendel patrzyli w stronę pustoszejącego portu i czekali, aż woda opadnie, by w końcu ruszyć ostrożnym krokiem przez błoto ku wejściu do kanału.

Mariah przysunął sobie krzesło i usiadł przy oknie. Tak czekali na powrót kapitana Charity. Z kuchni na tyłach dolatywał zapach smażonej ryby i chlupot trzepanego ciasta. Mariah spojrział wzdłuż promenady wiodącej w stronę Regenta i wreszcie dostrzegł w oddali sylwetkę kapitana Charity ze smyczą w dłoni. Kuba dumnie kroczyła u jego boku i kłapała paszczą w stronę przechodniów, jakby to były smaczne kąski. Charity w ogóle się tym nie przejmował, wzrok miał utkwiony w morzu i błyszczącej mgle, która unosiła się nad mokrego piasku. Sznur wozów ciągniętych przez osły taszczył węgiel z niewielkiego brygu

zaczumowanego na plaży obok ściany portu.

Grimm i Grendel byli coraz bardziej zniecierpliwieni. Jakaś handlarka w długim i obdartym ceratowym płaszczu namawiała ich do skosztowania morskich ślimaków z octem. Podtykała Grimmowi cuchnące mięczaki, a gdy ten się wzbraniał, głośno się śmiała. Grendel wykazał się większym hartem ducha. Bez wahania wyciągnął szylinga i wcisnął jej do ręki, chwycił papierowy rożek oraz widelczyk i zaczął maczać ślimaki w morzu octu, a potem śmiało wpychać je do ust i przeżuwać.

Nawet z daleka Sacza i Mariah widzieli napięte ścięgna w długiej jak u antylopy szyi Grendela. Przetykając oślizłe stworzenia, wyraźnie poruszał grdyką - na co Grimm z widocznym wstrętem odsuwał się coraz dalej - a zjadłszy ostatniego ślimaka, przechylił rożek i wypił sos, po czym zgniótł papier w ręce i rzucił w cofające się morze.

Grimm pacnął go w pierś i energicznie pogroził krótkim palcem. Potem odwrócił się i spojrzał na z wolna opadającą wodę i wysoki słup, który czekał na dzień św. Szczepana.

W tawernie Pod Złotym Śledziem trzasnęły drzwi wejściowe, a po chwili na schodach rozległy się ciężkie kroki i szybkie chrobotanie pazurów. Starzec głośnym krzykiem obwieścił gospodarzowi, że oczekuje go jakiś przybysz z Urundi - i że jeszcze nigdy nie spotkał człowieka z tak egzotycznego kraju. Charity tylko się roześmiał i powściągnął Kubę, która wrywała się do przodu, obwąchując każdy stopień schodów, jakby poczuła zapachy przywleczone ze ścieków.

- Aha! - zawołał Charity, a na jego czerwonej od wiatru twarzy rozkwitł szeroki uśmiech. - Ładnie to tak zasmradzać moją restaurację? - Zaśmiał się znowu i spuścił Kubę ze smyczy.

Smokodyl przyskoczył do ich stóp i zaczął podgryzać skórzane podeszwy.

- Chyba wzięła was za kolację - stwierdził Charity. - Razem akurat stanowicie jedną porcję. - Spojrzał na Sączę. - Dawno cię nie widziałem, moje dziecko. Ależ wyrosłaś. U ojca wszystko po staremu?

Sacza cicho chrząknęła i skinęła głową.

- Jeszcze dostanie nauczkę. Kiedyś przyłapią ich wszystkich. Co się odwlecze... No, ale - co tam nowego w świecie wygod i przygód?

- Mam coś dla pana, jesteście śledzeni i... - prędko mamrotał Mariah.

- Po kolei - wszedł mu w słowo Charity, spoglądając na złotą monetę, którą chłopiec wyciągnął w jego stronę.

- Kraken prosił, żebym panu to dał. Kradł panu ryby. To jego zapłata.

- Kraken? Ryby? Co za dziwy opowiadacie! - Charity rozdział się z obszernego

płaszcz i zarzucił go na sterczący, kręty róg wieszaka.

- Kraken mieszka w... - zaczął Mariah, a Charity prędko dokończył za niego.

- Mieszka w kanałach, i to już od jakiegoś czasu. Urządził się tam jak w eleganckim pensjonacie i trzyma w klatce Charadriusa. - Kapitan mówił o tym w taki sposób, jakby to nie było żadną tajemnicą.

- Wiedział pan? - spytała Sacza.

- Byłem tam kilka razy pod jego nieobecność. Znosiłem mu chleb. Domyślałem się, że to Kraken kradnie mi ryby. Ciepła woda odstraszyła dorsze. Biedak umarłby z głodu.

- Nie martwi to pana? - odezwał się Mariah.

- Przeciwnie. Martwi mnie, że Kraken jest chory i że Charadrius nie został wykorzystany zgodnie ze swym przeznaczeniem. Gdybym zastał Krakena w jego leżu, uwolniłbym ptaka z klatki, żeby go uzdrowił.

Mariah wręczył kapitanowi złotą monetę i prędko streścił wszystko, co się wydarzyło od czasu ich wspólnej kolacji w tawernie Pod Żłotym Śledziem. Kapitan spacerował tam i z powrotem, podczas gdy Kuba drzemała w kącie z otwartym oczyskiem.

- Przynajmniej spełniliście szlachetny uczynek - powiedział Charity, odciągając zasłonę i zerkając w stronę portu. - Ileż bym dał, żeby zobaczyć tego ptaka w locie! Wiele słyszałem o jego mocy, przez długi czas tropiłem jego stwórcę i marzyłem o tym, żeby ujrzeć Charadriusa w pełnym jego blasku - a wy, nicponie, mnie uprzedziliście. - Wzruszył ramionami, potem powiódł wzrokiem ku Grimmowi i Grendelowi, którzy ostrożnie schodzili do kanału po starej drabinie. - Wasi dwaj przyjaciele niedługo się tu zjawią.

Mariah zobaczył, jak Grimm z proskowaną oranżadą na kapeluszu znika za portowym murem.

- Co będzie, jeśli znajdą Krakena? - zapytał.

- Mam ochotę pójść z Kubą na spacer. Do kanałów. Dawno już nie miała żadnych rozrywek. - Charity roześmiał się na myśl o parze detektywów czmychających jak szczury przed kłapiącą paszczą smokodyla. - To jedno. A co z Ottonem Lugerem i waszymi odkryciami?

Mariah popatrzył na Sączę, jakby czekał, aż ona coś powie. Dziewczyna wlepiła wzrok w stół i milczała jak grób. Zrozumiał wtedy, że zamknęła się w sobie i że będzie musiał sam odpowiedzieć na zadane pytanie.

- Znalazłem jeszcze to - wyciągnął spod surduta woskową dłoń. - Odłamałem ją z manekina, który wyglądał identycznie jak ja. Widzieliśmy też woskowego Feliksa. Luger wiesza te kukły na hakach w swojej pracowni.

Charity uniósł sztuczną dłoń do światła.

- Francuski wosk - stwierdził, wachając palce. - W środku coś jest.

Położył woskową dłoń na stole i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z miską gorącej wody i sterczącą z kieszeni chochlą. Postawił miskę na podłodze i wrzucił do niej dłoń. Wszyscy troje wpatrywali się w wodę jak w stary kocioł.

- Co się dzieje? - zapytała Sacza, nerwowo bębniąc palcami oblat.

- Wosk się rozpuszcza - odparł Charity. - Patrzcie - dodał, gdy palce zaczęły się oddzielać od dłoni i jeden po drugim wypływały na powierzchnię.

Wewnątrz dłoni ukazały się krople wielkości groszku. W miarę topnienia wosku opadały na dno.

- Tak jak myślałem - rzekł Charity z uśmiechem na twarzy.

- Perły!

Kleks

Zapadał zmierzch. Latarnik szedł wzdłuż nadbrzeża, otulony płaszczem, i stukając kijem, odkręcał gaz. Potem podtykał płomień i latarniane palniki z wolna budziły się do życia. Mariah przyglądał mu się z okna tawerny Pod Złotym Śledziem, stojąc przy wielkiej mosiężnej lunecie. Latarnik spojrzał w jego kierunku, uśmiechnął się i uchyliwszy wytartego, nieprzemakalnego kapelusza, ruszył w dalszą drogę.

Sacza siedziała przy stole zajęta rozmową z kapitanem. Przegadali pół popołudnia, aż zaczęło się ściemniać i Charity zapalił świece. Schody przegrodził czerwonym aksamitnym sznurem, aby goście, którzy chronili się w tawernie przed zimnym wiatrem, nie wchodzili na górę. Szef kuchni bez przerwy coś trajkotał, a panierowane ryby skwierczały na patelni, wypełniając izbę pysznymi zapachami, jakie trzymają się ubrania przez kilka następnych dni.

Sacza wyjawiała kapitanowi wszystko, co wiedziała. Nie miała powodu, żeby mu nie zaufać; jego szczere spojrzenie nie było spojrzeniem zdrajcy. Słuchał w głębokim skupieniu wszystkiego, co miała do powiedzenia. Sacza lubiła mówić, ale jeszcze bardziej lubiła być słuchaną. Mariah od czasu do czasu włączał się do rozmowy i uzupełniał brakujące szczegóły. Wspomnił oukrytych szczątkach Ottona Lugera i powiedział, kto według niego jest winny morderstwa, lecz Sacza zbyła go machnięciem dłoni, dając do zrozumienia, że dokonała tego odkrycia samodzielnie. Jak kurek na wietrze zmieniała kierunek swej opowieści, skacząc z wątku na wątek niby tańczący w powietrzu motyl.

Mariah dopił czwarty kubek gorącej czekolady i wyłączywszy się z rozmowy, patrzył za okno ku ciemniejszej bryle Hotelu Regent.

- Jak daleko można przez to spojrzeć? - zapytał, przytykając oko do okularu lunety i spoglądając na odległy grzbiet szarej fali.

- Bardzo daleko. - Charity odwrócił się w jego stronę.

- Można zobaczyć okręt na horyzoncie w takich rozmiarach, jakby stał w porcie.

Mariah wodził wzrokiem po ciemnych wodach w poszukiwaniu rozświetlonej sterburty statku. Ocean zdawał się pusty i zimny, białe szczyty fal lśniły w księżycowym blasku. Chłopiec pomyślał o Krakenie buszującym po zatopionych wrakach i skierował lunetę na klify, wypatrując zwodniczych latarni, które wabiły statki na skały. Powiódł spojrzeniem wzdłuż wybrzeża, zaglądając w okna okazałych domów nad promenadą, aż wreszcie zatrzymał wzrok na samym szczycie Regenta. Wszystkie hotelowe okna były jak na wyciągnięcie dłoni. Dreszcz emocji przebiegł mu po kościach, kiedy wycelował lunetą w jasny pokój i zaczął podglądać jakiegoś mężczyznę, który wyskubywał sobie włosy z nosa za pomocą maleńkiej pęsety, a potem poprawił tupecik, by zakryć łysinę rudymi kędziorami.

Mariah zaśmiał się pod nosem i poczuł przyjemne łaskotanie w żołądku. Zaglądał do kolejnych pokoi. Obserwował hotelowych gości, próbując zgadnąć, o czym rozmawiają. Luneta przenosiła go pod same okna, jak gdyby stał na balkonie.

Nic nie mogło się ukryć przed okiem lunety. Mariah widział, jak Ramzes wykrzykuje rozkazy w porze wczesnej kolacji. Jego wysoka, biała czapka migąła w otwartym oknie jadalni na czwartym piętrze hotelu, gdy przebiegał pod palmami w drodze do kuchni. Piętro niżej widać było okna pijalni. Mariah przesunął lunetę do góry, szukając własnego pokoju. Najechał na dachówki pierwszej wieży i rozglądał się za białym okienkiem wychodzącym na miasto.

W tym momencie całkiem niespodziewanie ujrzał twarz Perfidnego Albiona, bladą i wymizerowaną, o zapadłych policzkach, z ciemnym sińcem wokół oka. Mężczyzna patrzył w stronę portu, stojąc w wysokim oknie rozjaśnionym pojedynczą świeczką, której odbłask migotał na jego chudym obliczu. Poruszał ustami, jakby rozmawiał z kimś schowanym w mroku pokoju. Po chwili zamknął oczy, ale nie przestał mówić, uniósł zakute w kajdany ręce i dotknął najpierw czoła, potem serca, wreszcie obydwu barków. Potem wyrzekł ostatnie słowo, jakby imię ukochanej osoby.

- Kapitanie! Kapitanie! - zawołał Mariah. - Widzę Albiona! Uwięziono go we wschodniej wieży, ma kajdany na rękach.

Kapitan Charity w okamgnieniu odsunął go od lunety i sam przez nią spojrział.

- Masz rację, chłopcze. Widzę go i jeszcze kogoś za jego plecami. To chyba... to chyba ten stary drań Basmala! - wykrzyknął Charity tonem człowieka, który odkrył nową

planetę.

- Oj, będzie się działo! Uratujemy nie tylko Feliksa, lecz również Albiona.

- Sami tam pójdziemy - odezwała się Sacza, wstając od stołu. Jej twardy głos wyrwał Kubę z drzemki.

- W ogóle nie pójdziecie, jeśli będziecie do mnie mówić w ten sposób. Prawda, Kuba?

- rzucił Charity głosem ostrym jak szpada, a smokodyl dźwignął się z podłogi i kłapnął paszczą.

- To przecież nasza sprawa - odparła Sacza ze złością. - Sami się w to wplątaliśmy i sami się wyplączemy.

- Jestem z wami, odkąd wysiadłem z pociągu tamtej nocy, kiedy Mariah przybył z Londynu - rzekł Charity. - Myślicie, że od tamtego czasu nic nie robię, tylko smażę ryby i chadzam na podwieczorki? Jestem tutaj, ponieważ rok temu dostałem list z Hotelu Regent. Otto Luger błagał mnie, żebym wrócił.

- Charity wyciągnął z kieszeni pomiętą kartkę i rozpostarł ją na stole. - Pierwszego ranka po przyjeździe poszedłem do hotelu i zobaczyłem się z Ottonem Lugerem. Nie wiedział, kim jestem, i twierdził, że nigdy do mnie nie pisał. Kiedy wyjąłem list, prawie się zadławił tym swoim grubym cygarem. Kazał mnie wyrzucić z budynku i powiedział, że mam się tam więcej nie pokazywać. - Charity uderzył pięścią w stół. - Na szczęście wy, moi drodzy, wykonaliście za mnie kawał roboty. Dokończymy ją wspólnie. Luger nie żyje. Człowiek, który się za niego podaje, to oszust. Jako oficer Korony zamierzam schwytać mordercę. Ty, Saczo, odzyskasz uwięzionego przyjaciela, a Mariah... Mariah odzyska to, co mu się należy.

Sacza tylko zamamrotała coś pod nosem. Wiedziała, że dyskusja z Jackiem Charity na nic się zda.

- Co pan ma na myśli? - spytał Mariah, lecz jego pytanie zostało zignorowane.

- Kleksie! - zawołał Charity ile tchu w płucach. - Kleksie, przyjdź no tutaj. Mam plan, w którym i dla ciebie znajdzie się rola.

Na dole rozległy się odgłosy kuśtykania po deskowanej podłodze. Drewniana noga starca, gdy z wolna piał się po schodach, postukiwała niczym pałka uderzająca w napiętą skórę bębenka. Mężczyzna podśpiewywał coś głosem podobnym do chrząkania prosięcia. Jedną dłoń zaciskał na grubym skórzanym pasku, który spinał go w pasie, drugą skubał sztywną brodę.

- Słucham pana, kapitanie? - odezwał się, pokonując ostatni stopień i rozglądając się za Jackiem Charity po antresoli.

- Idę na łowy, Kleksie. Ty i ta młoda dama zostajecie na czatach.

- Na czatach? - zaprotestowała Sacza tonem ulicznej handlarki. - Zabiera pan Mariaha, a mnie zostawia tutaj? Dlaczego to ja mam stać na czatach z jakimś dziadygą?

- Tylko chwilowo - odparł Charity, zniżywszy głos, i pochylił się, jakby zawierzał jej sekret. - Dziś wieczór weźmiemy hotel szturmem, a wtedy każde z nas będzie miało co robić.

- Sztorm? Jaki znowu sztorm? - wymamrotał Kleks, który znów stracił kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Napoleońskie armaty huczały mu w głowie i zasnuwały oczy dymem. - Morze jest spokojne, ot, parę białych obłoczków i nic więcej - mruczał, siadając przy długim stole i spoglądając na kapitana.

- Miejcie oko na kanały. Mariah i ja weźmiemy Kubę i trochę się rozejrzemy. To nie potrwa dłużej niż godzinę. Czekać tutaj, dopóki nie wrócimy. Potem razem pójdziemy się rozprawić z Ottonem Lugerem, a właściwie z jego sobowtórem.

Sacza wykrzesła z siebie nikły uśmiech, Kleks przysunął się do okna i spojrzał na nabrzeże. Drżał przy każdym wdechu, a jego krzaczaste brwi trzęsły się jak smagany wiatrem żywopłot.

- Na czatach - powiedział do Sączy, gdy Charity i Mariah zeszli na dół, prowadząc smokodyla na długiej smyczy.

Niedługo potem drzwi się za nimi zatrzasnęły. Mariah z ulicy spojrzał w okno i uśmiechnął się do Sączy. Kleks pomachał mu białą chusteczką, a potem otarł czoło i zaczął poruszać głową w takt marszowej muzyki, która rozlegała się w jego czaszce.

- Boisz się? - zapytał Charity, gdy schodzili pochylnią ku mokrej grobli zarośniętej morskocyznem.

- A czy powinienem? - odparł Mariah, patrząc na Kubę, która, spuszczone ze smyczy, popędziła w stronę wody powoli wzbierającej w porcie.

Charity rozejrzał się i przysunął bliżej chłopca.

- Był tu kiedyś jeden dobosz podobny do ciebie. Pewnego razu pan tego zamku odkrył ukryty tunel. Po wewnętrznej stronie drzwi nieotwieranych przez dwieście lat znaleziono napis ostrzegający przed klątwą, która spadnie na każdego, kto wejdzie do środka. Postanowiono więc wysłać przodem dobosza. Pan kazał mu bębnić w rytm własnych kroków, aż odkryje, dokąd wiedzie przejście. Na górze cała brygada stała w pogotowiu.

Słuchali dolatującego z dołu bam, bam, bam. Aż nagle rozległ się krótki krzyk - i bębnienie ustało. Kiedy reszta zebrała się na odwagę i poszła śladem dobosza, okazało się, że tunel przebiega pod Trzema Marynarzami, a potem łączy się z kanałem. Chłopca nie odnaleziono. Był odważny - tak jak ty. Przyszło ci do głowy, że możesz skończyć podobnie?

- Nie mam nic do stracenia. Poza tym jest z nami Kuba, przy niej chyba jesteśmy bezpieczni? - powiedział Mariah, który wyczuł w głosie kapitana groźną nutę.

- A ja mam to - Charity odgarnął pelerynę i dobył zza pasa sztylet o trzech ostrzach. - Tnie wszystko jak masło.

Zimny powiew przeniknął surdut Mariaha. Chłód przeleciał mu po plecach i zjeżył włosy na karku. Był to już trzeci taki sztylet.

- Dlaczego ma trzy ostrza? - spytał chłopiec. - Widziałem podobne. Kraken ma identyczny i...

- I wcale mnie to nie dziwi - wtrącił kapitan, idąc groblą, pod którą z wolna podchodził przypływ. - Potrójne ostrze, potrójna śmierć. Zabija nie tylko ciało, również duszę i umysł. Odsyła na wieczny spoczynek nawet najstraszliwsze trupiory.

- Takim nożem zabito prawdziwego Ottona Lugera. Widziałem ślad po ostrzach na jego ciele.

- Ale nie tym - Charity uśmiechnął się półgębkiem. Księżyc oświetlał mu tylko połowę twarzy. - Nie sądzisz chyba, że zabito go tym sztyletem, który trzymam w ręce? To by znaczyło, że jestem zamieszany w morderstwo.

- Kraken powiedział... - wykrztusił Mariah.

- Krakeny opowiadają bajki. To morscy bajarze. Poza tym zatapiają okręty, zjadają wieloryby i zmieniają się w ogromne ośmiornice, gdy tylko woda zakrywa ich po czubek głowy. Jedynie na lądzie przybierają taką postać, jaką widziałeś. Gdybyś go spotkał na otwartym morzu, już nigdy więcej nie miałbyś okazji posłuchać jego bajdurzenia. - Charity zrobił pauzę i spojrzał chłopcu w oczy. - Obdarłby cię z mięsa i zostawił same kości. Nie wahałby się ani chwili.

- Czyli jednak nie jest człowiekiem? - zapytał Mariah, zbliżając się do wylotu kanału.

- Ani trochę. Nie w tej chwili. Kraken to diabelski podrzutek, efekt klątwy więdźmy morskiej.

Mariah nic nie odrzekł. Przypomniawszy sobie, co Kraken mówił o Monice. Nagle wszystko zaczęło się układać w sensowną całość. Przystanął na chwilę i spojrzał w niebo: zdawało się, że księżyc płynie na obłoku mgły przywianym hen z nad plaży. Kiedy dotarli przed wejście do kanału, przypomniała mu się Szkoła Kolonialna. Gdzie się podziały te czasy, kiedy wstawał o siódmej i zjadał przy kominku gorącą grzanekę, a służący czyścił jego buty i sprzątał pokój? Teraz nie usługiwał mu żaden młodszy chłopiec. Mariah był sam jak palec, a świat zmienił się nie do poznania. Nadmorskie miasteczko na końcu linii kolejowej zdawało się należeć do innego wymiaru, w którym nie obowiązywały prawa natury, zupełnie

jakby pociąg Wielkiej Kolei Północno-Wschodniej wywiózł go ze świata zwykłej codzienności do krainy krakenów i skrytobójczych zbrodni.

Smokodyl wrócił znad wody i zniknął w kanale. Charity wszedł na zardzewiałą kładkę biegnącą pod długim pirsem i zanurzył się w mroku. Mariah podążył za nim, choć jego zaufanie do kapitana słabło z każdym krokiem. Czuł się jak syn Abrahama prowadzony na stos ofiarny.'

Przystanęli u wejścia do kanału i nasłuchiwali. Z głębi doleciał cichy tupot krótkich kroków, ktoś pośliznął się i upadł, czyjś głos rozniósł się jęklwym echem w odległych ciemnościach.

- Zgubili się - szepnął Charity. - Przez cały ten czas patrzyłem, czy aby nie wychodzą. Ktoś, kto nie zna kanałów, może do końca życia szukać z nich wyjścia.

- Ja i Sacza łatwo trafiliśmy do portu - zauważył Mariah.

- To dlatego, że Sacza знаła drogę. Ona się tutaj wychowała, biegała jak szczur po kanałach i chowała kontrabandę. - Charity wyciągnął z płaszcza długą srebrną rurkę zakończoną soczewką, która rozmiarem przypominała oko wieloryba. Odkręcił zaślepkę i używając pęsety, wrzucił do środka trzy małe bryłki podobne do okruchów białego chleba, które wyjął ze srebrnej puszki. Potem schylił się, zanurzył rurkę w wodzie i prędko przykręcił zaślepkę. Tajemnicza substancja z głośnym sykiem wymieszała się z wodą i po chwili z soczewki zaczęło się wydobywać jasne, fosforyzujące światło, tak silne, że Mariah musiał odwrócić oczy. Snop olśniewającej bieli, skacząc od ściany do ściany, rozświetlił wejście do kanałów.

- Wystarczy na pół godziny - objaśnił Charity, wyjmując z kieszeni skórzany kapturek i zakrywając nim soczewkę.

- Lepiej, by nie wiedzieli, że się zbliżamy. Do bitwy należy zawsze przystępować z przewagą. Jeżeli ich znajdziemy, będzie niezła zabawa.

Mariah zawahał się. Paraliżujący strach oplótł jego ciało i nie pozwalał się ruszyć. Charity wkrótce zniknął przed nim i chłopiec widział tylko niewyraźną sylwetkę w świetle latarki. Słyszał bulgot powracającego przyływu i kap, kap, kap, kapanie ze zmurszałych cegieł stropu.

Kuba płynęła dołem, a jej oczy jaśniały w mroku jak rozplomienione wewnętrznym ogniem. Świeciły niczym dwa czerwone klejnoty wśród aksamitnej czerni, która wypełniała tunel od ściany do ściany. Mariah z wolna ruszył przed siebie, a smokodyl dotrzymywał mu tempa, jakby wiódł go ku śmierci. Zagryzając wargę, chłopiec zanurzył się całkiem w mroczny i cuchnący świat kanałów. Smokodyl płynął przed nim i burząc mętną wodę,

naśladował jego niezadowolenie.

Z przodu kapitan Jack Charity schował się w płytkiej wnęce, która przypominała kamienną trumnę wyżłobioną w ścianie. Zaświecił latarką w kierunku wejścia. Prązek światła wystrzelił przez otwór w skórzanym kapturku i niczym biała kopia przeszył kieszeń surduta Mariaha. Chłopiec kroczył przed siebie, jakby ciągnięty przez latarkę. Jego surdut zatlił się od jasnego snopa, z palonej tkaniny uniosły się kosmyki wirującego dymu. Mariah bez namysłu położył dłoń na piersi, pozwalając, by światło rozgrzało mu skórę i zaczęło przypalać włosy. Zdawało się, że latarka wchłonęła promienie słońca i wypuszczała je teraz przez soczewkę. Chłopiec chciał krzyknąć do kapitana, żeby przestał świecić, lecz wówczas Grimm i Grendel mogliby go usłyszeć. Przybliżył się do muru i przyspieszył kroku. Charity poświecił na wodę, szukając Kuby, ale zobaczył tylko szlak znaczony wypływającymi na powierzchnię bąbelkami.

Z przodu Grimm powarkiwał na Grendela. Zwielokrotnione echo zniekształcało ich słowa, które dolatywały z północnego tunelu prowadzącego do zamku i kryjówki Krakena. Charity wetknął latarkę do kieszeni płaszcza, przyciągnął Mariaha do siebie i zamarł w bezruchu. Potrójne ostrze błysnęło w ciemnościach, jak gdyby rozświetlone od wewnątrz. Skłębiona woda u ich stóp świadczyła o bliskości smokodyła.

Z kryjówki w północnym tunelu wydobyło się nikłe światło. Głos Grimma brzmiał teraz ostro i wyraźnie. Stało się jasne, że detektywi nie zgubili się ani nie wystraszyli. Grimm beszał Grendela za to, że nie wziął lampy, ponieważ oznaczało to, że w drodze powrotnej będą zdani na świecznik.

- Myślisz, że zaczniesz gadać? - spytał Grendel. Dało się słyszeć szelest wleczzonego po ziemi powrozu.

- Lepiej, żeby powiedział, co z nimi zrobił, albo nigdy więcej nie zanurzy się w morzu - odrzekł Grimm.

- Moglibyśmy go sprzedać któregoś z londyńskich gazet - bąknął Grendel. - Raz widziałem w prasie zdjęcie włoskiego człowieka, który wychował się wśród wilków. Żywy Kraken jest chyba wart więcej?

- Jeśli znajdziemy tego chłoptasia, Luger zapłaci nam więcej niż jakakolwiek gazeta. Choć zastanawiam się, czy nie korzystniej byłoby pozbyć się pana Lugera i przejąć jego interes.

- Znowu? Przecież już raz go zabi... - Grendelowi przerwał głośny jęk Krakena, któremu więzy wrzynały się w nadgarstki.

- Całe szczęście, że wpadliśmy na niego, kiedy spał. Zdaje się, że był na polowaniu.

Chętnie bym oskubał tego łabędzia i zrobił z niego pieczone.

- To nie łabędź, Grendelu. Widziałeś kiedyś łabędzia z orlimi stopami? - zadrwił Grimm, kopnięciem posyłając na bok ciało Charadriusa.

- Miałem raz łabędzia, kiedy byłem małym chłopcem - oznajmił Grendel, a jego słowa niosły się szmerem po kanałach. - Potrzebowałem ptaka na Boże Narodzenie. Wziąłem sznur i pajdę chleba i poszedłem nad Tamizę. - Na moment przerwał i pogрузzył się we wspomnieniu. - W ogóle nie bały się ludzi, jadły z ręki. Nakarmiłem jednego, a potem zarzuciłem mu sznur na szyję i w ten sposób sprawiłem sobie pysznego świątecznego ptaka. Mój ojciec w życiu takiego nie widział. Oskubanego, oporzadzonego, przekrojonego na pół, bo inaczej nie zmieściłby się do pieca. Nogi miał tak wielkie, że trzeba je było jeść obiema rękoma. - Grendel wydał z siebie bulgot zadowolenia i westchnął. - Szkoda, żeby ten martwy ptaszek się zmarnował. Moglibyśmy go zabrać, jak już skończymy z panem Krakenem.

- Jak na chudzielca, nadzwyczaj zaprzatasz sobie głowę jedzeniem, Grendelu - odburknął Grimm.

- Zawsze tak było, Grimmie. Ciągle myślałem o jedzeniu, ba, zjadłem się od rana do wieczora, a mimo to byłem chudy jak szczapa. I pomyśleć, że ty rośniesz w oczach, jedząc tyle co mysz. Gdzie tu sprawiedliwość? - prychnął Grendel z fałszywą troską. - No, pan Kraken jest już związany i można go przenieść do lochów Lugera. Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć przed przyływem. Wolałbym nie siedzieć tu po nocy oko w oko z tym straszylem.

Grendel zasupłał powróz na przegubie Krakena i postawił go na nogi, a następnie wywlókł z kryjówki w ciemności kanału. Grimm ruszył za nimi, oświetlając drogę świecą.

- Powoli, Grendelu, powoli... Mam krótsze nogi od twoich, a nie powinniśmy się rozdzielać.

Grendel nic nie odpowiedział. Ściskając Krakena jedną ręką, stanął jak wryty, spoglądając w głąb korytarza ku chluszczącej w oddali wodzie. Zbliżała się do niego para świecących na czerwono oczu. W ciemnościach czarne cielsko smokodyla zdawało się jeszcze większe i groźniejsze niż w świetle dnia. Zaskoczony Grendel zbulgotał i wciąż mocno trzymając Krakena, cofnął się o krok.

- Demon! Widmo! Potwór! - wrzasnął, gdy smokodyl wynurzył się z wody i zaczął człapać w jego stronę.

- Zgadza się, Grendelu, mamy potwora i zabieramy go do hotelu na przesłuchanie...

- Potwór, Grimmie, potwór ściekowy, tam, przed nami! Czerwonooki potwór ściekowy!

- NonSens - odparł Grimm, unosząc świecznik wyżej, by oświetlić drogę.

Kuba minęła Mariaha i kapitana, którzy przywarli do zacienionej ściany. Wymachując wesoło ogonem, nieomal tańcząc z podekscytowania, smokodyl puścił się ciężkim kłusem w stronę detektywów.

- Laską, Grendelu! Zdziel go laską! - wydarł się Grimm ile tchu w piersiach. Potem odwrócił się i popędził w górę stromym tunelem.

Calando*

Dwa uciekające cienie na przemian znikwały i pojawiały się w snopie białego światła, które wystrzeliło z fosforyzującej latarki kapitana Charity. Mężczyzna przywołał Kubę do nogi, śmiejąc się i krztusząc na widok dwóch detektywów pierzchających przed rozochoconym smokodylem.

Gdy zwierzę wróciło, Charity wyjął z kieszeni kilka plasterków śmierdzącej kielbasy i nakarmił swoją pupilkę. Kuba siedziała na tylnych łapach, owinięta ogonem, i chwyciła rzucane jej kawałki.

*Calando (wł.) - termin muzyczny: coraz wolniej, coraz ciszej (przyp. red.).

- Dobra robota - powiedział Charity, rozwiązując ciasne pęta, które wrzynały się w nadgarstki Krakena. - Przynajmniej wiemy, gdzie będą za godzinę, oczywiście, o ile znajdą drogę.

Kraken, niepewny dalszych zamiarów kapitana, wysilił się na uśmiech. Mariah dostrzegł wyraz jego twarzy i delikatnie chwycił stwora za ramię.

- Zasnąłem - rzekł Kraken. - Dawno już nie zaznałem odpoczynku. Co noc włóczę się po ulicach, szukając Scratty.

- A zatem ciesz się, bo dziś wieczór odnajdziemy ją i wszystko dobrze się skończy - oznajmił Charity i zdjął mu powrozy z rąk.

- To kapitan Jack Charity - wyjaśnił Mariah, głaszcząc Krakena po ramieniu. - To jemu kradłeś ryby. Ale nic się nie martw, dostał już twoją zapłatę.

- Wiem - z westchnieniem odrzekł Kraken, zakrywając rękawami koszuli żelazne kajdany na przegubach. - Widziałem, jak przynosi mi pan chleb. Chowałem się przed panem. Nie sądziłem, że ktokolwiek odważy się zapuścić w te rejony. To miejsce...

- Jest nawiedzone? - dokończył Charity. - Jeżeli o mnie chodzi, nigdy nie lękałem się duchów. Tylko żywi mogą mnie skrzywdzić.

- Proszę mi wierzyć, kapitanie, że spotkałem na swej drodze wiele dziwnych istot o mocach, których istnienia nawet pan nie podejrzewa.

- Takich jak moc przemiany człowieka w Krakena? - zuchwale odparł tamten. Światło latarki przebijało się przez podszewkę jego płaszcza i rzucało na ich stopy siatkę cieni.

- Na przykład - przytaknął Kraken. - Gdybyście się w porę nie zjawili, kto wie, co by ze mną učinili.

- Upiekliby cię żywcem i postawili na świątecznym stole - roześmiał się Charity. - Tam, dokąd pobiegli, nie znajdą stawy ani schronienia. Będą musieli wrócić tędy. Masz jakieś plany na dzisiejszą noc?

- Zdaje mi się, że połączyło nas wspólne zadanie i nasze splątane losy zaprowadzą nas do Regenta - odparł Kraken, a Kuba potrząsnęła ogonem, wyczuwając gromadę szczurów, które uciekały przed wzbierającą wodą.

- Tak czy owak, nie wyjdziemy teraz od strony portu, a światła wystarczy nam jeszcze tylko na kwadrans, dlatego musimy cię niezwłocznie pożegnać. Pamiętasz drogę? - Charity zwrócił się do Mariaha, który patrzył, jak smokodyl chwyta w zęby ogromnego szczura, podrzuca go wysoko i połyka w całości.

Kraken odprowadził ich do strumienia z mostkiem w postaci deski. Po drugiej stronie otwierał się tunel prowadzący do drabiny. Charity strzelił palcami, a wtedy Kuba posłusznie wskoczyła do mętnego bajora i natychmiast zniknęła im z oczu.

- Pójdiesz drogą ludzi czy krakenów? - zapytał Charity, stając nad krawędzią zbiornika.

- Wybieram jedyną drogę, jaką znam - odparł Kraken i wszedł do wody.

- Ale pozwolisz nam bezpiecznie przejść?

- Może i jestem potworem, ale nie pożeram przyjaciół - rzekł Kraken, zanurzając się coraz głębiej.

Kapitan Charity wyjął latarkę z kieszeni. Światło już przygasało, lecz wciąż jeszcze było jasne jak za dnia. Kraken wsunął się cały do wody i zaraz zaczął się przeistaczać.

Mariah patrzył w zdumieniu, jak z ludzkiego ciała wyrastają długie macki podwodnego monstrum. Zdawało się, że to ogromna ośmiornica pochłania człowieka kawałek po kawałku - że coś paskudnego rodzi się w nim i wyłazi na wierzch. Woda kipiała, podczas gdy Kraken rozrastał się na wszystkie strony. Potężne, ostro zakończone macki zaczęły młócić brudną pianę. Potwór otworzył straszliwą gardziel i wciągnął haust stęchłego, podziemnego powietrza.

Po chwili metamorfoza Krakena we wzburzonym bajorze dobiegła końca. Raptem rzucił się w ich stronę. Charity w ostatniej chwili uskoczył przed uściskiem długiej, spiczastej kończyny. Mariah poczuł, jak tysiąc małych kubków chwyta go za gardło i mocno przysysa

się do skóry. Dwie inne macki złapały go za nogi oraz ręce i uniosły pod strop. Potwór wydzwignął się z wody i wypełnił sobą wyjście z kanałów. Stał teraz na stu grubych, krwistoczerwonych wyrostkach, których sile z pewnością nie oparłby się żaden statek. Dwoje gigantycznych oczu przyglądało się wiszącemu w powietrzu chłopcu. Cuchnący powiew dmuchnął z rozwartej niebieskiej paszczyki, potwór zasyczał, zadyszał - i nagle, jakby odpowiadając na daleki zew, odstawił Mariaha na ziemię z delikatnością ojcowskiej dłoni, po czym zanurzył się w wodzie i zniknął.

- Pewnie myślałeś, że koniec z tobą? - rzekł niespiesznie Charity, strzepując błoto z płaszcza. - Wiedziałem, że nie dotrzyma danego słowa. Nigdy nie ufaj potworom. Obietnice wypowiedziane w ludzkim kształcie nic dla nich nie znaczą, gdy przybiorą inną postać. Słyszałem kiedyś o wilkołaku, który zawsze przegrywał w karty, a potem zarzekał się, że nie okradnie zwycięzców z wygranej. I na swój sposób mówił prawdę - tych, którzy ograli go w blackjacka, po prostu zjadał.

- Na panu cała ta sytuacja nie zrobiła chyba żadnego wrażenia - zauważył Mariah, wydłubując ze skóry na szyi malutki pazur i zbliżając go do światła. - Kraken zabija tylko w ludzkiej wyobraźni, którą pan rozbudza swoimi opowieściami.

- Niejedno w życiu widziałem i nic mnie już nie zaskoczy.

- W tawernie powiedział pan, że odzyskam to, co mi się należy. Co pan chciał przez to powiedzieć?

Charity odwrócił się i ruszył wąską ścieżką do tunelu, który prowadził do murowanego szybu z włazem wychodzącym na ulicę.

- Niekiedy moje słowa mnie ubiegają - odparł. - Często zdarza mi się powiedzieć coś, czego nie powinienem mówić, a gdy mnie wtedy spytać, co miałem na myśli, zmuszony jestem odrzec, że nie pamiętam - wymamrotał, omiatając kanał słabnącym promieniem latarki. - Lepiej się pospieszmy: światło gaśnie jak życie. Wkrótce pozostanie nam już tylko wspomnienie tego miejsca.

- Ale powiedział pan, że coś odzyskam. Pamiętam to bardzo dokładnie, kapitanie: „Jako oficer Korony zamierzam schwycić mordercę. Ty, Saczo, odzyskasz uwięzionego przyjaciela, a Mariah... Mariah odzyska to, co mu się należy” - tak pan powiedział. Słowo w słowo. Co takiego mi się należy, o czym nie wiem?

- Gdybyś mógł poprosić o dowolną rzecz, co by to było? Nowe życie, pewna przyszłość, spadek? Co byś wybrał? - Charity mówił prędko, nie dając mu czasu na odpowiedź. - Widzisz, sam nie wiesz. Czemu więc miałbym ci mówić? Cierpliwość jest cnotą... Mariahu... Mulciberze... Mundi.

- Nie zdradzałem nikomu mojego drugiego imienia. Skąd je znasz?

- Może po prostu zgadłem? Ślepy traf? Albo wyczułem podświadomie? - zwodził go kapitan, zmierzając krętą drogą ku zardzewiałej drabinie. - Mulciber? Czy to aby nie ktoś, kto potrafi giąć metal?

- To imię po dziadku - uciął Mariah. Nie podobało mu się, że Charity zabawia się jego kosztem. - Skoro tyle pan o mnie wie, kapitanie, niech mi pan powie: co mnie czeka?

- Wszystko w swoim czasie, chłopcze. Teraz wypada się skupić na bieżącym zadaniu.

- Charity wsunął się w kolejną szczelinę, latarka roztaczała już tylko złotawy półblask. Wkrótce znaleźli się przy zardzewiałej żelaznej drabinie, która prowadziła na ulicę. Podeszli do niej w milczeniu. Mariah czuł się tak, jakby miał się wspinać na wielką górę. W ustach zrobiło mu się sucho ze strachu, ściekowy fetor szczypał go w oczy. Słyszał w uszach głośne dudnienie własnego serca. W głowie miał mętlik, zastanawiał się, co się z nimi stanie. Rozumiał, że Charity jest kimś więcej niż obcym człowiekiem przypadkowo poznanym w pociągu. Przypominał aktora, który wymawia wyłącznie własne kwestie i czeka, aż jakiś inny głos dopowie brakującą resztę. Mariah wiedział, że metalowa drabina zaprowadzi go nie tylko na ulicę, lecz także ku nieznannej przyszłości.

- Pospiesz się - powiedział Charity, który wspinał się jako pierwszy. - Teraz gdy Grimm i Grendel wypadli z gry, możemy śmiało szturmować Regenta. Jesteś gotowy? - zapytał, podnosząc ostrożnie metalową kratkę, która zakrywała wejście do kanałów.

- Kto jest mordercą, skoro nie Kraken? - odezwał się Mariah, gdy Charity wyglądał przez wąską szparę między brukiem a kratką.

- Miejmy nadzieję, że to się wyjaśni - szepnął kapitan.

- Dopiero wtedy mieszkańcy będą mogli spać spokojnie.

- Kraken wspominał, że widział mężczyznę z laską ze srebrnym okuciem i że ten człowiek pojawiał się za każdym razem, gdy kogoś zabito.

- Krakeny mówią różne rzeczy. Raz byłem świadkiem, jak pewien kraken zaciągnął czteromasztowiec na dno Oceanu Indyjskiego. Rzucił się na statek jak wściekły pies i zawlókł go w głębiny. - Charity przerwał i spojrzał na chłopca, który zaciskał białe, bezkrwiste palce na złuszczonej metalowych szczęblach. - Nie wszystko, co widzisz, jest prawdą. Pamiętaj, że masz zasłonę na oczach. Znajdź drogocenną perłę, a nic więcej nie będzie ci w życiu potrzebne.

- Tak powiedział Feliks - wymamrotał Mariah. Kapitan uniósł kratkę, wpuszczając do kanału chłodne wieczorne powietrze, w którym unosił się morski zapach z domieszką słodkiego aromatu pieczonej ryby.

- W domu najlepiej - rzekł Charity, oblizując wargi. Wypchnął kratkę i podciągnawszy się na rękach, stanął w ciasnym zaułku.

Po cichu przemknęli wąskim przejściem i stanęli u drzwi tawerny Pod Złotym Śledziem. Ulice świeciły pustkami, mgiełka znad plaży przytulała się do piasku i brukowanej drogi wiodącej wzdłuż nabrzeża. Mariah szedł o krok za kapitanem. Niepokoilo go, jak dużo Charity o nim wie. Wcześniej, podczas popołudniowej rozmowy, kapitan kilkakrotnie spoglądał na niego z ukosa, jakby go badał - a może osądzał? Widocznie słyszał coś kiedyś na jego temat i próbował teraz wyrobić sobie własne zdanie - ta uporczywa myśl kołatała się Mariahowi po głowie, gdy weszli do środka i ruszyli po schodach antresoli. Tyle że jedyną osobą, która znała Mariaha, był profesor Bilton - a jakim cudem miałby opowiedzieć kapitanowi o chłopcu? Mariah wdrapywał się wolno na górę i mocował z myślami.

- Kleksie! - zawołał Charity, stając u szczytu schodów.

Kleks wciąż siedział przy oknie z widokiem na port, ale jego ręce były spętane kilkoma bawełnianymi chusteczkami, na których ktoś pozawiazywał supły. Głowę miał przepasaną ciasnym kneblem, a zęby sterczały mu jak staremu koniowi.

- Kto to zrobił? - zapytał nagłym tonem kapitan. - Gdzie jest Sacza?

Mariah zakrył twarz dłońmi. Związany i zakneblowany starzec przedstawiał jeszcze bardziej komiczny widok. Jego drewniana noga zwisała z poroża na ścianie. Mariah od razu domyślił się, czyja to sprawa.

- To tylko zabawa... - wymamrotał Kleks, chowając zęby.

- Ona zaraz wróci. Związała mnie, zabrała nogę i zatkała mi gębę. Powiedziała, że niedługo przyjdzie i że muszę zgadnąć, kim jest...

- Starzec doznał nagłego przebłysku i zrozumiał, że dał się nabrać.

- Wiedziałem, że to zły pomysł, kapitanie, ale ona się tak czarownie uśmiechała, mówiła takim anielskim głosikiem i...

- Wystarczy, Kleksie. Kiedy to było? - przerwał mu Charity, zdejmując drewnianą nogę z poroża i pomagając starcowi zamocować ją na swoim miejscu.

- Chwilę po tym, jak wyszliście. Widziałem, jak schodzicie do portu, i wtedy ona wymyśliła tę zabawę. Nie widzieliście mojego prochu? - Mężczyzna znów oderwał się od rzeczywistości i wrócił do własnego świata.

- Hotel? - odezwał się Mariah, spoglądając przez lunetę w stronę plaży.

- Zrobiłaby głupstwo, idąc tam w pojedynkę. Z drugiej strony, ten Feliks ma chyba na nią duży wpływ.

Mariah w dalszym ciągu przeczesywał plażę i promenadę zza grubej soczewki. Hotel

od tawerny dzieliło zaledwie parę minut spacerem, lecz mimo wszystko miał nadzieję, że osamotnionej Sączy nie było zbyt spieszno. Wodził teleskopem tam i z powrotem, przeszukując każdy skrawek piasku.

Słupy pary rozpychały się nad plażą wśród chłodnego wieczornego powietrza. Buchały niczym ogień ze szczeliny w ogromnym wulkanie, który gotuje się do erupcji. Na skraju piasku woda bulgotała i burzyła się od gazu wypływającego na powierzchnię.

Wtedy Mariah ujrzał Krakena: szedł przez mgłę, a długie włosy opadały mu za ramiona. Przybrał na nowo ludzką postać i kroczył śmiało od morza w stronę Regenta, przecinając długie cienie z tysięcy światełek, jakie rozjaśniały ogromny budynek. Razem z wiatrem cichym szeptem niosły się pierwsze dźwięki altówek z orkiestry Basmali. Dolatywały z daleka niczym krzyki letniego ptactwa. Mariah śledził wzrokiem wędrówkę Krakena.

- Co tam widzisz, chłopcze? - Charity położył mu dłoń na ramieniu.

- Krakena. Idzie do hotelu.

- Sacza pewnie już tam jest i coś kombinuje. Tyle wysiłków, a teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, wszystko miałoby się zmarnować? - powiedział Charity i ugryzł się w język.

- Czuję się jak pionek w cudzej grze - otwarcie stwierdził Mariah. - Jakby czyjaś ręka kierowała moim życiem i wszystko było czymś innym, niż się wydaje.

Charity delikatnie odsunął chłopca od lunety i wskazał obrazek na ścianie.

- Zdumiewające, jak trudno nam nieraz dostrzec najbardziej oczywiste rzeczy. Poznajesz to miejsce?

Mariah przyjrzał się wyblakłemu malowidłu. Żółcie i zielenie zlały się ze sobą na brzegach. Niewątpliwie przedstawiało dom na końcu długiej alei otoczonej szpalerem drzew. W oddali rysowały się brzegi rzeki, a za nimi odległe wzgórza południa. Na pierwszym planie stał chłopiec o ślicznych blond włosach. Uśmiechał się z dawnej przeszłości, lecz Mariah od razu poznał go po oczach.

- To pan! - zawołał i znów utkwiał wzrok w budynku za jego plecami. - Szkoła Kolonialna? - powiedział wolno, nie mając pewności, czy spłowiałe okapy i dachówki rzeczywiście należą do miejsca, w którym spędził ostatnich kilka lat.

Charity nic nie odpowiedział. Przemierzył pokój i zniknął w kuchni. Po chwili zjawił się ze złożonym pergaminem w ręce.

Z nabożeństwem uprzątnął stół przy oknie i uroczystym ruchem rozpostarł kartkę na blacie.

- Poznajesz? - wygładził papier wierzchem dłoni.

- Świadeństwo przyzwoitości - odparł Mariah, czytając słowa zapisane na górze strony: Ja, profesor Jechoniasz Bilton, w pierwszym roku urzędowania jako dyrektor Szkoły Kolonialnej zwalniam niniejszym Johna Mariaha Charity do służby w Armii Kolonialnej Jej Królewskiej Mości. 23 grudnia 1866 r. Przeczytał go jeszcze dwa razy, po czym rzekł: - Równo dwadzieścia lat temu. Pan też uczył się w Szkole Kolonialnej. Nosimy to samo imię. To znaczy... - Chłopiec głośno przełknął ślinę. Wzruszenie ścisnęło mu gardło i parzyło w usta. - To niemożliwe. To by oznaczało, że znał pan mojego ojca.

- A jak myślisz, dlaczego nosisz moje imię? Jeszcze się nie domyślasz? Ja i twój ojciec byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Nie mieliśmy przed sobą żadnych sekretów - byliśmy jak bracia. Kiedy się urodziłeś, twój tata ochrzcił cię moim imieniem. Przebywałem wtedy w Indiach. Nie miałem okazji zobaczyć na własne oczy małego chłopca, o którym tak się rozpisywał w listach. - Charity wyciągnął z kieszeni zwój listów i położył na stole. - Sam zobacz. Wszystkie są pisane ręką twojego ojca.

Mariah wysunął listy z opaski i ostrożnie otworzył pierwszy z brzegu, napisany fioletowym atramentem na białym welinie. Wodził oczyma po każdej linijce i każdym zawijasie. W dolnym rogu, zagiętym dla ochrony przed niszczącym działaniem czasu, widniał rysunek przedstawiający małego chłopca w powijakach, z głową porośniętą sztywnymi włosami. Pod spodem napisano: Mariah jest grzeczny, tylko kiedy śpi...

- Widzisz - powiedział z uśmiechem Charity - nic nie zmyśliłem.

- Dlaczego wcześniej nic mi pan nie powiedział?

- Bilton powiadomił mnie listownie, że wypisano cię ze szkoły. Byłem w Sudanie, szukałem tam twoich rodziców.

Profesor był zaniepokojony faktem, że tylu chłopców uciekło z hotelu. Ponieważ wcześniej odebrałem list od Ottona Lugera, przyplłynąłem do Anglii najszybszym statkiem, jaki udało mi się znaleźć. Nasze spotkanie w pociągu było zbiegiem okoliczności. Nie spodziewałem się spotkać młodego chłopca w przedziale pierwszej klasy. Zamierzałem się trochę rozejrzeć, a dopiero potem ujawnić. - Charity spojrzął na Kleksa, który zasnął przy oknie. - Długo mógłbym opowiadać, ale teraz musimy dokończyć to, co zaczęliśmy. Wiem, że dasz radę. Jesteś podobny do ojca. Widzę to w twoich oczach.

- Jaki on był? - zapytał Mariah. - Tak często bywał poza domem, że pamięć mnie zawodzi.

- To byli wspaniali ludzie, Mariahu. Nie miej do nich żalu.

O wszystkim zdecydowały okoliczności - rzekł Charity zdławionym głosem.

- Czy oni naprawdę nie żyją? - Mariah nerwowo potarł dłonie.

- Tego nie wiem. Ale zamierzam tam wrócić. Nie spocznę, póki nie znajdę dowodu.
- A teraz? - Mariah złożył listy na kupkę i mocno je przewiązał.
- Pójdziemy znaleźć Sączę, Feliksa i Perfidnego Albiona - i kto wie, co się z nami stanie?

Wiedźma morska

Ponad parującą plażą, w ciemnym wejściu do Regenta, Sacza poczuła, że ktoś ją obserwuje. Wcześniej przemknęła chyłkiem po piasku w blasku księżyca i schowała się pod ceglanym portykiem. Długie księżycowe cienie za jej plecami przypominały wyciągnięte palce. Po prawej ręce miała wielki skład ruchomych kabin kąpielowych z zasłonkami w kolorowe prążki. Drewniane drzwi do labiryntu podziemnych tuneli nie były zamknięte, łańcuch zwisał luźno; z łatwością odsunęła rygiel i wśliznęła się do środka.

Generator pary dyszał nieprzerwanie, jego syk pobrzmiwał w korytarzach niczym zapraszający szept. Uspokoił ją nieco, lecz nie miała wątpliwości, że podejmuje się karkołomnej wyprawy - czuła się tak, jakby wchodziła do zakładu dla obłąkanych.

Ucieszyła się na widok zapalanej lampy przy drzwiach pracowni Lugera. Słabe światło, okrojone cieniem tunelowej ściany, padało ku wejściu. Skroplona para spływała ze stropu po stalaktytach i skapywała na ziemię do wielkich, parujących kałuż. Dziewczyna wiedziała, że musi sama odszukać Feliksa. Nie mogła czekać, aż kapitan Charity postanowi, jak się do tego zabrać - misja uwolnienia przyjaciela należała do niej i Sacza nie zamierzała się nią dzielić. Idąc korytarzem, tłumaczyła się sama przed sobą z tego, że oszukała Kleksa, spętała go i zostawiła gulgoczącego jak indyk.

W niespełną minutę dotarła do drzwi na końcu tunelu. Były niedomknięte, ponieważ ostatni przyływ naniósł na próg górę piasku. Pociągnęła za grubą żelazną klamkę i drzwi otworzyły się z jękiem przypominającym warczenie psa. Sacza wzdrygnęła się i odruchowo spojrzała za siebie. Przez chwilę zdawało jej się, że słyszy dalekie kroki. Prędko zamknęła drzwi i ciężko dysząc, zasunęła rygiel. Zaczynała żałować, że nie poczekała na Mariaha i przysłała do hotelu w pojedynkę. Z każdym krokiem w głowie lęły jej się coraz to nowe czarne myśli.

Po pięciu metrach skręciła za róg i zaczęła schodzić ślimakiem w głębiny Regenta. Po lewej stronie miała długi, ciemny tunel, który wiódł ku ostrygowiskowi; przed sobą korytarz prowadzący na spotkanie z Pagurusem. Przystanęła i rozejrzała się w przeczuciu, że gdzieś w oddali rozlega się echo kroków. Stuk, stuk, stuk - dolatywał stukot podkutych obcasów o twardą posadzkę. Co jakiś czas odgłos tracił ostrość, by po chwili znów rozbrzmieć

dźwięcznymi uderzeniami metalu o kamienie.

Zagadkowe dźwięki mieszały się z hałasem generatora, a potem rozlegały na nowo, jeszcze bliżej niż przedtem. Sacza spoglądała to w jeden, to w drugi tunel, nie mogąc się zdecydować, z której strony dochodzi odgłos kroków. Gdzieś daleko trzasnęły drzwi, aż poczuła chłodny powiew przeciągu. Ruszyła w głąb wąskiego przejścia ku ostrygowisku. Nie wiedziała, przed kim lub przed czym ucieka, lecz jej stopy w pośpiechu tańczyły na kamieniach.

Ostry stukot obcasów zbliżał się z każdą sekundą. Sacza ujrzała przed sobą kolejne drewniane drzwi. Pociągnęła za metalową obręcz i otworzyły się powoli, zgrzytając o rozgrzaną kamienną podłogę. Ręce miała spocone, w żołądku czuła narastającą panikę. Przeskoczyła próg, zamknęła drzwi, po czym zaryglowała je i obróciła klucz w zamku.

Spojrzała wzdłuż tunelu. Po jednej stronie w skale widniała wnęka, jakby zaczęto tam drążyć przejście. Ciepła, zaciemniona i na tyle głęboka, że można się było w niej ukryć. Sacza prędko weszła do środka, przywarła do ściany i wstrzymała oddech, by opanować nerwy. Zza drzwi dobiegł tupot kroków. Po chwili ustały i ktoś nagle potrząsnął drzwiami. Kiedy Sacza wychyliła głowę, żelazna poręcz poruszyła się znowu.

Buczenie generatora pary zdawało się bardzo dalekie. Wiedziała, że ktoś stoi za deskami i ryglami utkwionymi w kamiennych otworach. Wytężała słuch, lecz słyszała tylko bicie własnego serca. Klamka ponownie zagrzechotała. Sacza cofnęła się w cień, na tyle by widzieć drzwi. Przycisnęła policzek do ciepłej, pachnącej morzem skały, miękkiej w dotyku i zakurzonej.

Wtedy spostrzegła dłoń w czarnej rękawiczce, o paznokciach sterczących jak czerwone szpony. Ręka przeniknęła przez drewniane drzwi, jakby w ogóle ich nie było. Chwyliła rygiel i próbowała wysunąć go z futryny.

Sacza skuliła się w cieniu i schowała twarz w dłoniach. Ścisnęło ją w dołku, zaburczało jej w brzuchu. Po chwili wyjrzała ponownie, w nadziei, że tajemnicza dłoń zniknęła po drugiej stronie drzwi, lecz ku swemu przerażeniu zobaczyła tym razem dwie ręce zaciśnięte na ryglach. Powietrze przeszył nagły jęk przywodzący na myśl konające zwierzę. Z drewnianych desek wyłoniło się najpierw ramię, potem stopa z długą, bladą kostką, wreszcie połowa ciała.

Długi, czarny strój opinał ją niczym dodatkowa warstwa skóry. Sacza знаła tę postać. To była Monika.

Patrzyła z ciemnej kryjówki, jak kobieta przedziera się przez lite drewno, napinając każdy mięsień ciała. Oporne drzwi najwyraźniej sprawiały jej dużą trudność. Tam, gdzie ciało

Moniki przecisnęło się na drugą stronę, drewniane deski ociekały błyszczącym, niebieskim płynem, który skrzył się w skąpym świetle i spływał wolno w dół. Obok niewiarygodnie smukłej prawej stopy, odzianej w lśniący, czarny but, zbierała się kałuża tej kleistej cieczy wyciekającej jakby z każdej cząsteczki ściśniętego ciała.

Sacza patrzyła, jak czoło kobiety przechodzi przez drewno. Powoli wyłaniał się długi, biały, mocno przypudrowany nos, a za nim jaskrawoczerwona warga na tle nieskazitelnej sztucznej szczęki produkcji amerykańskiej. Zęby lśniły bielą i migotały w łagodnym świetle korytarza. Na końcu z ciemnego drewna wyodrębnił się chudy podbródek i jeszcze więcej płynu pocięło na podłogę. Sacza dobrze знаła ten uśmiech. Prędko poderwała się na nogi i trzymając się ściany, ruszyła wzdłuż tunelu w nadziei, że zdąży uciec, zanim Monika ją spostrzeże.

Chwilę później cała głowa Moniki była już po drugiej stronie. Rozejrzała się po tunelu bystrym i podejrzliwym wzrokiem. W głębi dojrzała oddalający się cień.

- Nie myśl, że te drzwi mnie zatrzymają - powiedziała, zapierając się dłońmi o skałę. - Ani że pozwolę ci uciec!

Sacza stanęła w miejscu jak królik złapany w sidła. Z przerażeniem odkryła, że koniuszki palców zaczynają jej drżeć.

- Grzeczna dziewczynka - mruknęła Monika. - Spójrz na mnie...

Sacza przytuliła się do ściany, jakby liczyła, że kamienie podpowiedzą jej, co ma robić, albo się przed nią rozstąpią.

- Nie - rzuciła. Próbowała iść dalej, gdy nagle poczuła, że nogi ciężą jej ołowiem.

- Rzuciłam na ciebie urok, złotko. Daleko nie uciekniesz. Opadłaś z sił? - pytała Monika, przeciskając się przez zamknięte drzwi.

Sacza obróciła się i potulnie spojrzała w jej stronę.

- Ucieknę. Muszę...

- Uwolnić tego chłopca? Feliksa? - odparła Monika. Wyglądała jak ścięta głowa przytwierdzona do drzwi. - Czy właśnie tego pragniesz?

- Nie możecie go więzić! - krzyknęła Sacza i zapała się mocno o ścianę, próbując uwolnić się spod tajemnej mocy, która trzymała ją w miejscu.

- A ty nie możesz się ruszyć - mruknęła Monika. - Jak mucha w pajęczynie. - Zamilkła na chwilę, przesunęła językiem w ustach i zwilżyła czerwone wargi. - W co by cię tu zamienić?

- W nic! - zawołała Sacza, a jej słowa odbijały się echem w długim tunelu wiodącym do hodowli ostryg. - Nie dam się w nic zamienić. Nie zrobisz ze mnie lalki z porcelaną

twarzą!

- A zatem wiesz? No proszę... Kto ci o tym powiedział?

- spytała Monika ze swoim przeciągłym amerykańskim akcentem, wciąż nie mogąc precyzyjnie szyi przez drzwi. - Nadajesz się bardziej na figurę woskową niż na lalkę albo może... tak sobie myślę, że wypchane dziecko pasowałoby do mojego pokoju. Oblepione masą papierową i pomalowane na jasny róż. Wieszalabym na tobie płaszcz i parasol. Mogłabyś być wieszakiem na kapelusze, a nawet abażurem - zachichotała.

- A ty będziesz trupem, jeśli Kraken cię znajdzie - odparowała Sacza, której stopy nie chciały się oderwać od ziemi, jak gdyby zapuściły korzenie w skale.

- Kraken? A więc masz nowego przyjaciela? Jakie to urocze. Czy nadal tęskno mu za ukochaną? To takie romantyczne. Wielu mężczyzn chętnie zapłaciłoby złotą gwineę, żeby ich żony przemieniono w porcelanowe lalki, które siedziałyby w kącie, zamiast narzekać i trwonić pieniądze.

- Powiedział, że jesteś wiedźmą morską - rzekła Sacza, zerkając na swoje stopy, które pokrywały się drobnym, białym proszkiem. Odór słonej wody i starego oleju z dorsza zionął od Moniki z każdym oddechem i rozsnuwał się po tunelu.

- Jestem, i to potężną. Nie myśl, że mi się wymkniesz.

- Monika, zapierając się o kamienną futrynę, zdołała precyzyjnie połowę ociekającego ciała przez zamknięte drzwi. Stała na jednej nodze, z lewą stopą wciąż po drugiej stronie. Sacza nie mogła się ruszyć. Jej nogi pokrywały się jakby szronem, od którego sztywniało na niej ubranie.

- Sól - zaśmiała się Monika, szarpiąc nogę, która utknęła w drzwiach. - To cię zatrzyma, dopóki się nie uwolnię.

Szarpnęła znowu i wreszcie wydostała się z drzwi. Otrząsnęła się jak mokry pies. Krople niebieskiego płynu prysnęły wkoło, mieszając się z wilgotną wonią morskiej soli. Monika zbliżyła się do unieruchomionej Sączy, która tkwiła po pas w solnej skorupie.

- Zobaczmy, kim ty właściwie jesteś - odezwała się Monika, przyglądając się dziewczynie mlecznobiałymi oczyma pokrytymi cienką błoną. Wyciągnęła smukłą dłoń w czarnej rękawiczce z wystającymi z niej czerwonymi paznokciami.

Na widok grubych szponów zbliżających się do jej twarzy Sączę ogarnęła trwoga.

- Zostaw mnie! - krzyknęła, cofając głowę. - Przestań!

- A jak nie, to co mi zrobisz? - Monika przyglądała się dziewczynie z bliska. - Nic mi nie zrobisz. Ani ty, ani żaden inny człowiek.

Sacza skuliła się ze strachu, gdy pierwszy palec dotknął jej skóry i Monika powiodła

chudą dłonią wokół jej szyi. Dopiero teraz dziewczyna spostrzegła, że twarz wiedźmy wysycha i pokrywa się zmarszczkami. Kałuża słonej wody u jej stóp rosła w oczach, cuchnąca woń morza przybrała na sile - był to zapach śniętych ryb, zostawionych na słońcu, obsiadłych przez muchy, zżeranych przez robaki, na wskroś przegniłych. Sacza wstrzymała oddech i tylko co jakiś czas zasysała powietrze przez zaciśnięte zęby. Twarz Moniki była coraz bliżej. Spojrzenie morskiej wiedźmy mętniało, błona powlekająca jej oczy wysychała coraz bardziej.

- Jesteś Sacza, prawda? - zapytała cicho, szukając na twarzy dziewczyny jakiegoś charakterystycznego znaku. - Pracowałaś dla Basmali... Będzie mu ciebie brakowało.

- Co chcesz ze mną zrobić? - Sacza wzdrygnęła się od fetoru.

- Otto cię szukał. Z kim przysłaś? Było was dwoje - wyszeptała Monika, zbliżając usta do jej twarzy. - Nie mów, że wróciłaś sama. Dziś rano przegonili was Grimm i Grendel. Wtedy miałam lepszy wzrok i nawet ja spostrzegłam twojego przyjaciela.

- Puściła Sączę i policzyła szponiaste palce. - Pomyśl, co mogą zrobić z twoją śliczną buzią. Czy był z tobą Mariah Mundi?

Sacza wbiła wzrok w podłogę. Jej spuszczone oczy mówiły wszystko.

- Wiedziałam, że ten chłopak ściągnie na nas kłopoty. Otto nie powinien był go brać. Mówiłam mu, że już wystarczy. Ale on jest głuchy na moje pomysły, nie słucha nawet własnych.

- Monika jak kot zacisnęła długie paznokcie przed twarzą Sączy. - Tak czy inaczej, o północy Otto będzie miał już inne zmartwienia.

- On chce z ciebie zrobić woskową kukłę - rzekła prędko Sacza, chwytając jej dłoń i pociągając za rękawiczkę.

- Nigdy.

- Widziałam ją na własne oczy. Trzyma ją w laboratorium.

- Sacza mówiła drżącym głosem. Skorupa soli na jej nogach zaczęła się kruszyć. Monika cofnęła rękę, a wtedy czarna rękawiczka zsunęła się - najpierw z nadgarstka, potem z dłoni, w końcu z czerwonych paznokci.

Sacza ścisnęła w palcach naszywany cekinami jedwab, a przed sobą miała gołe kości zakończone malowanymi paznokciami. Przyglądała im się w niemym przerażeniu. Monika uśmiechnęła się szyderczo.

- A więc teraz już wiesz. Dawno nikt mnie takiej nie widział. Niestety, nie mogę pozwolić, żebyś komukolwiek o tym opowiedziała. Ten sekret musi zostać między nami. Chciałam cię zabrać do twojego przyjaciela, żebyś mogła pobyć z Feliksem i wszystkimi,

których Otto zamknął na tej parszywej farmie. Ale teraz... teraz sprawy mają się całkiem inaczej. - Monika sięgnęła do torebki na ramieniu. Wyjęła z niej srebrne kajdanki.

- Były przeznaczone dla kogoś innego, ale cóż, chyba los ciebie wybrał.

- Nikomu nie powiem, w ogóle nic nie widziałam - mówiła Sacza, zaciskając powieki.

Monika chwyciła dziewczynę za nadgarstek i zapięła go w metalową obręcz.

- Za późno, moje dziecko, za późno. Nie chciałabym, by Otto się dowiedział, że jego dziewczyna gnije od środka. - Monika pociągnęła nosem, jakby miała się rozplakać. - Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, może i jego godziny są policzone - dodała, opinając ciasną obręczą drugi nadgarstek Sączy. - Gotowe. Zostawię cię z twoim przyjacielem i zobaczę najpierw, co Otto ma do powiedzenia na swoją obronę, a dopiero potem rozprawię się z tobą.

W odległym tunelu rozległo się echo zatraskiwanych drzwi. Monika wymamrotała pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Solne okowy na stopach Sączy całkiem się pokruszyły i wiedźma morska pociągnęła ją ku ostrygowisku. Zdawała się przy tym zdenerwowana, jakby co innego pochłaniało teraz jej myśli, a dziewczyna była jej najmniejszym zmartwieniem. Zamglone oczy wiedźmy wysychały coraz bardziej. Bez przerwy mrugała, a jej pudrowana skóra opadała na ziemię całymi płatami.

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedziała wiedźma morska, mijając zakręt i schodząc po stopniach ku pomostowi nad błotnistą sadzawką.

- A krokodyl?

- Mój pupilek? Teraz siedzi pod kluczem, ale będzie was pilnował. Spróbuj pisnąć Ottonowi choćby słowo, a pożegnasz się z życiem - zanim zobaczysz się z przyjacielem.

Sacza spojrzała w dół na parującą, brunatną wodę oświetloną półksiężycem lamp zwieszonych ze stropu groty. Na jej drugim końcu znajdowała się cela, w której ostatnim razem widzieli Feliksa. Nieruchomą taflę mąciło tylko łagodne bulgotanie niezliczonych ostryg. Nad skrajem zbiornika połyskiwało wysypisko otwartych skorup.

- Zamknę cię i pójdę porozmawiać z tym grubym draniem

- mruzczała Monika. Otworzyła drzwi do ciasnej celi i wepchnęła Sączę do środka. - Twój przyjaciel gdzieś tu jest, razem z całą resztą.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Sacza zacisnęła dłonie na kratkach i wyjrzała na zewnątrz. Monika poszła w stronę sadzawki, wlokąc za sobą suknię. Zanurzała się powoli, aż całkiem zniknęła pod powierzchnią bajora.

- Robi to codziennie. Musi się pomoczyć w morskiej wodzie, inaczej by wyschła i umarła - odezwał się głos za jej plecami.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię kiedyś zobaczę. Myślałem, że cię złapali. - Feliks

wygramolił się spod zeszmaczonego koca i wstał.

- Ona mnie zabije - powiedziała cicho Sacza. - Poznałam jej sekret.

Imprimatur

W windzie parowej panował zupełny mrok. Ospale i bez przystanków pięła się z najniższego poziomu hotelowej piwnicy aż na sam szczyt. Mariah Mundi zostawił kapitana na plaży. Uzgodnili, że pójdzie po czarodziejską talię i najpóźniej za godzinę spotkają się w Trisagionie. Stojąc w ciemności, sam na sam ze swoimi myślami i obawami, zastanawiał się, dokąd mogła się udać Sacza. Domyślał się, że jest gdzieś w hotelu i próbuje na własną rękę uwolnić Feliksa. Co takiego ich łączyło, skoro sama poszła mu na ratunek? W ostatnich dniach Mariah czuł do niej rosnące przywiązanie: jej zmienność przypominała mu jego własne rozterki. Miała dzielne serce, ale czasem strach brał nad nią górę. Sumienność walczyła w niej z żywiołowym temperamentem. Poza tym Sacza w ogóle nie przejmowała się ich trudnym położeniem.

Wszystko zaczynało mieć sens. Zwłaszcza Charity był mu wielką pomocą. Nareszcie w jego życiu pojawił się ktoś, na kim Mariahowi zależało - człowiek, którego chciał lepiej poznać i uczynić swoim powiernikiem. Nie musiał już spoglądać w niebo i zwierzać się księżycowi. Charity był jak rodzina, prawie jak ojciec.

Te myśli krzepiły Mariaha, gdy jechał do góry zdyszana windą. Kryła się w nich iskierka radosnego oczekiwania i nadziei na przyszłość. Obecność kapitana sprawiała, że wszystko wydawało się teraz trochę łatwiejsze: chłopiec nie musiał w tej przygodzie polegać wyłącznie na sobie.

*Imprimatur (łac.) - dosł. niech będzie drukowany; zezwolenie, np. autora lub redakcji, na druk dzieła po ostatniej korekcie (przyp. red.).

Dlatego kiedy winda zatrzymała się na ostatnim piętrze hotelu, Mariah był dziwnie spokojny o powodzenie swojej misji. Musiał tylko pójść do pokoju, znaleźć talię Pandžandrum, schować ją głęboko w kieszeni, a potem wrócić po schodach na parter i tam oczekiwać kapitana Charity oraz Kuby w barze obok teatru.

- Proste - powiedział sobie, wychodząc z windy i otwierając drzwi do pokoju. W środku nic się nie zmieniło. Przyciemniona lampa roztaczała przyjemny, delikatny blask. Pościelone łóżko nie nosiło śladów niczyjej obecności. Okno na zatokę było uchylone, zasłony lekko powiewały na wieczornym wietrze. Jednak gdy Mariah przekroczył próg, od razu zorientował się, że coś tu nie gra.

W powietrzu wisiał delikatny zapach, który wydał mu się znajomy. Na kominku,

oparty o zimne płytki niczym kawał kielbasy, tlił się pogryziony niedopałek grubego cygara z rodzaju tych, które palił Otto Luger, ze złotą opaską. Zamykając drzwi, Mariah zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Na chwilę zamarł w bezruchu. Ciszę przerwało łagodne kasznięcie. Chłopiec poczuł, że owiewa go chmura tytoniowego dymu.

- Ciekaw byłem, jak długo zdołam go utrzymać w płucach - odezwał się głos w przerwie między jednym kasznięciem a drugim. - Szukałem cię, Mariahu. Już myślałem, że wyjechałeś na dobre.

Chłopiec odwrócił się i cofnął do okna.

- Pan Black! Czego pan ode mnie chce? Gościom nie wolno przebywać w pokojach dla służby.

- Nie chodzi mi o ciebie, lecz o to, co dostałeś na stacji Kings Cross. Na przykład... talię kart? - odrzekł Black, pocierając podbródek.

- Pierwsze słyszę - Mariah zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i oparł rękę na parapecie.

- Dostałeś ją od Perfidnego Albiona, człowieka, którego spotkałeś na dworcu, zanim wsiadłeś do pociągu.

Mariah mimowiednie zerknął w stronę łóżka.

- Jest gdzieś tutaj, prawda? - spytał ponuro Black, podchodząc do kominka. Sięgnąwszy po cygaro, długo zaciągał się trującym dymem.

- W tym pokoju nie ma nic, co mogłoby pana zainteresować. Wolałbym, żeby pan sobie poszedł i pozwolił mi zająć się własnymi sprawami. - Mariah przysiadł na wąskim parapecie i położył na nim stopę, opierając się niedbale plecami o framugę

- Według mojego kolegi po fachu, pana Basmali, już tutaj nie pracujesz. Podobno rankiem dwoje młodych ludzi, na których ciąży zarzut kradzieży, opuściło hotel, uciekając przed jakimś Grimmem i Grendelem. - Black uśmiechnął się szeroko i Mariah dopiero teraz spostrzegł jego pozłacane przednie zęby. - Podobno ukradli cenne przedmioty należące do Ottona Lugera i zbiegli do miasta, próbując zgubić pościg.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Miałem dzisiaj wolne i spędziłem dzień w towarzystwie przyjaciela rodziny. Jeżeli Basmala chce mnie zwolnić, proszę bardzo. Prawdę mówiąc, wolałbym zarabiać, smażąc ryby. - Mariah siedział już na parapecie i wyglądał przez okno na wąski gzyms oraz rozciągające się w dole morze.

- Czy karty są tutaj? - wniósł Black, wyciągnąwszy kieszonkowy zegarek, który zdawał się świecić i wibrować w jego dłoni.

- W rzeczy samej są bliżej, niż ci się wydaje, panie Mundi. Muszę je odzyskać. Zostały ci powierzone na przechowanie. Mów prędko: co z nimi zrobiłeś? - krzyknął na

chłopca i kopnął w łóżko.

Talia Pandzandrum wypadła z ukrycia i wylądowała na podłodze, wysypując się na dywan przed kominkiem. Dżoker zatrzymał się u stóp Mariaha i spoglądał z ukosa.

- Pandzandrum - szepnął Black, wybałuszając oczy i wstrzymując oddech. Rzucił się na kolana, jakby chciał je wyłapać, zanim rozpierzchną się po całym pokoju. - Nareszcie.

Mariah zwiertzył szansę. Zgarnął dżokera z podłogi, schował do kieszeni i zanim zaprzątnięty kartami Black zdążył go powstrzymać, wyskoczył przez okno, lądując na wąskim gzymsie.

- Nie! - doleciał go okrzyk z wnętrza pokoju. - To nie tak jak myślisz!

Mariah nie zamierzał słuchać. Wiedział, że musi uciekać. Trzymając się mniejszego gzymsu nad głową, stał pewnie na wąskich ceglach. Wokół rozlegał się krzyk mew, które łowiły w locie powiewające kosmyki jego włosów. Nie odważył się spojrzeć w dół. Wiedział, że ma pod sobą fale tłukące o brzeg i że gdyby stracił równowagę, runąłby do wody między skały.

Ręka za ręką przesuwiał się wzdłuż gzymsu w stronę spadzistego dachu. Mewy nurkowały mu nad głową jak mroczne anioły. Jedna przefrunęła tuż obok i dziabnęła go boleśnie w ucho. Krew z rany pociekła mu po twarzy. Trzymał się kurczowo gzymsu, a drwiąca mewa raz po raz śmigła obok, jakby chciała go strącić w przepaść.

Isambard Black wyjrzał przez okno i zawołał:

- Mariahu, wracaj. To nie tak jak myślisz! Chcę ci pomóc!

- Uśmiechał się i wyciągał dłoń w jego stronę.

Mariah odwrócił głowę i ze wzrokiem utkwionym w księżycu odsuwał się coraz dalej. Zrobił jeszcze dwa kroki, po czym zeskoczył z gzymsu na ołowiany dach z balustradą, która sięgała mu do pasa i biegła wzdłuż ściany hotelu.

- Mariahu, wracaj! - krzyczał Black. - Musimy porozmawiać. Wszystko ci wytłumaczę!

Chłopiec zerknął w jego kierunku. Czuł krew ściekającą po szyi. Dotknął ręką zranionego ucha, potem ruszył dalej.

Wiedział, że będzie musiał włamać się do hotelu. Ptaki nie dawały mu spokoju, nurkowały, wystawiając szpony, dziobały go po rękach, gdy próbował się od nich opędzać. Wkrótce znalazł się przy drugiej wieży, dwa metry pod okienkiem celi, w której więziono Albiona.

Widział mdły blask świecy i cień na suficie. Wdrapał się po szarych dachówkach i zajrzał do środka. Albion był sam, stał z jedną ręką przykutą łańcuchem do łóżka. Drugą

próbował sięgnąć kominka, na którym połyskiwał srebrny klucz.

Mariah przywarł do dachu, zdjął surdut i owinąwszy go wokół dłoni, wybił szybę w oknie. Odłamki szkła posypały się do wewnątrz, a wtedy wyjął z ramy pozostałe kawałki, odłożył surdut na parapet i dumnie wskoczył do pokoju.

- Panie Albionie! - Wziął klucz z kominka i natychmiast uwolnił mężczyznę z kajdan.
- Straciłem karty. Zabrał je pewien magik.

Albion spojrzał na drzwi.

- Zostałem porwany i uwięziony. Gdzieś w tym budynku znajduje się magiczne pudełko, które trzeba zniszczyć. To wszystko, co w tej chwili musisz wiedzieć.

- Szkatuła Midasa? - Mariah podszedł do drzwi i obrócił gałkę z masy perłowej.

- Skąd wiedziałeś?

- Ma ją Otto Luger. Teraz chyba już wszyscy wiedzą, co on knuje... - Mariah uśmiechnął się i spojrzał Albionowi w oczy.

- Jestem z kimś umówiony w barze obok teatru. Ten ktoś pomoże nam odzyskać karty. Wynośmy się stąd.

Razem wyszli przez okno, zsunęli się po szarym dachu i pobiegli wzdłuż budynku. Przy wysokim kominie, który buchał parą z generatora, znajdowały się ciemne drzwiczki otoczone czarną poręczą. Prowadziły do nich krótkie schody. Mariah szedł przodem w białej koszuli umazanej krwią. Perfidny Albion podążał za nim niepewnym krokiem i co chwila zerkał na spienione fale. Czarne chmury mknęły po niebie, a na wschodzie, w głębi morza, zanosiło się na sztorm.

Wnet znaleźli się po drugiej stronie drzwi, w długim korytarzu z pokojami gościnnymi po lewej i prawej. Na jego końcu znajdowały się schody prowadzące do jeszcze jednego jasnego korytarza i wreszcie do windy parowej. Mariah pobiegł w tamtym kierunku, nie zdając sobie sprawy, że winda się zbliża.

Drzwi do kabiny otwarły się z brzękiem i wyszedł z niej Isambard Black z krótką laską w dłoni. Gdy usłyszał nadbiegające kroki, przekręcił rączkę, wyjął szablę i schował się w cieniu, trzymając broń w pogotowiu.

Mariah i Albion, niczego nie podejrzewając, biegli w stronę windy. Black wsłuchiwał się w coraz głośniejszy tupot.

Wreszcie wyskoczył na środek ciemnego korytarza i wymachując laską, wrzasnął na oślepa:

- Precz stąd!

- Black? - zawołał Perfidny Albion, przyglądając się mężczyźnie. - Isambard Black?

- Niemożliwe... Albion? - W głosie Blacka pobrzmiwało zaskoczenie, jakby odnalazł kogoś po długiej rozłące. - Perfidny Albion? Trzeba trafu...

- Nie ma w tym nic z przypadku, Isambardzie - oznajmił Albion, prostując się i wyciągając do niego rękę. - Uratował mnie ten oto młody nicpoń. Pozwólcie, że przedstawię was bardzo krótko: Mariah Mundi, Isambard Black.

Mariah spoglądał to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Zastanawiał się, którądy uciekać, lecz wiedział, że jeśli wróci na dach, zapędzą go w kozi róg. Black, który stał przed nim na długość szabli, mógłby z łatwością ściąć go jednym ciosem.

- My się znamy... To on zabrał Pandżandrum - rzekł Mariah, cofając się za Albiona.

- I nic mu nie powiedziałaś, Isambardzie? - spytał Albion łagodnym tonem.

- Nie pytał. Próbowałem, ale wyskoczył przez okno i uciekł po dachu jak wystraszony szczur - odparł ze śmiechem Black. Mariah pierwszy raz widział na jego twarzy promyk wesołości - zniknął z niej stwardniały grymas znany mu z pociągu, a pojawił się niepodobny do niego serdeczny uśmiech.

- A więc masz karty? - zapytał Perfidny Albion.

Isambard Black wyciągnął dłoń w rękawiczce i pokazał mu pudełko z talią Pandżandrum.

- Wszystkie prócz jednej, którą Mariah schował do kieszeni. Czyli dzokera.

- Pan także maczał w tym palce? - Mariah zwrócił się do Albiona, robiąc krok do tyłu.

- Czy maczał w tym palce? - roześmiał się Black. - Mało powiedziane!

- Mariahu, poznaj mojego brata, Isambarda Blacka, który tak jak ja, ty i kapitan Charity jest absolwentem Szkoły Kolonialnej. Mówiąc najkrócej, śledziliśmy cię, odkąd wyjechałeś z Londynu. Niestety, okazało się, że i mnie śledzono. Dlatego powierzyłem ci karty. Wiedziałem, że będziesz miał tutaj dobre towarzystwo i że mój brat cię ochroni.

- Ale przecież macie różne nazwiska? - zauważył Mariah.

- Owszem, jesteśmy z różnych matek, ale mamy jednego ojca. Powiedzmy, że pułkownik Albion lubił zaglądać do pomieszczeń dla służby... Urodziliśmy się obaj w tym samym roku, a stary pułkownik łaskawie nas przygarnął.

- Ciebie przygarnął jako spadkobiercę, a mnie wziął na doczepkę - wymamrotał Black.

- To znaczy, że znał pan kapitana Charity, zanim spotkaliście się w pociągu? - spytał Mariah ze złością.

- Jak mógłbym zapomnieć starego, poczciwego Jacka Charity? Przez te cztery lata nic nie stracił ze swej surowości.

- A więc jestem pionkiem sterowanym przez królową, która kieruje i białymi, i

czarnymi? – Mariah spoglądał na nich z oburzeniem.

- Naszym zadaniem jest odnajdywanie cennych przedmiotów. Rzeczy nietypowych, które mogłyby wzbudzić... panikę wśród ludzi, którzy... - plątał się Albion.

- Wśród ludzi nieprzywykłych do zjawisk nadprzyrodzonych - dokończył za niego Black tonem rzeczowym i obojętnym.

- Takich jak karty przepowiadające przyszłość albo pudełka zmieniające wszystko w złoto.

- Szkatuła Midasa? - domyślił się Mariah.

- W rzeczy samej. Jesteśmy tu po to, żeby zarekwirować te przedmioty i naprawić szkodę, którą zdążyły wyrządzić - wyjaśnił Isambard Black.

- Czyli jesteście z policji? - Mariah usiłował poukładać sobie wszystko w głowie.

- Niezupełnie. Pracujemy dla Biura Antyków - odparł Black, prostując kołnierz i chowając szablę do laski.

- Jesteśmy łowcami duchów - wtrącił z uśmiechem Albion.

- Mamy znaleźć szkatułę Midasa i zniszczyć ją, zanim Otto Luger przemieni wszystko w złoto. Inna sprawa, że według naszych przypuszczeń on wcale nie jest tym, za kogo się podaje.

- Prawdziwy Otto Luger nie żyje - oznajmił Mariah, naśladowując ich manierę mówienia rzeczowym tonem o sprawach doniosłej wagi. - Widziałem jego ciało w fundamentach hotelu. Został zasztyletowany.

- A więc miałeś rację, Isambardzie - stwierdził Albion. - To musi być Gormenberg...

Mężczyźni popatrzyli na siebie, a potem na chłopca. Isambard Black skinął głową do Albiona i znacząco uniósł brew.

- Chociaż wygląda zupełnie jak Luger na obrazach wiszących w hotelu - zauważył Mariah.

- To artysta innego rodzaju. Rzeźbiarz i najlepszy twórca figur woskowych w Europie. Odtworzył twarz Lugera tak dokładnie, że nawet najbliżsi znajomi nie dostrzegli różnicy. Śledzimy go od wielu lat. Jakiś czas temu słuch o nim zaginął. Potem dotarły do nas wieści, że ktoś odnalazł szkatułę Midasa. Gormenberg ukradł cudzą tożsamość, zabił człowieka i podszył się pod niego. To nie takie trudne, wystarczy chcieć i trochę się na tym znać. Rozkręcił tu nie byle interes. - Black wygrzebał z kieszeni zegarek.

- Skąd pan wiedział, że mam Pandzandrum? - spytał Mariah.

- Mam swoje sposoby. Pamiętasz, jak się przewróciłem w pociągu? Upuściłem wtedy czaszkę, wiedziałem, że ją znajdziesz. W środku był kamyk odlupany z większego kawałka.

Gdy inny wprawiony w złoto odłamek z tego samego kawałka znajdzie się w pobliżu, zaczyna wibrować. Nie wiem, jak to działa, w każdym razie mając przy sobie zegarek, mogę go bez trudu odnaleźć. Popatrz. - Black pokazał Mariahowi wspomniany zegarek: gruba wskazówka sekundowa świeciła się i była zwrócona w kierunku jego pokoju. - Domyśliłem się, że schowasz karty i czaszkę w jednym miejscu. Albion napisał w telegramie, że przekazał ci talię, a resztę zrobiła za mnie, hm, współczesna technika.

- Ale widziałem, jak rozmawiał pan z Basmalą, a on pracuje dla Lugera - wytknął Mariah.

- Powiedzmy, że po rozmowie ze mną Basmala zmienił swoje zapatrywania - odparł Black i znowu się zaśmiał.

- Szkoda w takim razie, że nie raczył mnie uwolnić, kiedy przyszedł do mnie z kolacją - powiedział z przekąsem Albion.

- Nie wiedział, że jesteście braćmi ani że pracujemy razem. Przed spektaklem powiedział mi dokładnie, gdzie cię uwięziono. Ale dość gadania. Mamy zadanie i musimy je wykonać o północy. - Black zamilkł i spojrzał na chłopca. - Jeszcze jedno - rzekł powoli. - Dżoker. Włóż go do talii.

Black wyciągnął ku niemu karty. Mariah wyjął dżokera z kieszeni i wsunął go w sam środek talii. Karty zadrżały mu w dłoni, jakby dostały czkawki.

- Rozumiem, że postanowiłeś sprawdzić, do czego są zdolne? - spytał Black.

- Nigdy więcej - odparł chłopiec.

- Słusznie. Lepiej nie ruszać takich rzeczy, jeśli się nie wie, co z nimi zrobić. Te karty można zniszczyć tylko w jeden sposób: zmieniając je w złoto. Potrzebujemy do tego szkatuły Midasa. Później spotka ją ten sam los.

- Dlaczego karty trzeba zniszczyć?

- Nie chcemy, żeby ludzie zaglądali w przyszłość. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Ale człowiek jest z natury ciekawy. Nie potrafimy się zadowolić teraźniejszością. Pandżandrum to wie idlatego podsuwa nam półprawdy. Czerpie obrazy z przyszłości, ale także z naszej wyobraźni. - Albion postukał palcem w paczkę kart spoczywającą w wyciągniętej dłoni Blacka. - One są jak żywa istota. Ale wkrótce staną się już tylko czystym złotem.

- Jak zamierzacie odnaleźć szkatułę Midasa? - zapytał Mariah, gdy winda zaszumiała w odpowiedzi na wezwanie z niższego piętra. - Ona może być wszędzie.

- O północy Gormenberg będzie próbował jej użyć, a wtedy my skrócimy jego niedolę.

- Ukradniecie szkatułę?

Black i Albion zawahali się i wymienili spojrzenia.

- Najpierw zgładzimy Gormenberga - odparł cicho Albion.

- Taka jest polityka Biura Antyków. Żaden świadek nie może zostać przy życiu.

- A co będzie ze mną? - spytał powoli Mariah.

- Twój los zdecydował się w dniu, w którym opuściłeś Szkołę Kolonialną - oznajmił spokojnie Black.

Trisagion

Okute mosiądzem skórzane drzwi do Trisagionu były zamknięte od wewnątrz. Kiedy Mariah delikatnie do nich zapukał, w otworze na listy pojawiła się para ciemnych oczu.

- Słucham? - spytał głęboki głos o równie ciemnej barwie.

- Przychodzę do kapitana Charity - odparł Mariah, podnosząc wzrok. - Jestem umówiony.

Mężczyzna obrzucił go surowym spojrzeniem. Potem rozległ się szcęk zamka i drzwi się otworzyły.

- Tylko prędko! - zaznaczył. - Nie jesteś mieszkańcem ani członkiem klubu.

Mariah pospiesznie wszedł do środka. Znalazł się w dużym, zadymionym pomieszczeniu przypominającym salon na ogromnym statku oceanicznym. Na drugim końcu sali ciągnęły się rzędy okrągłych okien w mosiężnych ramkach. Nad nimi wisiał maszt przystrojony flagami statków kupieckich i okrętów wojennych. Wzdłuż bocznej ściany ciągnął się ręcznie rzeźbiony hebanowy bar. Stał za nim wysoki, chudy mężczyzna o niemrawym spojrzeniu, z cienkim wąsem, który wyglądał jak pajęcza noga przyklejona do górnej wargi.

Portier ponaglił Mariaha szturchnięciem w plecy. Chłopiec rozejrzał się po sali za kapitanem. Wyfroterowana drewniana podłoga była zastawiona morzem wysokich krzesel podobnych do rafy koralowej. Z każdego z nich unosiła się smuga błękitnego dymu. Ciszę zakłócały jedynie sporadyczne kasznięcia i szelest gazet wielkich jak żagle.

Portier znów szturchnął Mariaha i wskazał krzesło przy wysokim marmurowym kominku, w którym płonęły drewniane kłody. Mariah ruszył przed siebie, a ozdobny zegar na kominku zaczął wybijać godzinę w rytm jego kroków. Idąc między krzesłami, Mariah zerkał ukradkiem na boki. Większość usadowionych gości chowała się za szpaltami gęstego, czarnego tekstu, tak że widać było tylko ich tłuste palce na brzegach stron. Każde krzesło miało własny kandelabr przymocowany do szerokiego oparcia. Świece dawały jasne światło

przebijające przez papier, na którym kładły się cienie czytających. Ponadto każdy gość miał własny hebanowy stoliczek obity z wierzchu skórą. Tu i ówdzie stała kryształowa karafka, mniej lub bardziej pusta. Poza tym na wszystkich stolikach była szklanka do whisky, metalowa popielniczka i nożyk do cygara.

W czterech kątach salonu czekali kelnerzy w czarnych frakach. Każdy z nich stał z tacą w ręce i milcząco łowił wzrokiem niezauważalne skinienia gości. Idąc środkiem sali, Mariah czuł na sobie spojrzenia kelnerów. Zdawało mu się, że wiedzą, do kogo przyszedł, gdyż wciąż łypali to na niego, to na krzesło przy kominku.

Charity siedział w cieniu, kandelabr na jego krześle był zgaszony. Kapitan miał nogi zawinięte w koc, a na dłoniach białe rękawiczki.

- Mariahu - odezwał się na jego widok ściszym głosem, tak by nikt inny go nie słyszał. - Znalazłeś karty?

Mariah zawahał się i zerknął ku palenisku.

- Znalazłeś? - powtórzył kapitan półszepem.

- Tak... i nie... - odrzekł Mariah.

- Masz je czy nie? - niecierpliwił się Charity.

- Nakryto mnie. Kazano mi dać panu to. - Chłopiec wyciągnął rękę i wetknął w dłoń kapitana bilecik wizytowy.

Charity odczytał tłoczone złote litery:

- Isambard Black... Biuro Antyków.

- Prosimi, bym panu przekazał, że spotkają się z panem przed gabinetem Lugera o północy.

- Prosimi? Jest ich dwóch? - zdziwił się Charity.

- Tak. Wzięli Pandzandrum na przechowanie. Powiedzieli, że pan ich zna. Że znacie się od dawna i że... - Mariah urwał w pół zdania. Czuł w duszy, że coś jest nie w porządku.

- Istotnie - powiedział Charity, opierając się na krześle.

- A więc już przybyli... Dobrze - ciągnął z namysłem. - Chcę cię o coś prosić. Weź ten klucz i zejdź do piwnicy. Portier pójdzie z tobą. Nie martw się, to zaufany człowiek. Poczekaj na mnie przy drzwiach prowadzących nad morze. Dołączę do ciebie, kiedy wszystko tutaj załatwię. Znajdź Albiona i Blacka i zabierz ich ze sobą. - Charity zakasłał, jego głos jakby się zmienił.

- A teraz idź już. Tutaj wolno przebywać tylko członkom klubu.

Mariah z wahaniem spoglądał na zacienioną twarz. Charity wysilił się na półuśmiech i lekko skinął głową. Chłopiec miał wrażenie, że skóra na twarzy kapitana poruszyła się, jakby

topniejąc w gorącym blasku ognia.

- Idź już - powtórzył Charity, dotykając podbródka i wachlując się złożonym egzemplarzem „London Times”. - Mój człowiek zaprowadzi cię do piwnicy. Pospiesz się.

Mariah skinął głową i oddalił się. Nie wiedział, czy to, co przed chwilą zobaczył, było tylko przywidzeniem, czy jakąś anomalią przyrody.

- Tędy - portier przeszył go wzrokiem. - Wiem, dokąd idziesz. Masz klucz? - Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z daleka, z innego kontynentu, z krainy rozdartej wojną i rewolucją. - Pojedziemy windą, tak będzie najszybciej.

Mariah nie zdążył się jeszcze zastanowić, a już byli na korytarzu. Obejrzał się i spostrzegł Albiona i Blacka w hotelowym holu. Siedzieli na długiej kanapie z czerwonymi frędzlami. Albion zaciskał dłoń na skórzanej torbie, a Black bawił się laską, turlając ją z ręki do ręki.

Mariah obejrzał się na portiera, który popychał go naprzód. Miał świeżą szramę na policzku przypominającą podłużny kawał solonego mięsa i wydętą jakby na znak pogardy.

- To musiało boleć - zauważył chłopiec, wskazując bliznę.

- Wypadek przy pracy. Moja wina. Byłem nie dość szybki - odparł wyniośle mężczyzna.

- Od dawna zna pan kapitana Charity? - spytał Mariah.

- Charity? - powtórzył tamten, pocierając brodę. - Ach! Kapitan Charity! - Z uśmiechem otworzył drzwi do windy parowej i już miał wejść do środka.

- Albionie! Isambardzie! - wykrzyknął nagle Mariah, puszczając się biegiem w ich kierunku. Portier ewidentnie nie wiedział, o kim mowa.

- Nie! - Mężczyzna doskoczył do chłopca, chwycił go za ramię i pociągnął do windy. - Pójdziesz ze mną. - Szarpał go za rękaw, aż materiał na ramieniu zaczął pękać.

- Albionie! - krzyczał Mariah i wymachiwał rękoma, usiłując zwrócić na siebie uwagę. - Ratunku! - Potem przewrócił się na podłogę.

Albion podniósł wzrok. Widząc, co się dzieje, zerwał się i pobiegł w stronę windy.

- Prędko, Isambardzie - rzucił do przyrodniego brata.

- Złapali Mariaha.

Obydwaj pędzili wzdłuż korytarza, gdy nagle otworzyły się drzwi do Trisagionu i wyszedł z nich skarłały kapitan Charity.

- Jack! - krzyknął Black, obracając rączkę laski i wysuwając ukrytą szablę. - Mają chłopca!

Charity nie zareagował. Stał w marmurowym korytarzu, trzymając się za policzek,

który jakby przeciekał mu przez palce.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Black. - Uciekną nam! Charity sięgnął do kieszeni kamizelki i dobył srebrny pistolet.

- Ani kroku - powiedział, mierząc w nich i powoli zbliżając się do windy. - Jeden ruch i będzie po was.

- Nie bądź głupcem - Albion podszedł bliżej. - Powieszają cię.

Charity wycelował pistolet.

- Gustaw! - zza woskowej maski doleciał głos Ottona Lugera.

- Przytrzymaj windę. Mamy nieproszonych gości. - Luger jedną ręką zdarł topniejący wosk z twarzy. - To nie było moje najlepsze dzieło, ale najważniejsze, że odniosło skutek. Nie ruszaj się, panie oficerze, jeśli ci życie mile.

- Gormenberg! - wycedził Albion, zatrzymując się. - Po tych wszystkich latach w końcu się spotykamy. Ścigaliśmy cię po całym świecie, a ty założyłeś pensjonat przy ostatniej stacji.

- Pensjonat? To najlepszy hotel świata, perła w morzu wodorostów. Tak czy inaczej, będziecie musieli mnie szukać od nowa, bo postanowiłem zniknąć. Morskie powietrze dobrze mi zrobiło i chyba mogę już wrócić do miasta. - Gormenberg zdrapywał resztki wosku z twarzy. - Biuro Antyków nigdy mnie nie odnajdzie.

- Szukamy szkatuły Midasa, Gormenberg. Już dawno należało ją zniszczyć.

- Panowie, spokojnie. Gdybym to ja nią rozporządzał, spełniłbym waszą prośbę. Obawiam się jednak, że o szkatule Midasa mogą decydować wyłącznie ludzie wzniosłego charakteru. Czyżby w Biurze brakowało pieniędzy? Potrzebujecie zastrzyku złota?

- Gdyby o to chodziło, skorzystalibyśmy z Kamienia Filozoficznego, który mamy już od wielu lat. - Black wysunął szablę z laski. - My nigdy nie odchodzimy z pustymi rękoma.

- A z pustą głową? - spytał Gormenberg, mierząc do Blacka z pistoletu.

Black i Albion z kamiennymi twarzami szli w jego stronę.

- Wolicie chronić jego niż siebie? - zdziwił się Gormenberg i skierował broń w stronę chłopca. - Jeszcze jeden krok, a strzelę mu prosto między oczy.

- Śmiało, Gormenberg! Na co czekasz? - zawołał Mariah, wymierzając portierowi kopniaka w goleń.

- Niech pan zastrzeli tego smarkacza - krzyknął tamten, odskakując ze strachu przed twardą podeszwą chłopca.

- Później. - Gormenberg prędko wszedł do windy z Mariahem oraz portierem i zdecydowanym ruchem zasunął drzwi. - Nie czekajcie na nas, panowie. Wszystkie wejścia do

piwnicy są pozamykane, a winda parowa zostanie wyłączona. A zresztą... zostańcie tam, gdzie stoicie. Gwarantuję wybuchową atmosferę. Poczekajcie tylko, aż zamknę zawór parowy.

Winda raptem spadła w dół. Mijała piętra w locie, aż nagle powietrzne hamulce zaczęły ją spowalniać.

Gormenberg złapał Mariaha za ucho.

- Cieszę się, że jesteś tu z nami. Będziesz miał świetne miejsce z widokiem na koniec świata. Twojego świata.

- Gdzie jest Charity? - spytał Mariah. Jego własny los był mu teraz obojętny.

- Został schwytany, unieszkodliwiony i związany. Z przykrością stwierdzam, że nie był godnym przeciwnikiem. Oto pragnienie mojego życia: stanąć w szranki z wrogiem, który jest coś wart. - Gormenberg odkleił z twarzy ostatnie kawałki wosku i spojrzał Mariahowi prosto w oczy. - Miałeś przed sobą duże możliwości, chłopcze. Nie chciałem cię zsyłać między ostrygi. Myślałem, że przydasz mi się w prawdziwym świecie.

- Mój ojciec powiedział...

- Z tego, co mi wiadomo, twój ojciec już dawno niczego nie mówił - uciął Gormenberg, targając chłopca za ucho i wywlekając go z windy na krótki, wąski korytarz, który prowadził do laboratorium. Krzyknął na portiera, a ten wepchnął Mariaha do środka.

W pomieszczeniu pełno było zakurzonych magicznych akcesoriów Basmali oraz nowoczesnych urządzeń. Przy długim stole siedzieli Feliks i Sacza, oboje w kajdanach przykutych łańcuchem do ziemi. Przed nimi stały miski z brunatną owsianką, w której połyskiwały białe perły. Więźniowie oderwali wzrok od ściany i spojrzeli w stronę wchodzącego Gormenberga.

- Macie jeść! Przecież mówiłem! - ryknął i uderzył pięścią w stół. - Skoro nie mogę użyć figur woskowych, będę musiał posłużyć się wami. - Przemierzył pomieszczenie i zdjął pokrywę z metalowej kadzi, z której sączyła się na podłogę mroźna para. - A gdy skończycie jeść... - Urwał i zaśmiał się pod nosem, a potem zwrócił do swojego pomagiera. - Wsadź go do sarkofagu i zamknij na fest, żeby nie uciekł. Może też będzie potrzebny. No dalej, żreć!

Zanim Mariah zdążył odezwać się do Sączy, Gustaw zaciągnął go na drugi koniec pokoju, wepchnął przodem do malowanej trumny opartej o ścianę, po czym zatrzasnął dwuskrzydłowe wieko i przekręcił klucz.

Mariah usłyszał odgłos kroków opuszczających laboratorium i trzask zamykanych drzwi.

- Mariah - szepnęła Sacza, przełykając perły. - Wyłapali nas wszystkich. Kapitan

Charity jest za ścianą. Luger chce, żebym zjadła perły. Potem nas zamrozi i załaduje na statek do Francji. Pokazał nam, co jest w tej kadzi. To substancja, która zamraża wszystko szybciej niż mróz. Nie ma dla nas ratunku.

- Dlaczego nie poczekałaś? Mieliśmy plan.

- Chyba jednak nie zadziałał, skoro wszyscy wpadli - odezwał się Feliks, powoli międląc w ustach owsiankę z perlami.

Mariah zlekceważył jego słowa i zaczął macać wewnątrz sarkofagu.

- Sacza, spotkałaś Krakena? Szedł za tobą do hotelu.

- Spotkałam tylko Monikę. Ona naprawdę jest wiedźmą morską. Potrafi przechodzić przez zamknięte drzwi.

- To zupełnie jak ja - odparł Mariah i nagle ku ich wielkiemu zdumieniu pojawił się za ich plecami. - Wzięli trumnę należącą do Basmali. To taka magiczna sztuczka, wystarczy wiedzieć, jak otworzyć spód i... hokuspokus! Oglądałem tę trumnę pierwszego dnia.”

- Nie ma się z czego cieszyć, Mundi. Jeszcze nas stąd nie wydostałeś - rzekł Feliks, zwracając uwagę na ciemną stronę rzeczywistości.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię kiedyś spotkam, Feliksie Schlemihlu. Kiedy wyjeżdżałeś ze szkoły, mówiłeś, że chcesz się dorobić milionów. Nie poszło ci?

- Wy się znacie? - zdziwiła się Sacza.

- Pewnie, że znam tego marzyciela - odparł cicho Feliks, któremu nie podobało się, że jego los znalazł się w rękach Mariaha.

- Bez przerwy tylko gapił się w chmury albo w księżyc i gwiazdy. Życie w ogóle go nie obchodziło. Powiedz, Mundi, czy nie było tak, jak mówię?

- A ty nie znęcałeś się nad innymi, nie oblewałeś ich wodą, kiedy spali, nie wkładałeś im karaluchów do łóżek? Nie wrzuciłeś szczura do kotła z zupą? Nie kazałeś pierwszacom pić wody z grzybów? Co, Schlemihl? - wycodził Mariah przez zęby.

- To nie czas - krzyknęła ze złością Sacza, gdy Mariah, zaciskając pięści, zbliżył się do Feliksa. - Luger niedługo wróci.

- To nie jest Otto Luger. Nazywa się Gormenberg i jest oszustem. Black pracuje dla Biura Antyków, tak samo jak Perfidny Albion. A w ogóle to kapitan Charity jest... - Mariah urwał w pół zdania i popatrzył na ich zdumione twarze. - Tyle mam ci rzeczy do opowiedzenia, Saczo. Spójrz, co dostałem od kapitana. Na całym świecie są tylko trzy takie.

Mariah z dumą wyciągnął sztylet z trzema ostrzami, które zaśniły w blasku świec.

- Po co ci to dał? - spytała Sacza, potrząsając łańcuchem, którym przykuto ją do podłogi.

- Powiedział, że to dla mojego dobra. Że kiedyś mi się przyda. Teraz już chyba rozumiem. - Mariah chwycił łańcuch, wetknął czubek jednego z ostrzy w zamek i zaczął nim obracać. Niedługo potem Feliks był wolny. Roztarłszy nadgarstki, podbiegł do drzwi i wyrzwał przez dziurkę.

- Nic z tego - powiedział z rozpaczą w głosie i rozejrzał się po pokoju. - Zostawili klucz w drzwiach.

Mariah nie zwlekał ani chwili. Najpierw prędko uwolnił Sączę, a potem wziął z półki arkusz starej gazety, wsunął go pod drzwi, po czym wepchnął ostrze sztyletu w zamek. Chwilę później klucz wypadł z dziurki po drugiej stronie. Wtedy Mariah wciągnął sztywną gazetę z powrotem do pokoju - razem z kluczem. Feliks uśmiechnął się.

- Ten Mariah Mundi to jednak spryciarz. Chyba mam konkurencję - powiedział ze sztucznym śmiechem.

- Nauczyłem się tego w Szkole Kolonialnej. To ja zdemolowałem ci pokój i spaliłem twoje pieniądze. Tak właśnie zdobyłem klucz ze stróżówki. Nikt się nie zorientował. Bilton myślał, że sam to zrobiłeś. No a teraz się doigrałeś. Miałem ubaw, kiedy cię zobaczyłem za kratami. Najchętniej bym cię tam zostawił na zawsze. Liczyłem, że smokodyl zje cię żywcem.

- To dlaczego wróciłeś? - odgryzł się Feliks, cały czerwony ze złości.

- Nie po ciebie, tylko po nią. Przez ciebie moje życie stało się koszmarem. Dzień, w którym wyjechałeś ze szkoły, był najszczęśliwszym w moim życiu. Uważałeś się za dorosłego, bo byłeś o rokstarszy. A tu proszę: kto musi ratować twoją skórę? Ja! - Mariah uniósł sztylet. - Jesteś żaloszny. Teraz to widzę. Zawsze zgrywałeś żartownisia, naśmiewałeś się z innych, ale takie żarty boją, i to bardzo. Nie chciałem mówić Sączy, że cię znam. Wolałem o tobie zapomnieć.

- Przestańcie! - krzyknęła Sacza. - Luger zaraz wróci, a wy się użeracie.

- To on zaczął - odpowiedzieli jednocześnie, wytykając się palcami, jakby mieli to dobrze przećwiczone.

- Ona ma rację - przyznał niechętnie Mariah. - Zostawmy to na kiedy indziej. To może poczekać.

- Nawzajem - odburknął Feliks.

- Wyprowadzisz nas stąd? - zapytała Mariaha Sacza.

Lecz było już na to za późno. Drewniane drzwi zadrżały i zaczął się z nich wyłaniać kontur ludzkiego ciała. Najpierw twarz, potem ramiona, aż w końcu zmaterializowała się przed nimi cała postać.

- Moi milusińscy - rzekła Monika. Ociekała błękitnym płynem, który utworzył wielką

kałużę u jej stóp. - Chyba się nigdzie nie wybieracie? Nareszcie wszyscy razem - dodała, wodząc wzrokiem po ich twarzach.

Mariah ukrył nóż za plecami i zaczął się przesuwac w poprzek pokoju. Sacza wpatrywała się w Monikę. Odór słonej wody i martwych ryb zionął od wiedzmy i wypełniał pomieszczenie niczym fale przyływu. Mgliste opary spływały jej z ramion na kształt białego kaptura. Upudrowana twarz wyglądała teraz świeżo i młodo, a na ustach połyskiwała wyrazista czerwona szminka.

- Widzę, że zjedliście perły... Doskonale, mogę was teraz wykąpać w ciekłym azocie i zamrozić przed podróżą. Kto pierwszy na ochotnika? - spytała, zerkając to na Feliksa, to na Sączę. - Chyba... Feliks.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, złapała chłopca za gardło. Silnymi dłońmi uniosła go w powietrze i zaciągnęła nad każdą pełną lodowatej pary.

Feliks krzyczał i spoglądał na Mariah wzrokiem błagającym opomoc. Sacza próbowała się ruszyć, lecz gruba skorupa soli okryła jej nogi i trzymała ją w miejscu z mocą cementu. Mariah także stał skuty solą aż po pas. Monika ze śmiechem wlokła Feliksa ku metalowej kadzi.

- Ten chłopiec będzie wyglądał lepiej niż wszystkie figury woskowe Ottona - stwierdziła.

- On wcale nie ma na imię Otto. Nazywa się Gormenberg - zawołał Mariah.

- Co takiego?

- Naprawdę - ciągnął Mariah. - Zabił Ottona Lugera. Mogę ci pokazać jego szkielet w fundamentach hotelu. Otto już dawno nie żyje. Gormenberg cię okłamuje i chce cię zabić.

- Widząc, że Feliks jest coraz bliżej kadzi, Mariah w pośpiechu wyrzucał z siebie słowa.

- Wiedziałabym o tym. Mówi mi o wszystkim - odparła Monika, nie zatrzymując się ani na moment. Zaciśnęła dłonie na gardle Feliksa i chłopiec przestał się wrywać.

Jej niewypowiedziane zaklęcia działały bardzo szybko: Mariah czuł, jak coraz to nowe kryształki skamieniałej soli wcinają mu się w ciało. Monika uniosła Feliksa nad pierwszym z trzech stopni prowadzących na skraj mroźnej kadzi. Wisiał bezwładnie w jej zaciśniętych dłoniach, nie dając znaku życia. Wiedzma zaśmiała się, a kiedy wchodziła na ostatnie stopnie, wrzask przerażonej Sączy wypełnił laboratorium.

- Obiecuję, że to nie potrwa długo - przekrzyczała ją Monika. - Śmierć nie jest taka zła. Tyle osób już umarło i jakoś nikt nie narzekał. - Roześmiała się znowu, podczas gdy Sacza szarpała się z solą, która sięgała jej do pasa. Nogi dziewczyny przypominały

śniegowego bałwana.

- Zostaw go, błagam! - krzyczała przez łyzy.

Mariah popatrzył na morską wiedźmę i wydało mu się, że słyszy słowa kapitana Charity: „Zabija nie tylko ciało, również duszę i umysł. Odsyła na wieczny spoczynek nawet najstraszliwsze trupiory”.

- Weź mnie! - zawołał, gdy Monika upuściła Feliksa na schody, gotowa lada moment wepchnąć go do kadzi z ciekłym azotem.

Wiedźma zatrzymała się i podparta pod boki spojrzała w jego stronę, zadzierając głowę z szyderczym śmiechem.

- Twoja kolej jeszcze nadejdzie - odrzekła tonem reprimendy.

Mariah wykorzystał sposobność. W okamgnieniu wyjął rękę zza pleców i gwałtownie ją prostując, wypuścił potrójne ostrze.

Pofrunęło jak nurkujący sokół, z jękiem i świstem puło powietrze, mknąc ku wiedźmie morskiej. Znało widocznie swój cel, gdyż w ułamku sekundy przebiło ciasną suknię, aż trysnęły cekiny. Nóż zniknął w jasnozielonym błysku, wyleciał z drugiej strony i utkwiał w ścianie.

Monika ze śmiechem na ustach przyłożyła rękę do piersi, po której rozlewał się błękitny płyn.

- Nic mi nie zrobisz... Nie jestem z krwi i kości... Jestem wiedźmą morską...

Pochyliła się nad Feliksem, by wepchnąć go do kadzi z ciekłym azotem. Chłopiec jęknął, gdy chwyciła go za pierś i pociągnęła w stronę lodowatych oparów.

- To na nic! - zawołała zrozpaczona Sacza z oków stwardniałej soli, która pięła się po jej ciele.

Wtedy wiedźma morska zatrzymała się i spojrzała na Mariaha. Wciąż była uśmiechnięta, lecz po jej twarzy przemknął cień zaniepokojenia. Błękitny płyn rozlewał się coraz obficie. Obejrzała się na tkwiący w ścianie sztylet i w tej samej chwili wystrzeliły z niej prążki zielonego światła. Z trudem łapiąc oddech, położyła dłoń na świecącej ranie, jakby chcąc zatamować upływ żywotnej energii.

Feliks odzyskał dech w piersiach. Sacza wyrwała się z topniejącej skorupy soli. Wiedźma dyszała coraz ciężiej, tak jakby w powietrzu nagle zabrakło życiodajnego tlenu. Niezliczone iskry niczym świetliki wyfruwały z jej przebitej piersi. Rozglądała się po laboratorium, szukała czegoś wzrokiem i wyciągała rękę jakby za kimś znajomym.

Konała. Widząc to, Mariah zbliżył się do niej. Twarz miał pobladłą, w jego oczach nie malowały się żadne emocje. Wiedział, że Monika musi zginąć, a on, Mariah, może pozbawić

ją życia.

Paroma krokami przemierzył pomieszczenie. Feliks w napięciu śledził jego ruchy. Sacza chwyciła go za rękę, lecz Mariah wyrwał się, odtrącił ją i podszedł do wiedźmy.

- Skoro ktoś musi być pierwszy, będziesz to ty - powiedział w zamyśleniu, jakby dawał się kierować jakiejś wewnętrznej sile.

- Żaden świadek nie może zostać przy życiu.

Wszedł po stopniach nad skraj lodowatej kadzi i chwycił Monikę za but, który wyglądał jak namalowany na jej przezroczystej stopie. Obrócił go i pociągnął nogę wiedźmy ku sobie, potem wszedł niżej i bez słowa zepchnął ją do zbiornika. Wreszcie złapał Feliksa i odciągnął go od kadzi.

Monika po cichu, z łabędzią gracją zanurzyła się w zimnej kadzi. W ostatniej chwili przed śmiercią spojrzała z uśmiechem w stronę Mariaha, jakby zobaczyła jego przyszłość i wiedziała o wszystkim, co go czeka w życiu. Potem pogrążyła się w lodowatych odmętach, a w laboratorium rozbrzmiał trzask pękających kości. Chwilę później wypłynęła na powierzchnię całkiem zeszywniała, z nieruchomo wyciągniętą dłonią, jakby błagając o litość.

Mariah podniósł Feliksa z podłogi i spojrzał mu surowo w oczy.

- Tylko sobie nie myśl - powiedział. - Zrobiłem to dla Sączy.

Pycha

Stojąc w mętym świetle korytarza, Mariah zajrzał do wnętrza celi przez wąski otwór w drzwiach. Kapitan Charity siedział w kącie z głową w dłoniach, oparty o ścianę.

- Nie mogę otworzyć drzwi - odezwał się Mariah.

- Spotkałem Albiona i Blacka. Wszystko mi opowiedzieli. Wiem, kim pan jest. A Luger tak naprawdę nazywa się Gormenberg.

Charity uśmiechnął się i podszedł do drzwi.

- Gormenberg? Tak też pomyślałem, gdy mnie schwytano. Jeżeli nie dam rady się stąd wydostać, będziesz musiał pójść sam. Znalazłeś Feliksa i Sączę? Słyszałem ich głosy.

- Nic im nie grozi. Zostali w laboratorium. Feliks jest ranny.

- Mariah zamilkł na chwilę, jakby głos uwiązł mu w gardle. Wsunął dłoń przez szparę i złapał kapitana za rękę. - Zabiłem Monikę - wyrzucił z siebie. - Wiedźmę morską.

- Użyłeś sztyletu? Zadziałał?

- Zabił ją - przytaknął Mariah, ściskając jego dłoń.

- Wcale się nie dziwię. Ten sztylet jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Masz go przy sobie?

- Za paskiem - odparł Mariah ciszej, niżby chciał, a już na pewno ciszej niż członkowie Biura Antyków rozmawiający o sprawach doniosłej wagi.

- To dobrze... Znajdź Albiona i szkatułę Midasa, a na pewno znajdziesz też Gormenberga. Sacza pomoże mi się wydostać. Biegnij.

- Gormenberg zamknął zawór parowy. Mówił, że cały budynek wyleci w powietrze. Musicie uciekać.

- Bez obaw, chłopcze. Na razie nie zamierzam żegnać się z tym światem. Niespieszno mi do krainy duchów. Znajdź Gormenberga, ale prędko. Nie pozwól, by wymknął się z hotelu. - Charity mówił szybko. Cella zaczęła się wypełniać parą buchającą z pękniętej rury.

- Ale jak pan się wydostanie? - spytał Mariah, a generator pary raptem przestał hałasować.

- Moja w tym głowa. Rób, co mówię. Znajdź Albiona i Blacka. Będą potrzebowali twojej pomocy. - Gdzieś nad ich głowami zazgrzytały kamienie. Zdawało się, że hotel drgnął w posadach. Ze stropu posypała się chmura gęstego pyłu.

- Nie mogę pana tak zostawić, kapitanie - upierał się Mariah, potrząsając drzwiami celi.

- Poradzę sobie. A ty musisz się pospieszyć - nalegał Charity, na którego spadało coraz więcej pyłu.

Mariah w końcu odwrócił się, lecz natychmiast się zatrzymał i spojrzał przez otwarte drzwi do laboratorium, gdzie Sacza pomagała Feliksowi stanąć na nogach.

Feliks popatrzył na Mariaha z ciemnego wnętrza laboratorium i uśmiechnął się.

- Pomyliłem się co do ciebie. Masz w sobie więcej charakteru, niż sądziłem - powiedział, kuśtykając w stronę wyjścia i trzymając się za szyję, na której wciąż widniały błękitne pręgi.

Mariah skinął głową i odpowiedział uśmiechem. Dawne zaszłości wydawały się teraz strasznie błahe i pozbawione znaczenia. W tych nowych okolicznościach mur wzajemnej niechęci nagle się rozsypał.

- Zabierz Feliksa na plażę - odezwał się Mariah słowami, które zaskoczyły jego samego. - Musicie pomóc kapitanowi wydostać się z celi. Ja mam inne zadanie do wykonania.

Sacza na próżno za nim wołała. Jej słowa, podobnie jak jego szybkie kroki, odbijały się echem w pustym tunelu.

Biegł co tchu, aż stanął przed windą parową. Wcisnął przycisk wśród bulgotu opróżniającego się generatora. Odczekał chwilę, lecz w duszy wiedział, że kabina nie odpowie na wezwanie.

Podłoga była usłana mokrym piachem. Mętne światło ściennej lampy w stłuczonym kloszu rzucało cienie wzdłuż tunelu ku morzu. Mariah jeszcze raz wcisnął przycisk. Gdy po chwili usłyszał w dole jęk pary uciekającej z tłoka, stało się jasne, że winda nie ruszy. Rozejrzał się i zaczął iść przed siebie, wybierając tunele, które wznosiły się do góry, w kierunku hotelu. Było w nich jaśniej i w miarę sucho. Morze zostało daleko z tyłu, a w drobnym piasku w korytarzach nie odciskały się ślady stóp.

Fundamenty ponownie zadrżały, ziemia się zatrzęsała. W gejzerze pod skałami wzrastało ciśnienie. Mariah przemierzył najdłuższy z korytarzy i stanął przed dwuskrzydłowymi drzwiami o klamkach przeżartych solą. Zatarasowano je górą piachu. Obok, przysypana, leżała łopata z pękniętym ostrzem.

Mariah pociągnął drzwi: były zaklinowane. W pierwszej chwili chciał wracać i znaleźć w labiryncie tuneli inną drogę na powierzchnię. Kiedy jednak zajrzał przez popękana szybkę w drzwiach, zobaczył za nimi stopnie prowadzące do kręconych schodów, a więc i do hotelowego holu.

Chwycił za łopatę i rozbił szybkę, lecz okazało się, że drzwi zablokowano po drugiej stronie potężnymi żelaznymi sztabami, jakich nie powstydziliby się żadne więzienie. Mariah zaczął odgarniać drobny, biały piasek. W krótkim czasie usypał za plecami górę wysoką jak on sam, lecz przy drzwiach nadal zalegał spory kopiec. Wbił łopatę głęboko, aż ostrze zgrzytnęło. Zaczął odgarniać piach rękoma, jak najpełniejszymi garściami, aż natrafił na coś twardego jak stal i zarazem gładkiego niczym jedwabna chusteczka.

Zastukał trzykrotnie w tajemniczy przedmiot. Odgłos był głuchy i brzmiał pusto. Po chwili Mariah poczuł, że ziemia poruszyła mu się pod stopami. Nie rozległ się przy tym żaden huk i nie posypał się piasek ze stropu, lecz chłopiec dałby sobie głowę uciąć, że się przesunął. Uklęknął i odczekał chwilę, a potem znów zastukał i odgarnawszy drobny piasek, ujrzał czerwoną skorupę Pagurusa.

Nastąpiło istne trzęsienie ziemi. Zbudzone ze snu stworzenie zatrzęsało nim gwałtownie i przyparło do sufitu, dźwigając się na odnóżach i otrząsając z piachu. Pagurus ciął powietrze szczypcami, a samotne czerwone oczysko przekręciło się na słupku i spojrzało na chłopca.

Kiedy potwór przycisnął go jeszcze mocniej do kamiennego stropu i próbował stamtąd wyskrobać - by następnie poćwiartować zdobycz i wysssać z niej wszystkie soki

- Mariah zanurkował i przywarł płasko do skorupy, w jednej ręce ściskając łopatę, a drugą chwytając bestię za oko. Gdy mu się to udało, krab syknął jak garnek wrzącej wody, po czym odchylił się i rzucając się na boki, usiłował dziabnąć chłopca wysoko uniesionymi

szczypcami. Ostre, czerwone odnóża tańczyły w ciasnej przestrzeni między zamkniętymi drzwiami a górą piasku.

Mariah już raz uciekł przed Pagurusem, lecz tym razem jakiś potężny wewnętrzny głos kazał mu stanąć do walki. Bestia znieruchomiała i starała się wyrzeć zza dłoni zakrywającej jej oko. Poruszała długimi, kolczastymi wąsami, które porastały jej paszczę, jakby smakowała powietrze.

- Tym razem nie ucieknę - powiedział Mariah.

Krab jak gdyby zrozumiał i brzęknął szczypcami niczym szablą.

- Ty czy ja? - spytał Mariah, grożąc bestii wyciągniętą łopata.

Skały ponownie się zatrzęsły, posypał się drobny piasek kłębiący się niby mgłą. Pagurus zadrżał, zgrzyt zaciskanych szczypiec rozszedł się echem po tunelu. Mariah spoglądał na bestię, a ona na niego. Przez chwilę potwór jakby się wahał. Wtedy

Mariah wziął pękniętą łopatę i zmiażdżył ostrzem krabie oko tuż nad swoją dłonią.

Potwór zasyczał, jęknął i zaczął się obracać w miejscu, tnąc powietrze na wszystkie strony. Jednym gwałtownym ruchem zrzucił Mariah z grzbietu, a ogromnymi prawymi szczypcami na oślep uczeplił się drzwi.

Mariah bronił się zaciekle przed dżgającymi odnóżami. Okładał kraba po grzbiecie, lecz łopata odbijała się od pancerza jak od hartowanej stali. Stwór, cofając się, przyparł go do ściany kantem skorupy, a gdy chłopiec osunął się na ziemię, próbował go wbić w piach. Czołgając się u stóp kraba, Mariah spostrzegł na jego brzuchu niezliczoną ilość czerwonych jagód. Otarł się o kolczaste, ostre jak włócznia odnóża, którymi Pagurus usiłował wyłuskać go z kryjówki, po czym z całej siły dźgnął gniazdo jajek, a te posypały się na niego jak świeże żurawiny. Wreszcie wydostał się spod krabiego cielska i wpakował łopatę w sam środek rozwartej paszczy.

Jak obłąkany kręcił trzonkiem, wpychając go coraz to głębiej. Pagurus wywijał szczękami, aż w końcu zacisnął przed nimi kleszcze jak do modlitwy. Kolczaste odnóża najpierw znieruchomiały, a potem zaczęły się cofać, podrygując przy każdym kroku.

Mariah wcisnął ostrze łopaty jeszcze głębiej, na całą długość trzonka. Bestia ryczała i toczyła ślinę, czerwone odnóża zastygły w bolesnym spazmie. Chłopiec dobył sztyletu z potrójnym ostrzem i dźgał nim kraba, babrząc dłonie różowym i zielonym śluzem wylewającym się z jego trzewi. Stwór zatrzęsł się ostatni raz i padł martwy.

Odblokowane drzwi dały się szybko otworzyć. Wilgotnym tunelem Mariah dotarł do kręconych schodów. W powietrzu rozchodził się jęk skrzypiących rur i nagle chłopca przeszyło dojmujące uczucie samotności. Z piwnicznych głębin dolatywało zawodzenie

smokodyla, który porykiwał niczym stary, głodny, zamknięty w klatce lew.

Mariah piął się co tchu po krętych schodach, aż kręciło mu się w głowie. Z głośnym tupotem przeskakiwał po dwa stopnie. Wijąca się w górę mosiężna poręcz była coraz chłodniejsza w dotyku. Cały hotel zaczął jęczeć i skrzypieć, jak gdyby kurczył się od zimna.

Wkrótce chłopiec znalazł się u drzwi, które prowadziły na korytarz biegnący obok teatru w stronę holu i gabinetu Gormenberga. Zaparto je od wewnątrz miotłą, tak by nikt nie mógł tędy przejść, lecz Mariah zdołał ją wybić spod klamki. Otworzył drzwi, spojrzał w głąb korytarza, w kierunku Trisagionu i jasno oświetlonego holu. Nad jego głową złoty zegar wybił kwadrans i natychmiast zawtórowały mu inne zegary rozsiane po całym hotelu.

W holu było pusto, wyjąwszy starego stróża, który dreptał z miotłą i wiadrem wte i wewte na trzęsących się nogach, zamiatając spopielone niedopałki cygar i wyłączając lampy jedną po drugiej.

Mariah starał się iść spokojnym krokiem. Czuł się wysoki, prawie dorosły. Portret Lugera - a może Gormenberga - śledził każdy jego ruch i oskarżycielsko wskazywał go palcem. Mijając stróża, chłopiec uśmiechnął się i uklonił. Skręcił za róg i stanął u obitych dębem drzwi do gabinetu Lugera. Czarny garnitur, który miał na sobie, podarł się i postrzępił, podobnie jak umazana krabim śluzem koszula.

Po raz pierwszy Mariah przyjrzał się ścianie nad wyjściem z hotelu. Nigdy wcześniej nie widział jej z tej perspektywy. Drzwi obrotowe zamknięto na noc. Przez szybę widać było nocnego portiera, który stał na schodach w grubym, watowanym palcie ze złotymi mankietami i poklepywał się dłońmi dla rozgrzewki.

Po jednej stronie pięły się okazałe schody o złotych poręczach błyszczących w słabym świetle niczym grzbiet zwiniętego węża. Od ściany do ściany rozpiął się ciemnozielony dywan.

Na suficie, niby ozdobna gipsowa róża, widniał jeszcze jeden zegar. Wskazówka minut chodziła normalnie, za to sekundnik obracał się do tyłu. Na tarczy pojawił się księżyc, który w ciągu paru sekund wyszedł z nowiu i osiągnął pełnię; gwiazdy i złote słońce wychylały się i chowały za srebrnymi obłokami. Mariah wpatrywał się jak zahipnotyzowany w złotą wskazówkę, która wirowała, jak mu się zdawało, z coraz większą prędkością.

Nigdzie nie dostrzegł ani śladu Albiona czy Blacka. Oprócz stróża nie było tu nikogo. Mariah czekał niecierpliwie, chodząc tam i z powrotem. Kilkakrotnie spoglądał na zegar i śledził powolny upływ minut. Wciąż wypatrywał agentów z Biura Antyków, a tymczasem stróż skończył zamiatanie i oddalił się, posyłając Mariahowi smutne spojrzenie.

Wreszcie na górze rozległy się czyjeś kroki. Ktoś wolno schodził z wysokiej galerii.

Mariah spojrział w tamtą stronę, lecz w półmroku holu nie dostrzegł nikogo. Odsunął się od drzwi i przystanął w zacienionej wnęce. Przywarł do ciemnej dębowej boazerii, starając się oddychać jak najciszej.

Gormenberg wyłonił się zza rogu i najspokojniej w świecie szedł w stronę gabinetu, jakby wieczór niczym nie różnił się od innych. Mariah nareszcie miał okazję zobaczyć jego prawdziwą twarz, bez woskowej maski, która pozwalała mu się podszywać pod Ottona Lugera. Gormenberg wyglądał niespodziewanie młodo, miał gęste brwi i mocno zarysowaną szczękę. Policzek zdobiła stara szrama po pojedynku, rozmyślnie uwydatniona poprzez posypanie rany solą, dłuższa i cieńsza od tej, którą tak chętnie nosił Gustaw. Biegła od oka do ucha i przypominała wycięty w skórze półksiężyc.

Mariah patrzył z kryjówki, jak Gormenberg przetrząsa głębokie kieszenie surduta w poszukiwaniu kluczy. Mężczyzna puścił głośnego bąka, zerknął na zegar, po czym otworzył drzwi i wszedł do środka. Albion i Black wciąż nie nadchodzili. Mariah popatrzył na wirujący zegar: wskazywał dziewięć minut do północy. Dotknął wetkniętego za pasek sztyletu i zrozumiał, że będzie musiał sam sobie radzić. Opuścił wnękę i zapukawszy do drzwi, czekał niespokojnie. Gdy drzwi powoli się otworzyły, wszedł do środka.

- Mariah Mundi... Winszuję wspaniałej ucieczki - odezwał się Gormenberg, witając chłopca w swoim gabinecie. - Znasz oczywiście Albiona i Blacka. - To rzekłszy, wskazał dwóch mężczyzn przywiązanych do wielkiej marmurowej kolumny, która zdawała się podtrzymywać sufit. - Już myślałem, że rozprawiłem się ze wszystkimi, a ty wciąż zjawiasz się nieproszony. I co my z tobą zrobimy? Monika miała cię zamrozić, ale widzę, że nic z tego nie wyszło.

- Monika nie żyje - odparł Mariah bez mrugnięcia okiem, trzymając sztylet za plecami. - Wpadła do kadzi i zamarzła. Chwila nieuwagi...

- A ty, oczywiście, nie miałeś z tym nic wspólnego?

- Miałem, i to bardzo wiele - odpowiedział Mariah, zerkając na Blacka.

- I jak było, panie Mundi? - dociekał Gormenberg.

- Poczuleś się mocny?

- Nic nie czułem, zrobiłem to, bo musiałem - wyjaśnił Mariah. Przesunawszy się chyłkiem w stronę marmurowej kolumny, oparł się o nią. Gormenberg siedział w skórzanym fotelu z rękoma wspartymi na szerokim biurku.

Mariah rozglądał się za szkatułą Midasa, lecz nigdzie jej nie widział.

- I co teraz? - spytał Gormenberg.

- Dlaczego zabił pan Lugera? Znalazłem w piwnicy jego szkielet. To pańska sprawka,

prawda?

- Jakie to ma znaczenie? - rzekł Gormenberg jakby do siebie. Wyjął z górnej kieszonki chusteczkę i wetknął sobie za kołnierz jak serwetkę. - I tak za godzinę wszyscy będziecie martwi, a ja będę wtedy daleko stąd. - Ziewnął, puścił kolejnego bąka i oblizawszy palce, wytarł je o krwawą plamę na złotej kamizelce.

Zerknął na zegarek, a potem ku szufladzie w biurku. Drżącą prawą ręką wysunął ją powoli i wydobyl z niej duży złoty talerz wypełniony po brzegi zimnymi kielbaskami, korniszonami, marynowaną cebulą, plasterkami boczku i czerstwymi grzankami. Brał je po kolei w serdelkowate palce i wkładał do ust.

- Lubię jeść, kiedy myślę. Im więcej myślę, tym większy mam apetyt. Zwłaszcza na zwierzęta. Spotkałem raz człowieka, który nigdy w życiu nie jadł mięsa - był strasznie chudy i trupio blady. Często się zastanawiam, jak smakuje prawdziwe mięso... Rozumiesz, co mam na myśli?

Mariah rozumiał bardzo dobrze. Popatrzył na Albiona i Blacka wiercących się w pętach, którymi przywiązano ich do kolumny.

- Jak pan ich złapał? - zapytał, wskazując detektywów ruchem głowy. - To oni mieli złapać pana.

- Nasza wina - odezwał się Albion i dał Blackowi kuksańca między żebra.

- To był twój pomysł, żeby tu zajrzeć przed północą - obruszył się Black.

- Bo miał być wtedy w podziemiach - zaprotestował Albion.

- Zadbali o to Grimm i Grendel - wyjaśnił Mariahowi Gormenberg. - Zgubili się w kanałach w trakcie pościgu za wami, lecz w końcu przedostali się do zamku, a stamtąd wrócili do hotelu dorożką - w samą porę, by przyłapać twoich koleżków na myszkowaniu w moim gabinecie...

- Złapali was Grimm i Grendel? - Mariah przysunął się bliżej.

- Raczej ich pistolety - sarknął Black. - Albion uparł się, że do tej misji nie będziemy potrzebowali broni. Czy nie mam racji, Albionie?

- Za chwilę północ - przerwał im Gormenberg i ku zdumieniu Mariaha wyciągnął z kieszeni talię Pandzandrum, a potem utłuszczonymi palcami zaczął wyjmować z niej karty jedną po drugiej. Mówił z pełnymi ustami, przeżuując jedzenie i bez przerwy się śliniąc. - Widzisz, chłopcze, mam teraz wszystko, czego pragnąłem. Magiczny przedmiot, który zamienia rzeczy w złoto, i drugi, który przepowiada przyszłość. Nie mogłem pozwolić, aby ci dwaj bufoni mi je odebrali. - Sięgnął po ostatnią tłustą kielbaskę i przygryzł ją niby soczyste cygaro. - Teraz szukam alabastrowej szkatuły z rtęcią, która umożliwi podróżowanie między

różnymi światami. A wy, moi drodzy, poczekacie sobie tutaj na eksplozję, jakiej ten kraj jeszcze nie widział. Ludzie będą mówić, że przepadłem w kataklizmie na islandzką miarę, że to były Pompeje do dziesiątej potęgi. Kiedy para zgromadzona pod ziemią nie znajdzie ujścia, wyrwie dziurę, która pochłonie hotel razem z połową miasta. Ja będę już wtedy na otwartym morzu - co to będzie za widok! Pst... Czy słyszycie tę ciszę? Czy to nie cudowne?

- I tylko po to chce pan zabić nas wszystkich? - spytał Mariah.

- Zabiłbym was choćby i bez powodu i nigdy by mnie nie aresztowano - odparł Gormenberg i zabrzączał dzwoneczkiem, który trzymał na biurku. - Grimm, Grendel! - zawołał. - Nasi goście są już w komplecie, a ja zaraz wychodzę. Jest za pięć dwunasta, a mam coś jeszcze do zrobienia, zanim na zawsze pożegnam Hotel Regent. - Gormenberg włożył karty Pandzandrum z powrotem do pudełka i schował je do kieszeni.

Drzwi się otworzyły i dwaj detektywi wkroczyli do gabinetu. Ich eleganckie garnitury były powalane błotem i podarte na kolanach. Obaj trzymali w ręce niewielkie pistolety.

Grimm uśmiechnął się po swojemu i nastroszył jak kogut.

- Miło cię znów zobaczyć z bliska - zwrócił się do Mariaha.

- Ostatnimi czasy oglądałem głównie twoje ślady.

- Myślicie, że dam się związać i grzecznie poczekam na śmierć, a wy uciekniecie? - Mariah przysunął się do kolumny.

- Tak właśnie myślimy, chłoptasiu. Stań sobie wygodnie, zaraz się tobą zajmę - odparł Grimm, podczas gdy Grendel kręcił się nerwowo za jego plecami, nie mogąc opanować tików, od którego podskakiwała mu cała głowa.

Mariah oparł się o kolumnę i zaczął ukradkiem przecinać więzy łączące Albiona z Blackiem.

- Spotkamy się na parowcu „Tersjasz” - oznajmił Gormenberg, wstając od biurka. - Uwińcie się w godzinę, bo inaczej podzielicie ich los. Ja muszę pójść po szkatułę Midasa. Nie spóźnijcie się. - Odłożył chusteczkę na talerz, chwycił korniszona i wepchnąwszy go do ust, opuścił gabinet, zatraskując za sobą drzwi.

Mariah słyszał, jak włókna sznura pękają na ostrzu noża.

- Ostrożnie, chłopcze - szepnął Black. - Już prawie.

- Czy mógłbym jeszcze raz spojrzeć na te okulary? Te, przez które widział pan moje ślady w kanałach? - zapytał śmiało Mariah, łechcąc dumę Grimma. - Chciałbym je pokazać moim przyjaciółom, byliby zachwyceni.

Detektyw zerknął na swojego towarzysza i wzruszył ramionami.

- Nic się chyba nie stanie - stwierdził. - Zawsze to jakaś atrakcja przed śmiercią. -

Grimm wyjął okulary z kieszeni i osadził na nosie, wtykając cienkie zauszniki za przypominające kalafiorowy uszy.

- Potrafi pan w nich wytropić każdego? - dopytywał Mariah.

- Widzę smugę czerwonej pary, którą każdy z nas zostawia za sobą - oznajmił Grimm po profesorsku.

- Nawet ślady Gormenberga?

- Nawet Gormenberga - odparł kategorycznie. - Musiałbym tylko przyłożyć jego chusteczkę tutaj - wyjaśnił, zbliżając splamioną tkaninę do twarzy. - Później tym pokrętem ustawiam odpowiednią częstotliwość i gotowe: mógłbym za nim chodzić w nieskończoność.

- Muszę to zobaczyć! - zawołał Mariah, udając niewinne zaciekawienie. - Błagam!

Grimm spojrzał w jego smutne, żebrzące oczy i na krzywy uśmiech. Zdjął okulary i ostrożnie umieścił je na nosie chłopca.

- Proszę - rzekł uprzejmie. - Niech się chłopak sam przekona, zanim odejdzie z tego świata.

Grendel skinął potakująco. Tik coraz bardziej dawał mu się we znaki, jego ręka drżała, a głowa skakała z boku na bok.

Mariah ujrzał przed sobą znaczone czerwonymi oparami szlak od fotela do drzwi. Na drewnianej podłodze ukazały mu się duże, czerwone plamy, jakby przeszedł tamtędy jakiś potwór.

- Są z Ameryki?

- Od proroka. Twierdził, że odczytał słowa wyryte na płytach, które znalazł na szczycie jakiejś góry. To chyba najdziwniejsza historia, jaką w życiu słyszałem - powiedział Grimm i spojrzał na Grendela, który z ledwością utrzymywał się na nogach.

- A więc pokonał nas pan ostatecznie, panie Grimm - wtrącił się Albion.

- W rzeczy samej, dziwne zrządzenie losu - z roztargnieniem odrzekł Grimm.

- Nie ma czegoś takiego jak zrządzenie losu, panie Grimm

- zauważył Albion i rozerwał przecięte więzy. Niczym górski zwierz rzucił się na Grimma, przewracając go na podłogę. Osłupiały Grendel uniósł pistolet do strzału, lecz broń tańczyła mu w palcach jak żywa.

- Nie! - wystraszył się Grimm widząc, że partner mierzy w jego głowę.

Black skoczył w stronę Grendela, z wyciągniętą nogą przefrunął nad głową Mariaha i wylądował na roztrzęsionym detektywie niczym leopold na ośle.

- Biegnij, Mariahu! - wrzasnął, uderzając Grendela pięścią w twarz i usiłując wyrwać mu pistolet. - Znajdź Gormenberga, zanim odpłynie!

Mariah zawahał się. Albion, który mocował się z Grimmem na podłodze, rzucił chłopcu spojrzenie i zawołał:

- Prędko! Znajdź go, a my cię dogonimy.

Kolejny wstrząs wygiął budynek i zakołysał nim gwałtownie. Tynk posypał się z sufitu, odgłos pękającej boazerii rozpruł powietrze jak trzask łamanych kości. Głębką ciszę uśpionego hotelu zmaściły wrzaski gości w odległych pokojach niczym duchów lamentujących nad własną śmiercią.

Podczas gdy Black i Albion zmagali się z przeciwnikami, Mariah rzucił się ku drzwiom i wypadł na korytarz. Hol i schody wypełniły się przerażonymi gośćmi, którzy uciekali na ulicę w samej bieliźnie nocnej. Czerwone ślady prowadziły ku schodom. Ludzie widziani przez magiczne okulary jawili się chłopcu w mglistej poświacie.

Za uciekającymi ciągnęła się smuga mrocznego światła podobna do żywego cienia. Mariah miał wrażenie, że patrzy na morze duchów zbiegających po schodach. Wyrwani ze snu i wygonieni przez wstrząsy na zimną ulicę ludzie darli się wniebogłosy. Mariah co sił w nogach ruszył po czerwonych, dymiących śladach. Daleko z tyłu rozległy się cztery wystrzały z pistoletu, a potem zaległa zupełna cisza.

Tersjasz

Zegary oznajmiły północ mrozącym krew w żyłach dzwonieniem. Zdawało się, że brzmia inaczej niż w zwykłą noc. Cały Regent drżał w rytmie donośnych, prawie ogłuszających uderzeń. Goniąc za świecącymi śladami Gormenberga, Mariah słyszał zewsząd echa kurantów. Przy trzecim uderzeniu skręcił za róg schodów i znalazł się w długim, nieznanym korytarzu. Było tam zimno i wilgotno, a w powietrzu czuło się woń pieprzu i prochu. Przypominała Mariahowi zapach pewnej starej ciotki, która chodziła wszędzie ze swym świszczącym, bezzębny psem.

Miał przed sobą ledwo uchylone drzwi. Na ciemny korytarz wylewała się przez nie smuga światła. Tam też prowadziły ślady: świeże, jasne i drgające wśród czerwonej pary. Gormenberg był niedaleko. Z wnętrza pokoju dobiegały odgłosy mocowania się z zamkiem sejfów i pstrykanie szyfrowej gałki obracanej tam i z powrotem. Potem otwarte drzwiczki zaskrzypiały na zawiasach i dało się słyszeć szuranie przesuwanego metalu.

Mariah czekał na korytarzu, nie ważąc się wejść do środka. Jakiś cichy zegar zaczął ponownie wydzwaniać godzinę, jak gdyby czas zatrzymał się w miejscu. Mariah odliczył dwanaście uderzeń powtarzających się niczym krzyki dalekiego ptactwa.

Za drzwiami Gormenberg postawił coś ciężkiego na drewnianym stole. Rozległ się

szczęk kolejnego zamka. Mężczyzna mamrotał coś do siebie, ni to przeklinając, ni to się śmiejąc, jakby w tajemnicy przed światem szeptał sekretne zaklęcia.

- Strażniku Złota, rozewrzyj wrota do bogactw i zaszczytów... - powtarzał bez przerwy, a jego słowa sączyły się przez szparę w drzwiach do nadstawionych uszu chłopca, który zastanawiał się, co dalej począć.

Koniec końców o wszystkim zdecydowała nie odwaga, lecz wypadek. Mariah opierał się o drzwi, by lepiej słyszeć monotonną recytację Gormenberga, gdy nagle stracił równowagę i wpadł do środka, lądując u jego stóp.

Gormenberg nawet na niego nie spojrzał. W rękach trzymał rozwarte skrzydła zwykłego, lakierowanego pudełka, obok zaś leżała talia Pandzandrum.

- Nie ruszaj się, chłopcze - powiedział, wkładając do pudełka bryłę czarnego węgla. - Muszę to skończyć, zanim się tobą zajmę.

- Przyszedłem po szkatułę Midasa - odezwał się Mariah drżącym głosem.

- To głupota czy odwaga? Nie mogę się zdecydować, ale zaraz się przekonamy - wycedził Gormenberg, dzwoniąc złotymi zębami.

- Ani to, ani to! - Mariah zerwał się na równe nogi, doskoczył do mężczyzny, chwycił go za dłoń i wepchnąwszy ją do szkatuły, zatrzasnął wieko.

Gormenberg wrzasnął z bólu. Wpierw posiniał na twarzy, potem oblał się ciemnym szkarłatem, a jego usta pokryły się białą śliną, która wyglądała jak spieniony grzbiet morskiej fali. Rozedrgane pudełko zatańczyło na drewnianym stole i wystrzeliło na wszystkie strony oślepiającym, złotym światłem. Mariah trzymał mocno dłoń Gormenberga i obaj utonęli w olśniewającym blasku, jaki wydobywał się ze szkatuły Midasa.

- Nie wiesz, co robisz! - krzyknął Gormenberg, usiłując się wyrwać. - Zatrzymałem czas i byłem o krok od zwycięstwa! Puść mnie albo obaj zginiemy.

Jego głos brzmiał wąż. Na ubraniu Gormenberga Mariah wyczuwał paskudną woń zastałego dymu z cygara i zwiertzałej wody kolońskiej. Wiórki wosku odpadały mu z twarzy, nos topniał i ociekał. Oczy miał wytrzeszczone, jakby coś je wypychało z orbit. Z otwartych ust prócz krzyku wydobywały się promyki złotego światła.

Wtem rozległ się huk potężnej eksplozji. Światła zamigotały, pokój pociemniał. Mariah poleciał na ścianę. Gormenberg zniknął bez śladu. Gruby całun czarnego dymu niby chmura zimowego smogu zawisł nad kamienną posadzką. Podnosząc się, Mariah dostrzegł zgarbione plecy Gormenberga powstającego wśród mgły. Mężczyzna trzymał się za lewą dłoń, która błyszczała w blasku lampy gazowej. Była cała ze złota - wszystkie palce stwardniały i zmieniły się w drogocenny metal.

- Moja ręka... - wyjąkał Gormenberg, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. - Coś ty mi zrobił! - powtarzał głosem dziecka, któremu zepsuto zabawkę.

Mariah popatrzył na Gormenberga skąpanego w złotych promieniach. Na jego surducie widać było kulki połyskującego metalu, a skóra mieniła się złotym proszkiem. Skrzące kropelki szlachetnego kruszcu zwisały z sufitu. Miało się wrażenie, że wszystko pokryło się złotem i wyglądało w zarysach jak kunsztownie odmalowana ikona. Chłopiec raz jeszcze spojrzął na dłoń Gormenberga: była z litego złota.

Szkatuła Midasa spoczywała na stole obok talii kart. Oba przedmioty najwyraźniej nie doznały żadnego uszczerbku w świetlistej eksplozji, która powaliła Mariaha na ziemię. Gormenberg przez chwilę zerkał to na pudełko, to na karty, a potem znów zapatrzył się w złotą dłoń.

- Chcesz zabrać obydwie? - zapytał Mariah, dotykając palcami sztyletu za paskiem. - Twój ruch, Gormenberg. Weź jedną z tych rzeczy, ale nie próbuj zabrać obu, bo przybiję cię do stołu tym nożem. - Mariah nie mógł uwierzyć, że wypowiedział te słowa. Strach go opuścił, a serce biło mu tak, jakby z każdym jego uderzeniem chłopiec stawał się mężczyzną. Zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu i wtedy usłyszał dziwny, metaliczny dźwięk.

Wyciągnął sztylet przed siebie i przyjrzał się własnej dłoni. Oto koniuszek małego palca aż po kłykieć przemienił się w szczerę złoto. Poza tym jednak nie miał żadnej skazy i łączył się w naturalny sposób z resztą ciała, jak gdyby złoto samo tam wyrosło. Mariah nie mógł oderwać od niego wzroku.

Gormenberg roześmiał się na widok jego zatrwożonej miny.

- Tobie dostało się trochę mniej - zauważył wesoło, chwyciwszy go za rękę. - Gdybyśmy posiłowali się trochę dłużej, obaj bylibyśmy cali ze złota. - Po tych słowach zgarnął ze stołu szkatułę Midasa i wyskoczył na korytarz.

Mariah chwycił talię Pandzandrum i pobiegł za nim. Dzięki magicznym okularom widział każdy ślad Gormenberga. Ten wydłużył krok, zostawiając chłopca z tyłu. Przebiegali przez kolejne drzwi i półpiętra. Mariah widział tylko ciężkie odciski czerwonych stóp w piasku pokrywającym kamienne schody. W końcu wypadli na długi, wyłożony płytkami korytarz, który wiódł ku plaży.

Gormenberg skoczył w jeden z bocznych tuneli. Biegący nieco z tyłu Mariah spostrzegł w głębi korytarza trzy zbliżające się sylwetki na tle jasnoblękitnej poświaty.

- Mariah! - zawołała Sacza. Szła, trzymając pod ramię Feliksa, którego dźwigał kapitan Charity.

- Gormenberg ucieka do portu! Chce odpłynąć na pokładzie „Tersjasza”! - odkrzyknął

Mariah, biegnąc dalej z poczuciem, że nie wolno mu się zatrzymać.

- Jestem z tobą, chłopcze - Charity położył Feliksa na ziemi obok dziewczyny. - Zabierz go na plażę. Dasz radę, Feliksie?

Chłopiec skinął głową i pochylił się w stronę Sączy, a kapitan włączył się w pościg.

Mariah zdjął okulary i wcisnął do kieszeni. Dzięki temu więcej widział i mógł biec szybciej, nie potykając się. Usiłował nadgonić stracony dystans, lecz Gormenberg pędził jak wiatr. Mariah jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś biegł równie szybko - jak gdyby nie dotykając stopami ziemi. Wkrótce znaleźli się na plaży; nad zatoką zbierały się sztormowe chmury. Fale przelewały się przez północny pirs, a boje tańczyły na wodzie.

Mariah patrzył, jak Gormenberg gna po piasku, zwiększając dystans z każdym długim susem, szybując niczym gazela w obłokach rzednącej mgły.

- Kuuuba! - rozległ się daleko z tyłu głos kapitana Charity.

- Bierz go!

W odległości kilku metrów od Mariaha podniósł się tuman drobnego, białego piasku i wyskoczył z niego wygrzewający się tam smokodyl. Bestia posłusznie rozejrzała się i wypatrzywszy Gormenberga, puściła się w jego kierunku.

- Dalej, Kuba, dalej! - krzyczał Charity, biegnąc za Mariahem. Obaj pjrzyli, jak wielki gad we mgle ściga Gormenberga w stronę pirsu.

Gormenberg obejrzał się przez ramię i zwolnił, jakby zachęcając smokodyla do szybszej pogoni. Po chwili zatrzymał się ispoglądając z daleka ku Mariahowi i kapitanowi, wyciągnął złotą dłoń w stronę Kuby.

- Myślisz, kapitanie, że boję się twojego smoka? To wszystko, na co cię stać? - wrzasnął głosem przenikliwym i pełnym złości.

- Nie masz pojęcia, kim jestem, prawda? - dodał z drwiną, nic sobie nie robiąc z nadbiegającej Kuby.

Smokodyl przesadził jeszcze dwa metry, po czym odbił się od ziemi całą mocą swych smoczycich łap i pofrunął w górę z wygiętym ogonem, a opadając, rozwarł szeroko paszczę.

Gormenberg w okamgnieniu odskoczył na bok. Smokodyl, mocno zaskoczony takim obrotem rzeczy, wylądował w przyboju.

- Może następnym razem się uda! - zaśmiał się Gormenberg ipobiegł w stronę pirsu rybackiego, gdzie na tle księżycowego blasku rysowały się sylwetki drewnianych patroszalni.

- Mariahu, biegnij do statku! - zawołał Charity. Chłopiec pędził co tchu, choć paliło go w gardle, a wysiłek rozrywał mu piersi.

Osmolony komin trampowego parowca „Tersjasz” górował nad dachami domów

stojących wzdłuż pirsu. Gruby słup czarnego dymu wznosił się do góry, tnąc niebo jak ostrze wielkiego noża. Silnik okrętu dyszał i dzwonił gotowy do żeglugi.

Gormenberg, nie przestając biec, wskoczył na pirs niczym Diabelski Jack. Smokodyl podążył za nim po kamiennych schodkach. Chwilę później wbiegł na nie zdyszany Mariah, potykając się o wyszczerbione, oblepione wodorostami stopnie. Pędząc resztkami sił obok drewnianych szop w stronę nabrzeża, co chwila zaczepiał głową o porozwieszane sieci.

Na końcu pirsu w mdłym blasku lamp gazowych dojrzał, jak Gormenberg zeskakuje ze sterty rybackich skrzyni na pokład parowca. Sekundę później „Tersjasz” odbił od nabrzeża, roztrzaskując w drzazgi zacumowane po sąsiedzku łodzie. Mariah ze sztyletem w ręce przebiegł wzdłuż pirsu, zrównując się z odpływającym statkiem. Gormenberg stał na rufie. W prawej dłoni z dumą dzierżył szkatułę Midasa i machał Mariahowi pięcioma złotymi palcami.

- Następnym razem, Mundi. Jestem pewien, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Tobie najmniej zabrakło, żeby mnie powstrzymać. Chłopcu ze Szkoły Kolonialnej - kto by pomyślał! Zatrzymaj hotel, a raczej to, co z niego zostanie... - Gormenberg roześmiał się, a okręt prześliznął przez portową gardziel. Z brudnych okienek w burcie sączyło się na zewnątrz żółtawe światło.

- Myślałem, że odpłyniesz czymś okazalszym! - zawołał Mariah z krawędzi pirsu.

- Mam perły pod pokładem i szkatułę Midasa, czego jeszcze mi trzeba? - odkrzyknął Gormenberg i już miał odejść krokiem pełnym godności, kiedy zawołał: - Jeszcze jedno. Ten trup, którego znaleziono obok Trzech Marynarzy, to nie moja robota. Kto inny go zabił.

- Znajdziemy cię, Gormenberg - krzyknął Charity, dołączając do Mariaha i patrząc za wypływającym w morze okrętem.

Gormenberg ze śmiechem jeszcze raz pomachał im złotą ręką, a „Tersjasz” opuścił spokojne portowe wody i podążył w bezkresną kipieli Morza Północnego.

- Uciekł... - Mariah zwrócił się do kapitana. - Wszystko na nic.

- Walczyłeś do samego końca i dowiodłeś swej odwagi. Ta przygoda cię zmieniła. Ty i Sacza możecie być z siebie dumni.

- Ale nie powstrzymaliśmy Gormenberga.

- Nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Czasem wydaje nam się, że zło triumfuje, a światło przegrywa z ciemnością. Takie jest życie, mój chłopcze. Wieczne utrapienie.

- Kiedy Charity wymawiał te słowa, nadszedł zdyszany smokodyl i zwinął się u ich stóp niczym grzeczny piesek.

- Regent! - przypomniał sobie Mariah. - Muszę wracać, Gormenberg zamknął ujście

pary...

- A kapitan Charity z powrotem je otworzył. Sacza pomogła mi wydostać się z celi, Spisała się na medal, jest niezastąpiona. Razem znaleźliśmy zawór. Hotel już więcej nie zadrży.

Mariah pogonił smokodyla i ruszyli w drogę powrotną. Był zasmucony, jak gdyby ciężar świata zbyt wcześnie spadł na jego młode barki. Oczy miał wilgotne od zimnego nocnego powietrza. Zdawało mu się, że wszystko to, przez co przeszedł, nie ma znaczenia. Jego życie było zaledwie operą, w której zmagał się z mrocznymi upiorami.

Odchodząc od krawędzi pirsu, uśmiechnął się do kapitana Charity, a potem po raz ostatni obejrzał się na morze.

- Niech pan zobaczy! - krzyknął, wskazując wylot portu. Macki Krakena owinęły się wokół dziobu „Tersjasza” i odrywały drewniane deski od stalowego kadłuba. Burząc morskie fale, potwór chwycił statek i wyrwawszy wysoki komin, rzucił go w topiel. - To Kraken! Jednak wrócił!

- A nie mówiłem? - odparł Charity, spoglądając w tamtym kierunku. - Nigdy nie ufaj krakenom, są nieobliczalne.

Patrzyli, jak fale wlewają się na pokład. Jakiś drugi potwór przywarł do rufy i wepchnął potężną mackę do kabiny na mostku, jakby szukając czegoś w środku. Trzech członków załogi skoczyło w spienione morze i zniknęło wśród fal. Gormenberg stał hardo na szczycie statku i machał ręką w stronę brzegu, a wiatr unosił jego wołanie, lecz nikt go nie słyszał.

W parę chwil okręt zniknął z powierzchni wody. Krakeny porwały go ku morskim głębinom. Gormenberg przepadł razem ze szkatułą Midasa.

- Co teraz? - spytał Mariah.

- Nic - odrzekł spokojnie Charity, spoglądając ku nadbiegającym Albionowi i Blackowi. - Problem się rozwiązał.

- Uciekł nam - Mariah uprzedził pytania detektywów.

- A mimo to został schwytany - dodał Charity.

- Wszystko widzieliśmy, ale nie wierzyliśmy własnym oczom - emocjonował się Perfidny Albion. - Pracujemy dla Biura Antyków od wielu lat, ale czegoś takiego jeszcze nie oglądaliśmy.

- A co ze szkatułą Midasa? - spytał Mariah.

- Morze ją przechowa... przynajmniej przez pewien czas - rzekł z powagą Black. - Do czasu, aż szkatuła przyciągnie kolejnego szaleńca.

- Mam Pandzandrum - powiedział chłopiec.

- W takim razie nie wszystko przepadło - odparł Albion, wyciągając rękę.

W tawernie Pod Złotym Śledziem Kleks polerował octem głowę wypchanego słonia przytwierdzoną do ściany nad drzwiami wejściowymi. Stał niepewnie na starej, kiwającej się drabinie, z nogą wspartą na zakrytej ptasiej klatce. Z kuchni bił zapach ryby, na którą niecierpliwie czekali goście zgromadzeni przy stole. Sacza siedziała z głową wspartą na dłoniach i walczyła z sennością, a chłopcom nie zamykały się usta.

- A więc zostajesz tutaj dłużej? - Black zapytał Mariaha, akurat gdy kapitan Charity wszedł z dymiącym półmiskiem smażonych ryb.

- Co najmniej rok - odparł chłopiec, uśmiechając się do Feliksa. - Feliks też zostaje. Musi dojść do siebie po tym wycisku, jaki dostał od wiedzmy morskiej.

- Poza tym muszę pilnować Sączy i ciebie. Przyjechałeś z Londynu i niewiele brakowało, a miasto wyleciałoby w powietrze. Skoro zostajesz na dłużej, niech Bóg ma nas w swojej opiece - zażartował Feliks, szturchając go ramieniem.

- W takim razie przyjmiesz od nas to? - Albion podsunął Mariahowi pudełko obite filcem.

Chłopiec otworzył je na oczach wszystkich. Było ciepłe imięknie w dotyku. W środku, w jedwabnej koszulce, znajdowała się srebrna odznaka z wyrytą podobizną Charadriusa unoszącego się nad morzem. Na krawędziach widniało siedem wyciętych w metalu gwiazdek oraz napis: Biuro Antyków.

- To dla mnie? - Mariah otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Pod warunkiem, że czujesz się na siłach - odparł Charity, stawiając rybę na stole i rozdając gościom srebrne widelce.

- W takim razie biorę - powiedział chłopiec i wszyscy się roześmiali.

W przytulnym ciepłe zakrytej klatki Charadrius szczebiotał po cichu do siebie. Wcześniej wyzionąwszy ducha, odrodził się w księżycowym blasku. Teraz jednym okiem przyglądał się cieniom na bawełnianej płachcie. Kuba leżała przy kominku i machając ogonem, marzyła o dalekim oceanie.

Poza portowym cyplem, z dala od cienistego zamku, dwa krakeny płynęły zadowolone jeden obok drugiego - zakłęcie wiedzmy morskiej zostało zdjęte. Na plaży, w rześmistym blasku latarni Hotelu Regent, niczym figury woskowe leżały ciała wypłukane z „Tersjasza”.

Tak oto morze przyjęło należną sobie ofiarę na gorących piaskach. Gormenberg leżał przy skałach w łagodnej fali odpływu. Jego złota dłoń błyszczała w niknącej poświacie księżycy, a oczy wpatrywały się w gwiazdy. Kiedy rozległ się gwizd ostatniego pociągu

odjeżdżającego ze stacji końcowej, poruszył głową i z uśmiechem spojrzał w morze.